

KALENDARZ ŚLĄSKI · 1962

KALENDARZ ŚLĄSKI

NA ROK

1962

ROCZNIK I

KRAJSKÉ NAKLADATELSTVÍ V OSTRAVĚ



Górnicy i hutnicy rękojmią dobrobytu naszych przyszłych dni.

1962

Rok 1962 jest rokiem zwyczajnym i liczy 365 dni.

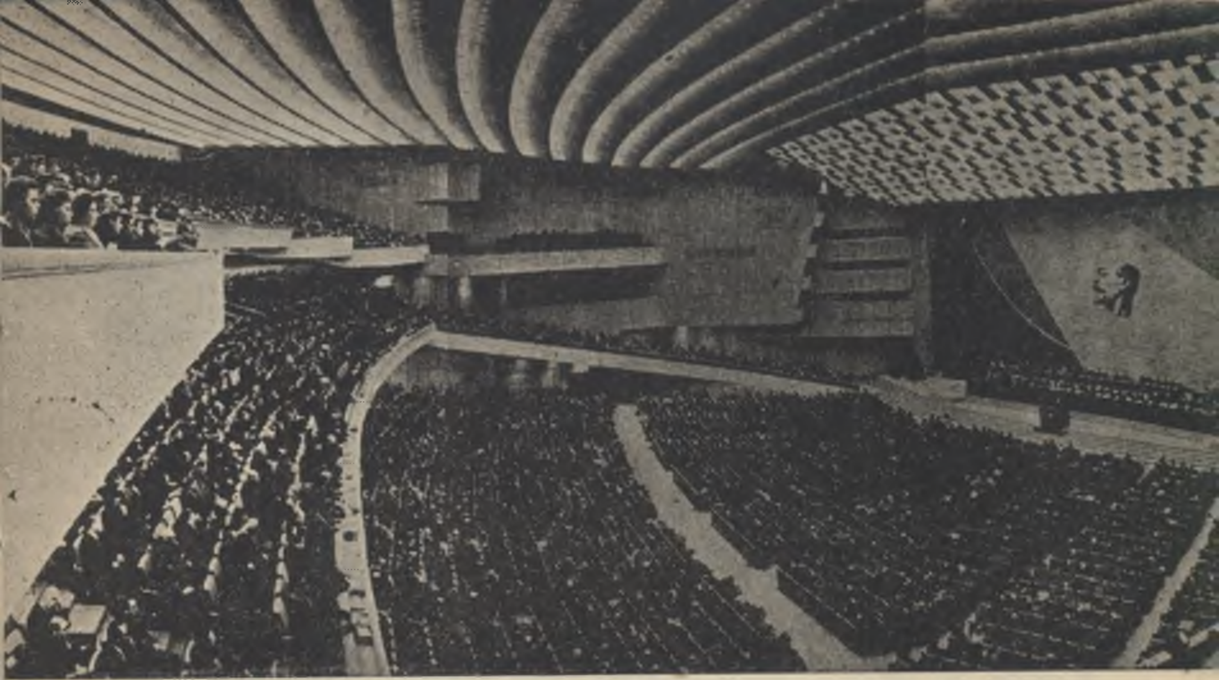
CZTERY PORY ROKU

Pory roku: wiosna astronomiczna rozpoczyna się dnia 20 marca, lato astronomiczne dnia 21 czerwca, jesień astronomiczna 23 września, a zima astronomiczna 21 grudnia.

DWANAŚCIE ZNAKÓW NIEBIESKICH

Znaki wiosenne	Znaki letnie	Znaki jesienne	Znaki zimowe
Baran	Rak	Waga	Koziorożec
Byk	Lew	Niedźwiadek	Wodnik
Bliźnięta	Panna	Strzelec	Ryby

Podane w kalendarium znaki niebieskie oznaczają tę część Zwierzyńca Niebieskiego, w której znajduje się księżyc w południe greenwichskie, tj. o godz. 13 czasu środkowo-europejskiego danego dnia. Wschody i zachody słońca obliczone ściśle z ważnością dla Śląska Cieszyńskiego podane zostały w kalendarium w czasie środkowo-europejskim.



„Nigdy jeszcze siły nasze, siły światowego socjalizmu, nie były tak potężne, jak obecnie. Nowy program otwiera przed partią i narodem najwspanialsze porywające perspektywy. Słońce komunizmu wschodzi nad naszym krajem! Uczynimy wszystko, ażeby ofiarną naszą pracą przybliżyć dzień, gdy słońce ogarnie swym światłem bezgraniczne przestrzenie naszej pięknej ojczyzny! Oddamy wszystkie swe siły, całą energię bolszewicką sprawie triumfu komunizmu! Pod przewodem okrytej chwałą partii leninowskiej naprzód do zwycięstwa komunizmu!"

Z końcowego przemówienia pierwszego sekretarza KC KPZR Nikity Chruszczowa na XXII Zjeździe KPZR.



STYCZEŃ

KALENDARIUM			Znaki nieb.	Notatki
1	P	**Nowy Rok, Mieczysława**		
2	W	Makarego		
3	Ś	Genowefy		
4	Cz	Anieli, Eugeniusza		
5	P	Szymona		
6	S	Trzech Króli, Andrzeja		
7	N	**Juliana, Izydora**		
8	P	Seweryna, Bogdana		
9	W	Antoniego, Marcjanny		
10	Ś	Jana, Pawła		
11	Cz	Honoraty		
12	P	Ernesta, Czesława		
13	S	Weroniki, Hilarego		
14	N	**Feliksa**		
15	P	Dąbrówki		
16	W	Włodzimierza		
17	Ś	Antoniego		
18	Cz	Piotra		
19	P	Henryka, Erwina		
20	S	Fabiana, Sebastiana		
21	N	**Zgon W. I. Lenina**		
22	P	Wincentego		
23	W	Marii, Janusza		
24	Ś	Tymoteusza		
25	Cz	Pawła		
26	P	Polikarpa		
27	S	Jana		
28	N	**Karola**		
29	P	Franciszka, Waleriana		
30	W	Martyny		
31	Ś	Piotra, Ludwiki		





Z nowym rokiem winszujemy wszystkim ludziom pracy zdrowia, osiągnięć twórczych i radości w życiu.

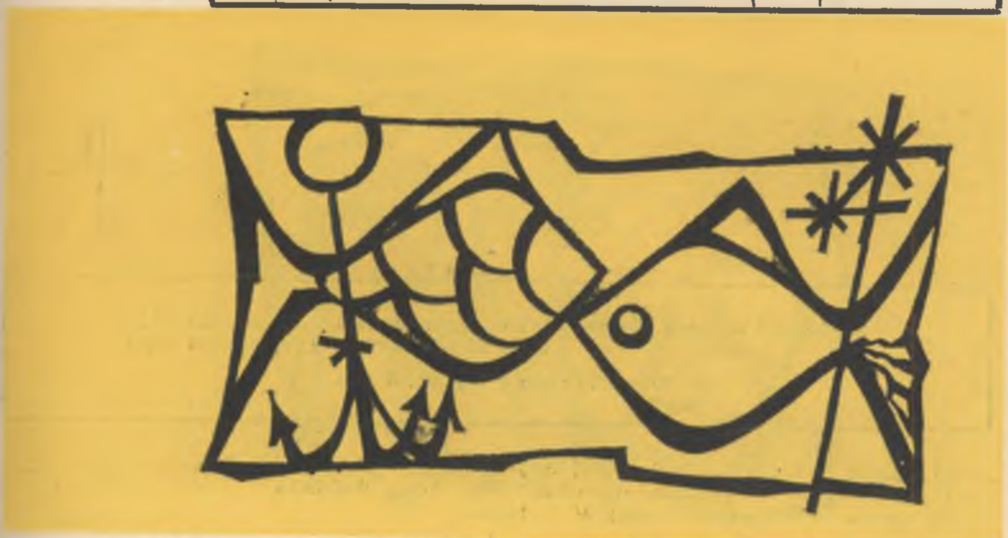
Wschody i zachody słońca:	Dnia 1-go: wschód 7,44, zachód 15,54.
	Dnia 15-go: wschód 7,38, zachód 16,11.

Dnia przybywa o 1 godz. 6 min.

15 stycznia — Dzień Czechosłowackiej Artylerii.
17 stycznia 1945 — Warszawa wyzwolona przez Armię Radziecką.
21 stycznia — 38 rocznica śmierci W. I. Lenina.

LUTY

KALENDARIUM			Znaki nieb.	Notatki
1	Cz	Ignacego, Brygidy		
2	P	Marii		
3	S	Błażeja		
4	N	**Andrzeja**		
5	P	Agaty		
6	W	Doroty		
7	Ś	Romualda, Ryszarda		
8	Cz	Jana		
9	P	Apolonii		
10	S	Renaty		
11	N	**Eufrozyny**		
12	P	Grzegorza, Eulalii		
13	W	Katarzyny		
14	Ś	Walentego		
15	Cz	Faustyna — Popielec		
16	P	Julianny		
17	S	Konstancji, Zbigniewa		
18	N	**Symeona, Zuzanny**		
19	P	Konrada		
20	W	Leona		
21	Ś	Feliksa, Eleonory		
22	Cz	Małgorzaty		
23	P	Macieja, Seweryna		
24	S	Florentego		
25	N	**Zwyc. csł. ludu Wiktora**		
26	P	Bogusława		
27	W	Anastazji, Gabriela		
28	Ś	Romana		





Wio koniku . . . ku wiośnie, bo coraz mniej śniegu w naszych osiedlach.

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 7,20, zachód 16,38.
Dnia 15-go: wschód 6, 57, zachód 17,03.
Dnia przybywa o 1 godz. 35 min.

2 lutego 1943 — zwycięstwo wojsk radzieckich pod Stalingradem.
18 lutego 1929 — 33 rocznica otwarcia V zjazdu KPC.
23 lutego — Dzień Armii Radzieckiej.
25 lutego 1948 — 14 rocznica zwycięstwa ludu pracującego — pamiętny dzień CSRS

MARZEC

KALENDARIUM				Znaki nieb.	Notatki
1	Cz	Albina			
2	P	Heleny, Ludwiki			
3	S	Kunegundy			
4	N	**Kazimierza, Eugeniusza**			
5	P	Euzebiusza, Fryderyka			
6	W	Mariana	●		
7	Ś	Tomasza, Felicji			
8	Cz	Wincentego			
9	P	Franciszki, Aleksandra			
10	S	Cypriana			
11	N	**Konstantyna, Rozyny**			
12	P	Grzegorza			
13	W	Konstantyny, Ernesta	☽		
14	Ś	Matyldy, Bożeny			
15	Cz	Klemensa			
16	P	Cyriaka			
17	S	Kornelii, Patrycego			
18	N	**Edwarda, Anzelma**			
19	P	Józefa			
20	W	Eufenii, Teodozji	○		
21	S	Benedykta			
22	Cz	Katarzyny			
23	P	Pelagii, Zygmunta			
24	S	Gabriela			
25	N	**Marii, Ireneusza**			
26	P	Teodora			
27	W	Lidii			
28	S	Amalii	☾		
29	Cz	Eustachego, Wiktoryna			
30	P	Anieli			
31	S	Balbiny, Amosa			





10 marca 1947 r. podpisano umowę o przyjaźni i wzajemnej współpracy między Czechosłowacją i Polską. Od tego czasu poszliśmy milowymi krokami naprzód. Na zdjęciu wizyta przyjaźni przedstawicieli Armii Czechosłowackiej w Warszawie.

....

....

....

....

....

....

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 6,30, zachód 17,26.
Dnia 15-go: wschód 6,00, zachód 17,49.

Dnia przybywa o 1 godz. 53 min.

2 marca — 138 rocznica urodzin Bedřicha Smetany.
2 marca 1919 — powstaje w Moskwie Międzynarodówka Komunistyczna.
8 marca — Międzynarodowy Dzień Kobiet.
10 marca 1947 — podpisano umowę o przyjaźni i wzajemnej pomocy między ČSR i Polską.
24 marca 1794 — przysięga Kościuszki na rynku Krakowa.
28 marca — Dzień nauczyciela.

KWIECIEŃ

KALENDARIUM			Znaki nieb.	Notatki
1	N	**Hugona, Teodora**		
2	P	Franciszka		
3	W	Ryszarda		
4	Ś	Izydora, Ambrożego		
5	Cz	Wincentego, Ireny ●		
6	P	Celestyna, Wilhelma		
7	S	Apolonii		
8	N	**Dionizego, Krystyny**		
9	P	Marii, Dymitra		
10	W	Ezechiela		
11	Ś	Leona		
12	Cz	Juliusza ☽		
13	P	Justyna		
14	S	Waleriana		
15	N	**Anastazji, Olimpii**		
16	P	Lamberta		
17	W	Rudolfa		
18	Ś	Apoloniusza		
19	Cz	Leona, Włodzimierza ⊕		
20	P	Krzysztofa, Agnieszki		
21	S	Szymona		
22	N	**Wielkanoc Urodz. W. I. Lenina, Łuk.**		
23	P	**Poniedziałek Wielkanocny**		
24	W	Wojciecha		
25	Ś	Marka, Jarosława		
26	Cz	Zbigniewa, Otona		
27	P	Teofila, Zyty ☾		
28	S	Karola		
29	N	**Piotra, Sybilii**		
30	P	Katarzyny		





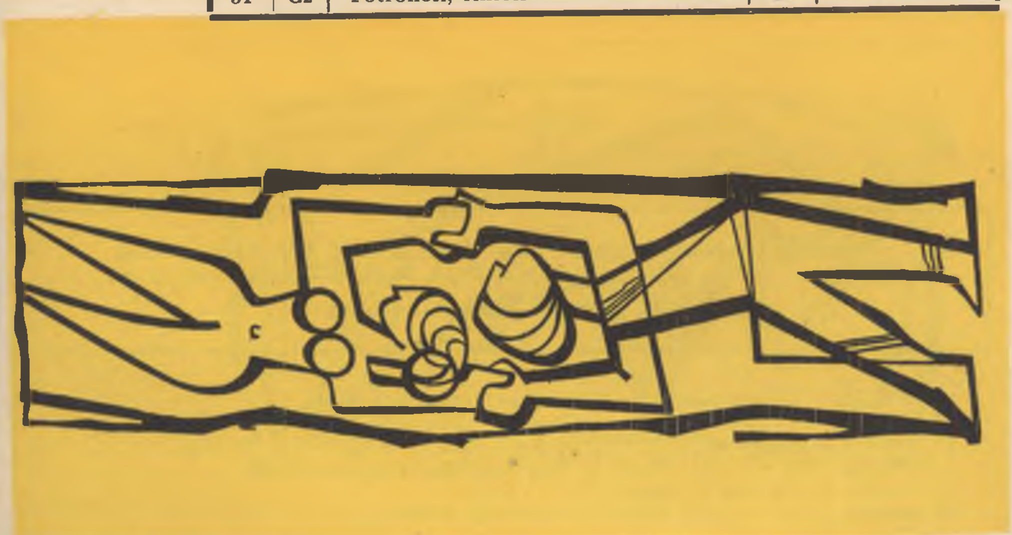
Śmigus, dyngus . . . Zwyczaje śmigusowe są wciąż żywe po obu stronach Tatr.

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 5,23, zachód 18,16.
Dnia 15-go: wschód 4,53, zachód 18,38.
Dnia przybywa o 1 godz. 44 min.

4 kwietnia — Święto państwowe Węgierskiej Republiki Ludowej.
5 kwietnia — 17 rocznica ogłoszenia Programu Koszyckiego.
11 kwietnia — Dzień Międzynarodowej Solidarności Bojowników o Wolność.
15 kwietnia 1890 — wielki strajk w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim.
22 kwietnia — 91 rocznica urodzin W. I. Lenina.
30 kwietnia 1945 — Armia Radziecka wyzwoliła Ostrawę.

MAJ

		KALENDARIUM	Znaki nieb.	Notatki
1	W	**Święto Pracy**		
2	Ś	Anastazego, Zygmunta		
3	Cz	Antoniny		
4	P	Floriana, Moniki		
5	S	Ireny, Waldemara		
6	N	**Jana, Bogumiła**		
7	P	Augusta		
8	W	Stanisława		
9	Ś	**Święto państw. CSRS**		
10	Cz	Izydora		
11	P	Mamerta, Wojciecha		
12	S	Pankracego		
13	N	**Serwacego**		
14	P	Bonifacego		
15	W	Zofii		
16	Ś	Jana		
17	Cz	Weroniki, Brunona		
18	P	Feliksa, Eryka		
19	S	Celestyna		
20	N	**Bernarda**		
21	P	Heleny		
22	W	Julii		
23	Ś	Dezyderiusza, Iwony		
24	Cz	Joanny		
25	P	Urbana, Jarosława		
26	S	Filipa, Mieczysława		
27	N	**Jana, Lucjana**		
28	P	Magdaleny		
29	W	Teodozji		
30	Ś	Ferdynanda, Hilarego		
31	Cz	Petroneli, Anieli		





Kiedy najpiękniej kwitły jabłonie, przyszła do nas — z tej strony, gdzie wschodzi słońce — wolność.

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 4,23, zachód 19,03.
Dnia 15-go: wschód 4,00, zachód 19,23.

Dnia przybywa o 1 godz. 21 min.

1 maja — Święto Pracy.
2 maja 1945 — Armia Radziecka zdobyła Berlin.
9 maja — Święto Państwowe Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej (17 rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką).
14—16 maja — 41 rocznica założenia KPC.

CZERWIEC

KALENDARIUM				Znaki nieb.	Notatki
1	P	Gracjana, Nikodema			
2	S	Erazma			
3	N	**Klotyldy**			
4	P	Kwiryna			
5	W	Florencji			
6	Ś	Norberta, Benigna			
7	Cz	Roberta			
8	P	Medarda			
9	S	Felicjana			
10	N	**Małgorzaty**			
11	P	Barnaby, Bazylego			
12	W	Onufrego			
13	Ś	Antoniego			
14	Cz	Wasyla			
15	P	Wita, Johanny			
16	S	Zenona, Aliny			
17	N	**Lecha, Adolfa**			
18	P	Marka			
19	W	Gerwazego, Protazego			
20	Ś	Reginy			
21	Cz	Alojzego, Marty			
22	P	Pauliny			
23	S	Wandy			
24	N	**Jana**			
25	P	Prospera			
26	W	Jana i Pawła			
27	Ś	Władysława			
28	Cz	Ireneusza			
29	P	Piotra i Pawła			
30	S	Emilii, Lucyny			





Odwiedziny ZOO, to wielkie i przyjemne przeżycie naszych pociech

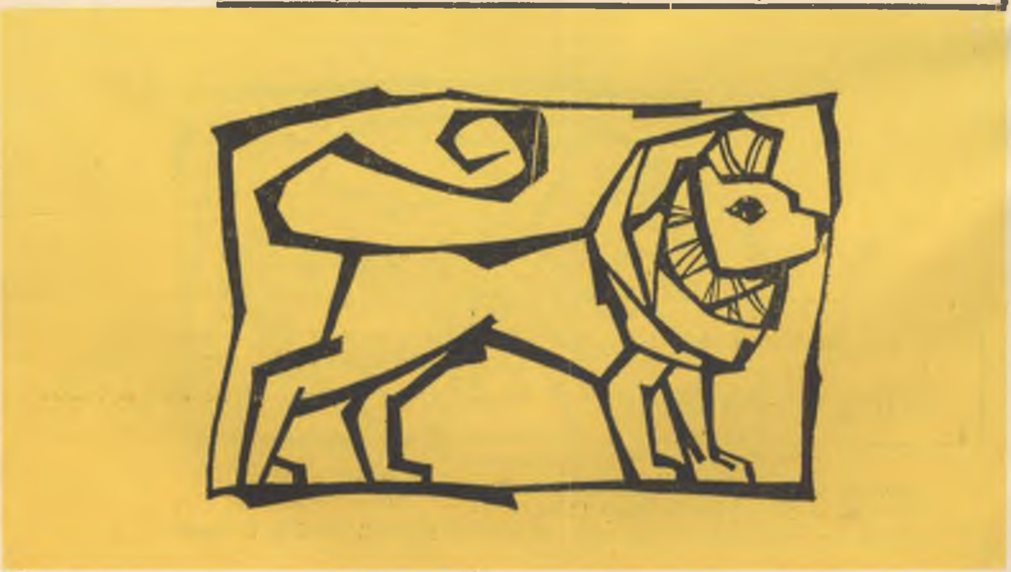
Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 3,41, zachód 19,44.
Dnia 15-go: wschód 3,35, zachód 19,55.

Do 21 czerwca przybywa dnia o 20 min., do końca czerwca ubywa dnia o 4 min.

1 czerwca — Międzynarodowy Dzień Dziecka.
10 czerwca — 20 rocznica zagłady Lidic.
16 czerwca — 43 rocznica wygłoszenia Słowackiej Republiki Rad w Preszowie.

LIPIEC

KALENDARIUM				Znaki nieb.	Notatki
1	N	**Haliny**			
2	P	Marii	●		
3	W	Heliodora, Kornela			
4	Ś	Prokopa			
5	Cz	Cyryla i Met. Pam. dzień CSRS			
6	P	Jana Husa			
7	S	Estery, Lecha			
8	N	**Kiliana, Prokopa**			
9	P	Weroniki, Anatolii	☽		
10	W	Amalii			
11	Ś	Pelagii			
12	Cz	Jana			
13	P	Małgorzaty			
14	S	Bonewentury, Ziemowita			
15	N	**Henryka**			
16	P	Marii, Ruty			
17	W	Aleksego			
18	Ś	Szymona, Karoliny			
19	Cz	Wincentego			
20	P	Eliasza			
21	S	Daniela			
22	N	**Marii Magdaleny, Bolesława**			
23	P	Apolinarego			
24	W	Krystyny, Cyriaka	☾		
25	Ś	Jakuba, Krzysztofa			
26	Cz	Anny, Grażyny			
27	P	Natalii, Marty			
28	S	**Marty, Olgi**			
29	N	Heleny			
30	P	Ignacego			
31	W	Innocentego			





22 lipca naród polski obchodzi święto wyzwolenia. Podsumowuje swoje osiągnięcia, z których może być dumny. Na zdjęciu stadion 10-lecia w Warszawie, który był świadkiem niejednego triumfu sportowców polskich.

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 3,39, zachód 19,58.
Dnia 15-go: wschód 3,51, zachód 19,49.

Dnia ubywa o 1 godz. i 1 min.

1 lipca — Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy.
5 lipca — słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody — pamiętny dzień CSRS.
6 lipca — spalenie mistrza Jana Husa — pamiętny dzień CSRS.
22 lipca — Święto Państwowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

SIERPIEŃ

KALENDARIUM				Znaki nieb.	Notatki
1	Ś	Piotra, Wiery	●		
2	Cz	Alfonsa, Gustawa			
3	P	Szczepana, Augusta			
4	S	Dominika			
5	N	**Marii, Oswalda**			
6	P	Jakuba, Sykstusa			
7	W	Kajetana, Donata			
8	Ś	Emiliana, Krystyny	☽		
9	Cz	Romana			
10	P	Wawrzyńca			
11	S	Zuzanny			
12	N	**Klary**			
13	P	Hipolita, Kasjana			
14	W	Euzebiusza, Sylwii			
15	Ś	Marii	Ⓜ		
16	Cz	Joachima, Rocha			
17	P	Mirona, Anastazego			
18	S	Heleny			
19	N	**Benigny, Emanuela**			
20	P	Bernarda			
21	W	Joanny, Wiesława			
22	Ś	Tymoteusza			
23	Cz	Filipa	☾		
24	P	Bartłomieja			
25	S	Ludwika			
26	N	**Aleksandra, Zefiryna**			
27	P	Róży, Mariana			
28	W	Augustyna			
29	Ś	Słow. powst. Pam. dzień CSRS			
30	Cz	Feliksa	●		
31	P	Rajmunda, Hilarii			





Sierpień to żniwa, a równocześnie wczasy dla tysięcy ludzi pracy. Podbeskidzka miejscowość Rzeka stała się już atrakcyjnym letniskiem setek wczasowiczów, przede wszystkim hutników trzynieckich.

....

....

....

....

....

....

....

....

....

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 4,13, zachód 19,29.
Dnia 15-go: wschód 4,33, zachód 19,05.

Dnia ubywa o 1 godz. 40 min.

15 sierpnia — Święto Państwowe Koreańskiej Republiki Ludowej.
18 sierpnia — Dzień Kolejarzy Czechosłowackich.
23 sierpnia — Święto Państwowe Rumuńskiej Republiki Ludowej.
29 sierpnia — 17 rocznica Słowackiego Powstania Narodowego.

WRZESIEŃ

KALENDARIUM				Znaki nieb.	Notatki
1	S	Bronisławy, Idziego			
2	N	**Stefana, Adeli**			
3	P	Eufrazyny, Izabeli			
4	W	Rozalii			
5	Ś	Urbana, Wawrzyńca			
6	Cz	Zachariusza, Bolesława	☽		
7	P	Reginy			
8	S	Marii			
9	N	**Piotra, Sergiusza**			
10	P	Mikołaja			
11	W	Prota, Jacka			
12	Ś	Tobiasza, Gwidona			
13	Cz	Filipa, Eugenii	○		
14	P	Bernarda			
15	S	Nikodema			
16	N	**Kornela, Ludmiły**			
17	P	Justyny			
18	W	Tomasza, Tytusa			
19	Ś	Januarego, Konstancji			
20	Cz	Eustachego			
21	P	Mateusza	☾		
22	S	Maurycego			
23	N	**Tekli**			
24	P	Mieczysława, Gerarda			
25	W	Kleofasa			
26	Ś	Józefata, Cypriana			
27	Cz	Kosmy, Damiana			
28	P	Wacława			
29	S	Michała	●		
30	N	Hieronima			





Górnicy — na nich patrzy całe społeczeństwo. Każda dodatkowa tona węgla, to krok naprzód do powszechnego dobrobytu.

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 4,59, zachód 18,30.
Dnia 15-go: wschód 5,20, zachód 18,00.

Dnia ubywa o 1 godz. 46 min.

1 września — 23 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę.
7 września — Dzień Lotnictwa Czechosłowackiego.
9 września — Dzień Górnika.
Święto Państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej.
21 września — Dzień Prasy.
28 września — 98 rocznica założenia I Międzynarodówki w Londynie.

PAŹDZIERNIK

		KALENDARIUM	Znaki nieb.	Notatki
1	P	Remigiusza, Benigna		
2	W	Teofila		
3	Ś	Terezy, Lukrecji		
4	Cz	Franciszka		
5	P	Arnolda, Flawii		
6	S	Romana, Artura		
7	N	**Justyny, Szczęsnego**		
8	P	Brygidy, Pelagii		
9	W	Dionizego		
10	Ś	Franciszka		
11	Cz	Brunona, Emila		
12	P	Maksymiliana		
13	S	Edwarda, Bogumiła		
14	N	**Kaliksta**		
15	P	Jadwigi		
16	W	Gawła		
17	Ś	Małgorzaty, Florentego		
18	Cz	Łukasza		
19	P	Urszuli		
20	S	Ireny, Eunicji		
21	N	**Korduli**		
22	P	Jana		
23	W	Rafała, Seweryna		
24	S	Piotra, Salomei		
25	Cz	Darii		
26		Ewarysta		
27	S	Sabiny		
28	N	**Dzień Unarodowienia, Tadeusza**		
29	P	Narcyza		
30	W	Klaudiusza		
31	Ś	Lucylli		





Październik — to Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy rokrocznie obchodzony przez Koła PZKO i jego zespoły.

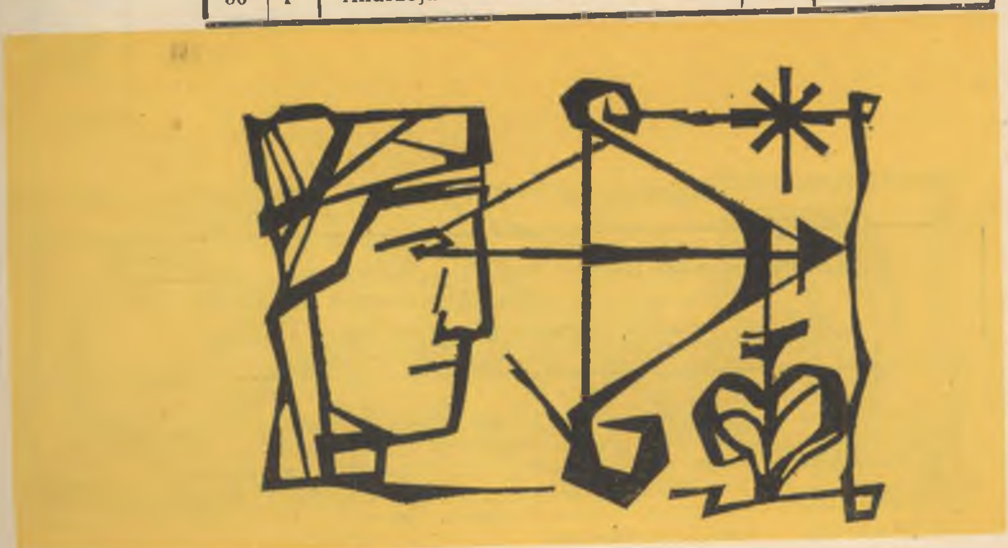
Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 5,47, zachód 17,25.
Dnia 15-go: wschód 6,06, zachód 16,55.

Dnia ubywa o 1 godz. 48 min.

1 października — Święto Państwowe Chińskiej Republiki Ludowej.
6 października — Dzień Armii Czechosłowackiej.
7 października — Święto Państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej.
12 października — Dzień Wojska Polskiego.
17 października — 113 rocznica śmierci Fryderyka Chopina.
28 października — Dzień Unarodowienia.

LISTOPAD

KALENDARIUM			Znaki nieb.	Notatki
1	Cz	Święto Zmarłych		
2	P	Bogdana		
3	S	Huberta, Bogumiła		
4	N	**Karola, Emeryka**		
5	P	Zachariusza, Elżbiety		
6	W	Lidii, Leonarda		
7	S	W. Soc. Rew. Paźdz.		
8	Cz	Wiktorii		
9	P	Teodora		
10	S	Andrzeja		
11	N	**Marcina**		
12	P	Jonasza, Witolda		
13	W	Stanisława		
14	S	Serafina		
15	Cz	Gertrudy, Leopolda		
16	P	Edmunda		
17	S	Hugona, Salomei		
18	N	**Romana, Aurelii**		
19	P	Elżbiety		
20	W	Feliksa		
21	S	Marii, Alberta		
22	Cz	Cecylii		
23	P	Klemensa		
24	S	Jana, Emilii		
25	N	**Katarzyny**		
26	P	Konrada		
27	W	Waleriana		
28	Ś	Zdzisława		
29	Cz	Waltera		
30	P	Andrzeja		





No cóż, zobaczymy jak tam wypadnie dniówka obrachunkowa — medytują gospodynie na dorocznym zebraniu spółdzielców.

Wschody i zachody słońca:	Dnia 1-go: wschód 6,34, zachód 16,23.
	Dnia 15-go: wschód 6,57, zachód 16,02.

Dnia ubywa o 1 godz. 22 min.

7 listopada — 45 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.
10 listopada — Międzynarodowy Dzień Młodzieży.
17 listopada — Międzynarodowy Dzień Studentów.
20 listopada — 66 rocznica urodzin prezydenta Republiki Czechosłowackiej — Klementa Gott- — walda (1896).

GRUDZIEŃ

		KALENDARIUM		Znaki nieb.	Notatki
1	S	Eligiusza, Natalii			
2	N	**Aurelii**			
3	P	Franciszka, Kasjana			
4	W	Barbary	☽		
5	Ś	Saby			
6	Cz	Mikołaja			
7	P	Ambrożego, Agaty			
8	S	Marii			
9	N	**Leokadia, Joachima**			
10	P	Judyty			
11	W	Damazego, Danuty	☺		
12	Ś	Zenona, Adelajdy			
13	Cz	Łucji, Otylii			
14	P	Alfreda			
15	S	Waleriana, Celiny			
16	N	**Albina**			
17	P	Łazarza			
18	W	Gracjana, Bogusława			
19	Ś	Urbana	☾		
20	Cz	Dominika, Juliusza			
21	P	Tomasza			
22	S	Aleksego, Beaty			
23	N	**Wiktorii**			
24	P	Adama i Ewy			
25	W	**Boże Narodzenie**			
26	Ś	**Szczepana**	●		
27	Cz	Jana			
28	P	Antoniego			
29	S	Dominika			
30	N	**Dawida**			
31	P	Sylwestra, Melanii			





A na święta w góry po radość, piękno i zdrowie.

....

....

....

....

....

....

Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 7,21, zachód 15,47.
Dnia 15-go: wschód 7,37, zachód 15,43.

Do dnia 24 grudnia ubywa dnia o 22 min., następnie do końca grudnia przybywa o 4 min.

10 grudnia — towarzysz Antonín Novotný, I sekretarz KC KPC i prezydent Republiki obchodzi 57 urodziny.

12 grudnia — 18 rocznica zawarcia umowy o sojuszu, przyjaźni i wzajemnej pomocy między CSRS i ZSRR.

24 grudnia 1798 — urodził się Adam Mickiewicz.



W aktualnej sytuacji międzynarodowej cała ludność Czechosłowacji swą zdecydowaną postawą i wysiłkiem na froncie pracy daje nowe dowody swego socjalistycznego patriotyzmu i internacjonalizmu. Wysokie poczucie internacjonalizmu przejawiło się także w wyrazach przyjaźni, z jaką na każdym kroku spotykają się nasi polscy goście.

Wszystkie te przejawy zaufania i miłości do naszych gości, do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i narodu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, do narodu radzieckiego i jego partii komunistycznej, wszystkie przejawy woli zachowania pokoju są spontanicznym wyrazem poglądów woli mas pracujących naszego kraju.

(Z przemówienia prezydenta republiki, towarzysza Antonina Novotnego wygłoszonego na wiecu przyjaźni w Pradze 30. IX. 1961 r.)

W imię człowieka

Z projektu trzeciego programu KPZR

KPZR przewiduje zwiększenie rozmiarów produkcji przemysłowej w ciągu najbliższych dziesięciu lat w przybliżeniu o dwa i pół raza, a więc przekroczenie obecnych rozmiarów produkcji przemysłowej USA; w ciągu dwudziestu lat — zwiększenie co najmniej sześciokrotne.

W latach 1971—1980 społeczeństwo radzieckie przybliży się bezpośrednio do realizacji zasady podziału według potrzeb, nastąpi stopniowe przejście do jednolitej własności ogólnonarodowej.

Do roku 1970 zaniknie ciężka praca fizyczna, ZSRR stanie się krajem o najkrótszym dniu pracy i największej stopie życiowej.

Nastąpi likwidacja społeczno-ekonomicznych i kulturalno-bytowych różnic między miastem a wsią.

Społeczne fundusze konsumpcyjne będą wynosić przeciętnie połowę całej sumy realnych dochodów ludności, co między innymi pozwoli na bezpłatne utrzymywanie dzieci w zakładach opieki nad dzieckiem i szkołach internatach, bezpłatną naukę we wszystkich szkołach i uczelniach, bezpłatną opiekę lekarską nad wszystkimi obywatelami, łącznie z korzystaniem z lekarstw i sanatoriów, bezpłatne korzystanie z mieszkań, usług komunalnych i komunikacji komunalnej, częściowo bezpłatne korzystanie z domów wypoczynkowych, pensjonatów i baz turystycznych, materialne zaopatrzenie niezdolnych do pracy, samotnych matek i studentów, stopniowe przejście do bezpłatnego żywienia zbiorowego.



Uniwersytet Łomonosowa w Moskwie

Nastąpi realizacja powszechnego obowiązkowego wykształcenia średniego.

Nastąpi rozwój materialnej bazy kultury, między innymi rozwój wydawnictw książek i prasy, znaczne rozszerzenie sieci bibliotek, sal odczytowych, czytelni, teatrów, klubów, domów kultury, kin, pracowni artystycznych i wytwórni filmowych, zespołów teatralnych i innych amatorskich organizacji kulturalnych, całkowita radiofonizacja kraju, objęcie całego kraju zasięgiem sieci ośrodków telewizyjnych, znaczny rozwój międzynarodowych stosunków kulturalnych.

Partia uroczyście oświadcza: obecne pokolenie ludzi radzieckich będzie żyło w komunizmie!





ŁĄKA NA WZGÓRZU

Gdybyś widział tę łąkę na wzgórzu wieczorem,
ten obraz jakby w fantazji urojony chorej,
tak bliski, dotykalny, a tak nie realny,
w oszołomieniu barw, ledwo dostrzegalny —
rzekłbyś, że to jest dywan z Tysiąca i jednej nocy...
muzyka barw, cieni, złoceń i migoceń,
i jakieś niebo wtórne z tysiącem promieni,
z zielonym firmamentem i tęczą płomieni.
Tu słońce hojną dłonią złoto wypożycza,
potrząsa nim i dzwoni, budząc zazdrość księżyca.

Wśród złocieni, firletek, jaskrów i koniczyny,
trawy koronki podnoszą z jedwabnej pajęczyny,
wiatr nimi lekko kołysze, między kwiaty przetyka,
rzekłbyś, to nie wiatr, lecz ręka ogrodnika.
Zobaczyłbyś jak szczawie bezradne w tym zgiełku
barwią swoje perełki karminową mgiełką,
jak gdzieniegdzie kąkole małe lampki palą,
osty sterczą kosmate, bezmyślne i zuchwałe.
Zobaczyłbyś bniec biały, sinę psiankę słodkogórz,
smółkę od której mrówki nóg oderwać nie mogą,
i dzwonki... dzwonki błękitne, niebieskie, liliowe,
bratki polne, co z lękiem podnoszą płoche głowy,
nieustępliwą ognichę z wypożyczonym złotem,
siostrę pokrzywy jasnotę, co woli róść pod płotem,
i małe, niepozorne, przez wszystkich zakrzyknięte,
niezapominajki, dumaniem tak przejęte,
że zapatrzone w niebo zupełnie zbłękitniały,
co miały nie zapomnieć, na dobre zapomniały...
I taka tu harmonia, taki wdzięk i prostota,
że ogarnia cię jakaś nieodparta ochota

położyć się w tej trawie i twarz zanurzyć w łące
pachnącej ziemią i trawą, wiatrem, gwiazdami i słońcem.
I choćby trawa pałaszem po twarzy siekła i bodła,
pić tę zieleń i wchłaniać, jako wodę u źródła,
wpatrywać się w tę zieleń, w zieleń połysku stali,
w zieleń barwy miodu, w seledyn korali,
w tę zieleń nienazwaną, rasową, czystokrwistą,
ze wszech ziół i zieleni tę zieleń najrzeczywistszą.
I tak zpłynąć z tą trawą, z tą łąką i ze światem,
pokrzywę nazwać siostrą, oset dziobaty bratem.
Być szczęśliwym i wolnym, jak skowronek nad łąką
i nastawiać swe dłonie fruwającym biedronkom,

motylom aksamitnym, kolorowym, puszystym,
czerwończykom, dostojkom, piórolotkom srebrzystym.
Łąki, łąki kwieciste... Najrealniejsze złudy,
cnętnie do was powracam, żegnam z takim trudem,
bo to wszystko mi tutaj drogie, nawet kłujące osty,
i to słońce czerwone zachodzące za Ostrym,
i te gronie dokoła — ciemne ramy obrazu —
z tym miasteczkiem, klasztorem, dla pełni krajobrazu.
Łąko moja na wzgórzu, jak o tobie nie śpiewać?
Choć mi dzisiaj tak ciężko, smutek serce rozpiera.
Słyszysz?! Dzwonią już kosy! Łąka... łąka umiera! —
Kwiaty zżęte pokotem na słońcu leżą i więdną,
cisza klęczy dokoła — w ciszy umiera piękno.

HENRYK JASICZEK
ilustr. Adam Jasiński



OBRAZ wielkich przedsięwzięć

S. ALBINOWSKI

Jeżeli potraktowalibyśmy Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej jako całość, jako jeden organizm gospodarczy, to okazałoby się, że jest on zaoparzony w wystarczającej ilości we wszystkie surowce, zarówno energetyczne, jak metalurgiczne, chemiczne i inne. Określenia „wszystkie" nie należy traktować oczywiście z aptekarską ścisłością. Jednak rozmieszczenie tych surowców w poszczególnych krajach RWPG jest bardzo nierównomierne. Szczególną pozycję zajmuje tu Związek Radziecki, który posiada wszystko — od złota i węgla poczynając, a na bawełnie kończąc. Inaczej sprawa przedstawia się w poszczególnych europejskich krajach demokracji ludowej.

Jeśli chodzi o surowce energetyczne, to — oprócz Związku Radzieckiego — ropę naftową posiada tylko Rumunia, węgiel kamienny — Polska i Czechosłowacja, węgiel brunatny — NRD i Polska, gaz ziemny — Rumunia. Oczywiście niewielkie ilości tych surowców mają też i inne kraje (np. Polska — naftę i gaz ziemny) lecz w ogólnym rachunku zasoby te ważą niewiele. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wielkość zasobów wszystkich surowców energetycznych (wraz z energią wodną) i przeliczymy je na energię elektryczną, to na 1 mieszkańca przypada:

ZSRR	—	53.358	tys. kWh
Polska	—	42.202	„ „
CSRS	—	7.013	„ „
NRD	—	6.902	„ „
Albania	—	2.530	„ „
Rumunia	—	1.984	„ „
Bułgaria	—	1.416	„ „
Węgry	—	652	„ „

Dane te pochodzą z obliczeń ONZ z roku 1953 i mogę już teraz być niezbyt dokładne, niemniej ilustrują istniejące różnice w wyposażeniu energetycznym poszczególnych krajów RWPG.

Podobne dysproporcje występują też w dziedzinie innych surowców. Np. rudy żelaza posiada właściwie tylko Związek Radziecki (Bułgaria i Albania — niewielkie ilości, Polska zaś ma rudy niskoprocentowe), zasoby soli potasowej znajdują się na terenie ZSRR i NRD (około $^2/_3$ złóż światowych), Węgry dysponują największymi w Europie złożami boksytu, który jest surowcem do produkcji aluminium. Związek Radziecki posiada na swym terytorium ponad $^1/_3$ światowych złóż fosforu. Zasoby mineralne stale są zresztą odkrywane. Np. w Polce znaleziono ostatnio duże złoża siarki i miedzi.

Już samo rozlokowanie geograficzne zasobów surowcowych w krajach RWPG określa konieczność współpracy. Jednak same zasoby jeszcze nie wystarczą. Surowiec trzeba wydobyć. I tu rozpościera się pole współdziałania.

Niemal wszystkie kraje RWPG odczuwają dysproporcję między rozwojem przemysłu przetwórczego i bazy surowcowej, która wzrasta w tempie zbyt wolnym. Dlaczego tak się dzieje? Niewątpliwie jedną z przyczyn jest fakt, że inwestycje w dziedzinie surowcowej są bardzo kosztowne, na długi okres zamrażają włożone środki. Nie trzeba dowodzić, że łatwiej jest wybudować fabrykę maszyn niż kopalnie węgla czy hutę stali. Niemniej w obecnym 5-leciu wszystkie kraje RWPG kładą bardzo wielki nacisk na rozwój produkcji surowców, choć nie ulega wątpliwości, że inwestycje te bardziej obciążają dochód narodowy niż inwestycje w przemyśle przetwórczym.

Niezwykle istotnym czynnikiem tej współpracy jest jej planowość. Czy mogłaby Pol-



Jak grzyby po deszczu rosną nowe ulice w Warszawie

ska planować na rok 1980 produkcję stali rzędu 24 mln ton, gdyby w toku koordynacji planów perspektywicznych nie zapewniła sobie odpowiednio wielkich dostaw rudy żelaza z ZSRR? Można by też oczywiście podać przykłady, jaką rolę w gospodarce ZSRR, NRD i innych krajów RWPG odgrywają dostawy polskiego węgla kamiennego i innych surowców.

I tu przechodzimy do sprawy zasygnalizowanej: do współpracy między poszczególnymi krajami nad rozwojem bazy surowcowo-energetycznej. Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że te same środki „włożone" w eksploatację złóż bardziej wydajnych w danym kraju przynoszą większy efekt niż wydatkowane gdzie indziej. Początkowo współpraca taka dokonywała się w formie tworzenia przedsiębiorstw mieszanych, np. rumuńsko-radzieckich w Rumunii. Obecnie formą tej współpracy są kredyty: na budowę kopalń węgla brunatnego (NRD — 400 mln starych rubli), kopalń węgla kamiennego (ČSRS 250 mln starych rubli), budowę kombinatu siarkowego (ČSRS — 100 mln starych rubli), budowę kopalni miedzi (ČSRS — 125 mln dol.). Polska, NRD i ČSRS współpracują przy budowie wielkiego kombinatu celulozowego w Braila (Rumunia) o potencjale 200 tys. ton celulozy rocznie, ČSRS uczestniczy w rozbudowie kopalni rud żelazo-niklowych w Albanii oraz rud żelaza i miedzi w Bułgarii. Przykłady te nie wyczerpują wszystkich przypadków współpracy.

Przewóz surowców jest bardzo kosztowny, gdyż w grę wchodzą ilości rzędu milionów ton. Z tego względu współpraca w dziedzinie surowcowej polega również na racjonalizacji transportu surowców. Przykładem inwestycji już rozpoczętej jest wielki rurociąg naftowy ze Związku Radzieckiego do Polski i NRD oraz do Węgier i ČSRS, przy pomocy któ-

rego transport ropy będzie 3—3,5 raza tańszy niż koleją. Przykładem rozwiązania, które jest jeszcze w sferze dyskusji, może być koncepcja zastąpienia części importu rudy żelaza z ZSRR do Polski przez transport surówki żelaza. Oczywiście, Polska musiałaby wtedy przyczynić się do rozbudowy radzieckiego hutnictwa żelaza.

Czasem bywa inna sytuacja. Np. przerób boksytów na aluminium wymaga wielkich ilości energii elektrycznej. Okazało się, że korzystniejszy jest transport węgierskiego boksytu do Polski, gdzie w rejonie Konina, w oparciu o tanią energię z węgla brunatnego, będzie przerabiany na aluminium, aniżeli budowy odpowiednio wielkich elektrowni na miejscu, które musiałyby pracować na importowanym węglu kamiennym.

W dziedzinie energetyki ogromne oszczędności można będzie uzyskać dzięki realizacji projektowanej już budowy wspólnego systemu energetycznego ZSRR, Polski, Czechosłowacji i Węgier. Uniknie się budowy nowych elektrowni dzięki temu, że zostaną wykorzystane różnice występujące w godzinach szczytowego zużycia energii elektrycznej.

Do tego dodajmy jeszcze współpracę naukowo-techniczną w dziedzinie oszczędności materiałowych, zastępowania rzadkich lub deficytowych metali tworzywami sztucznymi, współpracę w dziedzinie poprawy eksploatacji kopalń, postępu technicznego, wzbogacania rud — a otrzymamy, co prawda w telegraficznym skrócie, obraz wielkich przedsięwzięć zmierzających do rozwiązania wspólnymi siłami niezwykle trudnego problemu surowcowego w gospodarce krajów należących do RWPG.



Na Międzynarodowych Targach w Poznaniu dużym zainteresowaniem cieszą się samochody produkcji czechosłowackiej.

Pierwszy człowiek w Kosmosie

Historia 108 minut

Stało się to w słoneczny poranek dnia 12 kwietnia 1961 roku. Tego dnia, jak głosił komunikat TASS, w Związku Radzieckim wprowadzony został na orbitę okołoziemską pierwszy na świecie kosmiczny statek-sputnik „Wostok" z człowiekiem na pokładzie. Pilotem-kosmonautą kosmicznego statku-sputnika był obywatel Związku Socjalistycznych Republik lotnik, major Jurij Aleksiejewicz Gagarin.

Statek wyniosła na orbitę wielostopniowa rakieta kosmiczna. Po nabraniu odpowiedniej wysokości i oddzieleniu się ostatniego stopnia rakiety nośnej statek-sputnik z człowiekiem na pokładzie rozpoczął swobodny lot. Orbita statku odległa była od Ziemi w perigeum 181 km i w apogeum 327 km, okres zaś obrotu wokół Ziemi wynosił 89,1 minuty. Kąt nachylenia płaszczyzny orbity do równika wynosił 64 stopni 57 minut. Statek kosmiczny wraz z pilotem ważył 4725 kg bez ostatniego członu rakiety nośnej.

Cały świat z zapartym oddechem śledził ten lot. Na wszystkich kontynentach radio przerwało normalne audycje, nadając komunikaty o locie pierwszego człowieka w Kosmosie.

W czasie lotu z kosmonautą Gagarinem nawiązana i utrzymywana była dwustronna łączność radiowa. Krótkofalowa nadawcza aparatura pokładowa pracowała na częstotliwości 9,019 megaherza, i 20.006 megaherza a w zakresie fal ultrakrótkich na 143,625 megaherza. Oprócz tego przy pomocy systemów radiotelemetrycznego i telewizyjnego prowadzono obserwację stanu kosmonauty podczas lotu.

Jurij Gagarin doskonale zniósł okres wprowadzenia statku-sputnika na orbitę będąc w stanie przeciążenia. Znajdując się nad Ameryką Południową nadał pierwszą depeszę z Kosmosu:

„Lot odbywa się normalnie. Czuję się dobrze."

Po jakimś czasie Gagarin meldował znowu:

„Lot przebiega dobrze. Obserwuję Ziemię. Widoczność dobra ... Widzieć można wszystko. Część obszaru pokrywają kłębiste obłoki."

I jeszcze jedna depesza:

„Samopoczucie i nastrój dobre. Kontynuuję lot. Wszystko przebiega dobrze. Maszyna pracuje normalnie."

Wspaniały widok roztaczał się przed oczyma pierwszego na świecie kosmonauty. Jurij Gagarin widział bardzo ciemne niebo usiane jaskrawymi gwiazdami. Gwiazdy świeciły bardzo jasno nawet w części dziennej firmamentu nieba, chociaż jaskrawość Słońca jest tam znacznie większa niż na Ziemi. Na ojczystej planecie otulonej niebieskawą mgiełką widział kosmonauta kontury lądów i wysp, dostrzegał nawet większe miasta.

Będąc w stanie nieważkości Jurij Gagarin pracował, jadł i pił wodę. Funkcje te nie nastręczały mu trudności. Notując swe obserwacje musiał bardzo mocno trzymać notes w ręku, gdyż wypadał w różne strony. Z chwilą rozpoczęcia hamowania — opowiadał później kosmonauta — poczuł taki ciężar w nogach, że musiałem usiąść w fotelu.

Po jednokrotnym okrążeniu kuli ziemskiej, zgodnie z programem, włączony został system hamujący i kosmiczny statek z pilotem na pokładzie zaczął opuszczać się z orbity.

I wkrótce Agencja TASS mogła podać następny komunikat: „Po pomyślnym wykonaniu zaplanowanych badań i zrealizowaniu programu lotu, 12 kwietnia 1961 roku o godzinie 10,55 czasu moskiewskiego radziecki statek „Wostok" wylądował pomyślnie w wyznaczonym rejonie Związku Radzieckiego."

Po wylądowaniu Gagarin oświadczył: „Proszę zameldować partii i rządowi oraz osobiście Nikicie Siergiejewiczowi Chruszczowowi, że lądowanie odbyło się normalnie, czuję się



Jurij Gagarin otrzymuje z rąk prezydenta republiki, towarzysza Antonina Nowotnego wysokie odznaczenie państwowe.

dobrze i nie odniosłem żadnych obrażeń i kontuzji."

W sumie, wraz ze startem i lądowaniem lot trwał 1 godzinę i 48 minut. 108 minut, które wstrząsnęły światem!

Chronologia lotu przedstawia się następująco:

9,07 — start;

9,51 — włączenie automatycznego urządzenia orientacji statku-sputnika. Gdy statek wyszedł z cienia Ziemi, nakierowało go ono na Słońce;

10,15 — automatyczne urządzenie programowe wydało rozkaz przygotowania aparatury pokładowej do włączenia silnika hamującego. Statek leciał wówczas nad Afryką;

10,25 — włączony został silnik hamujący i statek-sputnik zszedł z orbity na trajektorię lądowania;

10,35 — „Wostok" zaczął wchodzić w gęste warstwy atmosfery;

10,55 — lądowanie w planowanym miejscu.

Od chwili włączenia silnika hamującego do momentu lądowania „Wostok" przeleciał około 8 tys. km w ciągu około 30 minut.

Kosmonauta mógł w razie potrzeby lub na rozkaz z Ziemi przejąć sterowanie statku, określić jego położenie i wylądować w wybranym miejscu. W kabinie statku, o wiele przestronniejszej od kabiny pilota w samolocie, Gagarin spoczywał w fotelu z urządzeniem katapultowym. W okresie nieważkości unosił się swobodnie w kabinie. W obudowie fotelu znajdowały się m. in. spadochrony, awaryjny zapas żywności i wody, urządzenia łącznościowe.

Gagarin miał na sobie specjalny skafander ochronny, który zabezpieczał go przed skutkami ewentualnego przebicia kabiny statku przez meteoryty podczas lotu w próżni kosmicznej.

Na wiadomość o pomyślnym zakończeniu lotu kosmicznego, szef rządu radzieckiego Nikita Chruszczow przesłał Gagarinowi depeszą gratulacyjną:

„... Cały naród radziecki jest zachwycony waszym chlubnym czynem, który utrwali się w pamięci na wieki jako przykład odwagi, męstwa i bohaterstwa dokonanego w imię dobra ludzkości.

Dokonany przez was lot otwiera nową kartę w historii ludzkości, podbijając Kos-



W Katowicach serdecznie i gorąco witano pierwszego kosmonautę świata.

mos i przepaja serca ludzi radzieckich wielką radością oraz dumą ze swej ojczyzny socjalistycznej.

Z całego serca gratuluję wam szczęśliwego powrotu z podróży kosmicznej na ojczystą ziemię. Ściskam was.

Do rychłego zobaczenia w Moskwie."

Z okazji wystrzelenia przez Związek Radziecki pierwszego statku kosmicznego z człowiekiem na pokładzie Komitet Centralny KPZR, prezydium Rady Najwyższej ZSRR i rząd radziecki wystąpiły z płomiennym apelem pokoju do narodów świata, który głosił m. in:

... Nam, ludziom radzieckim, budującym komunizm przypadł w udziale zaszczyt przeniknięcia po raz pierwszy w Kosmos. Pokonanie i opanowanie Kosmosu uważamy za osiągnięcie nie tylko naszego narodu lecz i całej ludzkości. Z radością oddajemy te osiągnięcia w służbę wszystkim narodom, w imię postępu, szczęścia i dobra wszystkich ludzi na Ziemi. Nasze osiągnięcia i odkrycia nie służą wojnie, lecz pokojowi i bezpieczeństwu narodów.

... W tym uroczystym dniu zwracamy się ponownie do narodów i rządów wszystkich krajów z apelem o pokój ... W. K.

JAN GADOMSKI

Śladami Gagarina

Lot pilota majora Hermana Titowa 116 dni po starcie Gagarina był właściwie dokładnym powtórzeniem lotu pierwszego kosmonauty, z tym, że kosmonauta przebywał na orbicie nie sto minut, lecz pełną dobę, niejako czekając, aż podsuną się pod jego ruchomą kabinę pola startowe zachodniej połaci ZSRR.

Spróbujmy odtworzyć przeżycia kosmonauty nr 2. A więc najpierw start. Kilka minut wycia dysz wylotowych, w których spalały się całe wagony paliwa. Ciężar ciała pilota wzrósł wtedy kilkakrotnie. Nawet podniesienie ręki wymagało dużego fizycznego wysiłku. Gdy ostatni stopień rakiety zużył swój ładunek paliwa, a zasobnik wpchnięty w kierunku równoległym do powierzchni Ziemi wszedł na orbitę okołoziemską, pilot stracił całkowicie swą wagę, by w stanie nieważkości przetrwać aż do końcowych faz lotu. Do stanu tego niebawem przywykł. Przystąpił do pracy, która polegała na kontroli urządzeń klimatyzacyjnych i utrzymaniu łączności radiowej z Ziemią. Po godzinie lotu chwycił Titow za stery. Prawdopodobnie szło tu, przy pomocy dodatkowych silniczków, o wygaszenie tak zwanego koziołkowania, które pojawia się z reguły u każdego satelity.

Pilot sam był głównym obiektem doświadczeń. A więc jadł pasty, pił smoczkiem, gimnastykował się i odpoczywał według z góry określonego programu. Przyszła też kolej na 7 godzinny sen, w czasie którego zdążył 5 razy okrążyć ziemię. Kosmonauta dysponował trzema iluminatorami. Oglądał przez niego 2 razy Księżyc, który w tym dniu musiał świecić jako wąski sierp. Lot kabiny po orbicie odbywał się oczywiście bez napędu silników, jedynie na mocy bezwładności. W kabinie panowała „kosmiczna cisza", którą — być może — przerywały jedynie dzwonki radiowych telefonów z Ziemi i szmer wielokanałowych instalacji telemetrycznych, przekazujących wyniki pomiarów parametrów medycznych. Dla skompletowania badań pilot był pod obserwacją kamery telewizyjnej, która posyłała jego obrazy do stacji odbiorczej.

Na pokładzie dzień i noc zmieniały się szybko. Tamtejsza doba była krótsza. Liczyła 88 minut. Gdyby pilot nie był zaabsorbowany obsługą aparatury i rozmową z Ziemią, mógłby zaobserwować w czasie swej podróży aż 17 wschodów i tyleż zachodów Słońca. Zjawiska te odbywały się tam błyskawicznie, trwając około 10 sekund każda.



Drugi kosmonauta radziecki, Herman Stiepanowicz Titow.

A teraz lądowanie. Tor zejścia z orbity miał zapewnie, jak u Gagarina, około 6000 km długości. Zaczynał się nad północną Afryką. Przed opuszczeniem orbity Titow ponownie ujął stery, orientując zasobnik, gdyż należało go teraz skierować skośnie ku Ziemi, by potem uruchomić silniki hamujące w kierunku przeciwnym dotychczasowego ruchu. A było co hamować, gdyż prędkość orbitalna wynosiła prawie 8 km/sek. Zasobnik wchodząc w gęstsze warstwy atmosfery miał prędkość jeszcze czterokrotnie większą od pocisku artyleryjskiego. Teraz rolę hamulca przejęła atmosfera, powodując na skutek cerza zasobnika. Pilot tarcia żarzenie się panwyrzucony katapultą znalazł się w skafandrze kosmicznym w powietrzu na spadochronach. Osiadł bez szwanku na Ziemi.

Próba trwającego ponad dobę pobytu człowieka w orbicie zakończyła się pomyślnie. Pozwala wnosić, że organizm ludzki może funkcjonować przez dłuższe okresy w stanie nieważkości. Należy wiąć pod uwagę, że stan taki jest normalny we wnętrzu wszelkich pojazdów kosmicznych, które lwią część swej trasy będą przebywać ruchem bezwładnym z wyłączonymi silnikami.

Czego możemy oczekiwać w tej dziedzinie w najbliższej przyszłości? Nastąpią zapewne kilkudniowe rejsy wokół ziemi, zakończone lądowaniem. Będą sięgać coraz wyżej, wychodząc z górnych warstw atmosfery poprzez którą wiodły dotychczas ich trasy. Potem pojawi się w kabinie drugi człowiek, który będzie zapewnie astronomem i wolny od kłopotu pilotażu dokona wielu interesujących obserwacji.

Nawiązując do ostatnich osiągnięć kosmonautyki można przypuszczać, że w najbliższych latach człowiek opanuje w pełni okołoziemską przestrzeń kosmiczną. Wyprawy na Księżyc i Planety też nie wydają się zbyt odległe w czasie.

Rok wielkiej ofensywy na wsi

Każdy dobry gospodarz bilansuje pod koniec roku wyniki swej całorocznej pracy. Również nasze socjalistyczne rolnictwo przeprowadza ocenę wyników, osiągniętych w pierwszym roku trzeciej pięciolatki. Rok 1961 był dla całego rolnictwa rokiem przełomowym i decydującym, tymbardziej, że spółdzielcy i pracownicy PGR, jak również i pracownicy innych przedsiębiorstw, związanych w jakikolwiek sposób z rolnictwem, zobowiązali się wykonać zadania 3 PL w rolnictwie nie w ciągu pięciu lat, ale czterech. Chodzi przecież o to, aby nasze rolnictwo wyzbyło się czym prędzej starych tradycji w uprawie i hodowli i zaprowadziło najnowocześniejsze i najpostępowsze metody w produkcji roślinnej i zwierzęcej i w ten sposób stanęło na wysokości poziomu produkcji przemysłowej i stało się równorzędnym partnerem naszego wspaniale rozwiniętego przemysłu. Dlatego właśnie rok ubiegły był rokiem decydującym, bo był startem do tego etapu. A jak było? Czy możemy być zadowoleni?

Śmiało możemy powiedzieć, że pracownicy w rolnictwie — spółdzielcy i pracownicy PGR, jak również przemysł produkujący maszyny i narzędzia rolnicze oraz pracownicy naukowi na odcinku rolniczym, wywiązali się ze swych zadań dobrze.

Spółdzielcy, aż na nieliczne wyjątki, już na samym początku roku, w pierwszych swych pracach dotrzymywali terminy agrotechniczne w czasie wiosennych zasiewów, dobrze uprawiali glebę pod kukurydzę, która odniosła zdecydowane zwycięstwo na polach, ziemniaki czy nasze białe złoto, jak nazywamy potocznie burak cukrowy. Potem były sianokosy, które dzięki dobrej organizacji pracy ukończono dość szybko. Nie trzeba się w tym roku obawiać, tak jak w roku ubiegłym, że nie będzie co włożyć krowom do żłoba; nie będzie trzeba przekonywać dojarek, aby przygotowywały zakwasy i poiły krowy ciepłą wodą, gdyż to zadomowiło się już w naszych oborach na dobrze.

Najwięcej przyjemności, po całorocznych trudach ma spółdzielca w chwili, kiedy znosi złote ziarno na sypki. I tak też było. Będą bielusieńkie kołacze i smaczny chleb a jeszcze pozostanie ziarno do żłobu dla bydła.

Będzie dość słodkiego cukru a z chmielu dla piwoszy piwa, dla winiarzy wina. Będzie dość mleka, bo dla krów jest dość paszy. Usuwa się też powoli niedociągnięcia w produkcji mięsa wieprzowego. Tego problemu nie da się załatwić na poczekaniu, bo trzeba uzupełnić stada macior i powiększyć produkcję osesków. No cóż? Nasz apetyt na mięso jest olbrzymi. Zjadamy niezliczone kilogramy mięsa a zapominamy, że może się z nas stać przetłuszczony naród. Zapominamy, że zdrowsze są jarzyny i owoce.

Ludowe przepowiednie pogody

Nim się narodziły różne instytucje meteorologiczne przewidujące pogodę na czas najbliższy, nasz lud od lat próbował przewidywać ją z większym lub mniejszym powodzeniem.

Ludowe przepowiednie meteorologiczne oparte są na obserwacji zjawisk atmosferycznych lub spostrzeżeniach z zakresu świata zwierzęcego i roślinnego. Część przepowiedni przywiązana jest do różnych świąt i miesięcy. Mieszczuchy bardzo często pokpiwają sobie z tych proroków, którzy w swych przepowiedniach są zresztą niczym Pytia delficka przeostrożni. Zapytany o pogodę góral zakopiański, patrząc w niebo, odpowiada np.: „Jak nie będzie deszczu to będzie pogoda." Przytaczamy tu parę przepowiedni różnego rodzaju.

1. Jeśli księżyc we mgle, na trzeci dzień — deszcz.

2. Jeśli mgła rano opada, będzie dzień ten pogodny, jeśli zaś idzie w górę — będzie deszcz.

3. Jeśli dym rozchodzi się po dachach — będzie deszcz.

4. Jeśli woda szumi w górze, będzie pogoda na drugi dzień.

5. Jeżeli w czasie deszczu tworzą się bańki na wodzie — słota potrwa długo.

6. W zimie niebo pogodne w nocy zapowiada silny mróz.

7. Jeżeli kury idą wcześnie spać — będzie pogoda, a jeśli późno wieczór — deszcz na drugi dzień.

8. Jeżeli wrony z krzykiem lecą na noc w las — wróży to koniec słoty, a jeżeli siadają nad wodą, będzie deszcz.



9. Jeśli gęsi się kąpią, będzie deszcz.

10. Jeżeli sól wilgotnieje — będzie deszcz.

11. Jeżeli w zimie gęsi stoją na jednej nodze — będzie mróz.

12. Jeżeli pszczoły wylatują w pole na robotę — będzie ładna pogoda.

13. Święty Józef (19 marca) kiwnie brodą — pójdzie zima na dół wodą.

14. Od świętej Hanki (26 lipca) zimne wieczory i ranki.

15. Jak św. Marcin (11 listopad) na białym koniu przyjedzie, zima będzie ostra.

16. Barburka po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.

17. Na św. Józefa (19 marca) pogoda — będzie w polu uroda.

18. Jeśli po długiej słocie pokaże się na niebie tęcza — będzie pogoda.

* * *

WILHELM PRZECZEK

Śpiewne barwy

Las zabrzmiał barw gamą,
Zrobiło mi się ckno.
Przecież już kiedyś było tak samo:
Kolorowy głos — muzyczne tło.

Jeśli spojrzymy wstecz, jeśli przypomnimy sobie gorące lato i przywołamy w naszej wyobraźni chwile, kiedy na polach wrzała praca, to wyłonią się nam niezliczone ilości maszyn rolniczych, które pracowały za dziesiątki, setki i tysiące ludzi. Zniknął z pól śpiew żniwiarzy a zastąpił je warkot traktoru i kombajnu. Tylko wierny rolnikowi skowronek dzwonił swoje trele pochwalne nad mądrością ludzką, która stworzyła te doskonałe maszyny.

Częściej też zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego spółdzielcy i pracownicy PGR skosili łany zbóż i potem je pozostawili suszyć niby siano, a dopiero za dwa dni przyjeżdżała któraś z maszyn — kombajn lub sieczkarka — i zbiera suchy pokos. To był oczywiście nowy sposób sprzętu, tak zwany sprzęt dwu lub trzyfazowy. Nowa technologia zdobyła sobie na naszych polach prawo bytu i będzie się nadal rozwijać, aby jeszcze bardziej ulepszyć pracę, aby jeszcze bardziej usunąć harówkę spółdzielcy i pracownika PGR. Podobnie było i w czasie sianokosów. W niektórych przedsiębiorstwach rolnych były sianokosy całkowicie zmechanizowane. Trawy koszono przy pomocy maszyny, przewracano i suszono a wreszcie i zbierano do wielkopojemnych wozów, z których znów mechanicznie wyładowywano siano do stodół i kolni. W stodołach wmontowano tysiące wentylatorów do dosuszania siana. Wszyscy przekonali się już o wygodach wentylatorów i dlatego nic dziwnego, że w każdym niemal przedsiębiorstwie rolnym będzie ich po kilka. Tym bardziej u nas w rejonie Beskidów, gdzie deszcze są na dziennym porządku Dzisiaj nie trzeba się już obawiać niesprzyjających warunków atmosferycznych. A w przyszłości na pewno doczekamy się jeszcze wielu, bardzo wielu niespodzianek, które pomogą spółdzielcom ujarzmić naturę i ułatwić im życie.

Jeśli jeszcze zlustrujemy teren, to zobaczymy, że wyrosły dziesiątki nowych obiektów gospodarczych. Wybudowano nowoczesne olbrzymie obory, w których krowy lepiej się mają, niż często przed wojną ludzie się mieli. Obory są widne, obszerne, przewiewne i co najważniejsze — cala praca w oborze jest stuprocentowo zmechanizowana. W oborach na 174 sztuk krów, które widoczne są już z daleka, poruszają się swobodnie traktory z paszą a usuwanie obornika nie jest już pracą ponad siły.

Nawet maciory mają swoje czyste i widne pomieszczenia, swoje kojce i wszystko co potrzebne jest do nowoczesnej hodowli trzody chlewnej. Powstały też olbrzymie fabryki jaj i mięsa białego, które zapewniają nam świeże jaja na śniadanie czy kolację.

Niezmiernie pocieszającym jest fakt, że nasi pracownicy w rolnictwie nieustannie dokształcają się, zdobywając stale nowe wiadomości teoretyczne, które później wprowadzają do swej praktyki. Każdy, kto więcej zna i wie, ten potrafi być mistrzem swego zawodu. I na tym odcinku zanotować można poważne sukcesy. W przeważającej większości przykładem dla tysięcy pracowników byli członkowie brygad ubiegających się o tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej. Ci ludzie, którzy nie tylko socjalistycznie pracują na swoim odcinku pracy, tak samo zasadę tę stosują w swym życiu. Ruch brygad stał się masowym i w naszym rolnictwie. Może już niedługo a będziemy świadkami szlachetnego współzawodnictwa Brygad Pracy Socjalistycznej w rolnictwie z Brygadami Pracy Socjalistycznej w zakładach przymysłowych. Już nie długo a będziemy dumni z całego naszego rolnictwa i jego wyników gospodarczych.

WŁADYSŁAWA KRUMNIKLOWA



WŁADYSŁAW SIKORA

Oczy

— To powiesz coś wreszcie? Siedzisz tak godzinę i patrzysz... Tymi oczami...

Chodził znowu od stołu do szafy i z powrotem. Dotykał długimi palcami czoła, lecz wcale go nie odczuwał. Denerwowały go te kosmiczne, próżniowe dotyki. Przecież nie zgubił w drodze czoła.

Spojrzał. Zamiast żony siedziały na sofie tylko wpatrzone oczy i splecione w węzeł dłonie. Te dłonie powiększały jeszcze jej ciężarny brzuch. Zagryzł wargi. Nie odczuwał oddalonego czoła.

Plątały mu się w drodze nogi, lecz myśl przecież pozostała. Kołysała się tylko na jakichś cieniutkich, dzwoniących nitkach. Co to, nic właściwie się nie stało. No, wypił!...

Spojrzał znowu: — patrzące oczy, patrzące dłonie, patrzący brzuch... Patrzący...!!!

— Nic nie powiesz... To rycz... Lecz nie patrz już.

Pamięta skądś takie oczy. Już wie... To kiedy umarła jej matka. Z rozwartymi oczami... Te oczy patrzyły tak, jak patrzy szkło...

Zatrzymał się. Patrzyła jak zaczęła patrzeć przed godziną... Tylko coraz bardziej zwierała ciężarny brzuch.

Wtem zwinęła się od bólu, jej oczy zgasły, zapatrzyły się w siebie i nie tylko zapatrzyły; — zasłuchały się w siebie. Opadła na sofę i bardzo cicho, bardzo cicho powiedziała tym głosem co dawniej: — Zadzwoń po lekarza...

WANDA BERGER

Rezygnacja

Przyjdzie czas
zaszeleści
atlasem smutku.
Stanie w drzwiach
bezbarwna chwila,
zegar goryczy
wybija jej imię.
Wtedy nie widać
w zwierciadle uczuć
promieni wiosny.
Wiatr suchą gałązkę
rzuca w me okno —
spalam ją żarem
obojętności.

WILHELM PRZECZEK

Obawa

Słońce — oko rozgarniętej
wiosny,
Złote bezkresem promieni.
Chciałbym zasnąć w cieniu
sosny,
Zapomnieć o jesieni.

DANIEL KADŁUBIEC

Przekrój rozwoju *powojennej polonistyki czechosłowackiej*

Po roku 1945 w nowych warunkach naszego ustroju z ogromnym rozmachem rozwija się nauka, kultura i sztuka. Nowy, wyższy poziom osiąga studium filologii słowiańskiej, wśród której przodującą rolę zdobywa m. in. i polonistyka. W okresie międzywojennym głównym ośrodkiem polonistyki była Praga, gdzie katedrę języka literatury polskiej objął w r. 1923 prof. Dr Marian Szyjkowski a po nim doskonały polonista prof. Dr Karol Krejčí. Po roku 1945 Praga nie była już jedynym ośrodkiem polonistyki. Nauka ta zaczęła się również rozwijać na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu J. E. Purkyně w Bernie i na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. Interesują się nią członkowie Instytutu Śląskiego w Opawie, jak również pracownicy Instytutu Słowiańskiego w Pradze. Naukowcy czechosłowaccy opublikowali sporo wartościowych prac z tego zakresu. Chociaż nie można tu wymienić wszystkich, warto podać choćby następujące:

Prof. Dr Ant. Dostál: „Rozwój dealu w językach słowiańskich, zwłaszcza w języku polskim."

Prof. Dr. K. Horálek: „Wstęp do studium języków słowiańskich."

Prof. Dr B. Hála: „Fonetyka języka polskiego."

Z młodych pracowników należy przede wszystkim wymienić Dr. Bartoša, doc. J. Bauera, Dr. Beštę, Dr. L. Řeháčka, mgr. J. Petra, Dr. J. Korzennego, Dr. Damborskiego itd.

Autorem rzetelnej monografii: „Zaimek ‚każdy' w historii i dialektach języka polskiego" jest absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jan Petr. Obecnie ukończył on swoją dysertację na temat: „Rozwój adjektyw w języku polskim."

Również i poloniści ołomunieccy wykonali sporo na polu pedagogicznym i naukowym. Praca ich jest związana przeważnie z problematyką Cieszyńskiego. Np. B. Têma opublikował interesującą pracę o wpływie dialektu na język polski studentów polskich z Cieszyńskiego. Najlepsze prace z zakresu języka polskiego są dziełem niedawno zmarłej lektorki języka polskiego na Uniwer-

1 Maj w Ostrawie
→


MAJ
ZDRAVÍME 1 MÁJ SVÁTEK PRACUJÍCÍCH CELÉHO SVĚTA

Gdy pogoda odzywa się w kościach

Istnieje specjalny rodzaj zaburzeń w ludzkim organizmie związanych ściśle ze stanem pogody. Każdy z nas doświadcza tego samego. Podczas pogodnego dnia czujemy się rzeźko, humor dopisuje, natomiast w czasie zdecydowanej niepogody, gdy gruba pokrywa chmur przytłacza niejako do ziemi wszystko, co żyje, czujemy się nieszczególnie, chociaż jesteśmy poza tym zupełnie zdrowi.

W większym stopniu odczuwają różnice pogody ludzie chorzy. Szeroko znane są „łamania w kościach", zawroty głowy, brak tchu, bicie serca, nerwowość wśród zakopiańskich kuracjuszy gdy zawieje halniak zza Giewontu. A halniak to właśnie nagła zmiana pogody z całym splotem wynikających stąd komplikacji w samopoczuciu.

Z drugiej strony istnieje wielu przeczulonych, którzy chętnie zwalają kiepskie samopoczucie, na pogodę, a to nie zawsze zgadza się z prawdziwym stanem rzeczy. Nie zawsze pogoda jest winna, chociaż zaprzeczyć się nie da, że stanowi czynnik ważny przy pewnych dolegliwościach, przy których występują wyżej przytoczone nieprzyjemne objawy.

Statystyki wypadków drogowych również dają wiele do myślenia. Ilość wypadków wzrasta przy złej pogodzie, nawet jeśli wyłączymy z rozważań wypadki na skutek gołoledzi, mgły czy też innych zewnętrznych przyczyn. Istotna przyczyna, zewnętrzna, leży w kiepskim samopoczuciu kierowców, którzy łatwiej popełniają błędy w prowadzeniu wozu.

sytecie Karola, Dr. Izy Šaunowej. Bardzo przydatną i praktyczną okazała się jej „Gramatyka języka polskiego", którą napisała wraz z prof. Dr. Tad. Lehr-Spławińskim. Wynikiem jej długotrwałej i niezmordowanej pracy jest podręcznik „Język polski" (1958), który w 38 lekcjach zaznajamia nas nie tylko z gramatyką lecz i konwersacją.

Nauczyciel K. Krejčí-ego prof. Dr M. Szyjkowski (1833—1952) dokończył w r. 1946 trzecią część swojego największego dzieła „Polská účast v českém národním obrození". Zastanawia się tutaj nad wpływem romantyzmu polskiego na poezję K. H. Mácha, K. Sabiny, K. J. Erbena itd. Polskim podsumowaniem tego dzieła jest „Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym".

Prawdziwym fundamentem powojennej polonistyki czechosłowackiej jest całokształt pracy prof. Dr. K. Krejčího. Jest on autorem monografii „Bartłomiej Paprocki". W pracy tej poddaje szczegółowej analizie dzieło polskiego pisarza z 16. wieku. W monografii „Juliusz Słowacki, polski poeta-rewolucjonista" autor interpretuje w twórczy i odkrywczy sposób okres mistycznej twórczości Słowackiego.

Wszystkie wyżej wymienione prace były przygotowaniem do największego i najcenniejszego dzieła czeskiego polonisty: „Historii literatury polskiej", przetłumaczonej na język niemiecki (Geschichte der polnischen Literatur, Halle 1958). Jest to pierwsza próba marksistowskiej syntezy tysiącletniego rozwoju literatury polskiej. Autor opiera się w niektórych partiach „Historii" o tradycyjne osiągnięcia nauki polskiej, ale partie o reformacji, o literaturze plebejskiej, o sentymentalizmie i preromantyzmie są niezwykle cenne ze względu na nowatorskie podejście do tego problemu. Recenzenci podkreślają przede wszystkim paralele z literaturą czeską, światową i głębokość analizy naukowej. Za dotychczasową pracę prof. Krejčí otrzymał wysokie odznaczenie PRL: Krzyż Komandorski z gwiazdą orderu Odrodzenia Polski (1955), Krzyż oficerski orderu Odrodzenia Polski (1948).

Następcą prof. Dr. K. Krejčího na polonistyce praskiej jest Dr O. Bartoš, który z niezwykłą ofiarnością poświęca się swojej pracy. O jego wysiłku świadczy wiele monografii, artykułów itd. Bardzo cenna jest jego praca pedagogiczna — wychował już dużo polonistów, wszczepiając im nie tylko tajniki wiedzy, ale i miłości do narodu i kultury polskiej.

A oto niektóre z jego publikacji: „Adam Mickiewicz", „Wstęp do historii i kultury Polski", „Adam Mickiewicz — poeta romantyzmu rewolucyjnego", „Droga twórczości J. Andrzejewskiego", „A. Černý — szerzyciel wzajemności czesko-polskiej". Tutaj autor na podstawie studium materiału archiwalnego, korespondencji i czasopism podaje całokształt czesko-polskich stosunków kulturalnych na przestrzeni ostatniego stulecia.

Czesko-polskimi stosunkami kulturalnymi w okresie pozytywizmu interesują się Dr J. Korzenny i Jerzy Bečka. Ołomuniecki polonista J. Korzenny poświęca się przede

wszystkim recenzjom dramatu polskiego w Czechach. Z tej dziedziny opublikował szereg prac np. „Komedie Fredry na scenach czeskich 1849—1883", „Polski dramat w Czechach w okresie Teatru Tymczasowego". Tematem jego pracy dysertacyjnej jest „Michał Bałucki w Czechach".

Ograniczone możliwości publikacyjne są powodem tego, że dużo polonistycznych prac naukowych nie poszło do druku. Należy tutaj wymienić pracę K. Oliwy o tłumaczeniach „Dziadów" Mickiewicza. L. Jiránkowej o stosunku A. Staška do Polski, D. Kadłubca o charakterze bajek śląskich itd.

Poloniści czescy mają ogromne zasługi w dziedzinie tłumaczeń z polskiego, co udostępniło czytelnikom czeskim przeszło 220 dzieł z beletrystyki polskiej. Niemal połowa tłumaczeń jest dziełem młodych absolwentów powojennej polonistyki: Dr. Vlasty Dvořáčkovej, Dr. Hany Jechowej, Dr. Anetty Balajkowej, Ericha Sojki itd.

Czesko-polskie stosunki są także przedmiotem badań Instytutu Śląskiego w Opawie, który ściśle współpracuje z katowickim Śląskim Instytutem Naukowym i Instytutem Śląskim w Opolu.

Z tego zwięzłego przekroju powojennej polonistyki czeskiej wynika, że jest ona domeną młodych naukowców, którzy pod kierownictwem doświadczonych pracowników na czele z prof. Krejčím mogą dużo wykonać na polu polskiego języka i literatury oraz stosunków czesko-polskich.

VILÉM ZÁVADA

Południe w żniwa

Białe słońce płonie, płonie
na południa nieboskłonie
W białym świetle złote łany
ognistymi płoną źdźbłami
kłosy iskier rozpryśnięte
Domy w dymie rozpłynięte
Pod lecącym choć skowronkiem
móc się skulić w cień przed słonkiem

Światłem jasnym światłem czystym
lśnię i znikam przeźroczysty
w strasznym blasku żniw
W dostojeństwie tkliwej chwały
białych księżych pluwiałów
w grzmieniu wód i graniu cykad
śpiewa ziemia Magnificat

Przełożył z czeskiego ALEKSANDER WIDERA

W niektórych krajach mówi się już o wprowadzeniu meteorologicznej służby ostrzegawczej. Dla szpitali, gdy grozi pogorszenie się stanu pogody: zaostrzyć dietę! Dla kierowców, maszynistów i innych: zaostrzyć uwagę i jeszcze ostrożniej prowadzić swoją maszynę!

DR. JAN GADOMSKI

Sąsiedzki znak

Pięć miliardów lat temu z ciemnej mgławicy pyłowo-gazowej powstała karłowata gwiazda, zwana Słońcem. Planety wyroiły się nieco później, a wreszcie przyszła kolej na księżyce. Wówczas rozpoczął się etap tworzenia atmosfer. Tworzywa dostarczały gazy, wydobywające się z krzepnących skorup. Pierwotnie wszystkie planety i księżyce posiadały tę ochronną warstwę, ale mniejsze globy nie potrafiły jej utrzymać. W rezultacie stan posiadania atmosfer ograniczył się w naszym układzie planetarnym do 8 planet i tylko jednego księżyca. Jest nim Tytan, największy księżyc Saturna, niewiele mniejszy od Merkurego.

W kolejce do Słońca

Pod wpływem krótkofalowego promieniowania Słońca rozpoczęła się chemiczna przeróbka atmosfer, przede wszystkim planet bliskich Słońca. Para wodna ulegała rozkładowi, przy czym lżejszy wodór uchodził w przestrzeń, a cięższy tlen nasycał atmosferę. Jeśli idzie o Ziemię, to proces ten trwa już około dwóch i pół miliarda lat. Tlen stanowi dziś 21 procent składu naszej atmosfery.

Ostatni miliard lat w historii naszej planety, to powolna ewolucja na niej życia, którego etapem jest człowiek. Dlatego pojawił się on dopiero 600.000 lat temu, lecz mimo to zdążył opanować planetę. Mało tego! Swój bezpośredni zasięg zamierza rozszerzyć na Księżyc i bliższe planety.

Co go tam czeka? Na najbliższej Słońca planecie, Merkurym, natrafi na skalistą, jałowatą, pozbawioną atmosfery pustynię. Merkury był ongiś normalną planetą, tj. wirował szybko dokoła osi. Średnia temperatura jego powierzchni, ze względu na 7 razy większe zbliżenie do Słońca, aniżeli Ziemia, była wówczas wysoka: 170° C. W takich warunkach, przy nikłej sile ciężkości (39% ziemskiej) atmosfera tej planety uszła w przestrzeń.

Trwale, choć bardzo powoli, działały na Merkurego tzw. siły przypływowe bliskiego Słońca, analogicznie do podobnych sił Ziemi, wywieranych na Księżyc. Części globu merkurowego bliższe Słońca były silniej przez Słońce przyciągane, aniżeli dalsze, ta różnica przyciągania działała jak niewidzialny hamulec. Wskutek tego obrót planety dokoła osi stawał się coraz wolniejszy, by wreszcie zrównać się z okresem obiegu planety dokoła Słońca (88 dni ziemskich). Jakie stąd konsekwencje?

Planeta zwraca stale ku Słońcu jedną i tę samą półkulę, która z tego powodu jest oczywiście „przegrzana", zwłaszcza w okolicach podsłonecznych, gdzie osiąga średnio temperaturę -- 350° C. W takiej temperaturze topią się: cyna i ołów. Na drugiej połaci merkurowego globu, która nigdy nie widzi Słońca, sroży się natomiast mróz bliski absolutnego zera (273° Cel.). Jeżeli Merkury miał kiedyś swój księżyc, to zakłócenia jego ruchu, spowodowane przez potężne siły grawitacyjne bliskiego Słoń-

O ziołach, ziółkach i historii

Drogę pokazał... hipopotam

Historia stosowania ziół jako środków leczniczych jest stara, jak ludzkość. Często sam człowiek pierwotny trafia na jakieś pomocne mu w chorobie ziele, czasem wskazywały mu je szukające naturalnych leków zwierzęta. Otóż zdaniem pisarza rzymskiego Pliniusza, hipopotamy szukały miejsc, gdzie była ścięta lub połamana trzcina, a natrafiwszy na wystający ostry jej koniec przykładały doń nogę i otwierały żyłę puszczając z niej krew. Tym sposobem grube hipopatamy miały nauczyć ludzi zabiegu upustu krwi.

Ile jest prawdy w owym przykładzie trudno dziś dociec. Pewne jest natomiast, że i teraz zwierzęta czy ptaki swymi specjalnymi aperytami zwracają nam uwagę na różne niepozorne roślinki. Nikły, rosnący przy drodze pięciornik gęsi — ulubiony specjał białych stad — jest doskonałym lekiem przeciwbólowym i w schorzeniach przewodu pokarmowego. Inny znów przysmak kur, gęsi i kaczek — rdest ptasi — działa regulująco na przemianę materii.

Narkozy już w średniowieczu

Gdy w wiekach średnich rozwój medycyny został zahamowany i pseudolekarze bardziej zajmowali się szykowaniem wymyślnych trucizn lub napojów miłosnych, niż ratowaniem ludzkiego życia — myśl naukową i inicjatywę przejęli Arabowie. Lekarze i aptekarze arabscy wprowadzili do lecznictwa wielką ilość ziół, tworząc z nich różne kompozycje i mieszanki. Ogółem sklasyfikowali i zbadali około 1400 środków leczniczych.

Prawdziwą sensacją medycyny arabskiej była prosta i skuteczna narkoza. Gąbki przepajano specjalną mieszaniną wyciągów z korzenia mandragory lub z maku (opium) i następnie gąbki te wysuszano. Gdy pacjent był już zupełnie przygotowany do zabiegu operacyjnego wkładano je do wrzącej wody. Gorące pary, przepojone środkami oszałamiającymi, pogrążały chorego w narkotyczny sen.

Uniwersalna szałwia

,,Szałwija wzmacnia nerwy i rąk leczy drżenie,
Febrę silną przemaga, ciała bezwładnienie.
Z pierwiosnkami, lawendą i bobrowym strojem
I rzeżuchą, obdarza zdrowiem i spokojem.
Za tak przeważną, znaczną przysługę i wielką
Szałwiję zwać poczęto słusznie zbawicielką."



Zamiłowanie w własnym zawodzie, dobre samopoczucie, to warunek zdrowia. Mógłby o tym coś powiedzieć Michał Sawa z Sosnowca, który 43 lata przepracował w kopalni. 87 letni górnik emeryt jest weteranem rewolucji 1905 roku, powstań śląskich. Na spacer wyrusza na skuterze . . .

Tak o znanej nam wszystkim szałwii przeczytać można w łacińskim dziele pt. „O zachowaniu zdrowia". Choć i w zacytowanym wierszyku i w późniejszym przysłowiu, że „śmierć tego nie ubodzie, u kogo szałwia w ogrodzie" jest lekka przesada, jednak to silnie pachnące ziele posiada rzeczywiście poważne właściwości lecznicze. Szałwię stosuje się w wielu schorzeniach jako napój, płukanie, okłady, a nawet w przypadkach astmy jako wonny dym.

Na tym jednak nie kończy się zastosowanie tej uniwersalnej rośliny. Doskonałą, a mało znaną u nas przyprawą są liście szałwii, które we Francji używa się do potraw

ca, strąciły go już dawno na macierzystą planetę.

Podobny los musiał spotkać również ewentualny księżyc sąsiedniej planety Wenus. I on został zrzucony na Wenus przez Słońce, które nie znosi by tuż pod jego bokiem bawiły się w samodzielność mizerne planety.

Wobec „silnych" słoneczny władca idzie na kompromis

W wypadku masywnego Jowisza, Słońce musi się nawet zgodzić na pewnego rodzaju kompromis. I tak np. kilkanaście małych planetek, tzw. trojańskich, okrąża Słońce w tym samym czasie, w tej samej odległości od Słońca i w tej samej płaszczyźnie, co Jowisz, który pozostawiał je na swej orbicie w pobliżu wierzchołków dwóch trójkątów równobocznych, jakie można wykreślić na linii prostej: Słońce — Jowisz. Planetki stanowią w rezultacie jakby awangardę i ariergardę tej potężnej planety o masie 2,5 raza większej, niż suma mas reszty planet.

Na Wenus — żar i wulkany

Planetę Wenus otaczają gęste obłoki, których optycznie przeniknąć niepodobna. Na podstawie obliczeń możemy założyć, że średnia roczna temperatura jej powierzchni sięga prawie -- 60° Cel. W południe w tamtejszych tropikach dochodzi na krótko do żaru: -- 190° C. W tych warunkach życie organiczne, jeżeli istnieje na tej planecie tak hojnie obdarzonej ciepłem słonecznym, chroni się w okolice podbiegunowe, gdzie temperatury są umiarkowane. Głównym składnikiem atmosfery zdaje się być kwas węglowy. Przyrody powierzchni planety nie znamy. Jest prawdopodobne, że na Wenus znajdują się czynne wulkany. Wskazuje na to odbiór radiowych „sygnałów" planety, których źród-

łem są zapewne potężne wyładowania elektryczne, towarzyszące wybuchom tamtejszych wulkanów. One to mogą być źródłem radioemisji.

Mars — skromna oaza życia

A jak jest na Marsie? Atmosfera marsyjska również wykazuje pewną nadwyżkę termiczną. Pomiary radiometryczne przez teleskopy średniej rocznej temperatury powierzchni planety dają: — 35 stopni C (jak na Antarktydzie), zamiast teoretycznie obliczonej — 48° C. Atmosfera marsyjska zawiera tylko 17 proc. tej ilości tlenu i 3 proc. pary wodnej, jakie spotykamy w atmosferze ziemskiej. W tych skromnych warunkach tylko sezonowo płoży się w tamtejszych dolinach, zwanych „morzami", subpolarna roślinność, wśród której — być może — uwijają się owady odporne na niską temperaturę i niskie ciśnienie (85 milibarów). Faktem jest, że na Marsie wykryto obecność chlorofilu, charakterystycznego dla roślin. Dokonał tego w roku 1956 W. N. Sinton, analizując przy pomocy spektografu i 5-metrowego teleskopu podczerwone promieniowanie „mórz" Marsa. Zatem planeta ta jest skromną oazą życia, rzuconą na zewnętrzne krańce ekosfery.

Inne planety, to globy wymrożone

Na dalszych, jeszcze bardziej odległych od Słońca planetach panuje stale ostry mróz. I tak: na powierzchni Jowisza, a właściwie w górnych warstwach jego atmosfer, pomiary radiometryczne wykazują — 140° C, na Saturnie: — 150° C, na Uranie: — 180° C a na Neptunie i Plutonie: poniżej — 200 stopni C. A więc wszystkie te planety, to globy wymrożone. Pogrążone w obłokach swych potężnych atmosfer,

rybnych. Szałwia dodawana do mięsa nadaje mu smak dziczyzny.

Czosnek . . . bez zapachu

O tym, że czosnek jest jedną z najzdrowszych roślin, wiemy dobrze. Właściwości lecznicze czosnku wykorzystywane były już w starożytności. Na przykład Egipcjanie podawali go dla ochrony przed chorobami robotnikom zatrudnionym przy budowie piramid. Arabowie stosowali go do leczenia ran i owrzodzeń. Na Wschodzie używano również czosnku jako leku przeciw niemocy płciowej i przypisywano mu własności przedłużania życia.

Stosujemy czosnek po dziś dzień czy to jako lekarstwo, czy też w postaci przypraw do wielu potraw. Charakterystyczny zapach cebulek odstrasza wiele gospodyń od stałego (tak, jak w południowo-wschodniej Europie) używania tej niezmiernie zdrowej rośliny. Dla tych, którzy jednak chcą poddać się kuracji czosnkowej — ważne szczególnie przy miażdżycy, gdyż wpływa na obniżenie ciśnienia krwi — warto podać sposób zabicia specyficznego zapachu. Otóż charakterystyczną woń tłumi się dodaniem do pokrojonych ząbków świeżej pietruszki lub selera.

OLB.

Wanda Pribulowa

PRZEOBRAŻENIE

Położyć ciebie
na czarnej pięciolinii
zrodzisz
preludium a-moll
zatrzepoczesz muzyką
nad fortepianem
przeobrazisz się
w różę
uwitą z pierwszej
radości dnia.

nie dopuszczają zwiadu teleskopów ziemskich.

Należy przypuszczać, że te upośledzone globy, choć tak potężnych rozmiarów, dojdą jednak do głosu. Nastąpi to wówczas, gdy ekosfera słoneczna — jak przewidują obliczenia — nasunie się na te planety. Stanie się to po upływie 2—3 miliardów lat, a wtedy powtórzy się tam historia rozwoju życia na Ziemi.

JANINA BRZOSTOWSKA

Emil Zegadłowicz

Szkic wspomnieniowy

W lutym ub. roku upłynęło dwadzieścia lat od śmierci Emila Zegadłowicza, jednego z najwybitniejszych poetów polskich międzywojennego dwudziestolecia. Urodzony w Bielsku, mieszkający w okolicy szczególnie malowniczej, w Gorzeniu pod Wadowicami, w twórczości swej nieustannie wracał do motywów związanych z życiem ludu tych stron Beskidu Zachodniego, i ludowi poświęcił większą część swych utworów poetyckich.

Być może na jego stosunku do najbliższych sąsiadów, mieszkańców okolicznych wiosek, zaważył wpływ ojca, nauczyciela gimnazjum wadowickiego, który gospodarząc na stare lata na małym skrawku ziemi tak był z nimi zżyty, że nie było dnia, aby go nie odwiedzali, aby im nie usłużył radą w zakresie sadownictwa czy gospodarki, aby z nimi nie porozmawiał na zawsze interesujące tematy polityczne czy społeczne.

Z ojca przeszła przyjaźń na syna, i Zegadłowicz miał tu wielu bliskich ludzi, z którymi znał się od lat wczesnej młodości. Nic dziwnego, że jego wiersze liryczne, a więc te, w których poeta najdobitniej wyraża siebie i swój stosunek do świata, pełne są tematów ogólnoludzkich, głęboko i ciekawie ujętych, a przy tym zawsze niemal wpisanych do krąg przeżyć beskidzkich „powsinogów", czy siedzących na kamienistych, rozdrobnionych gruntach beskidzkich górali.

Zbiór ballad, który wyszedł w roku 1922 pod charakterystycznym tytułem „Powsinogi beskidzkie" ukazuje postacie druciarza kuternogi, szklarza, sadownika, świątkarza, kamieniotłuka i zduna, tak często w owym czasie spotykane na wsi karpackiej. Zegadłowicz znakomicie znał i rozumiał tych ludzi, których znałam i ja, bo także urodziłam się w Beskidzie. Mówił ich językiem, i wzajemnie był przez nich lubiany. Po dziś dzień zdumiewa mnie fakt, że tak znakomicie zamknął w słowa klimat życia spracowanych, utrudzonych, a jednak często uśmiechniętych „powsinogów", którzy siły do znoszenia swej ciężkiej doli czerpali ze starej kultury ludowej, w której nie brak było miejsca na głęboką miłość do przyrody i niebanalne rozważanie spraw życia i śmierci.

W „Balladzie o świątkarzu" starym Jędrzeju Wowrze, mieszkającym w małej chacie na stoku niewysokiego wzgórza, czy w opowieści o sadowniku, poeta nie zapomina zauważyć, że gdy nie było szkoły, „życie samo uczyło" mieszkańca tych gór, który:

JIŘÍ MAREK

Bukiet kwiatów

Czekał pod zegarem na rogu ulicy z bukietem w ręku, i wydawało się, że nie dba na mroźny wiatr. Przechodnie, którzy go mijali, pobłażliwie uśmiechali się, a niektórzy odwracali z wyrazem zadziwienia: w tym czasie nie łatwo o kwiaty a w dodatku są drogie. Jak bardzo musi być zakochany!

Wskazówka zegara posuwała się powoli po obwodzie koła. Wreszcie i on zrozumiał, że czeka na próżno. Trudno, mogę wrócić do domu, pomyślał. Ale co z bukietem? W domu pogłębiłby jeszcze osamotnienie i pustkę. Trzeba go będzie komuś podarować. Rozważał: na takim mrozie kwiaty te utrzymają się zaledwie kilka godzin. Muszę więc działać szybko. Kiedy ta nie przyszła, muszę wezwać inną, mam przecież kilka numerów telefonicznych. Każda będzie przyjemnie zaskoczona, że dzwonię do niej, a w dodatku przynoszę piękny bukiet. Zresztą należy bliźnim sprawiać radość.

Pierwszy numer dzwonił w próżnię. Pod drugim numerem obcy głos kobiecy zako-

munikował oschle, że panienki nie ma w domu.

Trzecia podniosła słuchawkę. Była mile zdziwiona: — Tak w ostatniej chwili? Nie, nie można. Wykluczone.

— Ale to konieczne — nalegał.

— A więc może pojutrze...

Powiedział ze smutkiem: — Byłoby za późno.

— Jutro... usiłowała uzyskać jego zgodę.

— Nie, zaoponował, patrząc na kwiaty.

Jaki on niecierpliwy, pomyślała. A może mnie kocha!

— Jeśli nie przyjdziesz, to stanie się coś strasznego, powiedział z przekonaniem.

— Co za miłość, westchnęła mimowoli.

— Co za szkoda, gdyby uwiędła...

— Rzeczywiście. No to ja przyjdę, powiedziała szybko. — Przyjdę, niech się co chce stanie.

Czekał więc znowu pół godziny. Rozgrzewała go świadomość, że kwiaty nie kupił na darmo.

Kiedy wreszcie przyszła, dał jej bukiet, a ona wiedziona przemożną siłą oparła głowę na jego ramieniu: — Wszystko zrozumiałam. Rozwiodę się.

A on stał, z przerażeniem patrząc na nią, to na bukiet — i nic nie rozumiał.

Przetłumaczył:
G. PRZECZEK

* * *

chodzi przez wsie przepadłe, przez wsie, zatracone,
od Babiej do Zatora zna caluśką stronę,
ziemi kawał — beskidziak — w beskidzie się rodził
pisać czytać nie świadom, do szkoły nie chodził

umie jednak opowiadać wspaniałe gadki, jak choćby tę o Adamie i łakomej Ewie, na których:

Pónbóg zeźlił się bardzo,
sklón ich, zmieszał z błotem —
bo to i adam zar z nią —
wygnoł za płot potem,

a na odchodnem pedzioł
jesce do adama:
pier ewe, kie do sadu
będzie chodzić sama!

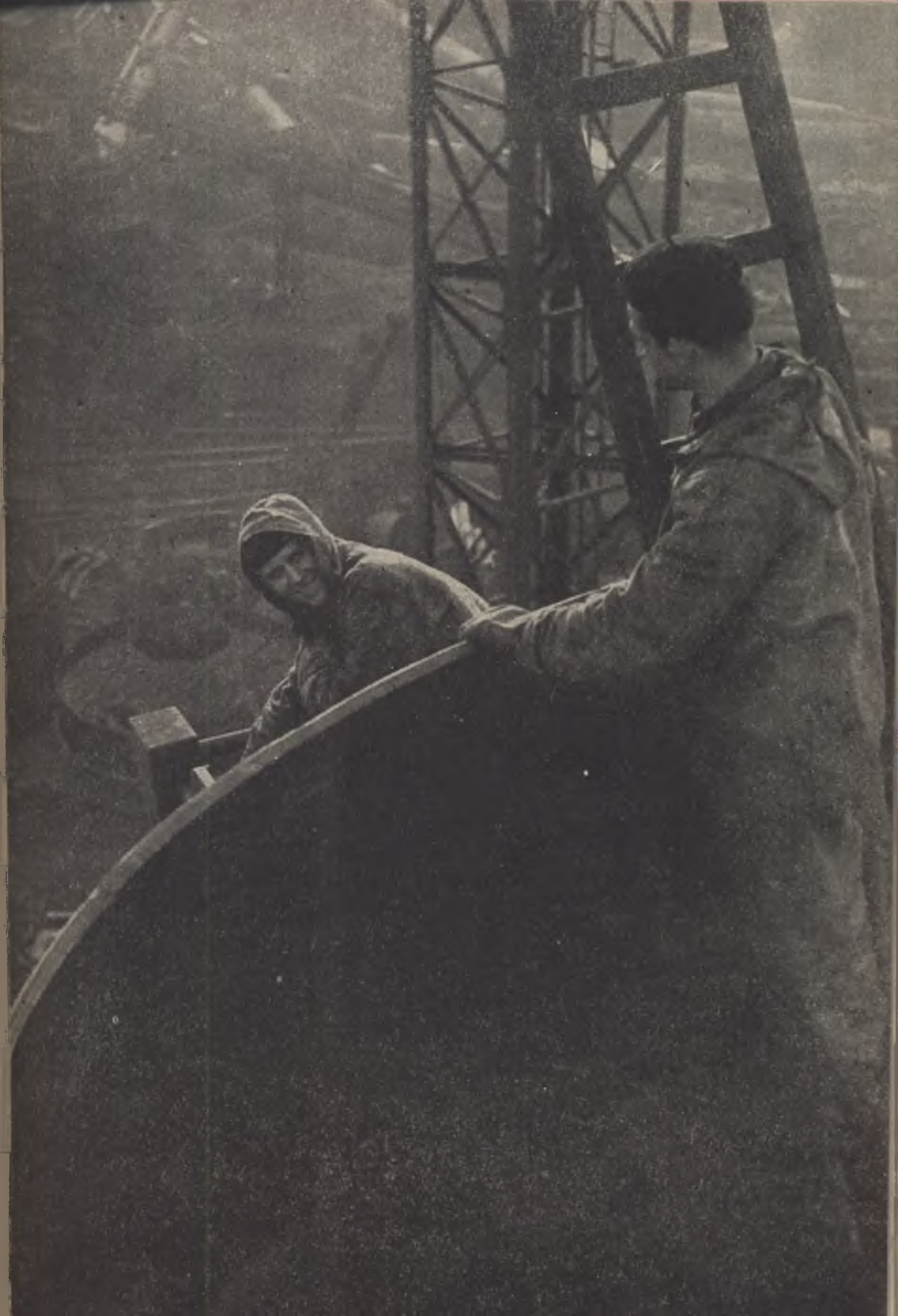
Zegadłowicz, ten nieduży, bardzo ruchliwy i często uśmiechnięty człowiek, lubiany był zresztą nie tylko przez gorzeńskich sąsiadów, ale i przez ludzi z miasta, pisarzy, artystów, których zjednywała mu serdeczna gościnność, żywotność umysłu, i życzliwość. W jego zachowaniu było coś z tej bezpośredniości, z jaką lud zwraca się do przyjaciół. Pogodny, nie przez lekkomyślność, ale wielką miłość do życia, nawet w ciężkich momentach odnajdował pogodę ducha w przyjaznym obcowaniu z ludźmi lub ukochaną przyrodą stron rodzinnych.

Początkowo pisarz politycznie nie angażowany, wydaje w latach trzydziestych powieść „Zmora" zwróconą przeciw obłudzie i zacofaniu mieszczaństwa, a niedługo przed wojną nawiązuje z gorącym entuzjazmem kontakty z pisarzami lewicy socjalistycznej, i bierze udział w lwowskim antyfaszystowskim Zjeździe Pracowników Kultury. Publikuje też w „Dzienniku Popularnym" zaangażowaną powieść „Martwe morze", i wypowiada się po stronie nurtu postępowego tworząc „Domek z kart" i inne utwory.

Radykalizm społeczny Zegadłowicza nie uznawał przemocy człowieka nad człowiekiem, potępiał wojny zaborcze. Poeta, będąc niezrównanym towarzyszem wycieczek w ukochane góry, człowiek wesoły, sypiący żartami i umiejący żywością swego umysłu rozruszać najospalsze towarzystwo, umiał przemyśleć zdarzenia wielkiej wagi, jakich tak wiele było w ówczesnej polityce światowej, i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski. Jego błyskotliwy umysł do końca umiał sprostać trudnym, a w czasie okupacji tragicznym sprawom współczesności.

JANINA BRZOSTOWSKA

W mroźny dzień na wielkim piecu →



BERNEŃSKA KARTKA

z dziejów polskiej martyrologii

„RUDÉ PRÁVO", niedziela 27 listopada 1960 | *Na brněnském Špilberku otevřeno Polské muzeum*

W sobotu se konala v Brně slavnost k uctění památky polských politických vězňů, kteří zde byli vězněni úřady rakousko-uherské monarchie ve čtyřicátých létech minulého století. Slavnosti se zúčastnili zástupci velvyslanectví Polské lidové republiky v Praze, pracovníci historického ústavu Polské akademie věd, čs. historikové a představitelé Městského národního výboru v Brně.

Polské muzeum na Špilberku je významným dokumentem společného boje lidu Polské lidové republiky a Československa za svobodu. -fm- 26. 11.

26 listopada 1960 r. otwarto na Szpilbergu w Bernie polskie muzeum — pierwsze polskie muzeum na terenie ČSRS — dla uczczenia pamięci więzionych tam patriotów polskich w czasach monarchii austriackiej.

Motto:

„Szpilberg nie będzie już piekłem żywych, ani hańbą naszego stulecia, ale świadectwem męczeństwa za miłość ojczyzny i będą do niego pielgrzymować wolne już generacje."

(Vincenzo Gioberti w liście z 1843 r. do więźnia szpilberskiego poety Silvia Pellica)

Szpilberskie wzgórze

otoczone rozległym parkiem, poprzecinanym alejami, dziś miejsce przechadzek mieszkańców Berna, wyraźnie króluje ponad miastem zwartym kompleksem żółtoszarych budynków.. Spokojne jest i ciche jakby zapomniało o swej przeszłości. Zamek Szpilberg założony był w XIII wieku jako rezydencja początkowo bernieńskich książąt udzielnych, później margrabiór i burgrabiów morawskich. Na początku XVII wieku, po porażce powstania stanów czeskich przeciwko Habsburgom tutaj Ferdynand Habsburski kazał uwięzić morawskich przywódców i uczestników powstania. Od tego czasu rozpoczyna się historia Szpilbergu jako więzienia. W późniejszym okresie w jego kazamatach więziono wielu chłopów pańszczyźnianych, uczestników powstań chłopskich.

Nam Polakom w ubiegłym stuleciu ziemie czeskie nie były jedynie znane jako cel wojażów bogatych podróżnych zdążających do głośnych w świecie uzdrowisk dla podreperowania zdrowia. Przeciwieństwem wykwintu wspaniałości radosnego życia spędzonego w Karlovych Varach czy Gräfenberku były cierpienia więźniów politycznych na bernieńskim Szpilberku, w którego celach monarchia habsburska leczyła nieprawomyślnych swych poddanych z ich „przewrotowych" myśli i dążeń.

Wspólny las

Spośród narodów europejskich, którym Kongres Wiedeński nie przyniósł spełnienia ich pragnień, Polacy i Włosi mieli najwięcej powodów do niezadowolenia. Włochy po Kongresie pozostały jedynie pojęciem geograficznym; dla Polski Kongres oznaczał faktycznie IV rozbiór. Rozwiązaniem oddającym znaczną część Polaków i Włochów pod władzę monarchii austriackiej uwarunkowano stosunek obu narodowości do państwa, którego system rządów zwiększał niepomiernie miarę ich nieszczęść narodowych. Tak rozpoczął się okres martyrologii obu narodów, w którym nazwa Szpilberg powtarza się bardzo często. Szpilberg stał się miejscem ucisku budzących się narodów. Ktoś nazwał go „Golgotą narodów austriackich" — historia wykazała, że nie było to określenie pustą emfazą.



Berno z widokiem na wzgórze Szpilberg

Historia Szpilbergu jako więzienia politycznego Austrii da się podzielić na dwa okresy: włoski i polski. W początkach XIX wieku (do amnestii w r. 1838) więziono tu włoskich patriotów. Znajdował się wśród nich poeta Silvio Pellico, który swe szpilberskie przeżycia uwiecznił w głośnym swego czasu dziele „Le mie prigioni" (Moje więzienia).

Droga przez Morawy

Od 1839 r. zaczynają na Szpilberg przybywać polscy więźniowie. Ogólnie było ich 192 skazanych łącznie na 1644 lata katorgi. Przybycie dużej ilości Polaków wywołało konieczność rozbudowy więzienia; budynek od strony ulicy Údolí podwyższono o jedno piętro. Więźniowie polscy byli to uczestnicy wykrytych ruchów spiskowych w Galicji, członkowie tajnych związków: Młoda Sarmacja oraz Sprzysiężenie Demokratów Polskich. Najwięcej jednak więźniów przyniosła druga fala po stłumieniu powstania 1846 r. Rekrutowali się oni przeważnie z kręgów młodej polskiej inteligencji (drobna szlachta, urzędnicy, nauczyciele domowi, studenci, księża). wśród nich byli: Lesław Łukaszewicz, autor bardzo popularnego w połowie XIX wieku Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego, znany historyk Henryk Schmitt, młodziutki, bo zaledwie 18 lat liczący Władysław Czaplicki, późniejszy autor Pamiętnika więźnia stanu (pod tym samym tytułem opisał wspomnienia z więzienia też inny Szpilberczyk Robert Nabielak), poeta Julian Goslar, który był za swoją nieustraszoną działalność konspiracyjną stracony, i wielu, wielu innych.

Droga do tej twierdzy szpilberskiej wiodła przez Hranice, Olomouc, Kojetín, Vyškov do Brna. Czaplicki wspomina, że mimo eskorty więźniów witano po drodze nie tylko pełnym litości spojrzeniem, ale również na ich widok wstawano, zdejmowano nakrycia z głowy dla oddania im czci i wykrzykiwano: „Niech was bóg prowadzi i wróci do Ojczyzny." We Vyškovie wozy wiozące więźniów zostały obsypane wiązkami kwiatów. „Szlachetni obywatele Vyškova — pisze Czaplicki — zostawili w sercach naszych nie tylko miłe, bardzo miłe wspomnienie, ale również uczucie wdzięczności aż do śmierci."

W Bernie do takich manifestacji solidarności z polskimi więźniami nie doszło, ale przecież jeden z więźniów wspomina w pamiętniku, że lud zgromadziwszy się przed bramą szpilberską żegnał ze łzami w oczach nieszczęśliwe ofiary przemocy.

Za kratami Szpilbergu

„Jestem szczęśliwy, że za umiłowaną ojczyznę będę nosić te ciężkie kajdany." Są to słowa nestora więzionych na Szpilbergu Polaków Stanisława Brześciańskiego wyrzeczone w chwili, gdy po wprowadzeniu do środka twierdzy obalono go na ziemię i przy-

kuto mu do nóg kajdany. Słowa te wyrażają najpełniej postawę więźniów, którą potrafili utrzymać do końca mimo niezwykle ciężkich kar, jakie stosowano w odniesieniu do „przestępców" politycznych. Oprócz ciężkich kajdanów przykutych do nóg i umocowanych w pasie, prócz nędznej strawy, w której dostawało się więźniom „mięso w stanie rozkładu chemicznego" lub „niekraszone knedle jak kocie łby, przez 14 dni leżące w żołądkach więźniów" (słowa jednego z zesłańców — Jana Pruskiego), oprócz grożących im za każdą niesubordynację kar w postaci brudnego, pełnego szczurów i robactwa lochu, czasem bicia aż do krwi, stworzono im znacznie cięższe męki psychiczne spowodowane całkowitą izolacją więźnia od otoczenia. Nie tylko że widzenia były wykluczone, ale również kontakt pisemny z rodzinami więźniów ograniczał się do suchych sprawozdań zarządu więzienia o stanie zdrowia więźnia, wysyłanych do krewnych. Listy przychodzące z zewnątrz podlegały ścisłej cenzurze. Wykreślano z nich wszystko co nie dotyczyło bezpośrednio wiadomości o zdrowiu i wypadkach rodzinnych. Ale nawet tak okrojonych nie dawano więźniom do ręki, lecz odczytywano im w kancelarii.

Nie zapewniono więźniom opieki lekarskiej. Tragicznym tego przykładem stał się H. Hubecki. W styczniu 1847 r. dostał on w nocy gwałtownego krwotoku. Dyrektor więzienia Bayer odmówił sprowadzenia lekarza. Nieszczęśliwy więzień zmarł na drugi dzień. Bayer zresztą, jakby przez zemstę losu przeżył swą ofiarę tylko o dwa miesiące.

Więźniom polskim nie szczędzono jedynie „pociechy duchowej", której rozdawcą był kapelan Karl Nötting. Nie cieszyła się ona jednak zbytnim entuzjazmem więzionych, a jeden z nich — Robert Nabielak — w swych pamiętnikach wręcz napisał, że Nötting był członkiem tajnej policji.

Republika Szpilberska

Wszystkie te represje nie złamały jednak więźniów, którzy mimo tak niezwykle ciężkich warunków wykazali dużo inicjatywy, rozwinęli nawet działalność spiskową. Choć otoczono ich silnym dozorem (na 5 więźniów przypadał jeden dozorca) więźniowie porozumiewali się między sobą przy pomocy pukania w ściany. Tym sposobem przekazano dawniejszym więźniom wiadomość o rewolucji 1846 r., której drugą rocznicę uczczono w celi jednego z więźniów chóralnym śpiewem pieśni narodowych. (Obchód ten był zresztą jednym z przejawów działalności powstałego tajnego związku.)

Swoistym sposobem porozumienia się były „listy" pisane na odłamkach muru lub okładce książki pomazanych tłuszczem i posypanych piaskiem. Szczytowym przejawem żywotności więźniów było utworzenie „Republiki Szpilberskiej" (zwanej Rzeczpospolitą Grajgórską). Organizowano ją od Bożego Narodzenia 1847 r. do Nowego Roku 1848. Na Trzech Króli zaprzysiężono ustawy i statuty. Na czele stał Ignacy Komorowski. Celem głównym „Republiki" było, obok ustalenia sposobu zachowania się wobec władz i zarządzeń więziennych, szerzenie idei demokratycznych wśród więźniów.

„Republika" przetrwała do 23 marca 1848 roku. W tym to dniu bowiem nastąpił radosny zwrot w doli więźniów. Wiosna Ludów burząca rewolucyjnym rozmachem stary ład stała się dla nich zwiastunem szczęścia.

Amnestia

Wyprowadzeni na spacer więźniowie 27 marca 1848 r. usłyszeli poza murami więzienia niecodzienny gwar. Ci, którym udało się wyjrzeć poza mur dostrzegli, że na wzgórzu szpilberskim stoją tłumy obywateli Berna dający wyraz swym sympatiom do polskich więźniów przy pomocy okrzyków i pieśni. Zebranym na dziedzińcu więźniom odczytano „akt łaski cesarskiej" — amnestię. Większość z nich powróciła do kraju witana radośnie na dworcu krakowskim przez rodaków. „W sobotę wieczorem na wieść o przybyciu więźniów stanu wracających ze Szpilbergu tłumy ludu zgromadziły się przed dworcem kolei żelaznej, gdzie ich uroczyście powitawszy do gościny Pollera odprowadziły" — czytamy w ówczesnej gazecie.

Powrócili jednak nie wszyscy. Robert Nabielak z goryczą zaznacza, że najpierw zwolniono „panów"; biedacy musieli czekać jeszcze długo na transport do kraju. Zwolniono pozatem więźniów oskarżonych jedynie o „zdradę stanu". Inni, na których ciążyła wina „morderstwa" na osobach przedstawicieli władzy austriackiej musieli pozostać w więzieniu przez długie lata. Ogółem wróciło 151 osób. Lecz i ci mieli zdrowie silnie nadszarpnięte, wielu z nich nie długo cieszyło się wolnością.

JARMIL PELIKÁN

Dr JÓZEF CHLEBOWCZYK

Konsekwencje wyzysku

(Warunki zdrowotne w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim na przełomie XIX—XX wieku)

Warto rzucić, chociażby pobieżnie, okiem na panujące na naszym terenie pod koniec ubiegłego i na początku bieżącego wieku stosunki zdrowotne, nasilenie śmiertelności, masowość występowania tych czy innych schorzeń i chorób — słowem na ogólny stan zdrowotny mieszkańców Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego na przełomie stulecia. Uzmysłowimy sobie w ten sposób — choć w części — charakter i nasilenie oraz konsekwencje istniejących wtedy w naszym rewirze warunków pracy i bytu miejscowego proletariatu górniczego, przemysłowego i w ogóle przytłaczającej większości mieszkańców tego terenu. Otrzymamy pewne, dosyć zresztą plastyczne i pełne wymowy, wyobrażenie o olbrzymim dystansie, jaki dzieli nas od tych nie tak dawnych przecież czasów, pozostawających jeszcze częściowo w pamięci naszych rodziców czy innych obywateli starszej generacji.



Stanisław Lenz: Strajk w 1905 roku.

Rozpocznijmy nasz przegląd od scharakteryzowania sytuacji pokolenia najmłodszego — liczne potomstwa górniczych i robotniczych małżeństw. Rzeczywistość, jaka tu panowała, przekracza wszelkie najbardziej nawet pesymistyczne oczekiwania. Na przestrzeni dziesięciolecia 1896—1905 przeszło 46% wszystkich zgonów w M. Ostrawie, a w pobliskich Witkowicach nawet 55%, przypadało na osoby liczące poniżej 5 lat. W odległym około 40 km Cieszynie ten sam odsetek dochodził zaledwie do 25% ogółu zgonów; tyleż samo wynosił on w tym czasie w Pradze, nieco więcej, bo 30% w Bernie i w Krakowie. Jeszcze drastyczniej zarysowuje się różnica między M. Ostrawą z jednej strony oraz pozostałymi wyszczególnionymi miastami z drugiej w zakresie śmiertelności niemowląt (w wieku do pierwszego roku życia). Podczas kiedy w Cieszynie umieralność osób w wieku do pierwszego roku życia nieznacznie tylko przekroczyła 14% łącznej liczby zgonów to w M. Ostrawie nasilenie śmiertelności niemowląt dochodzi do 30% a w Witkowicach nawet do przeszło 32% wszystkich wypadków śmierci.

Około $^{1}/_{3}$ ogółu zgonów przypadająca na niemowlęta do 1 roku życia, przeszło połowa ogólnej ilości wypadków śmierci przypadająca na młodocianych do lat pięciu — oto jeden z jakżeż jaskrawych przejawów konsekwencji warunków bytowych ostrawsko-karwińskiego proletariatu górniczego na przełomie XIX—XX wieku. ,,Wśród ludności uboższej umiera większość chorych dzieci bez jakiejkolwiek opieki lekarskiej. Odpowiednio uregulowaną opiekę nad chorymi traktuje się

jako luksus względnie też... (trzeba przyznać), że politowania godne możliwości zarobkowe i stosunki aprowizacyjne rodzin robotniczych, obdarzonych w większości licznym potomstwem, ... stanowią przeszkodę, uniemożliwiającą zorganizowanie odpowiedniej opieki lekarskiej" — innego wytłumaczenia powyższego stanu rzeczy nie znajduje nawet oficjalna publikacja śląskiego urzędu krajowego w Opawie z r. 1898.

Z biegiem lat rozpiętość w nasileniu śmiertelności niemowląt między M. Ostrawą i Witkowicami oraz pozostałymi wyżej wyszczególnionymi miastami (Cieszyn, Praga, Berno, Kraków) systematycznie wzrasta. Tymczasem sytuacja panująca w M. Ostrawie nie była wcale miarodajna dla całego Zagłębia. I tak, na początku drugiego dziesięciolecia b. wieku nasilenie śmiertelności niemowląt w M. Ostrawie było przeszło 20% słabsze od natężenia umieralności w tym wieku w Karwinie a o ponad 15% niższe niż w Witkowicach oraz niespełna 10% mniejsze aniżeli w Przywozie. Co piąte — czwarte niemowlę umierało w pierwszym dziesięcioleciu b. wieku w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim. W największych na świecie skupiskach miejskich wskaźnik ten wahał się w tym samym czasie od 9 do 16% — czyli 1 zgon przypadał na 6 do 11 urodzeń żywych. W Warszawie, wykazującej spośród wymienionych wyżej miast, największe nasilenie badanego zjawiska, procent zgonów niemowląt wynosił 17%, pozostając w tyle za przeciętną Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego.

Położenie ostrawsko-karwińskiego proletariatu w zakresie stosunków zdrowotnych nie sprowadzało się jednakże bynajmniej tylko do wysokiej śmiertelności niemowląt i młodocianych. Na pozostałych przy życiu, po upływie pierwszych 12 miesięcy życia, 75—80 młodych osobników (z każdego sta urodzeń) czekały w następstwie otaczających ich warunków bytu a później i pracy, dalsze koleje losu proletariusza.

Podobnie jak poprzednio, zwrócimy główną uwagę na stosunki zdrowotne panujące w Ostrawie, głównym ośrodku rewiru. Dane dotyczące ośrodków miejskich są bowiem bez porównania dokładniejsze od statystyki zdrowotności całych powiatów, pozostawiającej wiele do życzenia z uwagi na prymitywny stan aparatu służby zdrowia i związany z tym niedokładny system sprawozdawczości z okolic wiejskich. I tak miesięczne wykazy liczby zgonów z rozbiciem na przyczyny śmierci, prowadzone przez lekarza i gminy Śląska Ciesz., obejmują w latach 90-ych ub. wieku zaledwie niespełna 30% ogółu wypadków śmierci, podawanych przez tabele ruchu ludności, sporządzane przez probostwa. Diagnozy w tych ostatnich zestawieniach stawiali już po zgonie tzw. oglądacze zwłok. Nie trzeba podkreślać w jak małym stopniu odzwierciadlały one rzeczywistość. Z biegiem czasu sytuacja ulega poprawie. W pierwszym dziesięcioleciu b. wieku diagnozę przyczyn zgonów podają już w ok. 3/4 ilości wypadków lekarze. Nie mniej jednak i wtedy sprawozdawczość statystyczna służby zdrowia była powierzchowna i mało dokładna.

Czołowe miejsce wśród przyczyn zgonów na obszarze Zagłębia zajmują choroby narządów oddechowych oraz trawiennych. Około 18% wszystkich zgonów w Ostrawie i we Witkowicach na przełomie wieku oraz od 11 do 14% wypadków śmierci na całym obszarze obydwu powiatów rewiru (frysztackiego i frydeckiego) na początku b. stulecia nastąpiło na skutek schorzeń organów oddechowych. Ogrom nasilenia tego rodzaju chorób uwydatnia się w całej pełni przy skonfrontowaniu powyższych wskaźników z danemi dotyczącymi głównych ośrodków miejskich na terenie krajów czeskich i Galicji oraz odnoszącymi się do sąsiednich, rolniczych, powiatów. Okazuje się mianowicie, że Praga osiąga w tym czasie zaledwie 37% poziomu nasilenia zachorowań interesującego nas Zagłębia, Berno — 63%, Kraków 76% a pobliski Cieszyn niespełna połowę. Analogiczny obraz otrzymamy porównując częstotliwość występowania schorzeń organów oddechowych powiatów rewiru, a szczególnie frysztackiego, z powiatami rolniczymi: cieszyńskim, bielskim oraz z obszarem Śląska Opawskiego.

Nie inaczej przedstawia się sytuacja w zakresie natężenia drugiej grupy chorób — schorzeń narządów trawiennych. Jakżeż jaskrawo, przy całej swej niedokładności, odzwierciadlają one konsekwencje niskich zarobków a tym samym i lichego wyżywienia, złych warunków pracy, alkoholizmu, katastrofalnych wprost warunkach higienicznych i sanitarnych w mieszkaniach górniczych, sklepach, rzeźniach, na targowiskach, skutki nagminnie występującego w owym czasie fałszerstwa produktów żywnościowych — słowem wszystkich elementów położenia ostrawsko-karwińskiego proletariatu górniczego, godzących bezpośrednio w fizjologiczne funk-



Mieszkać w takich domach? To był niedościgły sen robotników!

cjonowanie organizmu ludzkiego, w danym konkretnym wypadku organów trawienia. Drugie miejsce po M. Ostrawie (17% ogółu zgonów) zajmuje Berno (niespełna 13%), z kolei idzie Kraków z niespełna 8%. Zaskakujące niskie odsetki wykazują Praga i Cieszyn (od 2 do 3%).

Osobne miejsce należy się proletariackiej chorobie — gruźlicy. Palmę pierwszeństwa w skali ogólnopaństwowej trzymał tu niepodzielnie Cieszyn. Straszliwy wprost procent zgonów na tuberkulozę, jaki odnotowują statystyki austriackie dla Cieszyna w badanym przez nas okresie czasu, w wysokim stopniu odnosi się do mieszkańców śląskiej części rewiru węglowego z uwagi na to, że w Cieszynie znajdował się szpital krajowy, w którego zasięgu leżał cały powiat frysztacki. W przeciągu ostatniego ćwierćwiecza przed wybuchem pierwszej wojny światowej umierało przeciętnie na suchoty w Cieszynie 8‰ mieszkańców a w okresie największego nasilenia gruźlicy w powiecie frysztackim w latach 1898—1900, odsetek ten podniósł się do 10‰ liczby ludności. Przytoczmy dla porównania, że na początku b. wieku na 1000 mieszkańców przypadło we Wiedniu 3,6 zgonów na tbc, w Berlinie —2,4, w Rzymie — 1,8 a w Londynie 1,7 promille zgonów. W M. Ostrawie nasilenie gruźlicy wykazuje bez przerwy tendencję zwyżkową, wzrastając w przeciągu całego powyższego ćwierćwiecza o ok. 55%. Nic więc dziwnego, że zarówno Cieszyn jak i M. Ostrawa należą w tym czasie do miast o największym nasileniu tuberkulozy na obszarze Austro-Węgier. W oficjalnym miesięczniku statystycznym Monarchii znajdujemy w roku 1893 następującą wzmiankę: „Poważny wzrost zgonów na gruźlicę ma miejsce tylko w pięciu miastach: w Cieszynie, Pola, Marburgu, M. Ostrawie oraz Brodach." W następnych dziesięcioleciach sytuacja nie ulega w tym względzie żadnym zmianom na lepsze.

Omówione powyżej przyczyny zgonów (śmiertelność niemowląt, choroby narządów oddechowych, gruźlica) schorzenia organów trawiennych pomijamy z uwagi na nieporównywalność danych) stanowią w latach 1896 do 1905 średnio w M. Ostrawie 67% łącznej ilości wypadków śmierci, w Witkowicach nawet 72%, — podczas kiedy w Bernie i w Krakowie po 53%, w Cieszynie 47% a w Pradze 45%. Podobnie przedstawia się sytuacja jeśli chodzi o nasilenie powyższych chorób na początku b. wieku na obszarze całego ówczesnego Śląska Austriackiego; kształtuje się ono w latach 1906-15 na następującym poziomie: powiat Frysztat — 63%, powiat Frydek — 66%, powiaty Bielsko i Cieszyn — 57%, Śląsk Opawski — 50% wszystkich zgonów. To zmasowienie na terenie Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego określonych chorób nie było wcale przypadkowe, uwzględniając nawet nieścisłości w ustaleniu diagnoz, które mogą być znaczne. Owo zmasowanie świadczy wymownie o rozpowszechnieniu się w rewirze tych głównie chorób, których przyczyny powstawania i rozwoju tkwią właśnie przede wszystkim w warunkach bytu i pracy miejscowego proletariatu górniczego, jakie stworzył na tym obszarze rozwijający się kapitalizm.

O tych warunkach pracy i egzystencji, ich wpływie na strukturę fizyczną proletariatu pisał już przed przeszło 100 laty Fryderyk Engels: „Wszelkie możliwe zło spada na głowy biednych . . . Nie zadawalając się tym, że zepsute jest powietrze na ulicy, zamyka się ich tuzinami w jednym jedynym pokoju, tak że oddychają w nocy powietrzem, od którego można się po prostu udusić. Daje się im wil-

gotne mieszkania, nory piwniczne przeciekające z dołu lub poddasza przeciekające z góry. Domy ich buduje się w ten sposób, że duszne powietrze nie może odpływać. Daje się im liche, podarte albo drące się ubrania i marne, sfałszowane i ciężko strawne artykuły żywnościowe. Naraża się ich na najbardziej denerwujące zmiany nastrojów, na najgwałtowniejsze wahania między strachem i nadzieją — szczuje się ich jak zwierzynę i nie daje spokoju, nie pozwala ani chwili przeżyć spokojnie. Pozbawia się ich wszelkich przyjemności poza rozkoszą płciową i pijaństwem, zamęcza zaś codziennie pracą aż do całkowitego wyczerpania wszelkich sił fizycznych i duchowych i pobudza przez to nieustannie do najbardziej szalonego nadużywania obu tych przyjemności, jedynych, jakie mają. A jeżeli tego wszystkiego jeszcze mało, jeżeli wszystko to przetrzymują, to padają ofiarą bezrobocia w czasie kryzysu, kiedy pozbawia się ich nawet tej odrobiny, którą im dotychczas jeszcze pozostawiano. Jakże to możliwe — konkluduje Engels — ażeby w takich warunkach klasa ubogich mogła być zdrowa i żyć długo? Czegóż innego można zatem oczekiwać, jeśli nie nadmiernej śmiertelności, nieprzerwanych serii epidemii, wyraźnie postępującego osłabienia ludności pracującej."

*

Jak kształtowało się w Zagłębiu w interesującym nas okresie czasu nasilenie chorób zakaźnych, drugiej kolejnej, najliczniej reprezentowanej grupy chorób miejscowego proletariatu? Na pierwsze miejsce wysuwa się tu zdecydowanie powiat frysztacki. „W powiecie frysztackim, pisze na ten temat oficjalna publikacja urzędowa, przyczyną wysokiego odsetku chorób infekcyjnych jest panujące zagęszczenie, często w złych warunkach hygienicznych, żyjącej ludności robotniczej, wśród której stale występują choroby zakaźne, znajdując właśnie na skutek istniejącego zagęszczenia ciągle od nowa okazję do rozszerzania się." Z podobnym stałym charakterem chorób infekcyjnych spotykamy się zresztą w tym czasie w prawie każdym większym środowisku miejskim. W M. Ostrawie, Pradze i Bernie, podobnie jak i w przemysłowych powiatach Śląska Cieszyńskiego nasilenie chorób zakaźnych kształtuje się na przełomie stulecia na tym samym mniej więcej, wysokim poziomie ok. 10% łącznej ilości wypadków śmierci, nie wykazując większego zróżnicowania. Wyraźne maksimum występuje w Krakowie (17%), minimum natomiast w Cieszynie (przeszło 6%).

Przyczyn szczególnego nasilenia chorób zakaźnych właśnie w ośrodkach uprzemysławiających się miast oraz w rozwijających się i urbanizujących osiedlach przemysłowych i górniczych należy doszukiwać się w samej istocie kapitalistycznej industralizacji. „Przyrodoznawstwo nowoczesne udowodniło, pisze jeden z najlepszych znawców położenia klasy robotniczej, że tak zwane ubogie dzielnice, w których stłoczeni są robotnicy, stanowią wylęgarnię wszelakich epidemii, nawiedzających od czasu do czasu nasze miasta. Cholera, tyfus, gorączka tyfoigalna, ospa i inne choroby epidemiczne szerzą swe zarazki w zakażonym powietrzu i zatrutej wodzie tych dzielnic robotniczych. Nie wymierają tam one prawie nigdy, a gdy tylko warunki po temu się złożą, rozwijają się przechodząc w epidemie i przedostają się na zewnątrz, poza te wylęgarnie, do dobrze przewietrzanych i zdrowszych części miasta, tam gdzie mieszkają panowie kapitaliści." Tu tkwi też istotna przyczyna pewnego zainteresowania się burżuazji w omawianym przez nas okresie czasu tym elementem położenia proletariatu, wyrażającego się w przeprowadzaniu podstawowych inwestycji w zakresie kanalizacji osiedli robotniczych, budownictwa mieszkaniowego, organizacji aparatu walki przeciwepidemicznej, akcji szczepień ochronnych, budowy szpitali, łaźni, utrzymywaniu względnej czystości osiedli etc. Kapitaliści bowiem „nie mogą sobie pozwolić na przyjemność bezkarnego hodowania chorób epidemicznych wśród ludu roboczego — następstwa tego odbijają się i na nich, a anioł śmierci sroży się między kapitalistami z tą samą bezwzględnością co wśród robotników."

I rzeczywiście, nasilenie chorób zakaźnych w Zagłębiu z biegiem czasu opada, akcja zwalczania epidemii, zaczyna przynosić wyniki. Ilość zgonów na choroby infekcyjne na 10.000 mieszkańców wynosząca w M. Ostrawie w latach 1891-95 — niespełna 30 obniża się w następnym pięcioleciu do ok. 27 a w pierwszych latach bieżącego wieku do 22. Podczas kiedy w latach 1892-96 przypadało w powiecie frysztackim na zgony z przyczyn chorób zakaźnych 16,5% ogólnej liczby wypadków śmierci, to w drugiej połowie pierwszego dziesięciolecia b. stulecia już tylko niespełna 10.

Wśród chorób infekcyjnych największą



Nasza republika należy do krajów, gdzie hygiena i opieka zdrowotna należy do najwyższych w świecie.

częstotliwość wykazują, rzecz uderzająca, schorzenia atakujące najczęściej organizm młodocianych, takie jak dyfteria. szkarlatyna, odra czy koklusz. Czołowe miejsce zajmują w badanym przez nas czasokresie w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim dyfteria i szkarlatyna, stanowią one od 35 do 45% ogółu zgonów na choroby zakaźne. Z głównym ich nasileniem spotykamy się w rewirze w latach 1892-93, 1895 oraz 1906-09 jeśli chodzi o szkarlatynę oraz 1893-94, 1896 i 1907-08 jeśli chodzi o dyfterię. I tak np. w r. 1907 wybuchła w miejscowościach P. Ostrawa, Radwanice, Karwina, Łazy, Orłowa, Pietwałd, Dąbrowa, St. Miasto, Dolna i Średnia Sucha oraz Bogumin szczególnie ostra i masowa epidemia szkarlatyny. Brak dostatecznej ilości lekarstw i lekarzy pogarsza sytuację do tego stopnia, że procent śmiertelności chorych dochodzi do 50—60%. Najróżniejsze epidemie odry, powodującej ok. 15% wypadków śmierci, na choroby zakaźne przypadają na lata 1892 i 1895. Szczególnie groźne epidemie tyfusu następują w latach 1890-92

oraz 1906-10. W lipcu 1892, czytamy w urzędowej publikacji na temat stosunków zdrowotnych na Śląsku, „wybuchła gwałtowna epidemia w Karwinie wśród robotników przybyłych z Galicji, zatrudnionych przy budowie kopalni węgla. Stwierdzono, że szybkie rozprzestrzenienie się choroby zawinione zostało przez zakwaterowanie powyższych robotników w ciasnej byłej stajni oraz na skutek niepodjęcia z chwilą wybuchu epidemii niezbędnych środków zaradczych oraz akcji dezinfekcyjnej."

Z pozostałych chorób zakaźnych wymienić należałoby jeszcze dezynterię (epidemie w latach 1893, 1895-96), cholerę (1893-94) a a z mniej grośnych mumps i trachomę. Na początku lat 90-ych ub. wieku rozszerza się w rewirze epidemia ospy do tego stopnia, że zmusza władze miejscowe do przeprowadzenia na szeroką skalę zakrojonych szczepień ochronnych; w Radwanicach zaszczepiono w tym czasie $^1/_3$ mieszkańców. Przy przyjmowaniu do pracy na kopalnie wprowadzano podówczas ścisłą kontrolę czy nowowstępujący przeszli przez szczepienia przeciwospowe. Z Zagłębia przedostaje się ospa w okolice Cieszyna i Jabłonkowa. Wypaki śmierci na gorączkę połogową, raczej rzadkie na obszarze Śląska, występują dość licznie właśnie na obszarze powiatu frysztackiego. I tak w latach 1906-15 na powiat Frysztat przypada 60% wszystkich przypadków zachorowań na gorączkę połogową, jakie miały miejsce w tym czasie na Śląsku Cieszyńskim. Z tym samym zjawiskiem spotykamy się jeśli chodzi o wypadki zapalenia opon mózgowych.

Lista przyczyn zgonów występujących z szczególnym nasileniem w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim na przełomie wieku nie kończy się bynajmniej na dotychczas wyszczególnionych rodzajach. Srożący się wyzysk kapitalistyczny i nędza panująca w rewirze stwarzały warunki nie tylko do masowego rozpowszechniania się określonych chorób, lecz powodowały także ogólne osłabienie struktury fizycznej całego miejscowego proletariatu górniczego, nadwątlenie jego odporności zarówno biologicznej jak i fizycznej. Z diagnozą „wątłość wrodzona" spotykamy się na terenie M. Ostrawy w latach 90-ych ub. w. przeciętnie w 6% wszystkich wypadków śmierci, podczas kiedy w Cieszynie, Pradze i Krakowie w tym samym czasie tylko w 3%. Urodzenia martwe stanowią podówczas 8% łącznej ilości urodzeń (w Pradze — 6% a w Krakowie i Cieszynie po 5%). Wprost przeciwnie kształtuje się sytuacja jeśli chodzi o śmiertelność na uwiąd starczy. W pierwszej połowie lat 90-ych XIX wieku uwiąd starczy powoduje w M. Ostrawie 5% ogółu wypadków zgonów, w Pradze — 7%, Bernie 8% a w Cieszynie, będącym zdawien dawna miastem emerytów, nawet 9%. Nic dziwnego, że było komu umierac w Zagłębiu na zanik sił na skutek podeszłego wieku; przecież Ostrawa, a z nią cały basen węglowy, należały tylko i wyłącznie młodym, oni też najczęściej i najliczniej umierali w rewirze. Bardzo charakterystycznym wskaźnikiem powszechnej degeneracji fizycznej, zachodzącej w Zagłębiu pod koniec ub. wieku, jest odsetek zdolnych do pełnienia służby wojskowej. W r. 1869 w powiatach politycznych Zagłębia uznano przy poborze 40% rekrutów jako zdolnych do służby w wojsku, w 30 lat później, w r. 1892 już tylko 11%. Na początku lat 90-ych ub. wieku 1 zdolny do służby wojskowej trafił w powiecie frysztackim na 257 mieszkańców, w rolniczych powiatach: cieszyńskim i bielskim na 198 a na Śląsku Opawskim na 165 mieszkańców.

A oto krótka notatka prasowa, zamieszczona w grudniu 1894 r. na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej". „Z Pudłowa. D. 25 bm. obwiesił się tu Jan Krakówka. Przyczyną samobójstwa była wielka bieda, bo nie miał co zjeść ani oblec. Krótko przed śmiercią wziął od żyda żydlik wódki a za chwilę znaleźli go już na strychu obieszonego." Nędza, brak perspektywy poprawy sytuacji życiowej prowadzą u mniej odpornych jednostek do kompletnego psychicznego załamania. Mnożą się wypadki dobrowolnego odebrania sobie życia. W M. Ostrawie notowano w pierwszej połowie lat 90-ych ub. w. przeciętnie 5 wypadków samobójstw rocznie, w latach 1896 do 1900 liczba ta wzrasta do 9 w przekroju rocznym. W powiecie frysztackim samobójstwa stanowiły w latach 1892-96 — 0,22% wypadków śmierci; w 15 lat później, w drugiej połowie I. dziesięciolecia XX wieku, osiągają już 0,65% z dalszą tendencją zwyżkową w latach następnych.

III.

Jeszcze bardziej plastycznym wskaźnikiem zachodzącego w miarę intensyfikacji kapitalistycznego wyzysku w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim na przełomie wieku, procesu wyczerpania i wyniszczenia siły roboczej, fizycznej degradacji miejscowego proletariatu



Svatoslav Böhm: Ostrawa

górniczego, jest krzywa urodzeń żywych oraz nadwyżki urodzeń nad zgonami.

W przeciągu 20 lat (1891—1910) liczba urodzeń żywych spada w M. Ostrawie o 40%, podczas kiedy w okolicznym Cieszynie tylko o 14%, w Bernie o 19% a w Krakowie o 23%. Dodajmy, że jeszcze w r. 1900 M. Ostrawa posiada jeden z największych promille urodzeń żywych wśród miast Monarchii (41,5⁰/₀₀). Z biegiem czasu znaczne zróżnicowanie poziomu urodzeń między M. Ostrawą a pozostałymi większymi ośrodkami miejskimi na obszarze krajów czeskich i Galicji zanika, krzywa urodzeń wyrównywa się. Podobne zjawisko obserwujemy również w pozostałych głównych skupiskach rewiru. Witkowice osiągają jedno z największych natężeń liczby urodzień w granicach Monarchii w r. 1903 (38,1 na 1000 mieszkańców). W latach następnych wskaźnik ten systematycznie opada, osiągając w r. 1912 poziom 19,6 urodzeń. W przeciągu dwu lat, z których posiadamy dane dotyczące Karwiny, analogiczny wskaźnik maleje z 38,6 w r. 1910 do 33,8 w r. 1912. Niewątpliwie na powyższy, tak gwałtowny spadek nasilenia urodzeń żywych w Zagłębiu, a głównie w jego najbardziej zurbanizowanych i uprzemysłowionych ośrodkach, wpłynęły częściowo również i momenty inne, wynikające do pewnego stopnia z migracji ludności na tym obszarze. Nie mniej nie ulega wątpliwości, że głównej przyczyny zaobserwowanego wyżej stanu rzeczy należy szukać przede wszystkim właśnie w fakcie zachodzącego w tym czasie zaostrzenia wyzysku kapitalistycznego w Zagłębiu z wszystkimi jego konsekwencjami między innymi również i na odcinku stosunków zdrowotnych, warunkujących rozmiary i tempo reprodukcji siły roboczej miejscowego proletariatu.

Spadek urodzeń żywych jest tak gwałtowny, że pomimo równoczesnego pewnego obniżenia się nasilenia śmiertelności, dochodzi w Zagłębiu do znacznej obniżki przyrostu naturalnego, prowadzącej w latach 1906 do 1907 w M. Ostrawie do pasywnego salda urodzeń. Pod konie ub. wieku M. Ostrawa znajdowała się w czołówce miast Austro-Węgier w zakresie przyrostu naturalnego; wynosił on w latach 90-ych 14,4 urodzeń na 1000 mieszkańców, w Pradze: 11,8, w Bernie 9,7, w Krakowie 7,4 a w okolicznym Cieszynie 2,8 urodzeń. W przeciągu krótkiego stosunkowo czasu sytuacja ulega zasadniczej zmianie. Przyrost naturalny M. Ostrawy i Witkowic, dwu największych skupisk proletariackich Zagłębia, maleje z roku na

rok gwałtowniej niż gdzie indziej. W połowie pierwszego dziesięciolecia XX wieku obserwujemy nawet w M. Ostrawie, jak już stwierdzono, nadwyżkę zgonów nad urodzeniami: w r. 1906 — 0,2, 1907 — 2,7 urodzeń. Ostatnie te wskaźniki podsumowują niejako wszystkie nasze dotychczasowe wywody na temat kształtowania się w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim stosunków zdrowotnych w okresie przechodzenia do kapitalizmu monopolistycznego na przełomie XIX—XX wieku w warunkach dalszej intensyfikacji wyzysku kapitalistycznego.

Nie upraszczajmy jednakże zagadnienia. Na przestrzeni badanego okresu czasu pojawia się równocześnie szereg oznak wskazujących na pewne polepszenie się na przełomie pierwszego i drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku ogólnej sytuacji zdrowotnej w rewirze. Sami już zwróciliśmy uwagę na spadek nasilenia chorób zakaźnych. W poprzednim rozdziale była mowa o przyczynach i motywach, jakie skłaniały burżuazję do przeciwdziałania w pewnym zakresie niebezpieczeństwu zagrażającemu ogółowi a wynikającemu właśnie z wzrostu nasilenia chorób infekcyjnych. Rzecz cała jednakże nie kończy się na tym.

Proces degeneracji biologicznej mas pracujących ma swe wyraźnie określone granice. Państwo kapitalistyczne, służące interesom burżuazji jako klasy panującej, zmuszone zostaje w miarę pogarszania się warunków zdrowotnych mas proletariackich do interwencji, wbrew niekiedy nawet partykularnym, krótkowzrocznym interesom poszczególnych grup pracodawców kapitalistycznych. *Konieczność położenia kresu niebezpieczeństwom* wynikającym z srożących się epidemii dla całego społeczeństwa, względy natury militarnej — utrzymanie tężyzny fizycznej rekrutów a wreszcie konieczność zapewnienia masom pracującym elementarnych możliwości bytowania, warunkujących wykorzystywanie ich siły roboczej — wszystko to zmusza państwo burżuazyjne do dopuszczenia proletariatu w szerszym stopniu niż na innych odcinkach ogólnoludzkiego postę-

J. MACURA

WSPOMNIENIA KOMORNIKA

W roku 1903 mieszkali moi ojcowie opodal domu gazdy. W budynku były 4 izby a w każdej mieszkał najemnik. Okna były małe, bez podłogi. Zamiast podłogi była izba wybita celiną. Pod piecem siedziały na noc kury, a ja, jako synek kumornika, musiałem iść do gazdoszka na służbę i paść krowy. I tak służyłem.

Rano mi gaździnka mówi:

— Ty, Józefku, pojedziesz dzisiaj do Cieszyna, do mleczarni z pachołkiem z mlekiem, a od jutra bedziesz jeździł już sam! I tak jeździłem. Jak przyjechałem z miasta, to szedłem do szkoły na 10-tą. Niekiedy otrzymałem skibkę czarnego chleba, a niekiedy nic...

Jak wróciłem ze szkoły, zjadłem obiad, a gaździnka już woła: — Józek, pójdziesz paść świnie! A było ich 20. Często musiałem także chodzić z pocztą po gminie, bo gazda był „fojtem" i miał także pocztę. Był to bogacz nielada. Miał 3 pary koni, 14 krów, 8 jałówek.

A teraz wam muszę opisać cośmy jadali: Rano była pszeniczna krupica z mlekiem. Mleł ją na żarnach stary chłop, 70 lat stary, a ten starzyk miał bardzo dużo wszy. Tam, gdzie starzyk siadywoł, nikt już nie chciał siedzieć. Koszulę sam prał w zimnej wodzie bez mydła, bo mu gaździnka mydła nie dali. Wieszał ją za chlewem na płocie. W niedzielę, jak przyszedłem do ojców, to mi matka mówi:

— Sewlykej zaraz koszule, Józku! Potem ją dała do ciepłej trąby, aby się robaki upiekły. Ten starzyk legał w chlewie.

A tak, drogi czytelniku, muszę ci powiedzieć, jaki wikt my otrzymywali. Otóż na rano krupice z łyżką

pu, do korzystania z postępów nowoczesnej medycyny i osiągnięć w dziedzinie ochrony zdrowia. Dodajmy, że państwo kapitalistyczne znajduje się tu pod stałym i rosnącym naciskiem potężniejącego ruchu robotniczego, zmuszającego kapitalistów do poczynienia określonych koncesji właśnie między innymi w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy, warunków sanitarnych osiedli i dzielnic robotniczych, w kwestii mieszkaniowej, organizowaniu aparatu służby zdrowia, sieci instytucji ochrony zdrowia.

Nakłady pieniężne i materiałowe wydatkowane na te cele przez kapitalistów, traktowane jako zło konieczne, nie stoją, rzecz jasna w żadnej proporcji do ich możliwości materialnych, przekształcają się w przysłowiowe plasterka kładzione na ropiejące wrzody. Inicjatywa państwa w tym zakresie ogranicza się zrazu przynajmniej do najbardziej prymitywnych i niezbędnych zarządzeń oraz inwestycji względnie do akademickich, nieżyciowych projektów, nie liczących się z możliwościami i warunkami ich realizacji. Przytoczmy jeden tego rodzaju przykład. Uchwalona w r. 1912 przez Radę Państwa we Wiedniu ustawa, uzupełniona przez rozporządzenie wykonawcze z r. 1903, o ulgach podatkowych dla budownictwa mieszkaniowego, mającego dostarczyć robotnikom tanich i zdrowych mieszkań, stawiała reflektantom warunki następujące: powierzchnia mieszkalna na 1 osobę (powyżej 1 roku życia) winna była przekraczać 4 m^2, mieszkania dla rodzin z dziećmi powyżej lat 6, winne posiadać dwa pokoje sypialne, każde mieszkanie na parterze miało dysponować osobnym wejściem z podwórza przez przedpokój etc. Dla każdego orientującego się w stosunkach mieszkaniowych na obszarze Zagłębia na przełomie wieku było jasne, że tego rodzaju postawienie przez ustawodawcę sprawy wynikało albo z kompletnej nieznajomości faktycznego stanu rzeczy lub też z chęci rozwiązania palącego problemu społecznego przy pomocy nic nie kosztującego świstka papieru.

Nie mniej, pomimo notorycznego oporu ze strony pracodawców, narzekających na marnotrawstwo grosza publicznego, pomimo braku odpowiednio wysokich funduszy daje się

„omasty" a kapuste ze ziemniakami.

O 10-tej kąsek chleba czarnego, na obiad „wodziónka", albo kapuśnionka, na niedzielę kąsek mięsa wieprzowego, wędzonego.

W lecie była ta polewka z wędzonki, bardzo smaczno, bo w niej pływały robaki z mięsa. Kto nie chciał jeść, to mówili gaździnka, jak nie chcesz, nie musisz, bo te chroboki są też z mięsa. Na wieczór był bób z kapustą lub ze spuszczanym mlekiem, a to każdy dzień, bo to mleko my przywozili z mleczarnie do kormików.

A teraz wam powiem, co raz zrobili pacholcy, jak ich posłał gazda na drzewo na opał. Gazda powiada:

— Dziś 2 pachołcy pojadą do Tyry na drzewo. — Dał im pieniądze na drzewo i na wikt, aby se kupili obiad. Ale pachołcy kupili też i wódki i wrócili troche podpici. Około godziny 11 wrócili dopiero do domu, a słyszeli my ich, jak fury hurczały z kopca, ani nie hamowali. Pod kopcem zaś była gospoda, tam fury zastawili i poprawili se. Potym siedli na fury i jechali do domu z drzewem. Przyjechali, konie dali do masztali i szli do kuchynie po wieczerze. Potem się pytali kucharki:

— Co masz na wieczerze?

— Bób z kapustą i spuszczane mleko! — A oni na to:

— Ty, kucharko, ty nóm nie bedziesz dawała bób z kapustą. — A ponieważ mieli cosi w czubie, misę rozbili, bób na stół wysuli, lampę rozbili, stół wyrzucili do pola. Na ten harmider przyszedł gazdoszek i gaździnka, ale zaraz uciekli i zamkli sie w izbie, a ja się bardzo bałem, bo spałem na ławie, co się zawierała. Na drugi dzień posłał gazdoszek córkę do Trzyńca po szandarów. Ale pachołcy jeszcze w nocy gazdowi okna kamiyniami wybili we wszystkich izbach, a ja z jedną dziewuchą przesiedziałem pod łóżkiem. Potem wzięli wielką żerdź i ramy powybijali. Za dwie godziny przyszli żandarmi, spięli pachołków i zabrali z sobą do aresztu. Jak to widziałem, uciekłem boso do ojców i tam przespałem się aż do rana. Rano poszedłem do gazdy z powrotem, a on mnie posłoł z listem do stolarza, aby przyszedł ramy naprawić, a okna zaszklić, bo była już późna jesień i zimno dawało się już we znaki. Potem mie wołali na protokół do sądu w Cieszynie. Tam pytali się mnie, jak to było, a ja im powiedziałem prowde, że pachołcy byli trochę pijani i na tem stanęło. Pachołcy dostali po miesiącu aresztu. Taki to żywot miała w dawnych czasach czeladź!

JÓZEF MACURA

zauważyć w badanym przez nas czasokresie pewien postęp na kompletnie dotychczas zaniedbanym odcinku ochrony zdrowia, walki przeciwepidemicznej, sieci urządzeń sanitarnych i aparatu służby zdrowia. Poważny wkład w poprawę sytuacji na tym odcinku wnosi również zachodzący równolegle postęp w zakresie medycyny. Wzrasta liczba lekarzy, położnych, pomocniczego personelu medycznego, aptek, ilości łóżek szpitalnych. Podczas kiedy w r. 1892 w powiecie Frysztat przypadał 1 lekarz na 6950 mieszkańców, to w niespełna dwa dziesięciolecia później, liczba ta obniża się do 3936 a w r. 1906 nawet do 3216. Analogiczne dane ilości osób na 1 położną wynoszą 1412 oraz 976 a na 1 aptekę 17.335 w r. 1896 oraz 12.203 w 1910 r. Liczba łóżek szpitalnych, wynosząca na obszarze Śląska Cieszyńskiego w r. 1896 — 499, podnosi się na przestrzeni następnych lat 15 do 842 w r. 1910. Polepsza się obsługa chorych w szpitalach; świadczy o tym systematyczny spadek odsetka zgonów wśród pacjentów opuszczających szpitale: z 8,1 w r. 1906 do 6,2 w 1913. Wzrastają sumy pieniężne preliminowane na walkę z epidemiami; podczas kiedy w latach 1892-96 wyasygnowano na powyższy cel w powiecie frysztackim zaledwie 476 koron to w drugiej połowie I. dziesięciolecia już 28.050 koron (1906-10).

Wszystkie te poczynania, dyktowane przez obiektywne warunki panującej sytuacji miały za zadanie jedno — zlikwidowanie względnie przynajmniej stępienie ostrza tych wszystkich konsekwencji metod i form wyzysku kapitalistycznego, w dziedzinie stosunków zdrowotnych, które godząc bezpośrednio w robotnika, odbijały się rykoszetem w panujący ustrój kapitalistyczny. W sumie nie pozostają one jednakże bez wpływu na kształtowanie się stosunków zdrowotnych w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim w kierunku poprawy dotychczasowego stanu rzeczy.

Dr Józef Chlebowczyk

DZIEJE OBRAZU

Siedzieliśmy przy dużych oknach, na których mróz wymalował przepiękne bukiety kwiatów, jakieś pałace, pagody o dziwacznych kształtach i palmy.

Było ciepło i bardzo przyjemnie, kiedy za oknami huczał mroźny wiatr i rzucał na parkan papiery i śmiecie.

Kelnerka, bardzo szczupła i z ciepłą zadumą na drobnej twarzyczce i w ciemnych źrenicach, postawiła przed nami dymiące garnuszki.

Przyjaciel mój długo siedział milcząco i patrzył na malowidła na oknach. Po chwili wymieszał łyżeczką czarny aromatyczny płyn, małymi łyżeczkami się napił i zaczął opowiadać:

— Wiesz, kiedy patrzę na te kwiaty, które wymalował mróz na szybach, wydaje mi się, że wszystkie kwiaty są takie same jak te z mrozu. I te w ogrodzie, i te w wazonikach, i na obrazach... Że to jest fatamorgana. Coś nierealnego. I że te kwiaty, w które człowiek zwykł ukrywać swe serce, są także z lodu.

Patrzyłem na niego nie rozumiejąc. On zrozumiał moje spojrzenie, bo od razu zareagował.

— Nie rozumiesz... Hm, nie może zrozumieć, kto nie doświadczył czegoś, co potrafi zmrozić więcej niż mróz.

— Może masz rację — powiedziałem, — chociaż sam nie umiałbym powiedzieć dlaczego.

Kiedyś lubiłem malować. Tyle wszędzie było piękna, które dostrzegamy oczyma młodości. — Nie, nie, — zaprzeczał nagle i gwałtownie, jakby chciał mi przerwać, choć nie zamierzałem się odezwać, — mam na myśli młodość niezależną od lat.

Lubiłem krajobrazy, pejzaż. W nich usiłowałem zawsze zamknąć nastrój, który mnie urzekł w danej chwili.

Kiedyś zakochałem się. Przed laty... (— jakie to śmieszne — powiedział jakby do siebie), postanowiłem podarować swej najpiękniejszej i najmilszej na świecie dziewczynie najlepszy według mojej oceny obraz, który namalowałem. Był to obraz przedstawiający krzyk róży rosnącej wśród kwiatów w ogrodzie jak prawdziwa królowa. Przyznam się, że różą była moja wybranka, której przypisywałem wszystko najlepsze i najpiękniejsze, co można przypisać człowiekowi. Róża była czerwona i zwracała się do słońca jakby rozkoszowała się jego blaskiem.

Kupiłem piękną złoconą ramę, która podkreśliła jeszcze wymowę mego obrazu.



Radim Kuchař: drzeworyt.

Była tak samo zimna. Umówiliśmy spotkanie na przystanku autobusowym na godzinę czwartą po południu. Było pochmurno, lecz mróz stale trzymał koło dziesięciu stopni.

O godzinie czwartej zaczęły polatywać drobne mroźne płatki śniegu. Przestrzeń wypełniła mgiełka szaroniebieska.

Czekałem cierpliwie, choć mróz tężał (tak mi się przynajmniej wydawało, bo to już czekałem kilka kwadransów).

Ale w sercu stale nie znalazło miejsca powątpiewanie. Wierzyłem, jak może wierzyć tylko prawdziwie zakochany.

Na miejscu gdzie stałem pojawiła się ciemna wydeptana plama.

Była godzina szósta. Zmrok już zapadał na dobre, a żarówki koło drogi rzucały blade snopy światła.

Wtedy się to wszystko rozegrało. Tak gwałtownie i niemniej brutalnie. Serce przestało mi bić w piersi i straszliwy ziąb podpełzł mi do gardła.

Nie pomyliłem się nigdy. To była ona. Zawieszona. Zawieszona na czyjeś ramię szła jej tylko właściwym lekkim krokiem. Śmiała się dźwięcznie jakby perły na drogę rozsypywała. Nie dojrzała mnie nawet. (Na pewno zapomniała, że się ze mną umówiła.)

Otrzeźwiałem, jak pijany kiedy stanie nad przepaścią, i uświadomiłem sobie, że każdy następny krok może oznaczać bezpowrotną zgubę.

Cały świat jakby wydobył się ze mgły i w przerażających konturach otoczył mnie murem, przez który nie zdołałbym się wydostać. Poczułem ziąb w nogach. Uświadomiłem sobie, że jestem skostniały z zimna. Palce u lewej ręki, które zaciskały ramę obrazu, zupełnie zdrętwiały, że z trudem je rozprostowałem.

Wracam do domu jak niedobitek z pola przegranej bitwy, który tyle stracił, że nie może już stracić więcej, więc staje się straszliwie obojętny na wszystko.

W moim kawalerskim pokoju powitały mnie ściany zimnym szyderstwem. Nigdy nie wydawało mi się zimniej w moim pokoju jak wtedy.

Zapaliłem w piecu. Potem powoli, jakby to było częścią jakiegoś głęboko przemyślanego rytuału, przełamałem ramę na kolanie, a każdy trzask pęknięcia przełamał coś we mnie. Połamaną ramkę i podarty obraz włożyłem do ognia i długo patrzyłem żegnając się z czymś, co już wrócić nie może.

Potem podszedłem do okna i obserwowałem na zamkniętej szybie kwiaty, które widniały na tle lampy ulicznej bardzo wyraźnie.

Bezwiednie zacząłem dmuchać. Pod moim ciepłym tchnieniem topić się zaczęły piękne kwiaty i tworzyć jakieś dziwaczne plamy, jakby ropiejące rany.

Doznałem ulgi. Długo się w nie wpatrywałem. Od tego czasu nie namalowałem ani jednego obrazu.

Długo milczeliśmy. Kawa już wystygła, więc zamówiliśmy nowe porcje, które podała już inna kelnerka.

GUSTAW PRZECZEK

w ustrzyguckowej DZIEDZINIE

G. MORCINEK

Był las, na skraju lasu rwisty brzeg, pod brzegiem ciekła Olza. Las był czarny i szumiał, zwłaszcza po nocach. Za dnia wspinał się z mozołem na Złoty Groń, podobnie jak z mozołem wspina się człowiek, odmierzając krokami żmudny upłaz pagóra. W nocy zaś tworzył spiętrzoną, szumiącą, czarną ścianę, sięgającą gwiazd.

Urwisty brzeg był półty i przetykany kamieniami. Kamienie zaś były sine i twarde, glina oślizgła i żółta. Świerki zatrzymywały się na skraju urwiska i stały jakby zdumione swoją zuchwałością. Przecież niewiele brakuje, a na nic zda się zapieranie korzeniami w kamienisty ugór. Runą do Olzy, jeżeli tylko trochę przechylą się pod głębią.

Lnianowłosy Francik Wantuloszek słuchał szumu lasu po nocach i za dnia — jak tam wypadło — i dziwił się zuchwałości świerków. Do spadzistego brzegu wyczuwał niechęć, do świerków miłość. Miłość tą dzielił na dwie części. Jedną, tą mniejszą, obdarzał świerki, a z nimi cały las, drugą tą większą — Olzę. Zastanawiał się, dlaczego las szumi tajemniczo, a dlaczego Olza bełkoce mile. W lesie siedzą jaroszki, w Olzie utopce. I jaroszki i utopce kryją się i niesposób ich zobaczyć.

Olza przypominała mu piosenkę, śpiewaną podczas szkubaczek w górskich chałupach:

... płyniesz Olzo po dolinie,
płyniesz jak przed laty!

Podczas szkubaczek śpiewano przeróżne pieśni. Takie i owakie. Wesołe i smętne. Gdy jednak ktoś z chaśników zaintonował pieśń o rzece Olzie, wszyscy poważnieli i słuchali.

Było to trochę śmieszne, zwłaszcza że dziewczyny podnosiły głowy, przymykały lekko oczy i zawodziły przeciągle smętnym dyszkantem. Lnianowłosy Francik Wantuloszek nie wiedział dlaczego tamta pieśń była podobna trochę do pogrzebowej pieśni, a trochę do lamentu dziewczyny, której chłopiec powędrował gdzieś w daleki świat za pracą i pewnego dnia przestał do niej wysyłać listy.

... siadam do stołu mego i piszę do serca twego i pozdrawuję cię przez koszyczek wiśni, niech się tobie moja miłość przyśni ...

To było bardzo piękne. Każdy list zaczynał się takim ślicznym zwrotem i Franciszek Wantuloszek wiedział, że w każdym liście znajduje się tamto przewidziane zdanie o stole, o sercu, o koszyku wiśni i o miłości, która ma się komuś przyśnić w ogromnie dalekim świecie. List wpadał przez szparę do odrapanej i trochę zardzewiałej skrzynki na listy, którą zawiesił na lipie brzuchaty Konderla, przezwany „poczciorzem". Ubierał się po góralsku, tylko zamiast kłobuka, nosił piękną czapkę na wpół wojskową, z białym orzełkiem i z trąbką pocztyliona. Trąbka była złota i owijała się koło rozczapierzonych szponów blaszanego orła.

Wantuloszek rychło jednak o listach tych zapomniał, gdy kończyły swój biały żywot w odrapanej skrzynce na lipie. Wraz z listem kończyły się białe gołąbki, które na pierwszej stronicy zapisanego arkusika całowały się wdzięcznie i gruchały w okolu ślicznych niezapominajek. Dziewczyny nazywały niezapominajki żabimi oczkami, pan nauczyciel zaś, uczący w starej szkole na Zaolziu, tuż pod Baranią Górą, poprawiał Wantuloszka i tłumaczył uczniom, że to są niezapominajki.

W odrapanej skrzynce więc kończyły swój żywot białe listy z białymi gołąbkami, szklany zaś bełkot Olzy i tajemniczy szum lasu trwały wiecznie. Wantuloszek nie mógł sobie nawet przypomnieć od kiedy ów bełkot i szum trwały przed starzykową chałupką. Chałupka była pokrzywiona, podparta z boku drągiem, gdyż waliła się niezdarnie, stała zaś na płaskim brzegu po drugiej stronie Olzy.

W chałupie były również wykrzywione okienka, a w okienkach zakwitały co roku pelargonie i fuksje. Poprzez pelargonie i fuksje przeciekał bełkot Olzy, a za nim szum lasu; wchodziły do okopconej izby jakby na palcach i przedrzeźniały stary zegar na ścianie, który tykał rytmicznie i czasem wydzwaniał godziny.

Wantuloszek słuchał codziennie, a często i w nocy tamtych głosów i wciąż się dziwił, dlaczego tykanie zegara jest drewniane, szum lasu tajemniczy i nieogarniony rozumem, a bełkot Olzy radosny i jasny. Nawet w najciemniejszą noc był jasny i radosny. Jeżeli księżyc chodził w nocy między gwiazdami wtedy bełkot ów był nawet przetykany srebrem. Olza zaś była chudziutka i drobniutka, chociaż gdzieś tam do morza wpadała. Już dawno wypełzła spod sepleniących okapów baraniogórskich, gdzie rosły olbrzymie paprocie, potoczyła się gibko po kamieniach w dzwoniących kaskadach, a teraz płynęła powoli pod nawisłym brzegiem.

Starzyk Wantuloszka pasał owce i jadał owsiany placek. Lnianowłosy Wantuloszek także pasał owce i także jadał owsiany placek. Poza tym starzyk opowiadał, a Wantuloszek słuchał mądrych nauk chudego nauczyciela w szkole na Zaolziu, w domu zaś słuchał jeszcze mądrzejszych nauk starzyka. Nauczyciel mówił o przeróżnych rzeczach, które nie czepiały się głowy, starzyk opowiadał o wiergułach, o zakopanych skarbach, o ziemskich duchach i o wielu innych, tajemniczych rzeczach.

Starzyk poza tym wygadywał szpetnie na księdza proboszcza. Ksiądz proboszcz bowiem jest mało mądry. Gdyby był trochę mądry. miałby sporo pieniędzy. I na kościół, z którego przedwiosenne wichry zdzierają gonty i na podatki i dla siebie. On jednak nie chce. Hm, niemądrze sobie poczyna ten uparty ksiądz proboszcz, że nie daje wiary staremu wiergule bieskidzkiemu, Ondrzejowi Wantulokowi spod Złotego Gronia. Bardzo niemądrze sobie poczyna. Oto wystarczy powiedzieć:

— Dobrze, Wantuloku! Pozbierajcie sobie wszystkie okapki z ołtarzowych lichtarzy! . . .

Starzyk pozbierałby okapki, ulepiłby z nich sporą świecę i poszedłby na Ochodzitą szukać skarbów. Na skarbach siedzą jaroszki, takie małe diabełki kudłate z prosięcymi ogonkami i warują pilnie, by nikomu nie udało się ani mizernego dukata uszczknąć. Gdyby jednak stary Wantulok, wierguła nad wiergułami, poszedł ze świecą ulepioną z okapów, na nic by się zdały sprzeciwy jaroszków, ich parskanie, szczerzenie zębów, jeżenie się i wygrażanie rogami. Uciekłyby za pierwszym słowem zaklęcia . . .

— A jakie to są zaklęcia? — zdziwił się mały Wantuloszek.

— Agli, tetragramaton, abrakadabra . . .

— A kto was nauczył tych zaklęć?

— Mój starzyk, boże mu tam daj radość wiekuistą, amen. Porządny to był człowiek . . .

— A kto jego nauczył?

— Jego starzyk, pierwszy wierguła w całych Beskidach.

— A kto jego nauczył?

— Pasterze włoscy, z którymi przyszedł z dalekiego kraju od wschodu słońca . . .

— A tych pasterzy?

— Czarownica!

— Ojej! A czarownicę?

Zastanowił się stary Wantulok, zamyślił głęboko, kto by mógł nauczyć czarownicę owych przedziwnych zaklęć. Potem powiedział:

— Wiesz Francku — ja dużo wiem, lecz tego już nie wiem! . . .

Owo przyznanie się do niewiedzy poderwało zaufanie Francika do starzykowej mądrości. Słuchał teraz, słuchał — owszem, to było ciekawe . . . lecz nie dowierzał starzyko-



wi, że święcone okapki z istebniańskiego kościoła mogą odegnać jaroszków, zbytkujących o północy na szczycie Ochodzitej.

Innym razem starzyk opowiadał Francikowi o wiergułach i o tym, jak szukali skarbów po całej ziemi, a znajdowali rudy przeróżne. Czasem zaś znajdowali wodę. Ucinali leszczynowe pręty, pręty zaś były rozwidlone. W mądrych księgach takie pręty nazywają się „virgula furcata". Wierguła ujmował rozwidlenie prętu w dłonie i szedł powoli. I baczył pilnie, kiedy „virgula furcata" przekręci się w jego dłoniach. Gdy się przekręciła, powiedział gwarkom, żeby w tym miejscu grzebali, że tam na isto będzie jakaś ruda...

— I była?

— I bywała!... Ruda taka i owaka!... Gwarkowie kopali, kopali, aż się dokopali. Potem rudę topili i było z niej żelazo, albo cynk, albo ołów, a czasem — lecz to już bardzo rzadko — srebro.

— Prawdziwe srebro?

— Prawdziwe srebro!

— A dukaty?

— Jakie dukaty?

— Czy szukali dukatów ci wiergułowie?

— Ha, pewnie, że szukali!... I znaleźli!... Ho, ho!... Sporo dukatów!

— Co z nimi zrobili?

— Przepili i zeszli na dziady...

— To wy też chcecie zejść na dziady?

Starzyk popatrzył bystro na małego Francika i pokiwał głową. Potem jednak rzekł:

— Już jestem dziadem!... Owsiany placek tylko jadam, ziemniaki bez omasty...

Przyszła matka z pracy, gdyż była wyrobnicą i po całych dniach pracowała u gazdów góralskich, gdzie przędła, międliła len, darła pierze, pełła liche zagony i okopywała ziemniaki. Wieczorem wracała do domu i gotowała wieczerzę.

— Czy to prawda, mamulko, co powiada starzyk? — pytał Wantuloszek.

— A co ma być prawda?

— O tych zakopanych skarbach i o wiergułach...

Matka machnęła ręką i dalej krzątała się koło pieca.

Matka była zagoniona, zaharowana, spracowana i cierpiała „na dychę". Często opierała się o ścianę i z trudem łapała dech. Potem spieszyła do roboty. O ojcu nie wspominała nigdy. Ojciec pojechał z chaśnikami w świat, bo w górach nie było chleba. Gdzieś za morze. Przychodziły od niego listy, czasem z listami jakieś skąpe pieniądze, a potem listy przestały przychodzić. Matka pisała listy do niego i każdy list zaczynała od tamtych dziwnych słów:

... Piszę do serca twego i pozdrawuję cię przez koszyczek wiśni, niech ci się moja miłość przyśni...

lecz bezskutecznie. Listy przepadały w odrapanej skrzynce na lipie, podobnie jak ojciec Wantuloszka przepadł gdzieś w dalekim świecie. Może w morzu utonął, może go węże ukąsiły i pomarł, może go gdzieś w bójce nożem zażgano, może... Eh, nie warto o tym myśleć. Tak to już dawno, że nie warto wspominać. Ojciec Wantuloszka umarł gdzieś w dalekim świecie i zbyte!... Pozostała bieda, owsiany placek, płone ziemniaki, najmilszy synaczek Francik i starzyk, opowiadający brednie o zakopanych skarbach i gniewający się na księdza proboszcza, że mu nie chce dać okapów ze świec na ołtarzu.

W opowiadaniach matki była troska, co jutro będą jedli, w opowiadaniach starzyka były skarby, wiergułowie, święcone okapki, jaroszki, nocznice i utopce. Czasem przyplątał się wąż Złotogłowiec ze złotą koroną na głowie, król wszystkich węży w Beskidach...

— Gdzie ten Złotogłowiec przebywa? — dziwił się Francik.

— W Goduli... W górze Goduli jest taka jama cała ze złota, a w tej jamie przebywa Złotogłowiec!

Ponieważ góra Godula była bardzo daleko i jej szczyt można było wprawdzie dojrzeć ze Złotego Gronia, lecz jakby zamazany i utopiony w niebieskawej mgiełce, przeto Wantuloszek machnął na niego ręką tak samo, jak to uczyniła matka, gdy jej opowiadał starzykowe bajdy o skarbach i święconych okapach.

— Trzy po trzy, a po żodnej nic! — dodawała jeszcze matka do tamtego machnięcia ręką.

— Trzy po trzy, a po żadnej nic! — pomyślał Wantuloszek, kiedy ze Złotego Gronia patrzył na Godulę, gdzie rzekomo Złotogłowiec królował.

Upływały dni jednostajne, przegradzane deszczami, burzami, słońcem, piorunami, a raz do roku wielkim śniegiem, który zamykał Wantuloszka w okopconej izbie. Nie mógł wychodzić na dwór, bo zapadał od razu w śnieg po pas, długa lniana koszula nie

---


NF
NF

chroniła go przed szczypiącym zimnem, a Olza bełkotała bardzo cichutko pod narosłym lodem.

Czasem z doliny przyłazili „panowie" z nartami, wstępowali do chałupy starego Wantuloka i prosili, by im sprzedać mleka.

— Nie ma mleka! — mawiał starzyk.

— Szkoda! A gdzie można by kupić?

— U gazdy Olszara! Tam na wykopie! . . .

— „Panowie" i „paniczki" — jak ich nazywał starzyk — szli do Olszara na wykop, a starzyk mruczał niezadowolony. Szkoda, że nie ma mleka! Zostałby jakiś grosz na sól, na tytoń! . . . Ha, jeżeli nie ma krowy, to nie ma mleka. A jeżeli nie ma mleka to jest bieda. A jeżeli jest bieda, to chyba zęby wbić w kamień i gryźć! . . .

Upływały więc dni jednostajne, a w życiu Wantuloszka nic się nie zmieniło. Tyle tylko, że rósł, że lniana koszula stawała się coraz krótsza, że w końcu matka przyniosła mu jakieś porcięta, wyproszone gdzieś u kogoś. Poza tym jego lniane włosy zaczęły ciemnieć.

Olza tylko wciąż bełkotała sennie, a las wciąż szumiał ponuro.

Młody nauczyciel z gruźlicą opowiadał mu o niesłychanych zdarzeniach, jakie działy się w świecie kiedyś i dzisiaj, a między innymi powiedział mu, że nazwisko Wantulok wywodzi się od kamienistego ugoru, który nazywa się w gwarze „wantułą". Potem jeszcze dodał: — Bo wasze życie niewiele się różni od kamienistego ugoru . . .



Dla Francika Wantuloka było to za mądre określenie. W końcu je zrozumiał i jakby po raz pierwszy pojął, że życie jego istotnie niewiele się różni od kamienistego ugoru. Placek owsiany, ziemniaki bez omasty, kasza, ziemniaki, owsiany placek! . . .

— Ile masz lat? — wszczął nauczyciel rozmowę z Francikiem, gdy siedzieli nad bełkocącą Olzą.

— Dziewięć . . . Jeszcze niecałe, ale na świętego Michała będzie dziewięć . . .

— Czym chciałbyś zostać?

— Wiergułą! Szukałbym skarbów, by się móc raz nareszcie najeść porządnie.

— Nie znajdziesz! . . . — uśmiechnął się blado nauczyciel.

— Ja wiem! — zawstydził się Francik. — Ja tylko tak mówię . . . To starzyk opowiada o skarbach . . .

— Więc powiedz tak szczerze, czym chciałbyś zostać?

— Górnikiem!

— Dlaczego?

Francik nie umiał powiedzieć, dlaczego chciałby zostać górnikiem. Wiedział, że pragnienie to powstało w nim w miarę słuchania opowiadań starzyka o wiergułach i gwarkach, że widział siebie takim gwarkiem, który czeka, dopóki mu wierguła swoim prętem leszczynowym nie wskaże, gdzie ma kopać. Wyobrażał sobie jak potem ima się pracy, jak zagłębia się w ziemi, jak grzebie w niej krecim sposobem, jak wydłubuje jakąś rudę . . .

Nie umiał tego nazwać, podobnie jak nie umiał powiedzieć dlaczego nęci go praca pod ziemią. Wyobrażał sobie niejasno, że jest w niej coś z tego tajemniczego świata, objawianego w czarnym lesie złotogrońskim i że jest w niej coś z tego szklanego bełkotu Olzy, cieknącej pod nawisłym brzegiem opodal starzykowej chałupy i że jest w niej coś z tej zuchwałości, z jaką zatrzymały się świerki na skraju stromego brzegu.

Świerki kołyszą się w wiechrze nad przepaścią, szumią wyzywająco, zapierają się korzeniami w kamienisty upłaz i jakby kpiły z głębiny, co pod nimi się czai . . .

— No a czego byś pragnął się nauczyć?

— Listy pisać! — rzekł Francik bez namysłu.

— Listy pisać? Nie rozumiem. Do kogo?

— Do matki.

— Dlaczego?

Francik już nie powiedział. Wiedział, lecz nie chciał powiedzieć. Czyż nauczyciel, mizerny człowiek, który niezadługo umrze, czyż taki człowiek zrozumie, czym są dla matki Francika listy? Matka Francika długo pisywała tamte listy z owym ślicznym wstępem: — Siadam do stołu mego, piszę do serca twego... Listy nie trafiały do serca Francikowego ojca, bo to serce z pewnością już dawno umarło. Listy wpadały do pordzewiałej skrzynki na lipie, wybierał je „poczciorz", zanosił na pocztę, walił po nich stemplem, a potem ciskał do worka z innymi listami i wiózł dychawicznym koniem do Wisły przez góry, doliny, przez przełęcz na Kubalonce. Po drodze wstępował do gospody Gazirka „na jednego". Ten „jeden" mnożył się a „poczciorz", gdy w końcu usiadł na koźle i śmignął konia batem, zaczynał śpiewać rzewną piosenkę o rechtorze, który musiał krowy paść, gdy rechtorka poszła do Cieszyna na jarmark. Śpiewał całą drogę, aż dojechał do Wisły. Tam oddawał worek z listami, między którymi był list matki Francika do ojca w dalekim świecie. List pojechał w daleki świat z tym pozdrowieniem przez koszyczek wiśni, lecz widocznie nie dojechał. Nie było bowiem odpowiedzi, ani na jeden, ani na drugi, ani na dziesiąty... Na wspomnienie o tym matka nieraz rozpłakała się i machnęła dłonią. Ona zawsze machała dłonią, gdy coś nie było po jej myśli, lub gdy uważała, że daremny trud... Nieraz jednak, gdy już kilka lat minęło, siadała za stołem, pisała list i zaczynała znowu od tamtych pięknych słów — „Siadam do stołu mego, piszę do serca twego, drogi Janiczku!" Potem urywała i zapatrzyła się przez okno w świat. Pióro wypadło z jej palców, palce zaś były grube, gruzłowate. Niedokończony list składała i ciskała w ogień pod blachą. Potem chodziła przez resztę dnia jak struta.

Mijał czas, a matka znowu zaczynała nowy list.

— Siadam do stołu mego, piszę do serca twego, mój Janiczku... — Janiczek był ojcem Francika.

Matka urywała pisanie na tym „Janiczku" i znowu wpatrywała się poprzez pelargonie i fuksje w daleki świat pozaokienny. Potem wzdychała, składała papier i ciskała go w ogień.

Skąd tu więc o tym wszystkim mówić na-



uczycielowi, zacnemu człowiekowi, lecz skazanemu na rychłą śmierć... On tego nie zrozumie, bo myśli jego są dalekie od myśli matki Francika.

Jego myśli są obełgane nadzieją, że wyzdrowieje, że pozbędzie się gruźlicy i że wróci do swojej szkoły. A jeżeli myśli są obełgane, skąd im do takich spraw, jak listy matki?... Ten zacny człowiek nie zrozumie i nie warto mu o tym mówić. Cóż mu z tego przyjdzie, jeżeli powie, że on, Francik, pragnie pisać listy do matki, które będą się zaczynały tamtym wzruszającym zwrotem:

— Siadam do stołu mego, piszę do serca Twego, droga Matko, i pozdrawiam Cię przez koszyczek wiśni, niech się moja miłość Tobie przyśni...

Nie powiedział więc i nauczyciel umarł na gruźlicę, nie dowiedziawszy się, dlaczego Francik Wantulok pragnie nauczyć się pisać listy. Umarł nie zaraz, lecz za jakiś rok i nie w Wantulokowej chałupie nad Olzą pod Złotym Groniem, gdzie śmierć jego byłaby żebracza, lecz gdzieś w dalekim świecie.

Śmierć nauczyciela nie poraziła Francika swoim brutalnym realizmem. Może dlatego nie poraziła, bo starzyk orzekł, że jeżeli nauczyciel umarł — to umarł. Jeden wcześniej, drugi później! Wielkie rzeczy! Każdy musi umrzeć!...

W dalekim świecie, poza górami, działy się owe straszliwe zdarzenia, a echo ich do-



cierało do Francika i jego matki widokiem ponurych żołnierzy w hełmach, znaczonych łamanym krzyżem, którzy brodzili czasami po skraju lasów i widokiem dziwnych ludzi, dziwnie poubieranych, w mundurach na wpół wojskowych, z czerwonymi opaskami na rękawie, uzbrojonych w karabiny i granaty. Ludzie ci wpadali po nocach do chałupy, zasypiali kamieniem, gdzie mogli, na podłodze, na strychu, w stodółce, poniektórzy czuwali na dworze, a nad ranem wymykali się w lasy.

— Kto wy jesteście? — zapytał ich, gdy pojawili się po raz pierwszy.

— Partyzanci!

Odtąd zapomniał o kopalni, o listach, o wszystkim, a rozmyślał o partyzantach. W końcu jednej nocy, a było to w lecie, poszedł z nimi i przepadł w lasach.

Na świecie działy się tymczasem wciąż straszliwe rzeczy, a głuche wieści o nich dowlekały się do matki Francika i nieciły grozę. Czasami było słychać metaliczny bełkot pod niebem i wtedy matka kryła się w lesie, bo wiedziała, że ten bełkot zwiastuje śmierć. Czasem było słychać daleki, uwiędły grzmot armat. Ów grzmot był także zwiastunem nagłej śmierci. Czasem wlekli się gromadami przez wieś żołnierze w kopulastych hełmach, zaglądali do chałupy i bełkotali coś o „bandytach" i „partyzantach". Oni to zabrali po kolei wszystkie owce i cuchnącego barana. Potem zaszyli się w lasy. Wtedy z lasów wylatywały świdrujące echa strzałów. Matka truchlała, gdyż wiedziała, że to strzały wymierzone w jej Francika. A razu jednego, podczas bezgwiezdnej nocy, słyszała kołujący warkot samolotu nad doliną Olzy. Potem warkot odpłynął na wschód, a do chałupy przyszli trzej dziwni żołnierze. Chcieli się dowiedzieć, gdzie się znajdują, lecz trudno było matce domówić się z nimi, bo choć mówili niby zrozumiałym językiem, język ten jednak był inny.

— Kto wy jesteście? — pytała, oglądając ich zdumiona.

— Spadochroniarze! — rzekł jeden z nich po polsku.

— Nie rozumiem!

Spadochroniarz wskazał na sufit i jął trzepocącą dłoń opuszczać do ziemi.

— Z nieba spadliście? — domyślała się matka.

— Z nieba . . .

— Wy ruscy?

— Ruscy . . .

Matka przenocowała ich do świtu, a następnie wyprowadziła ścieżynkami przez lasy w kierunku Baraniej Góry.

Rzekła im, że tam są partyzanci, a między nimi jej synek, Francik. Wkrótce potem ze wszystkich stron zaczęli iść żołnierze. Byli zmęczeni i zniechęceni. Zanurzali się w lasach i kopali jakieś rowy. Nazajutrz jednak odchodzili w kierunku Istebnej i Stożka. Później przyszli partyzanci. Zapytali się, dokąd poszli żołnierze i pośpieszyli za nimi. Rozszczekały się przeraźliwie strzały pod Kiczerą i Stożkiem. A w końcu, gdy strzały ucichły, przyszli inni żołnierze. Byli podobni do uzbrojonych drwali, którzy ścigają wilka. Przeszli dolinę Olzy i zanurzyli się również w lasach. A w końcu przyszedł Francik.

— Boże! Francik! — krzyknęła matka i patrzyła na swojego synka, jak człowiek patrzy przez szybkę mocno zakopconą. Widziała, że jej synek wyrósł, zmężniał, że trzyma jakiś cudaczny karabin w dłoniach, że patrzy na matkę i zmaga się ze wzruszeniem, a za nim stoją starsi wąsaci i kudłaci partyzanci, podobni chyba do Ondraszkowych zbójników.

— Synka wam, matko, przyprowadziliśmy! — rzekł jeden z nich, widać najstarszy, komendant chyba . . . — Dzielnie się spisywał. Teraz już po wojnie . . . Oddajemy wam synka! . . .

To wszystko działo się bardzo dawno.

Francik zasłuchał się w szum ciszy. Cisza wprawdzie nie powinna szumieć, lecz w kopalni szumiała, a zwłaszcza w pokładzie „Jana". Nie był to właściwie szum, tylko jakby wysoki, jęklawy, komarowy ton. Usypiał powoli każdego górnika, jeżeli zmęczony usiadł pod ociosem i zamyślił się chociażby przez drobną chwilę.

Francik nie usnął, aczkolwiek oczy mu się kleiły. — Gorol mi szłapie po oczach! — mawiała matka, gdy się jej oczy zaczęły kleić — przypomniało się Francikowi. Pomyślał, że gdy wyjedzie na powierzchnię, napisze list do matki. Matka pozostała pod Złotym Groniem i czekała na jego list, jak przez długie lata czekała na list od ojca. Nie doczekała się nigdy, lecz od Francika doczeka się. Gdy tylko wyjedzie na powierzchnię!

Obaj górnicy, Popieluch i Krużołek poszli po drzewo. Odchodząc powiedzieli:

— Siedź tu synku! Idziemy po drzewo!

— Pójdę z wami!

— Ni! Tu będziesz siedział, bo ma przyjść sztygar. Powiedz mu, gdzie jesteśmy. A gdyby miał co pilnego, niech na nas zaczeka!

Wantuloszek siadł przeto pod ścianę i czekał. I ledwie usiadł, przyszły z ciszy wszystkie tamte wspominki. Ujrzał w nich swój Złoty Groń, starzyka, zuchwały świerk nad urwiskiem, mieniącą się srebrem Olzę, hitlerowskich żołnierzy w kopulastych hełmach i obdartych partyzantów.

W partyzantce było piękne życie. Najczęściej siedział w bunkrze i gotował jedzenie. Partyzanci zaś chodzili na wyprawy. Wyobrażał sobie, że podobny był do tego Jasia z bajki, który siedział w jaskini zbójników, gotował im jedzenie, a zbójnicy wyprawiali się na zbójnikowanie. Partyzanci wyprawiali się na polowanie na hitlerowców. Czasem wracali wszyscy, czasem jednego lub dwóch brakowało. — Zginęli — mówili towarzysze, gdy Francik pytał się, czemu nie wrócił Kurzydło, albo innym razem Kulesza, albo jeszcze innym razem Michnik, Sołtyk i Rewenda.

Czasem zabierali go z sobą, lecz strzegli go jak oka w głowie. Gdy jednego razu natrafili na kilku hitlerowskich żołnierzy, Francika wsadzili do ogromnej dziupli w drzewie i kazali mu siedzieć spokojnie. Francik słyszał tylko strzelaninę. Gdy mu potem kazali wyjść z dziupli, usmarowanemu od próchna, widział tylko stratowane krzaki i jednego żołnierza leżącego tak, jakby spadł skulony z głową na podłożonym ramieniu.

Potem wrócili w dolinę Olzy i oddali Francika matce.

— Synka wam przyprowadziliśmy — rzekli. — Dzielnie się spisywał. Francik wiedział, że wcale się nie spisywał. Tyle tylko co gotował obiady i wieczerzę w bunkrze, czyścił karabiny i słuchał bajek piegowatego Halamy.

— Dwie dziurki w nosie i skończyło się! kończył każdą bajkę.

Istotnie tamta leśna bajka skończyła się, a rozpoczęła się nowa bajka. Ta nowa chyba się nie skończy. Jest w niej szumiąca cisza i spełnienie wiergułowych zaklęć starzyka. Tylko że zamiast złota, kopie węgiel.

Francik pomyślał, że wprawdzie nie kopie węgla, lecz pomaga kopać górnikom. Górnicy zaś poklepują go po ramieniu i powiadają:

— Tylko, synku, trzymaj się górniczego rzemiosła, a wyjdziesz na ludzi!

Francik już od roku „wychodzi na ludzi". Zdołał zmężnieć, głos mu jakby zgrubniał, chociaż niewiele, próbował już żuć tytoń, lecz dał spokój, bo mu nie smakował i naraził się tylko na śmiech, gdy pobiegł do zwaliska, by górnicy jego klęski nie widzieli. Raz już nawet próbował prowadzić wrębiarkę, ale przepędził go od niej sztygar Kubiczek. Nazwał go zasmolonym gizdem, a ze-





zowatemu Małyszowi przygadał mocno, twierdząc, że Francika naraża na wypadek.

— Jeszcze ma czas na wrębiarkę! — sarkał. — Niech tylko robi teraz swoje, a gdy się pouczy... Ale co tu gadać!

Gdy tylko wyjedzie na powierzchnię, napisze więc list do matki. Powie jej w nim o tym, jak się tu wszystkiego lękał, a najbardziej ciemności i ciszy, gdy mu wypadło wędrować samotnie przez dalekie chodniki, jak górnicy opowiadali mu niestworzone rzeczy o jakimś duchu Skarbniku, jak w końcu przyzwyczaił się do wszystkiego i że mu teraz dobrze.

Napisze także, że pomaga młodszym górnikom, którzy podstawiają wózki pod taśmy lub przenośniki, że czasem pomaga strzałowemu nosić torbę z nabojami, a czasem pląta się za mierniczym i biega z długą taśmą w chodniku. Innymi słowy jest jeszcze takim „posturkaczem" jak to określili górnicy, lecz tylko czekać, kiedy sztygar przydzieli go do lokomotywki. W lokomotywce jest taka jakby „szoferka", w której siedzi ślepy na jedno oko Baścik i gania po całym przekopie i w głównym odcinku. Lokomotywa wlecze za sobą kilkadziesiąt wózków z urobkiem pod szyb, a z podszybia ciągnie próżne wózki, które okropnie dudnią. Ich grzmot jest taki sam, jaki można słyszeć nad Baranią podczas największych burzy z piorunami. Powiedział sztygar, że gdy podrośnie i gdy się do reszty zżyje z kopalnią, przejdzie do górniczej szkoły. Sztygar powiedział, że będzie musiał zjeść sporo bochenków chleba, zanim stanie się prawdziwym górnikiem. Lecz i tego się doczeka, jeżeli go coś nie zje! Cóż by go miało zjeść? Duch Skarbnik? Głupstwo!

Ocknął się Wantuloszek, spojrzał bystro w głąb chodnika. Trzasnęły gdzieś drzwi, bo światło karbidówki chybnęło niespokojnie.

— Ktoś idzie! — mruknął i teraz czekał, kiedy w mroku pojawi się idące światełko. Pojawiło się, jakby wyłuskane z czarnej łupinki. Kołysało się i kroczyło miarowo.

— Sztygar — uradował się głośno.

Przyszedł sztygar i zapytał:

— Co tu robisz, Wantuloszku?

— Czekam na was.

— A gdzie kamraci?

— Poszli po drzewo!

— Acha! — mruknął i usiadł obok Wantuloszka. — Poczekam na nich!

Wyciągnął zamorusany notes i coś w nim pisał. Wantuloszek patrzył na jego rude wąsy, śmiesznie postrzępione.

— Wantuloszku! — odezwał się w końcu. — Masz ty matkę?

— Mam.

— A ojca?

— Nie mam. Gdzieś przepadł za morzem.

— Acha! To nic. Umiesz pisać?

— Pewnie, że umiem!

— To napisz dzisiaj list do matki, że od jutra będziesz pomocnikiem maszynisty na przekopie.

— Dobrze! Napiszę! A dziękuję bardzo pięknie!

— A jak to napiszesz?

— Że siadam do stołu mego, i piszę do serca waszego... i że ją pozdrawiam przez koszyczek wiśni? Prawda?

— Skąd wiecie? — zdziwił się Francik.

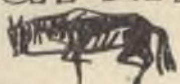
— Bo wiem!

I znów nastała szumiąca cisza. W ciszy siedzieli sztygar i Francik. Płomyk karbidówki sztygara syczał lekko, jak syczy zaskroniec na Złotym Groniu, gdy się przestraszy. Pod Złotym Groniem zaś, w mizernej chałupce czeka matka na list od Francika.

Wzdłuż Olzy jedzie na rowerze młody „poczciorz" i myśli sobie, że matka uraduje się listem. Matka odbierze list, nałoży okulary, stanie pod oknem i zacznie czytać: — Roztomiła Mamulko! Pozdrawiam Was przez koszyczek wiśni...



Koński drzik



WIKTOR SEMBOL

Opowiadania karwińskie z niedalekiej przeszłości

W Karwinie był kiedyś koński rzeźnik nazwiskiem Kapica. Ludzie jednak nie nazywali go Kapicą, ani też końskim rzeźnikiem, tylko ogólnie „drzykiem".

Kupował on konie, z których sterczały kości powleczone skórą. Były niezdolne do pracy i przeznaczone na rzeź. Kapica koni tych używał do wozu tak długo, dopóki jeszcze wlokły nogi za sobą. Kiedy koń nie potrafił już stać i upadł przy wozie, albo też nie wstał w stajni, wtenczas dopiero Kapica konia zarzynał. Mięso z takich koni sprzedawał dla karmienia świń, ponieważ ludzie na wsi końskiego mięsa nie jedli, aczkolwiek kosztował kg tylko 20 hal. (rok 1894), kiedy wołowe kosztowało 72 halerze, czyli 36 centów. Za skórę, którą sprzedał w garbarni, otrzymał więcej anileli on sam zapłacił za całego konia.

Kapica był znanym kpiarzem, dlatego też nie przejmował się tym, że nazywano go „drzikiem". Kpił sobie ze wszystkich, ponieważ interes ze zdechlinami — jak powiadał — szedł nieźle.

Zdarzało się, że kiedy Kapica jechał wozem, to koń, który go ciągnął przewracał się nagle i już nie wstał. Ludzie, którzy szli drogą, zatrzymywali się i ciekawi pytali o przyczynę upadku konia. Kapica, śmiejąc się, po-

Zwielokrotniony czas naszego życia

Nie dawajcie posłuchu tym, którzy radzą wam „zabijać czas" — wolny czas ludzki. Kiedyś, nie tak znowu dawno, mówiło się dość hojnie o tym „zabijaniu czasu". Dziś chyba nikomu z nas nie przychodzi ochota, aby tak właśnie czynić. Choćby i z tego powodu, że nikt nie ma tego czasu w nadmiarze. Wszak żyjemy w epoce szybkich przemian a czas przeżytych lat liczy się podwójnie, może nawet potrójnie w stosunku do okresu minionego. Żyjemy dłużej, bo intensywniej.

Na czym jednak polega to zwielokrotnienie naszego życia? Co wpływa na naszą postawę człowieka współczesnego, idącego z prądem czasu? Ktoś odpowie: życie rozsądne, zrównoważone, zgodne jednak z nakazem nowych dni. Robimy olbrzymie postępy w zakresie techniki przemysłowej, czy postęp ten widoczny jest jednak także w dziedzinie techniki i metodologii życia na co dzień? Czy żyjemy mądrzej, lepiej? Czy umiemy właściwie korzystać z tych dóbr, które daje nam natura? Czy potrafiliśmy zharmonizować kulturę pracy z kulturą wypoczynku? A wszystkie te sprawy mają przecież ścisły związek z podziałem czasu ludzkiego. Nie u każdego z nas podział ten jest celowy, właściwy. Ktoś obliczył, że człowiek w 80 roku, a więc taki, który przeżył 2.524,608.000 sekund — poświęca 26 lat, 312 dni, 18 godzin i 22 minuty na spanie, 21 lat, 95 dni, 14 godzin i 40 minut na pracę, 6 lat, 116 dni, 14 godzin i 10 minut na... złoszczenie się (!), 5 lat, 346 dni, 5 godzin i 12 minut na jedzenie, 5 lat, 302 dni. 16 godzin i 45 minut na... czekanie etc. Można by tak dokładnie ustalić ile zużywamy czasu na... wciąganie butów, przeglądanie się w lustrze czy tańczenie.

W systemie gospodarowania czasem indywidualnym i społecznym istnieje jeszcze dużo luk i błędów, stanowiących odbicie złej, nie celowej metodyki życia. Człowieka wyzwolonego z nałogu marnotrawstwa czasu cechuje zawsze umiejętność widzenia siebie na tle społeczności. Taki człowiek skierował swą energię intelektualną i emocjonalną jednocześnie na te treści, które wpływają na podnoszenie jego poziomu kulturalnego. Pod pojęciem zaś „kultura" rozumieć należy nie tylko formy artystycznej działalności, ale całokształt spraw kształtujących naszą sylwetkę człowieka nowoczesnego w szlachetnym tego słowa rozumieniu.

Wiąże się to w oczywisty sposób — z tym co jest wizją człowieka jutra — ograniczeniem czasu pracy do sześciu czy nawet pięciu godzin. Nie po to, by wolny czas, to jest dziewiętnaście godzin na dobę, przeznaczać na spanie i egoistyczną nudę, ale po to, by stale, podnosząc swój

poziom kulturalny i myślowy, zdobywać właściwą pozycję w świecie, godną człowieka nowej epoki. Nie da się przy tym oderwać tych spraw od ogółu zjawisk, związazanych z postępem, z adaptacją tych treści, które tworzą kształt nowego życia.

Z przeszłości znamy ludzi, których czyny zasługują na szczery podziw. Gdy jednak przeanalizujemy ich życie, stwierdzić musimy, że byli to genialni organizatorzy czasu przez co stali się tytanami pracy.

Oto jeden z nich zapytany jakim sposobem znajduje czas i na pracę i na rozrywkę odrzekł:

„**Wszak do worka zupełnie zapełnionego orzechami można jeszcze dodać pół worka ryżu...**" Istotnie, w naszym życiu są jeszcze godziny martwe, puste, które trzeba wypełnić żywą, pulsującą treścią. A to wielka sztuka życia.

Im więcej w danym społeczeństwie znajduje się jednostek świadomych tego stanu rzeczy, tym zwartszy, solidarniejszy stanowić będą front w walce o jak najlepsze, społeczne gospodarowianie czasem, który — według określenia Lenina — jest wartością bezwzględną.

Analiza naukowa doprowadziłaby nas do interpretacji czasu zupełnie różnej od doświadczeń życia codziennego. Niestety teoria czasu życia codziennego nie znalazła się jeszcze w sferze zainteresowania ludzi nauki. A przecież jest to zagadnienie kapitalne. To też nie pokpiwajmy sobie z felietonisty, który pół żartem pół serio zaproponował utworzenie Departamentu Statystyki Straconego Czasu. Sądzę, że taki departament miałby sporo roboty w każdym kraju.

Ileż to bowiem godzin traci niepotrzebnie każdy obywatel na skutek choćby biurokracji. Ilu to bezdusznych ludzi z urzędowego okienka zabiera innym czas bezpowrotnie, czas, który jest wartością zarówno indywidualną, jak i społeczną. Zagadnienie więc umiejętnego gospodarowania czasem ludzkim pozostaje w najściślejszym związku z organizacją życia indywidualnego i społecznego. Jeśli tej sztuki nie posiadamy, jeśli nie przejawia jej społeczność, w której żyjemy, trudno mówić o właściwej gospodarce czasem ludzkim. Weźmy choćby problem zmęczenia u ludzi pracy oraz związaną z nią sprawę należytego wypoczynku. Człowiek ścięty troskami zmęczenia nie może uchodzić za pełnowartościową jednostkę. Bo tylko czas u człowieka zdrowego, pełnego energii i optymizmu jest właściwą miarą życia. I tylko taki człowiek będzie wykonywał swoją pracę radośnie i dobrze.

Praca! Ile razy powtarzamy to słowo w dzień powszedni i na święto. Ile nasuwa skojarzeń i myśli. Rzadko jednak zastanawiamy się na tym, jak wyzłaca ona i bogci nasze życie. Pod jednym jednak zasadniczym warunkiem. Jeśli wykonujemy ją z wewnętrznej potrzeby, jeśli zrozumiemy ją nie tylko jako czynność konieczną dla podtrzymania życiowej egzystencji, z jej rozlicznymi potrzebami, ale także jako funkcję społeczną. To wielkie zaangażowanie się emocjonalne daje wiele twórczej radości, każe nam naszą pracę wykonywać lepiej, precyzyj-

wiadał: Bestia pańska dusza do niego wlazła, nie chce iść piechotą, muszę go zatem zawieźć do domu.

I poszedł Kapica do domu, przyprowadził drugą szkapę, która nie była lepsza od pierwszej i zaprzągnął ją do wozu. Z pomocą swoich znajomych, którzy przypadkowo znaleźli się na miejscu wypadku, nałożono ledwo żyjące zwierzę na wóz i Kapica odwiózł je do domu, gdzie natychmiast zarznął.

Pewnego razu jechał ze swoją szkapą po głównej drodze w Karwinie. Obok drogi stała kiedyś gospoda Hummel, do której Kapica nigdy nie omieszkał wstąpić na kwaretkę. I tym razem, jadąc koło gospody zostawił szkapę i wstąpił do szynku. Pozostawienie konia bez dozoru było wzbronione. Kiedy policajt Topiarz, przechodził drogą, widząc samotnego konia i wiedząc do kogo należy, poszedł za Kapicą do szynku. Kiedy ujrzał „drzyka" popijającego ze swoimi kamratami, podszedł zaraz do niego i powiada: Kapica, wiecie o tym, że koń na drodze bez dozoru stać nie śmie? Jakby tak ktoś do niego się zbliżył a ten uderzy go kopytem, co z tego będzie? Ja wam tego konia zabiorę, jak zaraz nie odjedziecie.

— Wiym o tym, wiym, panie wachmajster, ale ta besTia je tak leniwo, że mu się ani kopyta nie chce dźwignąć, a oczy to ma ciągiem zawrzyte, jak nowo narodzone dziecko. Jeśli nie chcą wierzyć czy jo powiadóm prowde, idą gó pomacać pod ocasym.

Goście w gospodzie, którzy słyszeli, jak sobie Kapica pokpiwa z policjanta, parsknęli śmiechem. Obrażony policjant krzyknął na Kapicę:

— Kapica, albo pujdziecie zaraz ku kóniowi, albo zabiorę was razem z koniem!

— Panie wachmajster — powiada Kapica, uśmiechając

się przy tym — ja ku koniowi nie pójdę, a konia mi też nie wezmą, bo koń jest w masztali a to co stoi na polu jest kobyła. To powiedziawszy wyszedł na pole, wsiadł na wóz i odjechał.

Policjant bardzo się rozgniewał, że go Kapica tak wykpił.

Za parę dni otrzymał Kapica wezwanie na urząd gminny, nie wiedząc, po co go tam wołają. Kiedy przyszedł na gminę, za stołem siedział burmistrz i trzech radnych gminnych. Burmistrz zobaczywszy Kapicę, wyjął z biurka akt, który był doniesieniem policjanta i czytał:

„Kapica Franciszek w dniu tym a tym zostawił konia bez dozoru przed gospodą Hummla. Kiedy strażnik gminny, Topiarz, zwrócił Kapicy na to uwagę to ten zamiast usłuchać strażnika i pójść ku koniowi, wykpił go, dopuszczając się obrazy osoby urzędowej, więc za karę zapłaci jeden reński do gminnej kasy ubogich. Czy wyrok Kapica przyjmuje?"

— Ale przyjmuję, przyjmuję, panie burmister, i zaroz zapłacę. Z panym bogiem — powiada Kapica — będąc zadowolony, że cała sprawa z policjantem tak się skończyła.

WIKTOR SEMBOL

niej z świadomością, że jest ona cząstką jakiegoś globalnego wysiłku człowieka, realizującego gigantyczny plan uczynienia życia całej społeczności ludzkiej jaśniejszym, lepszym, doskonalszym. Praca ludzka jest więc nie tylko czasem i wysiłkiem (fizycznym i intelektualnym), przerabianym dla zapewnienia sobie egzystencji. Dziś zdążamy do tego, aby wyzwolić ją z tych, naturalnych co prawda, ale zbyt wąskich ram, determinowanych — tą koniecznością. Człowiek współczesny, stojący przed coraz to bardziej skomplikowanymi zjawiskami życia, współuczestniczący w rozwoju techniki i kulturalnego postępu, musi związać swą pracę zawodową z pracą samokształceniową i samowychowawczą. Musi doskonalić nie tylko swój warsztat ale i samego siebie. Wysiłek ten składa się z trzech podstawowych elementów: świadomości, woli i pozytywnego stosunku do otoczenia. Inaczej: wyzwolenia się z egoistycznych tylko siebie widzących pobudek czy nacisków. Rzadko uświadamiamy sobie jak te wszystkie elementy na siebie zachodzą, podnosząc wartość życia jednostki w społeczności ludzkiej. Im praca nasza ściślej związana będzie swymi korzeniami ze społecznym widzeniem jej sensu, tym więcej doskonalić się będzie nasza sylwetka moralna, co ma oczywisty, choć najczęściej niedoceniany, związek z naszym zdrowiem fizycznym.

Czas przyszłości a będziemy go mieli -- wbrew pesymistom — coraz więcej, zwiąże się więc ściśle z naszą pracą, pojętą jednak szerzej, bo uściśloną z treścią i celem naszego życia. Ten czas — wolny czas — stanowi już dziś główny problem współczesnej kultury, wiążąc się w logiczny sposób z narastaniem nowych kształtów widzenia świata w społecznościach ludzkich. Od nas w dużej mierze zależy jak ten proces przebiegać będzie: szybciej czy wolniej, czy wąskie patrzenie na zjawiska życia zastąpimy szerokim spojrzeniem, ogarniającym cały kompleks spraw związanych z dobą współczesną i przyszłą.

Niech przeto ożyją w nas te treści, które tworzą bujność życia, które poszerzają to życie i pogłębiają, zbliżając do upragnionego celu, jakim jest szczęście jednostki, osiągane w sojuszu z troską o innych, o dobro społeczne, o te treści, które tworzą wspólne, ogólnoludzkie cele.

WŁADYSŁAW MERCZYŃSKI

Wejście do portu Gdynia. →

Zdjęcie to otrzymało I nagrodę na wystawie Fotografii Marynistycznej w Warszawie.





Fidel Castro przemawia do Kubańczyków

Nicolas Guillen
poeta kubański

Nie wiem, żołnierzu . . .

Nie wiem, żołnierzu, czemu ty
myślisz, że wróg
to właśnie ja.
Jesteśmy jedno,
mój żołnierzu,
i ty, i ja.
Jesteś ubogi, tak jak ja,
jestem na dole, tak jak ty,
skąd dziwny pomysł,
czemu ty
myślisz, że wróg to właśnie
ja?
Żal mi, że czasem właśnie ty
nie wiesz, kim jestem
właśnie ja.
Do diabła! Ja to właśnie ty,
a ty to przecież właśnie ja.
Spotkamy się i ja, i ty
idąc ulicą ramię w ramię,
idąc już razem, ty i ja,
bez żadnych uraz, ja i ty,
a wiedząc dobrze, ty i ja,
dokąd idziemy, ja i ty . . .

A. TREPKA

O WOLNOŚĆ KUBY

Spośród całej plejady Polaków sławnych w świecie, których nazwiska są w kraju niedoceniane bądź zgoła nieznane, wyłania się piękna, płomienna postać Karola Rolow-Miałowskiego — Polaka, który wywalczył niepodległość Kuby.

Doprawdy, ogarnia przykre zdumienie, że w tylu publikacjach wyrażających naszą solidarność z krajem Fidela Castro, przy omawianiu historii walk wyzwoleńczych Kuby, brak bodaj wzmianki o jednym z największych bohaterów narodowych tej wyspy, Polaku-Kubańczyku Miałowskim.

19 maja 1907 r. nie bacząc na wzrastający tropikalny upał, przed gmachem parlamentu w Hawanie zgromadziły się nieprzeliczone tłumy. Krótko przed południem, przy dźwiękach werbli, najwyżsi dostojnicy państwowi nieśli po schodach trumnę spowitą w narodowy sztandar kubański. Tłum ruszył w kierunku cmentarza. Kiedy nad grobem zagrzmiały salwy, według świadectwa ówczesnego kronikarza rozległ się powszechny szloch. Jeszcze przez kilka godzin przepychali się w to miejsce ludzie wszystkich zawodów, aby złożyć wiązki kwiatów. Wielu klękało, ze czcią całując świeżo zruszoną ziemię.

Aby nie było wątpliwości, że pod bluzą kubańskiego generała do ostatniego tchnienia biło polskie serce, warto przytoczyć jego słowa wypowiedziane do najbliższych przed zgonem.

— Nie zapomnijcie, że urodziłem się Polakiem.

Obok Kościuszki i Pułaskiego, obok Ernesta Malinowskiego, który rozgromiwszy flotę hiszpańską pod Callao ocalił niepodległość Peru — Karol Rolow-Miałowski należy do tych nieustraszonych polskich bojowników, którzy w smutnych czasach porozbiorowych ponieśli za ocean buntownicze serca, by walczyć „za naszą wolność i waszą."

Karol Rolow-Miałowski urodził się 26 sierpnia 1842 roku w Królewcu. Ojciec, kombatant powstania listopadowego, wprawdzie osierocił pięcioletniego chłopca, ale musiał w domu pozostawić głęboko zakorzenione tradycje polskich walk wyzwoleńczych. Wskazuje na to całe życie Karola, który za oceanem zachował serdeczną pamięć swej dalekiej Ojczyzny oraz nieposkromioną nienawiść i pogardę dla ciemiężycieli ludów.

Mając 15 lat znalazł się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i niezwłocznie nawiązał ścisły kontakt z przywódcami rewolucyjnego nurtu powstańczego. To wydarzenie w życiu młodzieńca zapoczątkowało długie pasmo czynów, tak romantycznych i zadziwiających, że już dla tego współczesnych urastały do miary legendy.

Chrzest bojowy otrzymał w wojnie stanów północnych z Południem, dosługując się oficerskiego stopnia w oddziałach generała Willicha — w osiemnastym roku życia.

Swą późniejszą przybraną ojczyznę, piękną wyspę Kubę, ujrzał pierwszy raz w 1866 roku. Musiała urzec go do głębi urokiem ludzi i tragizmem dziejów, bo niewzruszenie pozostał jej wierny przez całe życie. Wkrótce po przybyciu na Kubę wszedł do kierownictwa patriotycznej grupy, przygotowującej powstanie narodowe przeciw Hiszpanom. Z zapałem organizując akcję zbrojną, w dwa lata później nakłonił towarzyszy do przyśpieszenia planowanego uderzenia. Jako pierwszy, wyruszając z oddziałem w pole, dał hasło do powszechnej walki. Wkrótce Rolow-Miałowski daje się poznać nie tylko jako odważny żołnierz, lecz także jako wybitny strateg i organizator. Błyskawicznie awansując, otrzymuje stopień generała-majora i dowództwo drugiej dywizji powstańczej. W najtrudniejszych sytuacjach, kilkakrotnie zastępuje naczelnego wodza.

Wtedy dokonuje rzeczy zdumiewającej, która da się porównać chyba tylko z triumfalnym pochodem tysiąca garibaldczyków przez południowe Włochy. Mimo druzgocącej przewagi wroga, Rolow-Miałowski stacza liczne zwycięskie bitwy. Staje się nadzieją narodu kubańskiego i postrachem najeźdźców.

Oswobodza wreszcie cały kraj, wkracza do Hawany i ogłasza wolną republikę Kuby. Rezygnując z ofiarowanych mu stanowisk w rządzie, bohaterski generał przystępuje do pospiesznej reorganizacji armii. Hiszpanie nie chcąc bowiem dopuścić do utraty jednej z najbogatszych kolonii, kierują tam z byłej metropolii doborowy i świetnie wyekwipowany korpus ekspedycyjny.

Zadając ciężkie straty najeźdźcom, żołnierze kubańscy dowodzeni przez Polaka bronili swych praw do wolności przez całe dziesięć lat. Wreszcie ulegli przemocy, a sztab wojskowy, rząd i inni działacze patriotyczni udali się na wygnanie do różnych krajów Ameryki Łacińskiej.

Znalazłszy się w Hondurasie, Rolow-Miałowski wchodzi w skład tamtejszego rządu. Wkrótce żeni się z córką prezydenta republiki — Gardioli. Powszechnie lubiany i ceniony, ma tu wprost nieograniczone możliwości. Ale ten luksusowy, cieplarniany spokój nie dogadza jego żołnierskiej naturze. Porzuca zbytek i splendory, lądując wraz z ukochaną żoną w Stanach Zjednoczonych. Natychmiast gromadzi wokół siebie przebywających tam patriotów kubańskich. Inni przybywają na jego apel z krajów Ameryki Południowej. Tworzy Komitet Wyzwolenia, który jednogłośnie powierza mu misję opracowania i realizacji zbrojnego powstana na Kubie.

Cukelbal

Gustaw Przeczek

Opowiadanie

Chlastała wrócił tym razem jakiś inny z roboty. Rozpoznała to od razu jego zacna połowica.

— Co ci zaś na nos siadło, Francek? — zagadnęła.

Francek podrapał się zafrasowany poza uchem, gdzie zawsze niesforny kosmyk włosów tworzył jakby pokos zeschniętych badyli.

— Dyć wiesz, że w sobotę jest cukelbal...

— No i...

— Ty sobie tylko swoje: „No i..." — a ja muszę... a dla mnie to nie jest takie proste jak dla ciebie...

— Żeś safandula, to wszyscy wiedzą.

Dotknęła go w najczulsze miejsce. Ile już najadł się w hucie upokorzenia. Zawsze o niego obijają najpaskudniejsze wyrażenia. U kamratów jest ofermą, pańskim przychlastkiem i lizuniem, a przecież cóż on złego robi. Nikomu nie włazi w drogę, do kościoła chodzi, panów pozdrawia nisko — to prawda, ale z panami zawsze trzeba pięknie, aby się nie pogniewali — konkludował i sam szukał usprawiedliwienia na swe postępowanie. Co oni od

niego chcą. Do żadnego związku nie pójdzie, mogliby się na niego pogniewać panowie...

— Z duchami mówisz? — rozeźliła się na niego prawowita małżonka Genowefa widząc jak patrzy w miskę z wodziónką, nic je, ale coś rusza wargami i okrutnie marszczy brwi.

— A to ci breweria z chłopem — doziarowała jeszcze bardziej, zła już całkiem. — Tak jedz, albo powiedz coś mądrego...

— No bo chłopi mówią, że nie pójdziemy na ten cukelbal, że oni mamlasów z siebie robić nie będą, aby panowie mieli radość...

Żona spojrzała na niego uważnie.

— Wiesz, że mają prowde... Mómy tam iść na wyśmiych i klepać tam na tych cuklach?

— No a co panowie, kiej nie przyjdziemy...

— — — — — —

U Szancera wszystko było przyrychtowane. W koloniach nad Olzą, na Folwarku i na Borku przygotowywano na bal cukle, ale jakiś niepokój tłumił karnawałowy nastrój cukelbalu.

Cukelbal odbywał się co roku. Panowie przychodzili zazwyczaj na chwile, pokazywali swój przepych, by wykazać tę straszliwą przepaść od lakierek do cukli drewnianych i odeszli, a robotnicy zalewali robaka toczącego ich serca, w których nagromadził się ciężki osad swej nicości i upodlenia. Każdy czuł to samo, lecz nikt tego nie potrafił wypowiedzieć.

Szynk był pełny ludzi i dymu. Lampa świeciła pod sufitem blado jak słońce przez gęsty koc mgły. Obraz cesarza pana wiszący na przeciwnej ścianie był niewidoczny. Panował tu nieopisany gwar, przetykany pijackimi wykrzykami.

Lało się piwo i wódka, tworząc kałuże na metalowej płycie szynku. Kelner uwijał się spocony.

Wśród mieszkańców wyspy, gdzie panoszył się nieludzki terror hiszpański i działała liczna i świetnie wyposażona armia okupacyjna, nikt nie myślał realnie o możliwości zrzucenia jarzma niewoli. Z punktu widzenia trzeźwej logiki i wojskowej kalkulacji była to rzecz zgoła niewykonalna. Tylko bezgraniczne zaufanie, jakim przywódcy emigracyjni darzyli Rolow-Miałowskiego, sprawiło, że plan ataku na wyspę został w ogóle przyjęty.

W Stanach Zjednoczonych werbowano jeszcze w całej pełni ochotników kubańskich, kiedy 25 lipca 1895 r. Rolow-Miałowski z małym oddziałem zapaleńców wylądował na południu wyspy. Pod osłoną tropikalnej nocy, generał natychmiast przystąpił do realizacji śmiałego zadania. Chodziło w pierwszym rzędzie o zdobycie zapasów broni, łącznie z artylerią, oraz o złamanie pewności siebie okupantów. Atak został uwieńczony pełnym powodzeniem. Wykorzystując zaskoczenie, Rolow-Miałowski ze swym oddziałkiem dosłownie rozsiekał cały pułk hiszpański, zdobył komplet jego uzbrojenia a nielicznych jeńców puścił wolno, aby dotarłszy do swoich dali świadectwo rozmiarom pogromu.

To ostatnie, psychologiczne posunięcie, okazało się zbawienne w skutkach. Wśród Hiszpanów odżyła pamięć klęsk ponoszonych ongiś z rąk „strasznego Polaka". Nie dając ochłonąć przeciwnikowi Miałowski niezwłocznie uderzył na okoliczne zgrupowania nieprzyjaciela i opanował znaczny teren. W oparciu o dużą siłę ognia zdobycznej artylerii, obronił się nawet przed zmasowanym atakiem ściągniętych przeciw niemu głównych sił hiszpańskich na Kubie. Werbując ochotników, którzy garnęli się do szeregów powstańczych, utrzymał zajęty obszar do chwili wylądowania na wyspie dalszych oddziałów uformowanych w USA. Wtedy przystąpił do zorganizowania zaplecza.

Było to nadzwyczaj rozważne posunięcie, które zadecydowało o wyniku kampanii. Rolow-Miałowski okazał się niezrównanym organizatorem. Powołał sprawnie funkcjonującą administrację, w szybkim tempie uruchomił fabryki prochu i zakłady budowy armat. Dzięki uformowaniu i zaopatrzeniu w sprzęt doborowych oddziałów saperskich, odbudowano drogi i mosty, uruchomiono kolejowe linie i pocztę. Podczas gdy w zachodniej części wyspy zajętej jeszcze przez wroga, żołnierze hiszpańscy ginęli z głodu, a szerzące się epidemie dziesiątkowały ich szeregi, na wschodzie, pod władzą powstańców, panował wzorowy ład i porządek, a rewolucyjny żołnierz był dobrze zaopatrzony, miał zapewnioną opiekę sanitarną i pobierał regularny żołd.

Na wyzwolonych terenach utworzył się rząd, w którym Rolow-Miałowski objął stanowisko ministra wojny.

Gdy z Hiszpanii przybywa silna armia, Polak wyrusza do USA dla zdobycia ludzi i środków wśród tamtejszej emigracji kubańskiej.

Cieszący się już sławą bohatera narodowego, Rolow-Miałowski zostaje przyjęty z niebywałym entuzjazmem.



Stolica Kuby — Hawana widziana z samolotu

Pospiesznie wypełnia misję. Zaokrętowawszy spory oddział ochotników, 14 lutego 1897 r. ląduje na Kubie. Oceniwszy sytuację jako bardzo trudną, w dodatku pogarszającą się koncentracją wojsk hiszpańskich, w kilka godzin po wylądowaniu wydaje nieprzyjacielowi walną bitwę, frontalnym atakiem nacierając na główny trzon armii wroga. Krótko ważyły się losy republiki. Na polach pod Banes Hiszpanie ponieśli tak druzgocącą klęskę, z której możliwością w ogóle się nie liczyli, że zaniechali dalszego oporu i pospiesznie opuścili wyspę. Kuba była wolna.

Wkroczene Karola Rolow-Miałowskiego do Hawany na czele zwycięskiej armii powstańczej przypominało triumfalne wjazdy rzymskich cezarów. Lud kubański, rzucając najpiękniejsze kwiaty pod stopy swego bohatera, domagał się przyjęcia przez niego dyktatorskiej władzy. Rolow-Miałowski, demokrata i żołnierz rewolucji, nie zgodził się. W nowym rządzie przyjął stanowisko ministra skarbu, sprawując je do śmierci.

Kompletna nieznajomość tej porywającej postaci w naszym kraju jest doprawdy zawstydzająca. Może spowodowało to określenie Miałowskiego w niektórych źródłach

Koło drzwi siedzieli towarzysze Metalowcy przy kuflach piwa i śledzili cuklarzy. Ilu ich się zejdzie dzisiaj. Ciekawość była duża.

Od drzwi do sali prowadziła wąska nawa, którą musieli przebywać cuklarze wydzwaniając na posadzce swój śmieszny stukot.

Każdy szedł inaczej jakby to było częścią jakiegoś z góry przewidzianego rytuału.

Pyrka był wygolony, w kusym surducie. Wysoki kołnierz zmuszał go do zadzierania w górę głowy. Swymi długimi i cienkimi jak dwa patyki nogami wystukiwał rytm paradnego kroku. Pokręcał przy tym wąsa jakby się chciał nim poszczycić...

Kartel, gruby i czerwony na gębie toczył się niby dynia wąskim przejściem, a za

nim wystraszona żona, drobniuteńka i chuda, dryndała za nim jak przyczepka. Nie spojrzała ni w lewo, ni w prawo. Pan Kartel to przecież prawa ręka majstra, bez niego nie może się odbyć cukelbal. Każdy majster wśród tłumu szuka swych ludzi, na których może polegać.

Chlastała wszedł śmiało, z podniesioną głową, ale kiedy przestąpił próg i owiał go dym i opary, stracił odwagę. Jego oczka wiecznie niespokojne zaczęły biegać po twarzach zebranych. Znowu czuł się ofermą, który nie ma swojego zdania i daje się ciągnąć przez innych. Za nim przeciskała się jego żona, o głowę wyższa, rezolutna, która starała się utrzymać powagę.

Na jego widok kamraci od stołu przy drzwiach wstali i prowadzili go oczyma. Spojrzenie ich wypromieniowały resztę jego pewności siebie. Skurczył się. Plecy jego jeszcze bardziej się zaokrągliły jak przy wielkim wysiłku.

Wtedy ktoś się zaśmiał, a śmiech ten stał się zaraźliwy. Śmiali się wszyscy, chociaż nie znali powodu trzymając kieliszek wódki w górze, lub odsuwając kufel piwa od ust. Na wąsach i na wargach, na czubku nosa pozostała jeszcze biała piana, której nie zdążono szerokim ruchem ręki zetrzeć.

Chlastałowa zatrzymała się, potem odwróciła.

— Chodź nazod — rzuciła do męża — i z miejsca zawróciła.

Francek Chlastała zatrzymał się.

— Genowefko! ...

Chyba nie dosłyszała ... Wkrótce zniknęła w drzwiach.

A on stał niezdecydowany ... Ponad nim unosił się śmiech ...

GUSTAW PRZECZEK



O rozmiarach potężnej śruby okrętowej świadczy powyższe zdjęcie. Jest to śruba pierwszego polskiego 19-tysięcznika „Profesor Huber.“ Waga statku wynosi sześć tysięcy ton.

jego pseudonimem z czasów pierwszej kampanii — Karol Rolow Hass ... Podpisywał się Karol Rolow-Miałowski, z zachowaniem polskiego „ł“. Każde dziecko kubańskie wie, że był Polakiem.

Na cmentarzu Kolumba w Hawanie zawsze świeże kwiaty zdobią grób człowieka, który wywalczył niepodległość Kuby. Podczas świąt państwowych pełnią przy nim wartę honorową żołnierze Fidela Castro, którego zwycięstwo nad tyranią nosi znamiona uderzających podobieństw z drogą Karola Rolow-Miałowskiego.

ANDRZEJ TREPKA

JÓZEF MAZUREK

Młody płomień

Czas, jak wielka rzeka, przynosi wciąż nowe wydarzenia i zaciera ślady tego co było, co pozostało już daleko za nami. Najszybciej nikną ślady wydarzeń, które nie odnotowało pióro kronikarza. Tym więcej jesteśmy winni pamiętać o tych, którzy sami nie mogą się o tę pamięć upomnieć, bo polegli w walce z okupantem.

Wciąż odkrywamy nowe nazwiska, za którymi kryje się bohaterstwo, odwaga, poświęcenie i trudna śmierć.

W tym krótkim szkicu chciałbym przypomnieć jednego z pierwszych organizatorów ruchu oporu na Śląsku Ciesz. — Karola Pszczółkę z Trzyńca-Łyżbic. Wojna zastała go jako 18-letniego studenta Szkoły Przemysłowej w Karwinie. Był synem hutnika trzynieckiego, zapalonym harcerzem. W szeregach harcerskich hartuje i pogłębia wrodzone zalety charakteru: sumienność, koleżeńskość, odwagę i poczucie patriotyzmu.

1 września 1939 roku Karol Pszczółka wraz z kilku jeszcze kolegami-harcerzami udaje się do Górek Wielkich, gdzie znajdował się ośrodek harcerski. Stąd przez Kraków i Stanisławów przedostaje się do Budapesztu, gdzie w ośrodkach emigracji ukończył 4 klasę Szkoły Licealnej i zdał maturę.

Z tamtąd powędrował do konspiracyjnej szkoły oficerskiej w Szikszo koło Budapesztu, gdzie przygotowywano kandydatów do walki konspiracyjnej z okupantem hitlerowskim.

Po 9 miesiącach przeszkolenia, w czerwcu 1940 roku zostaje skierowany na teren Śląska Cieszyńskiego. Wysłano sześciu ludzi, na miejce przeznaczenia dotarło tylko dwóch, między nimi Pszczółka, resztę wyłapało gestapo i hitlerowski kontrwywiad.

Pszczółka przyszedł na Śląsk zmieniając całkowicie



Karol Pszczółka w konspiracji

swój wygląd. Włożył okulary, których nigdy nie nosił, zmienił fryzurę, zapuścił wąsika. W pierwszej chwili nie poznali go nawet rodzice, których odwiedził.

Już po kilkunastu dniach pobytu w stronach ojczystych skontaktował się z ludźmi należącymi do ruchu oporu.

Byli między innymi:

Antoni Szczotka z Koszarzysk, górnik z kopalni 1 Maja. Aresztowany w kwietniu 1940 roku przy pierwszej obławie hitlerowskiej, zbiegł z transportu i ukrywał się w górach jabłonkowskich tak długo aż związał się z grupą partyzantów. Poległ w styczniu 1944 r. w walce z gestapowcami w Nieledwie koło Żywca.

Dalej był to Jan Sikora z Łomnej Dolnej, zwany „Kurzyszek", hutnik. Miał on dużo znajomości i kontaktów. Poległ miesiąc przed wyzwoleniem. Jan Klus, pseudonim „Bojko", z Bystrzycy, brał udział w kampanii wrześniowej, w listopadzie 1939 roku ucieka z niewoli niemieckiej z lagru jenieckiego w Norymberdze, walczy później w Batalionach Chłopskich. W r. 1943 wpada w ręce gestapo. Wytrzymuje katusze przesłuchiwań. Dzieli los więźnia obozów koncentracyjnych w Bergen Belzen, Gross Rosen. Obecnie pracuje jako szofer w sanatorium jablonkowskim.

Duże usługi i cenną pomoc udzielał partyzantom Jan Fiedor, gajowy z Łomnej Dol., aresztowany w pierwszym tygodniu wojny wywieziony został do Niemiec, skąd zbiegł i przyłączył się do grupy partyzantów w Beskidach. Jako gajowy świetnie orientował się na wszystkich ścieżkach górskich. Fiedor po latach walki, tułaczki w chłodzie i głodzie doczekał wyzwolenia.

Do grupy tej należeli jeszcze Jan Probosz i Józef Haltof z Bystrzycy n. Olzą, którzy przede wszystkim troszczyli się o zdobycie aprowizacji dla partyzantów.

Do pierwszej narady partyzantów doszło w Łomnej koło Jastrzębiego Potoka u stóp Miąższu. Zapoznano się szczegółowo z terenem, to jest odnotowano wszystkie leśniczówki niemieckie i posterunki żandarmerii w okolicy, sporządzono spis osób niepewnych i wrogich, których należy unikać i takich, którzy sprzyjają partyzantom i są skłonni udzielić im pomocy.

Pszczółka skontaktował się z starym towarzyszem partii z Rychwałdu, tow. Wiktorem Borowcem a za jego pośrednictwem z grupą górników: Michałem Biegoniem, Woj-

ciechem Bobulą, Piotrem Najderem, Józefem Piątkiem i Franciszkiem Rudkiewiczem. Dostarczali oni grupie partyzantów materiał wybuchowy. Dwa lata później wszyscy zostali aresztowani i ścięci w Katowicach.

W dobrze zapowiadającej się organizacji konspiracyjnej musiał się znaleźć prowokator i szpicel niemiecki. Dnia 29 grudnia Karol Pszczółka wraz z Wiktorem Borowcem udali się do Śląskiej Ostrawy na tajne spotkanie przywódców konspiracji. Z Rychwałdu udali się przez zieloną granicę piechotą na teren Protektoratu. Już na drugi dzień zostali obaj aresztowani w jednym z hoteli ostrawskich. Po trzech miesiącach więzienia rozstrzelano ich w Morawskiej Ostrawie 3 maja 1941 r.

Z biura Sądu Wojennego ojciec Karola otrzymał urzędowy list, zawiadamiający o skazaniu i rozstrzelaniu syna przez sąd wojenny oraz list pożegnalny, w którym Karol między innymi pisze:

„Najukochansi rodzice, bracie i siostry!

Przyjmijcie ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia i całusy. Niestety jest to ostatnia wiadomość, jaką mogę Wam dać. Chcę podziękować Wam, drodzy Rodzice za opiekę nade mną. Nie starajcie się, nie martwcie się, że w tak młodym wieku odchodzę z tego świata..."

Odszedł młodo, ale należał do tych, którzy wzniecali płomień walki przeciw ciemiężcom. Poległ młodo i młody pozostanie na zawsze w pamięci tych, którzy doczekali wolności.

JÓZEF MAZUREK



Górnik Józef Piątek dostarczał partyzantom materiał wybuchowy.

NA WANTUŁOWYM ŚLADZIE

W Most

W Janie Wantule z Ustronia, byłym hutniku trzynieckim, człowieku o niespożytej energii i dużych zasługach jako historyka ziemi cieszyńskiej i cenionego w całej Polsce bibliofila, dość szybko zapomnieliśmy. Nie wolno nam jednak zapominać, że ten skromny człowiek spod Czantorii pozostawił swe ślady nie tylko w pismach i notach a także w zasobnej bibliotece, ale i w ludziach, którzy go otaczali, którzy żyli z nim niemal na co dzień. Do takich właśnie należy Józef Pilch z Goleszowa. Niedługa była droga wiodąca go na Wantułowe „Goje". To też często tu zaglądał, szukając rad i pomocy a często w zamian za to służąc swojemu przyjacielowi informacjami ze świata.

Trudno by mi dziś było powiedzieć w jakim stopniu przyjaźń ta formowała Józefa Pilcha, który już od dziecka — a miał znojne dzieciństwo — interesował się nauką, życiem społecznym, ruchem amatorskim. Niestety rodzice — ludzie biedni — nie mogli pozwolić sobie na posyłanie swego syna do szkół. I tylko żelaznemu uporowi i dużym zdolnościom zawdzięcza „Józek", że przebrnął przez szkołę podstawową, by w późniejszych latach, dzięki samouctwu, stać się tym kim jest dzisiaj. Pracuje co prawda jako skromny księgowy w Powszechnej Spółdzielni w Ustroniu, ale gdyby komuś przyszła ochota odwiedzić go w jego mieszkaniu prywatnym i wciągnąć w pogaduszkę, zdziwiłby się wielce jego rozległym i pogłębionym zainteresowaniom. Posiada też zasobną bibliotekę, w której czołowe półki zajmują dzieła i komplety pism, odnoszące się do ruchów robotniczych i społecznych nie tylko zresztą w naszym regionie. Za oszklonymi gablotkami pysznią się oprawne tomy paryskiego „Przeglądu Socjalistycznego" obok którego znalazł się



Słynny już w szerokim świecie czechosłowacki zespół „Laterna Magica" zdobył zasłużony rozgłos nie tylko na wystawie w Brukseli, lecz również w Moskwie i Warszawie.

komplet londyńskiego „Przedświtu". W innej szafie zgromadził Pilch starodruki, wśród których zadziwia unikat: drukowany szwabachą kancjonał — Trampa, wydany w Brzegu w roku 1772.

Łatwiej byłoby mi wyliczyć czym się Pilch nie zajmuje, co go nie interesuje, czym nie był i czego nie doświadczył. Otrzymał trzy centralne nagrody za opracowania na temat ruchu amatorskiego, spółdzielczości oraz za swe wspomnienia świetlicowe. A miał co wspominać. Nim jeszcze choroba gardła nie wytrąciła mu z rąk pałeczki dyrygenta, zajmował się chórami, zespołami teatralnymi, zbierał pieśni i przysłowia ludowe. Dziś chyba najwięcej pochłania go martyrologia ludności Śląska Cieszyńskiego w okresie okupacji. Poza tym tkwi w literaturze. Na jego biurku, mimo mnogości zajęć zawodowych, leży zawsze ciekawa pozycja wydawnicza, o której umie rozmawiać ze znawstwem. To też rozmowa z Pilchem, który jest bardzo skromnym człowiekiem, sprawia każdemu, kto go odwiedza, dużą przyjemność, przynosząc zapewne i pożytek.

Piszę o Pilchu w intencji określonej. Może ktoś z naszych historyków, regionalistów, badaczy okresu okupacji nawiąże z nim kontakt? Może uczyni to Śląski Instytut Naukowy w Opawie? Będzie to na pewno z obopólną korzyścią, pogłębiając związki, jakie winny łączyć, tu na pograniczu, ludzi rozumiejących potrzebę współpracy i współdziałania tych wszystkich, którzy hołdują polsko-czeskiej przyjaźni. A do nich zaliczyć także trzeba Józefa Pilcha z Goleszowa.

WŁADYSŁAW MOST

JAN KURZELOWSKI

Zapomniany piewca Ondraszka

Wśród nazwisk regionalnych pisarzy cieszyńskich, piszących o zbójniku beskidzkim Ondraszku, wymienia się m in. nazwiska Józefa Zaleskiego, autora dużej powieści o tym zbójniku, drukowanej w „Dzienniku Cieszyńskim" w latach 1913—1914. Ale dodajmy od razu, że rzadko kto powieść tę zna, bo utonęła w felietonie pisma, a osobnego wydania nie doczekała się z uwagi na trudności wydawnicze, jakie wynikły w związku z wybuchem pierwszej wojny światowej. Autor powieści również w latach tej wojny zmarł i powieść jego poszła w zapomnienie. Wprawdzie w r. 1937 wznowiono ją, ale podobnie jak w latach 1913/1914 był to tylko przedruk w piśmie, który również trwalszego śladu po sobie nie pozostawił. Zapomnianej tej powieści, napisanej pół wieku temu, i jej autorowi, zasłużonemu działaczowi śląskiemu warto poświęcić kilka uwag.

Przypomnijmy najpierw autora, postać dziś już prawie całkowicie zapomnianą. Biografowie jego podają, że Zaleski, to nazwisko przybrane, że właściwie nazwisko tego działacza, to Józef Bolesław Piotrowski. Urodził się we Włodawie 3 lipca 1850 r. jako syn oficera-inwalidy z czasów napoleońskich, a po ukończeniu studiów medycznych w warszawskiej Szkole Głównej osiadł jako lekarz-ginekolog we Władysławowie nad Szeszupą w Suwalszczyźnie. Niedaleko Władysławowa nabył dworek zwany „Zalesiem", gdzie z zamiłowaniem oddawał się w wolnych chwilach pracy na roli. „Zalesie" w krótkim czasie stało się ośrodkiem pracy kulturalno-oświatowej, okoliczna ludność bowiem garnęła się do młodego lekarza, który nie tylko udzielał bezpłatnych porad lekarskich, lecz także szerzył oświatę i służył cennymi wskazówkami z zakresu rolnictwa. „Zalesie" stało się znane w okolicy, a do Piotrowskiego przylgnęło nowe nazwisko Zaleskiego. Praca ta nie uszła uwagi policji carskiej i młody lekarz zmuszony był opuścić nie tylko „Zalesie", lecz także i Władysławów. Wyemigrował z Królestwa i udał się najpierw do Konstantynopola, gdzie został lekarzem wśród przebywających tam Polaków, dłużej tam jednak przebywać nie mógł, bo choroba serca nie pozwalała mu na to. Osiadł z kolei w górzystej Styrii, w miejscowości Gösting pod Grazem, gdzie zakupił winnicę i zajął się gospodarstwem, mając jeszcze z lat dziecinnych zamiłowania w tym kierunku. W Grazu poznał się Zaleski z profesorem tamtejszego uniwersytetu, wybitnym socjologiem Ludwikiem Gumplowiczem. Ci dwaj patrioci i działacze społeczni mieli sobie na pewno wiele do powiedzenia, łatwiej też niż w kraju połączyła ich przyjaźń i obopólny szacunek. Gumplowicz, tęskniąc za krajem, dziwił się, że Zaleski osiadł wśród obcych, skoro ma możliwości powrotu do swoich — wprawdzie nie pod rządy carskie, ale np. do zaboru austriackiego. Dzięki wiedzy swojej i walorom osobistym oddałby krajowi wielkie usługi, wśród obcych natomiast niczego zdziałać nie może a tylko marnuje swoje zdolności. Grumplowicz, pamiętając o Śląsku i jego potrzebach, podsunął mu wprost pomysł, by przeniósł się np. w podgórskie okolice Cieszyna. Zaleski poszedł za jego radą i koło roku 1890 przeniósł się istotnie na Śląsk Cieszyński.

W Puńcowie pod Cieszynem zakupił nieduże gospodarstwo rolne i jako prosty rolnik jął się pracy. W krótkim czasie zaniedbane gospodarstwo, którego stał się właścicielem, stało się wzorowym. Nie narzucając się nikomu, służył wszystkim swą rozległą wiedzą przyrodniczą i praktyką, opartą na naukowych podstawach. Do jego wzorowego gospodarstwa w Puńcowie, szczególnie w niedzielę, przybywały liczne wycieczki chłopów z ca-



Józef Zaleski

łego prawie kraju. „Pan doktor", bo tak Zaleskiego nazywano, choć praktyki lekarskiej nie wykonywał, chętnie zaznajamiał przychodzących do niego z postępowymi metodami gospodarowania, zwracał uwagę na hodowlę rasowego bydła, na gospodarstwo mleczne, wzorową uprawę pól itd. Wiele ciekawości wzbudzały w całej okolicy także jego gołębie, których był wielkim miłośnikiem. Zamiłowanie to, widocznie do tej pory obce wsi cieczyńskiej, upamiętnił w pięknym opowiadaniu Jan Kubisz, pisząc m. in.:

„Dziwny to człowiek ten „rolnik znad Puńcówki". Opuszcza wyższe towarzyskie sfery, idzie między lud wiejski — by leczyć chorobę tego ludu: rodzaj krótkiego wzroku, co wyżej nad dym swego komina widzieć nie może. Uczy bowiem nie tylko umiejętnej gospodarki gazdoszka siedzącego na kulawym krześle, ale sprowadza drogie rasowe gołębie, aby ułatwiwszy rozszerzanie się tychże między ludem wiejskim, zachęcić do hodowli tego miłego ptaka i tym sposobem podnieść oko wieśniaka przyzwyczajonego tylko do grzebania w ziemi — w górę, szukać wyższych celów życia — ideałów. Stara się tym sposobem przekonać, że zajmowanie się gołębiami jest obok pielęgnowania kwiatów, drzew owocowych, pszczół, szlachetnym zajęciem, amatorstwem, które nikomu nie tylko wstydu nie robi, ale owszem jest wymownym świadectwem, że człowiek zajmujący się tymi rzeczami, jest dobrym, myślącym, ma poczucie piękna i należyte zrozumienie zadania życia... Pan Zaleski jest nie tylko rolnikiem, lekarzem, ale znakomitym pedagogiem."

W krótkim też czasie stał się Zaleski jednym z najbardziej poważanych działaczy, czynnych w cieszyńskim Towarzystwie Rolniczym; należał do jego reorganizatorów a zarazem pionierów ruchu spółdzielczego na wsi śląskiej. Organ Towarzystwa Rolniczego „Rolnik Śląski" zyskał w Zaleskim pierwszorzędnego współpracownika. Jego „Listy znad Puńcówki", ogłaszane w tym piśmie, były na przełomie wieku ulubioną lekturą wsi cieszyńskiej. Obok artykułów z zakresu rolnictwa próbował Zaleski wierszowanej publicystyki społeczno-politycznej, pisywał krótsze, nacechowane dydaktyzmem opowiadania, a był także autorem dużej powieści historycznej pt. „Ondraszek". Kiedy w r. 1913 zmarł długoletni prezes Towarzystwa Rolniczego Jerzy Cieńciała z Mistrzowic, nowym prezesem jednogłośnie wybrano Zaleskiego. Był nim niestety krótko, bo zmarł nagle na udar serca w Cieszynie 2 lutego 1915 r. Szalejąca wtedy wojna nie pozwalała na jakieś trwalsze uczczenie jego pamięci, po wojnie zaś nowe kłopoty, jakie przeżywała ziemia cieszyńska, piękną i zasłużoną postać Zaleskiego pozostawiły już w zapomnieniu.

Powieść Zaleskiego o Ondraszku jest obok powieści Gustawa Morcinka o tymże zbójniku najobszerniejszym utworem w literaturze polskiej na ten temat. A dodajmy od razu, że Zaleski nie przedstawił całego życia bohatera beskidzkiego, lecz tylko ostatnie lata jego, mianowicie od połowy maja 1712 roku, czyli od chwili, gdy Ondraszek jako huzar wraca z wojny do domu, po rok 1715, w którym tragicznie ginie. Powieść swą ujął Zaleski w sposób zupełnie odrębny od swoich poprzedników, wiernie idących za tradycyjną „ondraszkologią". Jego „Ondraszek" to prawdziwie powieść historyczna, rzucona na szerokie tło stosunków społeczno-politycznych w początkach XVIII wieku. Bogata i urozmaicona fabuła powieści Zaleskiego biegnie dwoma jak gdyby nurtami — obok wątku

bowiem biologicznego, awanturniczo-miłosnego, przedstawia autor usiłowania Ondraszka, zmierzające do zmiany ustroju społecznego, do zniesienia pańszczyzny, malując tym samym obraz stosunków społecznych, kształtujących ówczesne życie. Wątek biograficzny, wnoszący wiele szczegółów awanturniczych i miejscami wręcz sensacyjnych schodzi raczej na drugi plan, natomiast o wiele ciekawiej, zgodnie zresztą z zamierzeniami autora, przedstawia się wątek społeczny powieści. Dzieje Ondraszka poznajemy na tle życia chłopów pańszczyźnianych, górali beskidzkich, urzędników i służby hrabiego Prażmy, mieszczan frydeckich oraz zbójników, organizujących opór przeciwko niesprawiedliwości i nierówności społecznej. Oto niedrukowane jeszcze nigdzie słowo wstępne Zaleskiego do powieści, wprowadzające czytelnika w ówczesne czasy i stosunki.

•

Łysa Góra, najwyższy szczyt w Beskidach Śląskich, panuje majestatycznie nad całym południowo-zachodnim zakątkiem Śląska Cieszyńskiego. Z królewskim spokojem patrzy na leżące u jej podnóża wioski: Skalicę, Raszkowice, Janowice, Morawkę, Krasnę, Malenowice i Prażmę, na miasto Frydek, na rzeki i strumyki: Ostrawicę, Morawkę, Mogielnicę, na zielone wąwozy i grzbiety, na lasy, gaje i zarośla. Zakątek to piękny, czarowny, a przez liczne podania o Ondraszku nabiera szczególnie sympatycznego uroku.

Ondraszek, właściwie Andrzej Szebesta, urodził się 13 listopada 1680 r. we wsi Janowicach pod Łysą Gorą, jako jedyny syn bogatego właściciela gruntu, a zarazem gospodzkiego i wójta gminy. W r. 1712 wszedł w nieporozumienie z władzą i stał się przywódcą zbójników. Zabity został 31 marca 1715 r.

W tych ostatnich trzech latach swojego życia narobił wiele kłopotu władzom administracyjnym i wojskowym, które z wysiłkiem pracowały nad pojmaniem sławnego zbójnika, lecz daremnie, gdyż lasy stanowiły dobrą kryjówkę, lud mu sprzyjał, a Beskidy, leżące w tym miejscu na granicy trzech prowincji: Śląska, Moraw i Węgier, pozwalały Ondraszkowi każdej chwili przerzucać się w coraz to inny teren.

Tyle wiemy na pewno, że Ondraszek był bardzo pięknym mężczyzną, zwinnym, silnym, śmiałym, posiadał trochę nauki, którą czerpał w 6 klasach gimnazjum, a jako zbójnik działał według pewnych stałych zasad: karał potężnych, wspierał biednych. Toteż pamięć Ondraszka żyje do dzisiaj, a każdy szczegół krajobrazu wywołuje na ustach ludu imię szlachetnego obrońcy.

Dwieście (i pięćdziesiąt) lat nas oddziela od tych czasów: życie bardzo się zmieniło, warunki bytu są inne, Łysa Góra tylko takaż sama, pokryta zielonymi lasami. Wiatr wionie od niej, niosąc do dolin pomruki, poświsty ... a lud w tym gwarze powietrznym rozróżnia słowa pieśni pogrobowej o Ondraszku, o swym orędowniku, panu Łysej Góry.*)

Ostrawica, Morawka i liczne potoki budzą się na wiosnę, zalewają łęgi, targają brzegi... Lud patrzy na potęgę fal, na żywiołową siłę, nie znającą zapory i myśli o Ondraszku.

W czasie lipcowej spiekoty uznojeni żeńcy i koścy idą chłodzić się w rzece lub strumieniu, wartko płynącym po kamienistym łożysku. Wsłuchują się w szelesty fal, chwytają uchem dziwne szmery ... ej, to woda mówi o dawnym bohaterze, który miał litość dla biednych, wspomagał potrzebujących, karał ciemiężców, i chciał, by na świecie dobrze było, by zapanowała sprawiedliwość.

Zielone doliny i przesmyki, kępy gąszczów i zagajniki wyraźnie mówią, że tędy stąpał piękny Ondraszek, stąpał wesoły i gibki, a nie ma go teraz.

Lasy, hej lasy! W waszych tajemniczych cieniach falują korowody zbójnickich postaci, wasze pomruki groźne odzywają się echem ich sławnego przywódcy.

W dzień pochmurny, mglisty, Łysa kryje szczyt swój w białym obłoku. Hej, w tym obłoku, w chmurze nieprzejrzystej, krył się niegdyś, niby orzeł, nasz Ondraszek miły.

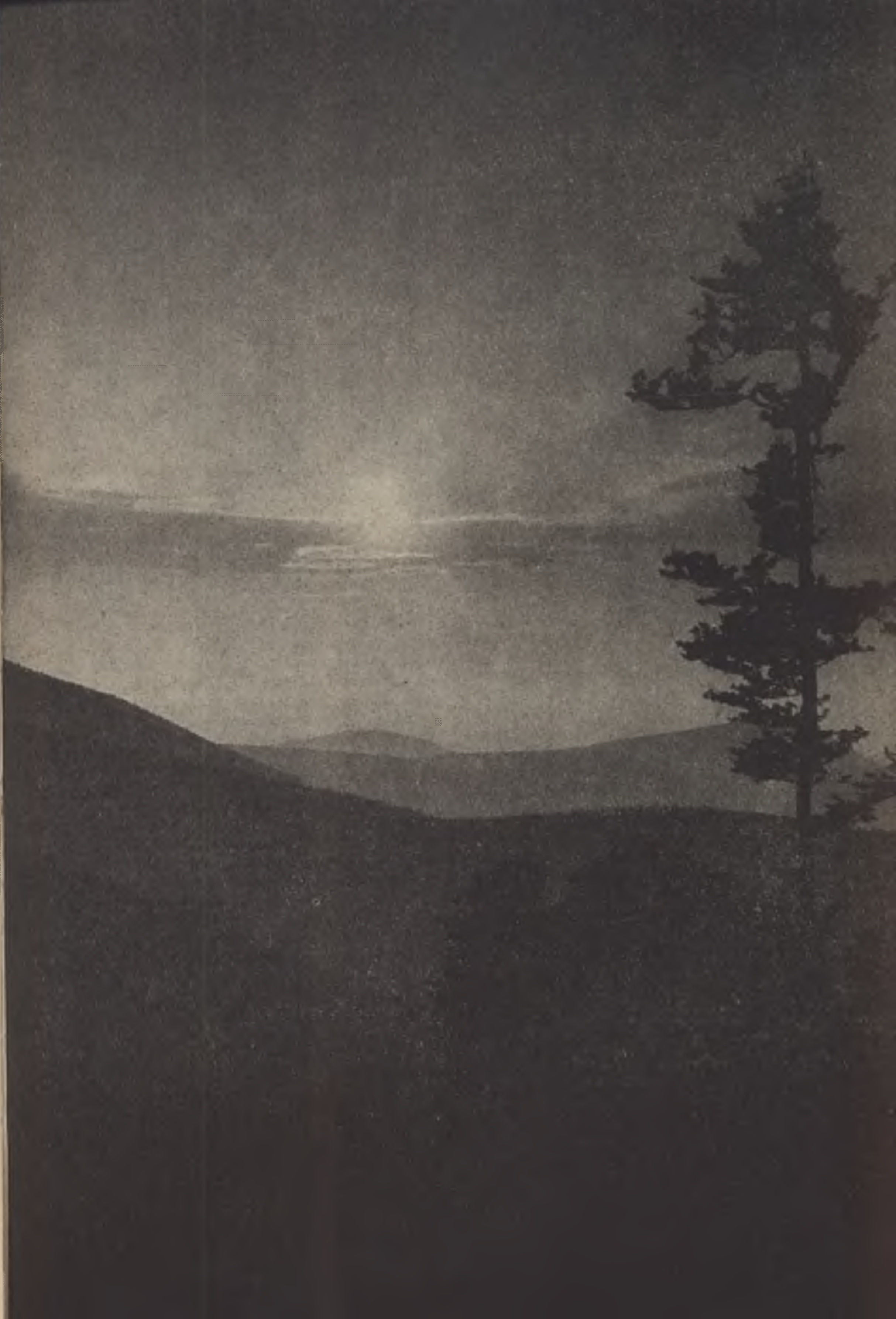
Pogoda. Słońce ożywia krajobraz, rzucając promienie na szmaragdy łąk, na barwne kwiaty i zioła. Słońce, to samo stare słońce, odbijało blaski od wspaniałych szat Ondraszka i przeglądało się w bystrych jego oczach.

Chałupy stoją rzędami po dziedzinach, lub samotnie kryją się w górskich zaroślach. Pod ich omszałymi dachami gnieździ się częstokroć wielka bieda i głód, lecz zarazem naj-

---

*) W tym miejscu przytoczył Zaleski tekst pieśni o Ondraszku, ogłoszonej m. in. w Kalendarzu „Głosu Ludu" na rok 1950, str. 48.

Ranek w Beskidach →



żywsze wspomnienia o Ondraszku. W zimowe wieczory na dane hasło schodzą się ludzie w jedno miejsce na kądziel lub szkubaczkę. W polu wiatr mroźny huczy i miecie śnieżną kurzawą; w izbie zaś przy dużym piecu i przy świetle sosnowej szczypy ciepło i wesoło. O czym śpiewają i o czym mówią? O Ondraszku pięknym, dzielnym, dobrym, litościwym i sprawiedliwym.

Ondraszek wszedł do serca ludu; zaś przeciąg dwustu lat nie zatarł jego pamięci, lecz ożywił ją, a postać jego wyidealizował. Te dwieście lat zatarły wady jego jako człowieka, lecz zarazem powiększyły fantazyjne jego zalety, jako ludowego bohatera, pana gór i lasów.

Nie będziemy kroczyli w tej powieści śladem zimnych historycznych badań; nam wystarczy poznać teren i szkielet niewątpliwych zdarzeń, co do reszty, pójdziemy za twórczością ludową, bo lud — to wielki poeta. On z osoby Ondraszka stworzył postać idealną, oblekł ją w przymioty, z którymi — w epoce wojennych najazdów, głodu, zarazy, pańszczyzny i ucisku — łączyła się nadzieja poprawy ciężkiego losu, nadzieja lepszej doli.

Ondraszek, bohater, żyjący dziś w podaniach i baśniach, jest syntezą dążeń ludu do wolności i dobrobytu. A na dnie tych podań leży pewna gryząca ironia, która wyraża się w następującym zestawieniu: wszyscy byli zatwardziałymi ciemiężcami i wyzyskiwaczami biednego ludu . . . jeden tylko zbójnik miał serce.

A jakże wobec tradycji Ondraszka zachowały się inne klasy, np. mieszczanie i w ogóle tak zwana inteligencja?

Tu spotykamy objaw szczególny. Inteligencja nie widzi w naszym bohaterze jakiegoś zwykłego zbója i rabusia, lecz z całą sympatią delektuje się trzyletnim epizodem poetycznym z życia wykolejonego człowieka, zachwyca się jego szaloną śmiałością i nieokiełzaną brawurą. Inteligencja ta maluje obrazy z dziejów Ondraszka i zawiesza je na honorowych miejscach; zaś pamiątki po nim z wielkim pietyzmem przechowuje i przekazuje z pokolenia w pokolenie.

Na strzelnicy frydeckiej był obraz: Ondraszek częstuje hrabiego Prażmę bryndzą. Obraz ten zgorzał w czasie pożaru strzelnicy w r. 1860. Na strzelnicy w Kromierzyżu wisi obraz „Ondraszek strzela do celu". W izbie radnej w Przyborze jest obraz „Śmierć Ondraszka".



Skoczylas: Ondraszek, rycina

Dawniej w magistracie cieszyńskim, a obecnie w Muzeum cieszyńskim wisi obraz olejny, o którym mówią i piszą, że przedstawia „Śmierć Ondraszka". Zdaje mi się, że treść obrazu jest błędnie tłumaczona. Powinno być: „Ondraszek odnajduje na skraju lasu zabitego towarzysza."

Obuszek Ondraszka był jeszcze w r. 1829 na zamku frydeckim, szabla w Przyborze, strzelba w Kończycach, zegarek w Mistku, a później w Sławkowie.

Nareszcie słów parę z historycznej i społecznej charakterystyki owych czasów. W Austrii panował cesarz Karol VI (ojciec Marii Teresy). Prowadził on wojnę tak zwaną sukcesyjną (1702—1714) o tron hiszpański z królem francuskim Ludwikiem XIV. Cały Śląsk z Wrocławiem należał jeszcze do Austrii. Zamkiem frydeckim władał hrabia Prażma, nadradca rządowy Górnego i Dolnego Śląska.

Szlachta lubiła życie zbytkowe i próżniacze, a lud wiejski żył w wielkiej biedzie i ucisku. Pańszczyzna panowała wszechwładnie. Biednego chłopa wyzyskiwano i karano bez miłosierdzia za najdrobniejsze przewinienia.

Gospodarstwo rolne było trzypolówką z ugorami i odłogami. Kultura ziemi słaba. W razie nieurodzaju zboża lud cierpiał głód, bo ziemniaki, choć już dawno wprowadzone do Europy i uprawiane w zachodnich krajach, na Śląsku nie były znane.

Również nie znano koniczyny i różnych roślin pastewnych; a stąd, na skutek braku obfitej i posilnej paszy, hodowla bydła była nędzna. Kolei żelaznych, ani telegrafów, ani gazet nie było. Drogi złe.

Oprócz głodu nawiedzała Śląsk zaraza morowa i całe wsie zamieniała w pustkowia.

1912

Józef Zaleski



Tysiące turystów korzysta z konwencji turystycznej między Czechosłowacją a Polską. W dolinie Dunajca można odpocząć i zachwycać się pięknem krajobrazu.

KAROL PIEGZA

Pieśni zbójnickie na Śląsku



Zbójnik

Zbójnik śląski to uosobnienie swoistej sprawiedliwości, którą uciemiężony i na każdym kroku wykorzystywany lud wymierzał panom za wszelką krzywdę. Dlatego zazwyczaj zbójnik rodził się wtenczas, kiedy ta krzywda była największa. Zbójnik śląski, to bohater ludowy, który chce zaprowadzić na świecie sprawiedliwość społeczną, bierze bogatym a daje ubogim, czyli równa świat. Mści się nie tylko za siebie ale i za krzywdy innych. Igra ciągle ze śmiercią i wie, że jego życie nie będzie długie. Chce użyć świata, lubi muzykę, śpiew i taniec. Nie gardzi również dobrym trunkiem, który daje mu zapomnienie a często i odwagę.

Jest wolny jak ten ptak. Wędruje z góry na górę, z miejsca na miejsce. Kiedy widzi, że na Śląsku jest dla niego za „gorąco", ucieka na Morawy, częściej na Słowaczyznę lub Żywiecczyznę. Nie ma domu, nie ma rodziny — ma tylko wiernych kompanów, którzy są tak samo bezdomni i nieszczęśliwi jak i on. Ponieważ dniem i nocą walczy z wrogiem, dobrze uzbrojonym i liczebnie większym, dlatego musi być zdrowy, mocny a przede wszystkim sprytny. Broń jego jest prosta i prymitywna: ciupaga (obuszek), nóż, niekiedy stary pistolet a najczęściej kamień rzucony wprawną ręką. Jako porę działania wybiera noc, kiedy łatwiej można podejść i przeciwnika znienacka napaść. Uczy się tego wszystkiego od zwierząt, które często spotyka w lesie. W walce rozstrzyga silna ręka, bystre oko a przede wszystkim zwinność ruchów. Jest nieugięty i hardy. Nie potrafi uginać grzbietu przed panem. Wie, że w końcu czeka go śmierć, ale swoje życie chce sprzedać drogo. Szuka ciągle okazji, aby wyrządzić panu, który jest powodem jego nieszczęścia jak największą szkodę. Podpala jego zamki, stodoły, dwory, niszczy plony na polach, zwierzynę w pańskich lasach, rabuje dobro pańskie a niekiedy i samego pana zabija lub bierze w niewolę.

Najgorsza pora dla zbójnika to zima, kiedy ciężko żyć w lesie i gdzie każdy jego krok można na śniegu zauważyć. W tym czasie jego nieodłącznymi przyjaciółmi są głód i chłód. Siedzi wtenczas ukryty w lesie, lub też w opuszczonym szałasie górskim i czeka z tęsknotą na nadejście wiosny. Najczęściej jednak cierpi głód i niedostatek i dlatego jest zmuszony do kradzieży. Bierze jednak tam, gdzie jest więcej i bynajmniej nie uważa tego za kradzież. Jest to tylko wyrównywanie niesprawiedliwości w świece, aby wszyscy mogli żyć i by nikt nie umierał z głodu. Lubi koło siebie ludzi wesołych i dlatego kiedy przyjdzie do gospody płaci wszystkim i wszystkim każe się cieszyć. Ma i swój oryginalny humor, który go nawet i pod szubienicą nie opuszcza. Ginie w tym świętym przekonaniu, że dobrze żył na świecie, ponieważ równał świat — mścił się na bogatych a pomagał biednym. Dlatego też ludność uboga czciła zbójników jako swoich obrońców, i jeszcze po ich śmierci śpiewała o nich pieśni.

I u nas na Śląsku mieliśmy zbójników, o których do dziś dnia zachowały się jeszcze pod górami niektóre pieśni, które pozwolę sobie przytoczyć. Wierzę, że znajdzie się ich więcej i że ten krótki szkic będzie apelem do ich zbierania.

I

Hej, w tej naszej bukowinie,
Leży zbójnik na czetynie,
Leży, leży zabity.
Rozmarynym przikryty.
Gdy go miła przikrywała,
Tak żałośnie zapłakała,
Nie płacz, nie płacz, ma miła,
Już godzina wybiła.

II

Służyło dziywcze we dworze,
Nimiało ojca, macierze,
Jyny kluczyczki od dwiyrzy,
Dwanoście zbójników tam leży,
Jedynoście ich puściło,
A dwanostego tam prziwrziło,
„Leż tu zbójniczku, leż tu sóm,
Przidzie cie wieszać jutro pón!"

•

Nie wieszejcie mie na dębie,
Bo mie tam zjedzą gołębie,
Ale powieście na jedli,
Coby mie ludzie widzieli,
Jak miła na wode pójdzie,
Zeżynie gołębie sy mnie.



III

Zabili zbójniczka, zabili go,
Pod buczkym zielónym schowali go,
Pod buczkym zielónym, tam ón leży,
A czyrstwo wodziczka po nim bieży.

IV

My są chłapcy nieżónaci,
Radzi mómy muzyku,
My se pyniaz narobimy,
Na żelaznym rynniku.

My są chłapcy istebniocy,
Radzi mómy muzyku
My se mięsa nawarzimy,
Na glinianym rynniku.
Nasze dziywki, frajereczki,
Hore ku nóm tu chodzą,
My zaś panów łobiyrómy,
Na gróniczku pod miedzą.



V

Ej, było nas siedymnast,
Ej, uż nas jyny desać,
Ej, powiadają ludzie,
Ej, że nas bedom wieszač.
Ej, wieszać sie nie dómy,
Ej, strilać nas nie bedóm,
Ej, pokiel w naszych ruckach,
Ej, obuszki hyrczóm.
Juhasi, zbójnicy,
Jeszczechmy nie wszecy,
Jak wszecy bedymy,
Do Uher pójdymy.
Dyby nas tu beło,
Takich chłapców dwiesta,
Poszliby my zaroz,
Na ty Nowe Miesta.

VI

Powiadali na mnie,
Że jo ukrod jagnie,
A jo ukrod byczka
Zagrej mi muzyczka.
Ty Ondraszku, synku miły,
Ty sie bedziesz dobrze mieć,
Bo mosz serce jako zbójnik,
Ty pyniaze bedziesz mieć.
Jo je synek jeszcze młody,
Jo sie chłopa nie bojim.
Chycę jo go za koszulke,
A za uszy wydojim.

VII

Zbójnicy — gorole,
Kto was prziodzieje,
Mómy takigo kapitana,
Tyn nas prziodzieje.



VIII

Wyjyżdżej furmanku,
Już na ciebie czas,
Bo tam nie przejedziesz,
Przez tyn gęsty las.
Furmanek wyjechoł,
Z bicza wytoczył,
A tu rozbójniczek,
Z lasa wyskoczył.
Powiedz mi furmanku,
Gdzie piniónżki mosz,
Bo jak mi nie powiysz,
Zabiję zaroz.
A jo móm piniónżki,
W sianie schowane,
Jyny kónie i wóz,
Przi mnie zóstanie.



Panowie zbójnicy,
Boga się bójcie,
Piniónżki zabierzcie,
Życi darujcie.
Jakoż my możemy
Życi darować,
Kiedy my musimy
W lesie rabować.
Panowie zbójnicy,
Źle słychać o was,
Kują tam kowole,
Kajdanki dlo was.
Niechże tam kują,
Złote łańcuszki,
My se pomiłujem
Szwarne dziouszki.
Co mie mierzi niejwice,
Ty cieszyński tryźnice,
A jo wyjdę na horu,
Widzę Hanke u stołu.
Bioły szatek w ręce mo,
Czorne oczka uciyro,



Nie płacz, miła Haneczko,
Nie smuć moje serdeczko.
Coś syneczku robowoł,
Że za krotki sie dostoł,
Nie zrobiłech nic złego,
Zabił pana strasznego.
W lesie pod jaworem,
Karczma murowana,
Jest tam karczmareczka,
Jakoby malowana.
Przyszli trzej zbójnicy,
Pod jeji okiynko,
Odewrzyj nam dzwiyrze,
Piekno gospodynko.
Gdy wlyźli do karczmy,
Dali se grać walca,
Szwarno karczmareczko,



Chodź z nami do tańca.
Szymek lyź na góre,
Wojtek do kómory,
Są tam poduszeczki,
Poróbcie z nich wory.
Dźwiyrze naszmarujcie,
Aby nie skrzypiały,
Coby was te dziywki
W kuchni nie słyszały.
Niży Wojtek, niży,
Bo ci czopke widać,
Może szynkareczka,
Z okna sie podziwać.
Idźcie do masztale,
Są tam konie branne,
Jedyn o swe stoji,
Zóstowcie go dla mnie.
Nie jedźcie górami,
Jyny dolinami,
Kónia osiodłejcie,
Pojadę za wami.
Tańcuj se ty, tańcuj,
Karczmareczko tłusta,
Już twoja komórka
I masztalka pusta.



Na kóniczka siadóm,
Chusteczkóm wywijóm,
Zostańże tu z bogym,
A nie wierz zbójnikóm.

XI

Ej, swoboda, swobodziczka,
Jak mi opowiadała mamuliczka,
Jeszcze mie na rękach kolybała,
A już mi o swobodzie śpiwowała.

XII

Pójcie haw, gazdowie,
Prziszli tu miechorze,
Łowieczki rzezają,
Syreczek papają.



XIII

Ej, pójmy chłopcy, pójmy zbijać,
Ej, bo nimómy za co pijać,
Ej, uż sie nóm zaczyno,
Ej, buczyna rozwijać.
Ej, obujcie se chłapcy kyrpce,
Ej, kiery z was mo twarde serce,
Ej, a potym jeszcze raz,
Ej, pójdymy na szałas.
Ej, jak przidymy do szałasza,
Ej, każdo łowca bedzie nasza,
Ej, gotuj baczo kocieł.
Ej, pod kolybą pościeł.
Ej, jak przidymy pod tą bude,
Ej, gotuj baczo syra grude,
Ej, a jak sie najymy,
Ej, bacze zabijymy.
Ej, siedym roczków my zbójali,
Ej, na ósmy nas pochytali,
Ej, szkoda nas na stokrać,
Ej, że musiym umiyrać.

XIV

A w tych tam morawskich gorach,
Był tam jedyn zbójnik wałach,
Trzi mierzyce zjod gałuszek,
Jeszcze prawił: miękki brzuszek,
Siedym hektów wina wypił,
Jeszcze prawił: jo nic nie pił.

XV

Jedna gruszka w polu,
Drugą porąbali,
Ej, powiydz mi dziywczątko,
Kogo ci niejżali.
Jeści mi też luto,
Zbójnika jednego,
Co chodzowoł ku mnie,
Nie boł sie żodnego.
Nie boł sie żodnego.
Nie boł sie pacholków,
Nie boł sie on pana,
Zóstowoł tu u mnie,
Do samego rana.

XVI

Cztery mile za Opawą,
Starsza siostra wyszła za mąż,
Wyszła za mąż za Henryka,
Największego rozbójnika.
Nigdy w domu nie nocował,
Wciąż po lasach gdzieś rabował,
Raz ji przyniósł chustkę białą,
Całą we krwi umaczaną.
Żono moja, wypierz mi ją,
Na słoneczku wysusz mi ją,
Ona prała i płakała,
A chusteczkę poznawała.

To jest chustka brata mego,
Wczoraj wieczór zabitego,
Żono moja nic nie gadaj,
Ciemno było, jam nie zważał.
Ciemno było, deszczyk rosił.
Jam nie słyszał, jak mnie prosił.
Cztery miecze w niego wbiłem,
W samo serce go trafiłem.

XVII

Za gorami, za lasami,
Stoji tam dómek murowany,
Wtym dómeczku sztyrzo bracio,
Jyny jedną siostre mieli,
A żodnymu ją dać nie chcieli.
Dali ją Janoszikowi,
Niejwiększymu zbójnikowi.
Janoszik je główny zbójnik,
Zno ku Bernu każdy chodnik,
Każdy chodnik, każdą cestu,
Aż ku Nowemu Miestu.

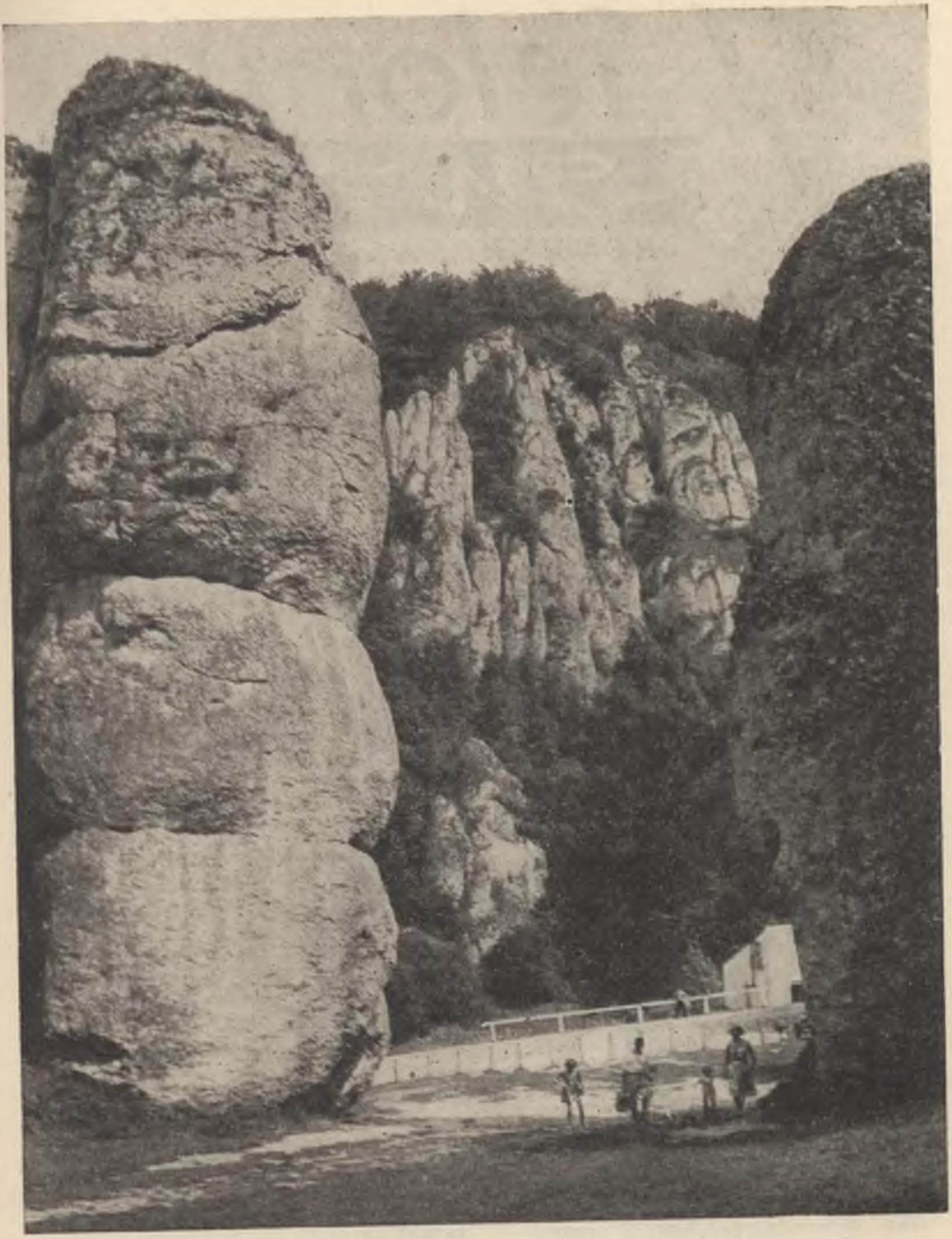
XVIII

Ondrasz, miły Ondrasz,
Teraz sobie rozważ,
Kierą to cesteczką,
Do domu wracać masz.

XIX

Nima jak zbójeckie życie,
Pełno wciąż swobody,
Wódka leje się obficie,
A codzienne gody.
Ja nie sieję, ja nie orzę,
Nie zbieram w jesieni,
Wszystko co w cudzej komorze,
Będzie w mej kieszeni.

Ilustrowała M. Tarska



Ojców — Brama Krakowska w dolinie Prądnika.

Zielony świat

HENRYK JASICZEK

Ilustrował Franciszek Świder

Willi Schroeder patrzył w okno.

Nudził się. W lustrach szyb załamywały się promienie wiosennego słońca. Na dziedzińcu więzienia, oddzieleni od siebie regularnymi odstępami, przedreptywali swój poranny spacer, bladzi i wyziębli więźniowie. Tuż za murem więzienym, idący do szkoły chłopcy popychali się wzajemnie, kopiąc zabłąkany kasztan.

O szybki tłukły się z monotonnym brzęczeniem obudzone promieniami słonecznymi muchy. Uparcie ślizgały się po szkle, pragnąc wydostać się z przypadkowego więzienia, jakim było biuro pana Schroedera. Kierując się instynktem parły do światła, nie potrafiąc sobie uzmysłowić przeźroczystej a jednak namacalnej przeszkody.

Tak, tak... jak ludzie, którzy co prawda dostrzegają i widzą swoje położenie, a jednak nie zrezygnują z nadziei, wierząc, że prędzej czy później wydostaną się na wolność.

Willi lubiał medytować, filozofować — jak mawiał chociaż chodziło mu raczej o stwarzanie pozorów. Chciał, żeby koledzy, a zwłaszcza kobiety uważały go za myśliciela, choć sam zwierzał się tylko matce, twierdząc, że to, co się wie, wie się tylko na własny użytek, a poza tym, w służbie wie się tylko to, co potrzebne jest do spełnienia... befehlu.

Nie znaczy to, że Willi w ogóle nie myślał. Raczej nie doprowadzał swoich zamyśleń do końca...

Poszedł do okna, chwilę przypatrywał się więźniom i wtedy zauważył muchy, które ponawiały swój beznadziejny szturm na szyby okienne. Przypomniał sobie czasy dzieciństwa. W ogrodzie rodziców — pamięta — była duża drewniana altana z szklaną werandą. Tam, jako chłopiec łapał muchy zapędzając je w zaułki szyb, potem obrywał im skrzydła, udaremniając ucieczkę i niósł do ogrodowej studni, gdzie w ciemnych kątach poddasza rozbiły namioty pajęczyn duże, czarne pająki z krzyżami na grzbietach.

Willi wyciągał z pudełka muchy i po kolei wrzucał w rozstawione sieci pająków.

Z ciekowością śledził rozpaczliwe szamotanie się ofiary. Najpierw pająk wysuwał się z kryjówki, pokazując się musze z dystansu. Przerażona jego widokiem mucha znieruchomiała. Próbowała widocznie zastosować znany u wielu zwierząt manewr — udawanie trupa. Ale pająk nie dał się wyprowadzić w pole. Po chwili obserwacji poderwał się i gwałtownym susem doskoczył do nieruchomej muchy. Zaatakowana, zapominając o swej taktyce, znów zaczęła przeraźliwie brzęczeć i szamotać się w pajęczynie. Pająk śledził chwilę te daremne zabiegi, raptem skoczył i przyssał się do tułowia ofiary.

Mucha próbowała się zerwać, raz, drugi. Potem ucichła, poruszając tylko małymi, dygocącymi od strachu nóżkami...

Teraz, patrząc na muchy i na ludzi dreptających w pasiakach na dziedzińcu, nasunęła się mu zabawna analogia. Tak, to prawda. Życie tamtych nie wiele więcej jest warte od życia much. Chodzą teraz w kółko, rzucając od czasu do czasu spojrzenie w kierunku dozorcy. Jego, za oknem, nawet nie dostrzegają. Nie wiedzą, że ich los jest właściwie w jego ręku, szamocą się ze swoim zwątpieniem, czepiają się niczym nieuzasadnionej nadziei.

No tak, dziś już Willi nie bawi się muchami. Już dawno zdjął chłopięce spodnie, zamieniając je na czarny mundur. Z trupią czaszką na czapce i czarnym krzyżem na ramieniu sam przypomina teraz groźnego pająka. Siedzi za biurkiem i trzymając pejcz w

ręku bawi się ludźmi. Wie, więźniowie drżą przed nim. Niektórzy patrzą mu ulegle w oczy, jak zbite psy, inni unikają jego wzroku, a z ich przelotnych spojrzeń błyska nienawiść. Wtedy Willi głośno krzyczy, żeby przekrzyczeć coś, czego właśnie nie potrafi określić, coś, co tkwi niby drzazga na samym dnie świadomości... Nie, to nie jest strach. Tak, to jest raczej niepokój, który wniosła do jego myśli matka. Zakazał jej mówić na ten temat. Więc ona już teraz nic nie mówi, tylko patrzy. Ach, jak ona patrzy... A potem przypominają mu się te oczy, i wtedy narasta ten niepokój, mąci tok myśli...

Ktoś po raz drugi, tym razem energicznie, zapukał do drzwi.

— Herein! — bąknął Willi.

— Heil Hitler! — szczeknął głośno wchodzący gestapowiec.

— Co nowego — zasępił się Willi, siadając za biurkiem.

— Chciałem ci powiedzieć, że podczas kontroli kart ewidencyjnych stwierdziliśmy pomyłkę. Aresztowaliśmy Jerzego Sobka, zamiast Jana Sobka.

— No i co? — ciągnął Willi, patrząc na zegarek. — Wielkie rzeczy...

— W takim razie musimy spreparować nakaz aresztowania. Przecież go nie zwolnimy — perswadował przybyły. Jak by to wyglądało? Urząd niemiecki nie może się mylić!

— Nie zawracajcie sobie głowy — powiedział Willi — oglądając paznokcie — nic już preparować nie trzeba. Dziś rano — tu zrobił wymowny gest ręką — kazałem go powiesić razem z czteroma...





— Którymi czteroma?

— Też masz pamięć. Przecież z komendy zażądali pięciu więźniów, których miano dziś rano wieszać w jakiejś podgórskiej miejscowości. Wiadomo, dla przestrogi, żeby ludzie nie pomagali partyzantom...

— Ach tak... — rozpogodził się gestapowiec. Podniósł rękę do góry i stuknął obcasami.

— Heil... Aha, byłbym zapomniał, chciałem ci jeszcze powiedzieć, że zostawiłeś u mnie swetr...

— Owszem — naturalnie, że pamięta. — Willi przypomina sobie więźnia, który stał przed nim rano. Tak, to był ten Sobik, miał na sobie nowy wełniany, ładnie zrobiony swetr.

— Zdejm go — powiedział do niego Willi tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Dlaczego? — zapytał więzień zdziwiony.

— Jedziesz na roboty, zniszczysz go. Odbierzesz go sobie, jak wrócisz. Szkoda takiego swetra — powiedział Willi spokojnie, stukając pejczem o cholewę buta.

— Też prawda — przytaknął Sobik — ożywiając się, jakby w tym geście gestapowca kryła się jakaś życzliwość, czy zapowiedź niewyraźnej jeszcze, ale chyba niewątpliwej nadziei. — To prawda, powtórzył. Byłoby go szkoda, otrzymałem go od matki na gwiazdkę...

— Willi — śpisz, czy co? — dopiero teraz usłyszał głos kolegi, który wyrwał go z zamyślenia.

— Już drugi raz pytam się ciebie, skąd masz ten zielony swetr?

— Od matki — — — dostałem go w prezencie... na gwiazdkę — odpowiada Willi.

— Ładny swetr — zauważył gestapowiec, poczem salutując niedbale, wyszedł.

Willi podszedł do okna. Na dziedzińcu nie było już nikogo.

Tylko muchy ponawiały bezustannie swój daremny atak na szyby okienne.

HENRYK JASICZEK



B. BIELAN

Ilustrował Franciszek Świder

Padał gęsty śnieg. Płatki leciały ukośnie bijąc mnie w twarz. Czas od czasu strzepywałem z kaszkietu grubą warstwę śniegu.

Nie śpieszyłem się. Wiatr gwizdał i chlupał w oczy śniegiem. Od dawna się do tego przyzwyczaiłem. (W nocy będzie mróz — pomyślałem.)

Położyłem teczkę na ziemi, otarłem chustką twarz, na której topniał śnieg i brnąłem dalej pod górę.

(Gdyby już był wieczór, widziałbym w moim domu gwiazdę. Zawsze mnie prowadzi. Tylko na chwilę znika, kiedy idę przez las. A potem staje się coraz większa. O wiele większa niż te pod Kozubową. Pode mną jest o wiele więcej gwiazd niż na niebie. Ale moją najbardziej kocham. Bo jest najpiękniejsza ze wszystkich. Koledzy nie wierzą. Śmieją się z tego. Nie lubią mnie, bo chodzę czasem w brudnej koszuli i ciągle w starych butach. Nie są dobrymi kolegami, chociaż mówią prawdę. Moja mamusia nie potrafi tak ładnie wyprać koszuli. Czasem zostanie ślad. Tatuś mi jeszcze nie powiedział, dlaczego mamusia jest chora. Domyślam się tylko. Wiem, że gdyby mamusia mogła, to miałbym czystsze i lepiej wyprasowane koszule niż moi koledzy. Są czasem złośliwi, nie rozumiem ich. Razi ich nawet to, że dwa lata chodzę w jednych butach. Zelówki już są trochę zdarte, to prawda. Do matury kupi mi tatuś nowe. I nowe ubranie kupi. Wszyscy będą się dziwić. Bo im się wydaje, że ja mam złych rodziców. Nie wszyscy, całe szczęście. Ciekawe, że koleżanki, bardziej mnie rozumieją. Na przykład Jola. Nigdy nie powie krzywego słowa a jest najlepszą uczennicą. Zawsze się pyta, czy czegoś nie potrzebuję. Mówię, że nie.

Raz w szatni zauważyła, że nie mam guzika u koszuli. Nie było w tej chwili nikogo oprócz nas. Szybko przewertowała teczkę. Znalazła igłę, nici i nawet biały guzik. Nie chciałem się zgodzić za żadne skarby. Wstydziłem się bardzo. Jola powiedziała: — No, nie bądź babą. Przyszyję raz-dwa. Bo inaczej nie będziesz mi się podobał. — Spojrzałem na nią, czy nie żartuje. Miała poważną minę. Przyszyła mi prędko guzik. Pomyślałem wtenczas, że Jola jest taka jak rodzice. A może jeszcze lepsza. Innym razem, kiedy chuderlawy Antek śmiał się z moich butów, że są koślawe, zacisnęła pięść pod jego nosem i rzekła ostro: — Wynoś się, durniu... I oczyść w domu swoje mokasyny. — Pamiętam to jak dziś. Wszyscy się zaśmiali. Antek zniknął jak kamfora. Bo naprawdę miał brudne buty.)

Otarłem twarz chustką i strzepnąłem śnieg z kaszkietu.

Zamyślony wszedłem do sieni. Brat niósł z piwnicy bańkę z mlekiem. Zobaczywszy mnie, położył ją na ziemi.

— Chodź, oczyszczę cię ze śniegu — powiedział. Stanęliśmy na schodach. Janek okładał mnie dookoła dużą rękawicą z jednym palcem. Potem zdjął mi kaszkiet i trzasnął nim po kolanie.

— Gotowy — rzekł otwierając drzwi.

— Głodnyś? — zapytał ojciec, gdy tylko wszedłem do kuchni. Matka krzątała się koło pieca.

Potrząsnąłem głową. Janek zabrał mi teczkę. Zdjąłem płaszcz i spodnie i powiesiłem

na sznurze. Buty ustawiłem obok pieca. Wdziałem owerole i włożyłem stare papucie.

— Masz tam grysik w garnku. Zjedz.

— Pójdziemy dzisiaj do lasu? — spytałem biorąc garnek z pieca. Tatuś sznurował buty. — Nie — powiedział. — Idę teraz do Ćmiela. Ty przynieś wody i drzewa i zapal w sypialni, aby Jurkowi było cieplej.

— Dobrze, tatusiu.

— I na mamusię uważaj — rzekł w drzwiach — aby nie przypaliła zasmażki.

Zjadłem smaczny grysik, przyniosłem wody i drzewa. Popatrzyłem, czy zasmażka do kartoflanki ma już brunatny kolor. (Jeszcze nie.) Potem wspólnie z Jankiem zrobiliśmy ogień w sypialni. Długo przypatrywałem się choremu Jurkowi. Miał silną grypę. Spał. Nie chciałem go budzić. Był jednak bardzo blady, więc zapytałem Janka, czy jadł już coś dzisiaj.

— Rano miał jajecznicę. A na obiad zjadł dosyć dużo grysiku. — Tak mówił tatuś.

(Ciekawe — pomyślałem. — Nie był nigdy tak blady, ale to chyba nic groźnego.)

Wróciłem do kuchni. Zerknąłem na zasmażkę. — Jest już dobra. Wlejcie do garnka. — Usiadłem przy piecu, potarłem ręce. (Będzie dobra kolacja.) — Odpocznijcie trochę, mamusiu.

Machnęła ręką. — Będę to . . . no! — zrobiła pięścią kilka poziomych ruchów — waszą bieliznę.

— Prasować będziecie, tak?

Kiwnęła głową.

— Janek — zwróciłem się do brata. — Idę się trochę pouczyć, zanim przyjdzie tatuś. Uważaj tu.

•

Tatuś wrócił zaniedługo. Usiadł przy mnie na łóżku. Uśmiechnął się.

— Che, gdybyś wiedział jaki ubiłem interes. Odłóż tę książkę.

— To powiedzcie.

— Tobyś chciał! Nikomu nie powiem. Tak sobie postanowiłem, wiesz. Zrobię wam wielką niespodziankę. Che — znowu się zaśmiał.

— A kiedy nam powiecie? — zapytałem.

— Co?

— No o tym interesie.

— Pojutrze. Tak sobie to obmyśliłem. Będzie akurat niedziela.

(Co to może być, że nie chce mi powiedzieć — przemknęło mi przez głowę.)

— Tak mi się jakoś po winie rozwiązał język — zapalił fajkę — że pomyślałem: „Pogadam z tobą. Już dawno ci to obiecuję."

Pykał puszczając kłęby dymu.

— Ciebie jeszcze wtedy nie było — kontynuował ojciec. — To było w czasie wojny. Byłem wtedy gajowym. Cały ten rejon — zakreślił łuk ręką — był pode mną. Che, to było życie. Było tu wtedy w górach dużo partyzantów. Pomagałem im, jak mogłem. Ale niedługo to trwało. Bo ktoś mnie wsypał. Do dziś nie wiem kto . . .

Wyjął fajkę z ust. Oczy miał pełne gniewu.

— Jeszcze szczęście, że ocalałem. Bo inni towarzysze za to dyndali . . .

— To już wtedy byliście komunistą? — spytałem nieśmiało i spojrzałem na Jurka, który odwrócił się na drugi bok.

— Tak, synku. Już wtedy. Przyszło po mnie trzech esmanów i w nocy zabrali mnie do więzienia w Jabłonkowie. Byłem oskarżony o utrzymywanie kontaktów z partyzantami. Przesiedziałem kilka miesięcy w więzieniu rozmyślając o rodzinie. Pewnego razu wieczorem przychodzi dozorca więzienny i mówi, że żona przyszła mnie odwiedzić. Nigdy nie zrozumiesz, co to było dla mnie. Jak bardzo czekałem na tę chwilę. Rozmawialiśmy przez kraty. Żona, to znaczy wasza mamusia, wyglądała wtedy bardzo mizernie. Była chuda i trzęsła się z zimna i strachu. Chwyciła mi ręce przez kraty. „Jędrys — szeptała. — Jędrys! Dzisiaj w nocy przyszedł do mnie Jezus. Dał mi na plecy ciężki krzyż. I powiedział, że muszę go dźwigać i nieść przez całe życie. Więc ja przyszłam, Jędrys, prosić cię o przebaczenie. Czy przebaczasz mi wszystko, co niedobrego zrobiłam?" Cóż miałem zrobić, synku? Musiałem w tak ciężkiej chwili uszanować jej wiarę. „Jewka — powiedziałem wtedy. — Wszystko ci przebaczam, jeśli myślisz, że zgrzeszyłaś kiedy." Łzy spływały jej po licach. „Dziękuję ci, Jędrys, dziękuję. Czuję, że mój krzyż jest teraz lżejszy." Czas określony na rozmowę minął. Dowiedziałem się jeszcze, że synowie jako tako wyglądają. I oczekują mnie. Odchodziła powoli oglądając się za siebie. Szła pochylona do przodu. To ten krzyż tak ją przygniatał.

Tatuś zakasłał. Odłożył fajkę. Dotknąłem palcem jego ramienia.

— Przecież . . .

Spojrzał na mnie, lecz jego oczy były dalekie i nieobecne.

— To mamusia miała wtedy taki sen. Szkoda, że się spełnił. Ja jeszcze siedziałem w więzieniu. Ale opowiem ci, jak to było.

Zaraz na drugi dzień przyszło gestapo i za godzinę mieli być wszyscy gotowi do wymarszu. Ewakuacja. Wiesz, co to znaczy?

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął:

— Po prostu każą ci się spakować. To, co możesz zabrać do rąk lub na plecy, to zabierasz i popychany lufą automatu idziesz na drogę, gdzie czeka samochód ciężarowy albo wóz. Ładują cię jako bydło do środka i wiozą do Rzeszy. Na roboty. Tam pracujesz i pracujesz. Aż zdechniesz. Jak pies.

Z mamusią było trochę inaczej. Gorzej było. Co zrobiłbyś w takiej sytuacji. Masz troje dzieci. Krzyczą i garną ci się do sukni. Boją się tych bestii w mundurach. Nie chcą nigdzie iść. Ale ty ich musisz przekonać, musisz im wytłumaczyć. Bo inaczej koniec. Zastrzelą wszystkich. Widać to na ich tłustych twarzach. Ale to nie wszystko, synku. Wiesz, że mąż gnije za kratami. To znaczy ja, wiesz. Przekonałaś już dzieci, że musicie iść. Więc pakujesz wszystko do dużego koca. Chociaż wiesz, że nie dźwigną tego twoje plecy. Bo masz jeszcze ten ciężki krzyż. I tylko dwoje rąk. Znowu zaczynasz wyrzucać niektóre rzeczy z koca. Karolek wyszperał jeszcze w kredensie pół bochenka chleba. Biegnie do ciebie z płaczem, bełkając: „Jeszcze ten chleb, mamusiu." Ale ty już nie możesz, jesteś już na dnie życia. Osaczony. Z wszystkich stron widzisz drwiące lufy automatów. Chcesz wołać o ratunek. I wtedy... — tatuś zapatrzył się w podłogę, jakby tam szukał odpowiedzi i rozwiązania.

— Poplątało się mamusi w głowie — nie mógł wydobyć z siebie tych słów. — Ale pytam się: komu by się nie poplątało? — Odsapnął i jeszcze głośniej: — komu by się nie poplątało? . . .

Łzy spływały mi po policzkach spadając na koszulę. Nigdy nie wstydziłem się łez. Tym bardziej teraz.

— No, nie płacz, synku — rzekł cicho ojciec. Ale nie mówił tego z przekonaniem. — Ci dwaj chcieli ją zastrzelić. Ale trzeci, najmniejszy powiedział ostro: nein! i na wyjaśnienie zrobił kółko na czole. Na drugi dzień zwolniono mnie z więzienia. A mamusię wysłano na leczenie do zakładu. Wszystko przez tego małego Niemca. Tak. Czasem w mundurach esmańskich chodzili ludzie. Ale niedługo. I tego zabili. Sami Niemcy. Był pono za miękki.

Wszedł Janek i powiedział:

— Kolacja na stole.

Tatuś pykał wygasłą fajkę. — Bardzo się podleczyła w tym zakładzie. Ale coś zostało. To ten krzyż, który niesie przez życie. Krzyż, który pozostawili nam tamci . . . Wszyscy go dźwigamy . . . Ja, ty, twoi bracia, inni ludzie. A najwięcej mamusia. I dlatego wszyscy musimy być dla niej dobrzy. I wybaczyć jej wszystko. — Widzisz, synku, opowiedziałem ci wszystko. Może trochę za późno, ale nie myśl, że przyszło mi łatwo o tym mówić. Żebyś wiedział, jak każde słowo więzgnie w gardle. Więc nie gniewaj się na mnie.

— Ależ — speszyłem się. — Zawsze tak mało mówicie. A tak ładnie umiecie opowiadać. Chociaż tak bardzo smutno, tatusiu.

Wstał i poczłapał do okna. Przyglądał się płatkom śniegu, które dotąd polatywały.

— Ubiłem dobry interes — rzekł patrząc w okno. — Sprzedam barana. Będziesz miał ładne ubranie do matury. — Potem odwrócił się i powiedział: — Chodźmy jeść, bo zupa wystygnie.

JAN NERUDA

Przede dworem stara wierzba . . .

Jan Neruda (1834—1891), poeta, krytyk, prozaik i felietonista. Juliusz Fučik znakomity autor „Reportażu spod szubienicy" widział w nim „największego poetę czeskiego w ogóle, którego dzieło sięgnie daleko jeszcze poza nas w przyszłość".

Przede dworem stara wierzba,
pień zbutwiały szpetnie,
cała w bliznach, próchno samo,
lecz kiedy ją zetniesz?
Wiosną gdy ostatnią gałąź
przyobleka w kwiaty?
Latem, gdy na słońcu grzeje
swoje stare gnaty?
Czy snać w zimie? Śpi na pewno
zaledwie to czując.
Stare drzewo, stary człowiek
snu tak potrzebują!

Z języka czeskiego przełożył
Aleksander Widera

KAROLINA RUSZ

Pierwsza szychta

Dziadek Zabystrzan zapominał tego dnia jakoś bardziej niż zwykle. Synowa posłała go do sklepu, a on nie mógł sobie przypomnieć co ma kupić. Gdy po powrocie dano mu wreszcie spokój, odetchnął i podreptał do ogrodu. Mała altanka zdawała się wygrzewać w słońcu, jak kot, który leżał na ławce pod jej nagrzaną, brunatną ścianą. Dziadek pogłaskał kota, popróbował ciepła na jego sierści, dotknął drewnianej ściany i usiadł, wyciągnąwszy nogi do słońca. Przeszedł spojrzeniem wszystkie drzewa widoczne z tego miejsca. Wszystkie Pepiny, Renaty, Zorze, Królowe i Szlachetne, patrzył że i one wyciągają do słońca swoje konary, liście i owoce. O każdej myślał z troskliwością, jakby o żywej istocie i przysłuchiwał się jak z nadmiaru urodzaju upuszczają po jabłku, które grzmocą wiotkie źdźbła trawy.

Przymknął powieki i zaczął szeptać.

— Staśku, więc to dzisiaj twoja pierwsza szychta. Nie przypuszczasz nawet, jak bardzo rozumie cię starzyk. Przecież przeżywał to samo sześćdziesiąt lat temu. To prawda, że rano musiał o dwie godziny wstawać wcześniej i maszerować trzy godziny piechotą do pracy, gdy tymczasem ty wiozłeś się od samego domu, gdzie jest przystanek autobusowy. Ale ten smok, który wypuszcza z paszczy strugę ognistej rzeki, jest taki sam jak wtedy. Żeś się przeraził? Że nogi słabego dziecka ugięły się pod tobą, że czerwony blask ognia chciał wyżreć ci oczy, a żar zmącił ci w głowie? Staśku... starzyk cię bardzo dobrze rozumie. Głos rozwścieczonego majstra podcina cię jak trawę i zdaje ci się, że już, już, wpadniesz do ognistej rzeki. — Ty trąbo! Ty mamlasie! Ty buło, dziwej sie jak wół na nowe wrota! Bierz sie do roboty. Ty żółwiu, *bierz sie do roboty!*

Gdziekolwiek spojrzysz widzisz dookoła ogień i nie wiesz, co zrobić. Robotnicy skaczą, podstawiają formy, chwytają ognistą ciecz. Ty też jesteś zwinny, chciałbyś tak jak oni, ale nie wiesz jak. Przecież to dopiero pierwszy raz!

O drugiej wydostaniesz się z piekła, odetchniesz, obetrzesz zlane potem czoło, lecz strach będzie cię coraz bardziej ogarniał. Co powiedzieć rodzicom? Postanowiłeś już nigdy nie wrócić do tego piekła. Będziesz załamany, tak było ze mną.

Starzyk przestał szeptać, zamyślił się i skłonił głowę na piersi. Jak to było potem nie powie nikomu.

Długa powrotna droga, coraz bardziej stroma i niekończąca się, aż wreszcie las utknął, zatrzymał się, jakby już nie mógł zagarniać zbyt wysokiego szczytu, skąd opadały cztery zielone i złotawe rzeki zagonów. Lecz chłopak musiał wspiąć się aż tam na koniec, gdzie ziemia daremnie próbowała spotkać się z niebem, bo tam był dom.

Matka wybiegła przed ganek. — Dziepro wracasz? Robotnicy wrócili już przed godziną.

— Mamo wiecie, że do Trzyńca jest daleko.

— Cztery godziny wracać z Trzyńca?! Placki oziąbły, siano trzeba nosić, ojciec czeka już na łące.

Jeszcze kilka ostatnich kroków pod górę, po kamiennych schodach i nareszcie znalazł się w izbie. Matka szła za nim, jak cień. Po pierwszym wybuchu, pełna była niepokoju jak mu się powiodło.

Wyjął z rury placki bez zadowolenia, że już śmie, jak dorośli mężczyźni, sam brać jedzenie i sam jeść z misy, bez tych gęb, które trzeba zawsze karmić przy sobie. Matka dzisiaj nagotowała dla niego osobno placki do innej misy i polała je suto gęstą śmietaną.

Kiedy jego smutna twarz nie poweselała nawet po posiłku, zaczęła się niepokoić i wypytywać jeszcze natarczywiej, musiał jej więc *powiedzieć, że mu się źle powiodło i że zrezygnował z roboty w hucie.*

Matka rozpłakała się. Wyszli w milczeniu z domu. Z dołu rosły cienie i gasiły złoto świecące na lasach. Zupełnie tak samo rosła i nabrzmiewała w ich sercach — groza. — Co na to powie ojciec? Znaleźli go na łące

i zobaczyli najpierw tam, gdzie łąka zniżyła się gwałtownie w przechyleniu zbocza. Uwijał się z grabiami i wyglądał z daleka jak kawałek klocka poruszanego na sprężynie. Gdy weszli na łąkę, tak prosto twarzą do słońca, uczepionego na drugim szczycie, zaczęły wlec się za nimi, długie, bardzo długie cienie. Matka od razu powiedziała ojcu wszystko i rozpłakała się jeszcze bardziej, a i ojciec zaczął krzyczeć zupełnie tak samo jak majster. — Ty buło! Ty trąbo, nie pójdziesz już do roboty?!

— Nie.

— Nie?

— Ja ci pokażę!

Chłopak chwycił czemprędzej gotowe brzemiono siana, matka pomogła zarzucić je na plecy. Ruszył przygięty na powrót do domu.

Potem już szybko cień wpełznął na szczyt, pogasił ostatnie światła na szybach, więc i rodzice wrócili do domu zmęczeni i zadowoleni, że zdążyli siano poznosić przed rosą.

Ojciec jakoś zamilkł, jakby zapomniał o uporze syna, ale syn czuł, że to dlatego, bo ojciec znalazł sposób na jego upór. Poszedł popatrzeć do kuchni, i skóra mu ścierpła. Pod stolicą w szafliku moczył się powróz.

— Niech mie zabije, ale ja do tej roboty nie pójdę.

Czuł się śmiertelnie zmęczony i tak zgnębiony, że mu było wszystko jedno.

Sąsiad przywołał go przez okno — choć na chwilke na ławeczkę, musimy ze sobą pomówić.

Powlókł się bez najmniejszej chęci, nie wypadało jednak odmówić sąsiadowi.

Siedzieli chwilkę w milczeniu, odgrodzeni dymem z fajeczki, przyczepionej do ust sąsiada. Wreszcie sąsiad wyjął ją z ust, stuknął o ławkę i zapytał. — Prawda to, że nie chcesz iść do roboty?

— Już o tym wiecie? — zapytał ze złością.

— Twoja matka płacze i narzeka na ciebie. Przecież to wielka zgryzota.

— Czemu nie chcesz iść, no powiedz?

Chłopak spojrzał na niebo pełne gwiazd, które w tej chwili nie świeciły dla niego, na



gronie dookoła czarne i płaskie, jak mur. Jakże było mu wszystko jedno, czy to co widzi jest takie piękne i swojskie, czy go tata zabije i co sąsiad myśli o nim. Dlatego opowiedział wszystko sąsiadowi, jak to było w robocie, nie zamilczał nawet o tym, o czym wstyd mu było przyznać się przed rodzicami, że majster nazwał go tym i owym, że bał się żaru ognia i stracił głowę.

Sąsiad wysłuchał go cierpliwie, po czym stuknął fajką o brzeg ławki i rzekł. — To nic, to przecież nic takiego. Tak każdy zaczyna.

— Naprawdę, każdy?

— Każdy, a jakżeby inaczej. To już tak na świecie, pierwsze dni są ciężkie, ale nie śmiesz się zrażać. Może jutro będzie się jeszcze majster denerwował, a pojutrze cię polubi!

Danuta Siwkówna

Kołysanka góralska

Śnijże mi, mój malutki,
zamknij modre niezabudki.
Zamknij swoje modre oczka,
już nad gronienı wstaje nocka.
Idzie czarna noc groniami,
aż do ranka będzie z nami.
Zloty miesiąc w górze płynie,
wszystko już śpi, jeno ty nie.
Już umilkły ptaszyneczki,
śpią baranki i owieczki,
już juhasy grać przestały...
Śpij, syneczku. Śpij, mój mały.
Lulajże mi, synku, lulaj.
Ukolebie cię matula,
jaże zaśniesz w kolebusi
na tej białej, na podusi.
A jak już, mój mały, zaśniesz,
będą ci się śniły baśnie,
będą ci się śniły dziwy:
Jaś, królewna, smok prawdziwy,
będą ci się śniły cuda,
we śnie każda rzecz się uda!
Świeca gaśnie już na stole...
Śpij, mój synku. Śpij sokole...

W tej chwili gwiazdy zaczęły świecić dla niego, gdzieś w lesie zahukała sowa i on zaczął ją przedrzeźniać, żeby nie był taki zmęczony poleciałby do lasu schwytać to straszydło. Matkę tak zawsze przerażało to urywane hu... hu... odbite w echu na dziesięć tonów.

— No i co pójdziesz do roboty?

— Pójdę, jeśli to każdy jest taki jak ja, niezaradny na pierwszej szychcie, to pójdę.

Dziadek Zabystrzan ocknął się z zadumy, rozwarł szeroko oczy do słońca, aż go zabolały źrenice. — Dobry sąsiedzie, o dobry, poratowałeś mnie wtedy, ale co będzie dziś ze Staśkiem? Kto jego poratuje, kto mu przemówi do rozumu gdy wróci taki załamany i nieszczęśliwy. Starzyk, pewnie że starzyk.

Ostatnie słowa starzyka zbyt głośne, z zapałem wyrzucone z płuc, przestraszyły kocura, który zeskoczył z ławki i powlókł się chodniczkiem ku domowi. Podziałało to na dziadka jak magnes, wstał wyprostował zgrzybiałe kości i pokuśtykał śladem kocich łap.

W kuchni wrzała robota, synowa zagotowywała śliwki, myła słoje i wypędzała ścierką przez okno osy. Starzyk nie znosił żeby koło głowy fukotało mu coś, co przypominało skrzydła ptaka i żeby nie pozwolić osom polizać trochę syropu i śliwek. Nie podobna było to jednak powiedzieć, bo oni i tak nie rozumią starego człowieka. Synowa rozpocznie wykład o jakiejś tam higienie, mądrzejsza niż doktor. Nie podobna też było mówić dzisiaj z nimi o Staśkowi, bo oni nie pracowali nigdy przy hutniczych piecach i nie mają pojęcia, co to znaczy dla Staśka być tam pierwszy raz w życiu.

Starzyk wycofał się do swojej izdebki „na wymowie" i czekał do trzeciej. Stasiek nie wrócił z robotnikami, pewno wróci za godzinę. Biedak, któż wie, gdzie się tuła przygnębiony swoim niepowodzeniem w pracy. Żeby tylko nie poszedł z kamratami do gospody...

Wieczór starzyk nie mógł już wytrzymać —, co to będzie, gdy na przykład Stasiek przyjedzie pijany? Tak czy owak, trzeba go ratować. — Starzykowi ciągle plątała się wizja mokrego powrozu, jakby to najbardziej groziło Staśkowi.

Jakoś może koło siódmej, ozwało się lekkie stukanie do drzwi i Stasiek wychylił głowę. — Sami jesteście starzyku?



— Wejdź, nie bój sie, nikogo tu nie ma.
Wszedł do pokoju, cienki i wysoki, podobny do draba. Starzyk odetchnął widząc go całkiem trzeźwym.

— Starzyku, czy mama się gniewa?

— Myślę, że nie tak bardzo.

Chłopak odetchnął, przybliżył się do dziadka, który daremnie odgadywał jego nieprzeniknione, czarne oczy.

— Chyba jest smutny — pomyślał dzia-

dek i zaraz począł wnuka pocieszać. — Staśku, nie martw się, wszystko będzie dobrze, to przecież pierwsza szychta.

— Też tak myślę. Chyba mi wybaczą.

— Pewnie, jutro już będzie inaczej. Jutro się majster jeszcze zdenerwuje, a pojutrze cię polubi.

Stasiek uniósł ciemne brwi. — Dlaczego majster miałby się denerwować? Myślę, że on mnie już dziś polubił, więc cóż to za plotki?

— Więc co nabroiłeś? Kto ci ma wybaczać. — Zaczął dziadek ostro, czując się tak jakby został wywiedziony w pole.

— Mama, przecież będzie się gniewać, że przychodzę tak późno. Kochany starzyku, zróbcie to jako, przymówcie się za mną, udobruchejcie mame!

Dziadek odwrócił się do pieca i począł grzebać w popiele. Jakże się pomylił co do Staśka. Chłopak nie był wcale smutny, ani zgnębiony. W pracy powiodło mu się dobrze, huta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, ogień wylewający się z pieca nie był dla niego zastraszającym dziwem świata, nie zamąciło mu się w głowie, ani na chwilę nie został bezradnym.

Wreszcie wstał i spojrzał znów na Staśka. — Mama powinna cię zbić mokrym powrozem. — Powiedział tak naumyślnie, choć nie dałby na wnuka położyć palca.

Stasiek się roześmiał. — Mokrym powrozem? Takie okrucieństwo zdarza się chyba w bajce.

— Nie śmiej się. Nas kiedyś tak ćwiczyli. Ale powiedz mi nareszcie, co robiłeś po południu?

— Latałem na samolocie.

— Ty, na... na... samolocie? — Dziadek otworzył szeroko, szeroko oczy.

Ilustrował Fr. Świder



Linoryt Svatoslava Böhma

OLDRICH RAFAJ

Ból światła

Ilustr. M. Tarska



W sali przesłuchań siedziało czterech mężczyzn po czarnu, z trupią czaszką na wojskowych czapkach. Zauważył przede wszystkim te trupie czaszki, ale kiedy usiłował spojrzeć im w twarze, zobaczył tylko cienie — ostre, czarne, z których sterczały cztery lśniące, zatłuszczone nosy. Oświetlali go mocno, światło prawie go oślepiło, siedział na obrotowym krzesełku, a oni za stołami, w czterech kątach sali. Siedział w pasiakach w środku, zgarbiony i siwy, wykończony.

— Gdzie syn? — warknął ten z prawego kąta.

Myślał chwilę. Wahał się. Powiedzieć? Przecież wiedzą. Nie powie. Gdyby powiedział, jak zareagują — błysnęło mu.

— Nie wiem.

— Nie wiecie? — kopnął do krzesła lewy. Wysunął nogę pod stołem, kopnął. Nie zadrżał nawet.

— Nie wiem, rzeczywiście nie wiem, gdzie syn.

Popatrzał wprost do światła. Jasny ból. Oczy przyzwyczajone tylko do mroku celi nie wytrzymały. Tysiąc szpilek w głowie. Jęknął. Przymknął na moment powieki, zaciął zęby. Co o mnie pomyślą . . . I znowu światło kłujące jak nóż. Zmęczony zamknął oczy.

— Nie wiem.

— Jak, nie wiecie? Był u was.

— Chcecie powiedzieć, że nie?

Wzięli go w krzyżowy ogień pytań, stracił orientację. Ostatecznie wszystko jedno. Wszyscy są w zasadzie jednakowi. Obojętne, z której strony dobiega głos. Jedno — wytrzymać.

— Nie, nie zaprzeczam — rzekł spokojnie. — Był u mnie. Do czasu, póki nie wyrzucili go z pracy.

— Ponieważ był bolszewikiem, zdrajcą Niemiec! — krzyknął jeden, uderzył w stół.

— Ponieważ nie chciał zginąć z głodu jak inni — dodał spokojnie.

Milczeli chwilę porządkując swoje myśli.

Dodał jeszcze: — czy wiecie, że bywały kryzysy. Byłem cztery lata bez pracy. Cztery lata.

On jeszcze chce ich pouczać On! Jeden wszedł w światło potężnego reflektora, stanął przed Józefem.

— Tak, więc w dodatku prowokujesz? — złożył ręce na biodra.

Zauważył, że przeszli na ty.

— Jesteś starym tego zdrajcy bolszewickiego i do tego prowokatorem?

Zamachnął się i uderzył go pięścią.

Runął nie oczekując ciosu. Porażało go światło żarówki, Podniósł się z trudem, usiadł. Nie będę mówił, nie wydostaną ze mnie ani słowa.

— Że twój syn nie otrzymał pracy, ma do zawdzięczenia swej niewyparzonej gębie i tobie!

Wstał drugi lecz usiadł na skinienie kolegi. Wykończą mnie, pomyślał Józef. Jeszcze

prędzej, niż wczoraj. Przełknął suchą ślinę, przymknął powieki. Pomogło mu to. Mógł na chwilę zapaść w siebie, do swej ciszy. A co Kurt? Kiedy tylko przypomniał sobie imię syna, otworzył oczy. Nie widział nic prócz oślepiającej bieli. Wydawało mu się, że wyziera z niej zamyślona twarz Kurta, zdrowa, z bystrymi oczami.

— Jeszcze zmądrzejesz, powiesz, co należy.

Milczał.

— Więc. No więc?

Ktoś z czterech wychylił się i podsunął mu papierosa. Zapaliłby chętnie — bierz, bierz — krzyczało coś w nim — póki potrafisz! Przełknął ślinę, patrzał uparcie w światło. Oczy już przywykły do niego.

Ten cofnął wściekle rękę z paczką papierosów.

— Na pewno powiesz, gdzie twój syn. Chcemy sprawdzić tylko kilka szczegółów. — Odwrócił się — zapytamy się o coś i pójdzie sobie.

Myślał: to znaczy ja. Jestem już tu trzeci dzień, zawsze z dodatkiem kopniaków i policzków.

— Masz minutę czasu — powiedział jeden.

Patrzał stale w światło, lecz wydawało mu się, że jest zupełna ciemność.

Minuta czasu. Chociażby pół godziny. Postanowił i basta. Nie zajmował się tym dłużej. Chociażby miał coś do powiedzenia, nie zrobi tego. Robotnik nie zdradza robotnika.

Ubiegła minuta i ktoś z czwórki stuknął kciukiem w stół. Jeden z nich wstał i podszedł do Józefa.

— Nie będziesz mówić?

Milczał.

Stał przed nim jak złowieszczy cień. Uderzył go, w twarz. Szukał drażliwych miejsc i zaczął bić. Józef po chwili, osunął się na ziemię. Drugi wstał, zbliżył się do pierwszego. Zaczęli go kopać.

Do zmysłów przyszedł dopiero w celi. Schinzel, drugi więzień, trzymał głowę Józefa na łonie i ocierał mu skronie wodą. Jaki cud — zimna woda w celi. Lecz pamiętali o tym. Z przydziału zawsze zostawili trochę w naczyniu na spłukiwanie ustępu. Przyda się. Wczoraj wieczorem Józef pomagał Schinzelowi, a dzisiaj Schinzel mu zwraca. Muszą sobie pomagać. Ocierał mu skrwawioną twarz, rękawem oderwanym od koszuli troskliwie obmywał rany i starał się przy tym nie dotknąć żadnej. Mimo to Józef syknął kilkakrotnie z bólu. Troskliwość Schinzela przypomniała mu delikatną opiekę żony podczas choroby.



Kiedy sobie wyobraził, co z nim zrobili, jęknął. Spróbował się poruszyć, lecz nie zdołał. Bolało go całe ciało, zwłaszcza nerki i brzuch. Nie czuł nóg, twarz miał opuchniętą. Sięgnął na nią. Rzeczywiście. Spróbował językiem dziąseł. Kilka zębów się poruszało. Przeszył go nagle piekący ból, wyprężył się, lecz to było jeszcze gorsze. Po chwili minął ból i czuł się zupełnie zdrów.

— Kurcie, — wyszeptał imię syna. Wydawało mu się, że się nad nim schyla i obmywa rany zimną wodą.

— Leż, leż cicho! — ostrzegł go Schinzel. Wziął go za ręce i położył na pryczy. Rany potrzebują powietrza. Zostawił go bez nakrycia, w kalesonach. Rozpostarł pod nim prześcieradło. Spało już na nim tylu podobnych do Józefa. Dobrze, że mieli chociaż to. Józef leżał i ledwo oddychał.

Nie chciał myśleć o tym, co przeżył, lecz wspomnienia powracały, musiał o nich myśleć i trapić się nimi. Powracał do ich pytań, do swego milczenia. Nie, nie powiedział ani

słowa. I nie powie. Kurta przecież nie mogą złapać.

— Kurcie — mówił łagodnie — gdzie jesteś, synku? Rad bym cię zobaczyć zdrowego i wesołego, z myślami, których słuchałem ze zdziwieniem i natchnieniem. Byłem dumny z ciebie.

I oto przypomniał sobie sprawę Kurta. Widział wszystko do szczegółów, żywe, do końca.

W kwietniu 1936 roku przewodniczy organizacji partyjnej w O... otrzymał list z komitetu centralnego. Zawiadamiano w nim, że w Paryżu odbędą się międzynarodowe sportowe igrzyska robotnicze. Każdy znał aktualną sytuację w świecie i domyślał się, że oprócz sportu pójdzie i o coś innego. Powinni byli wybrać chociaż sportowców i wysłać do Paryża. Zbiórka wszystkich komunistów czechosłowackich będzie aż w Palaîs Rêpublique. Oczywiście. W inny sposób nie mogłoby pojechać do Francji tylu komunistów z Czechosłowacji.

Wybrali jednak czterech. Trzech chłopców — Kurta, Nermanna, i Franza i jedną dziewczynę — Elzę Luks. Nie pamięta już dokładnie. Urządzili dwie lub trzy akademie, a zysk poszedł na cele organizacji. W pewien czerwcowy wtorek rozłączyli się z nimi i w środę wczesnym rankiem odjechali do Suchdola.

Mieli szczęście, paszporty na igrzyska sportowe w Paryżu zakazano wydawać. Po dwudziestu dniach przyszedł list. Wprawdzie od Kurta otrzymał już dwie widokówki, ale co skłoniło go do napisania listu? Nie mógł doczekać się powrotu? Za kilka dni ma przyjechać. Przypomniał sobie Hiszpanię i ścisnęło go za serce. Czyżby? Skwapliwie otworzył list. Kurt mógł pisać tylko w napomknieniach. Lecz Józef mimo wszystko wyczytał, że przyjedzie do domu, by naradzić się z ojcem w celu jak najszybszego ponownego wyjazdu do Paryża. A potem?

Przyjechało wszystkich czterech. Milczących wieloznacznym milczeniem. Kurt zafrapował ojca nawałem nowin. Zwołali szybko zebranie i tam rozgadali się o swych przeżyciach.

Zebranie przeciągnęło się do nocy. Pamięta, że przez firanki świtało. Kiedy wracali do domu, Kurt chwycił ojca za rękę i powiedział: Pojadę do Hiszpanii. Muszę tam być.

Spodziewał się tego. Zapytał, czy to myśli poważnie, czy by się bez niego nie odbyło. Kiedy zobaczył zaskoczenie Kurta zgodził się. I tak go wyrzucili z pracy, a w O... trudno coś innego znaleźć. Gdyby się mnie pytali, gdzie jesteś, powiem, że pojechałeś do Francji szukać pracy. Czyż nie wyemigrowało stąd kilka rodzin do Rosji i Belgii? Możesz być między tymi, co szli szukać szczęścia do Francji. Serce mu krwawiło. Nie mówili o tym więcej. Przyszli do domu, usiedli z matką przy stole, żeby wszystko dokładnie omówić.

Kiedy Kurt odjeżdżał przyznaje, miał łzy w oczach. Nie wiadomo, czy go jeszcze zobaczy. Miał łzy w oczach, żona też, ale nikt nie mógł zabrać im radości. Byli dumni z Kurta.

To było ostatnie przeżycie z Kurtem. Od tego czasu był z nim tylko raz, dwa krótkie dni, które wszyscy przeżywali pod wrażeniem i niespokojnie. Kurt brudny i wychudły miał oczy równie głębokie i wesołe. Co o nim pamięta, zna tylko z jego opowiadań, często przerywanych długim milczeniem. Jak współczuł z nim. Wiedział, że ma prawo żądać od niego więcej niż mógł. Był to raczej tylko szkic czegoś, za czym się ukrywało dużo domysłów, ciężkiego zmagania, niezliczone godziny zmęczenia i walki, ale także życie pełne dążeń, cierpliwości i dobroci. Dlatego może mowa Kurta zlała się w jakiś żywy prąd, z którego jak wyraźne kolory pamięta tylko to podstawowe.

Kurt odjechał przez Cheb wprost do Paryża, paszport bowiem był dalej ważny. W Paryżu zgłosił się do organizacji partyjnej Renaultki. Ochotnicy czechosłowaccy tam właśnie się zgłaszali. Wystarali mu się o bilet i wysłali przez łączników na południe. Po trzech dniach był przed Pirenejami. Przejść granicę nie było trudno. W republikańskiej Kastylii wystarczyło wykazać się poleceniem komitetu partyjnego Paryża. Uściskali go i towarzysz francuski powrócił po następnych. Wreszcie dostał się do Hiszpanii.

Wszystko żyło walką z faszyzmem. Miał może szczęście, że w kraju absolwował szkołę podoficerską, z miejsca został porucznikiem republikańskiej armii ochotniczej. Razem z innymi oficerami zorganizował oddział Ernesta Thällmanna, w którym zgrupował samych Niemców. Wkrótce wsławili się w bitwie z faszystowskimi Niemcami, których Hitler wysłał Francowi na spadochronach.

Ale kiedy upadła republika, przerzedzały



ma słowo Niemiec we Francji. Kiedy szedł raz po ulicy pełnej ludzi, zauważył, że ją nagle z obu stron zatarasowali żołnierze niemieccy. Zdziwiony rozmyślał, co się dzieje. Zanim zdołał dojść do jakichś wniosków, rozległa się strzelanina i na bruku leżeli martwi. Rzucił się przeciw karabinom niemieckim i wołał: Kto wam pozwolił strzelać?

Aresztowali go razem z innymi. Była to jedna ze zwyczajnych łapanek, za pomocą których rasiści zapewniali siły robocze dla rzeszy. Często ich bili, stracił kilka zębów, wieźli ich większością w nocy, nikt nie śmiał się zbliżać do ich wagonów. Każdej próbie ucieczki towarzyszyła strzelanina. Jechali dwie noce, a kiedy rano wysiedli na małym dworcu, unosiła się nad krainą rzadka mgła pomieszana z czarnym dymem smolnym. Rozdzielili ich do grup roboczych. Wtedy zauważył młodą zalęknioną Francuzkę i zdecydował się jej pomagać. Każdą grupę prowadził do pracy jeden werkschutz. Kiedy przyprowadzono ich do rozległej hali fabrycznej, dowiedział się, że są w fabryce chemicznej benzyny syntetycznej. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie Niemcy wybudowali coś po-

się ich szeregi. W końcu z dwustu ludzi zostało trzydzieści sześć. Musieli przejść znowu Pireneje, tym razem wyczerpani na śmierć. Z resztą sił. Prześliczne słońce lipca grzało szczyty gór, szli koło Andory i patrzyli z górskich ścieżek w dół, do spokojnych dolin, których nie tknęła wojna. We Francji ich pozamykali i internowali w specjalnych obozach dla uciekinierów hiszpańskich. Kilkakrotnie próbowali ucieczki z powodu nieznośnego życia. Na szczęście Francuzi nie karali ich. Kiedy udało się Kurtowi uciec, nieszczęśliwie oddalił się w nocy od grupy i zabłądził. Grudniowa mgła oddzieliła go od reszty a jego nawoływanie pozostało bez echa. Został sam. Na własną pięść zdecydował się dojść do Paryża. W międzyczasie wybuchła wojna z Francją. Po kilku miesiącach Francja przestała istnieć. Kurtowi udało się dojść do Paryża, lecz musiał się zgłosić w komisariacie niemieckim. Powiedział, że jest Niemcem żyjącym we Francji, że zgubił dowody i że jest bez pracy. Organizacja partyjna w Renaultce przestała funkcjonować. Był Niemcem i każdy patrzał na niego z nienawiścią. Uświadomił sobie, jakie brzmienie

Współżycie ludzi ze sobą jest tworem niezwykle złożonym, składa się z szeregu warstw, względnie od siebie niezależnych, choć łączących się w pełną całość. Współżyjemy ze sobą wszyscy na gruncie wspólnego zawodu, w szkole, fabryce, biurze, spółdzielni; inaczej współżyjemy w środowisku rodzinnym, w domach wczasowych i lecznicach.

Zasady i formy tego współżycia, jego prawidłowości i konsekwencje, są częściowo ujęte przepisami, częściowo regułami tradycji i zwyczaju, częściowo zaś — i to nie w najmniejszej części — dzieją się żywiołowo.

Kiedyś powstanie nauka o współżyciu, która zbada dokładniej niż to wiemy obecnie, prawa, rządzące osobistym kontaktem ludzi, ich wzajemnym na siebie od-

dobnego. Raz szedł po jakąś część składową i usłyszał czeskie słowa. Spojrzał zdziwiony — Czesi tutaj? — zapytał. — Jakby inaczej — usłyszał cichą odpowiedź — jesteś w Chomutowie. Nagle zaświtało mu w głowie i cieszył się. Był wprawdzie dorosły, miał 25, ale zalał się łzami. Był u siebie! Kilka setek km stąd ma rodziców. Od razu się zdecydował, że odwiedzi ich. Powiedział to Iwonie. Zgodziła się. Zgłosił się jako chory, wzięli go do szpitala, dla takich wypadków mieli swego francuskiego lekarza. Z łącznikami komunistycznymi dostał się przez granicę, a że umiał biegle po czesku, z koronami protektoratu jechał przez Böhmen und Mähren do domu.

... Przypomina sobie, jak początkowo nie chcieli wierzyć, że to rzeczywiście Kurt. Gdzie tam można było się go spodziewać? Zwłaszcza w tym czasie. Nie dawał o sobie znaku życia, mało brakowało, a uważaliby go za zaginionego. Byli bardzo szczęśliwi, że przyszedł. Sąsiadom powiedzieli, że przyjechał na urlop za zasługi dla rzeszy. To samo powiedzieli, kiedy przyszła policja. Uwierzyła im. Był w domu dwa dni, powiedział im wszystko, co przeżył za cztery i pół lata. Zanim odjechał, przyszli jeszcze inni antyfaszyści, którzy swoje poglądy byli zmuszeni ukrywać. Byli między nimi i szykanowani i pod dozorem. Tych z nich, którzy przyszli do pociągu, pozdrowił zwartą pięścią.

Gdy tylko odjechał, przyszło po Józefa gestapo. Wkrótce go zwolnili. Sam nie wierzył, że zostawią go w spokoju. Miał rację. Po dwu miesiącach przyszli po niego znowu. Tym razem otrzymali wiadomość, że Kurt Hawran i dalsze trzy osoby, między nimi jedna Francuzka, uciekły jako totaleinsatz i że istnieje możliwość ich ukrywania się w O... Uwięzili Józefa w Opawie w jednej celi z Schinzlem. Ich dom śledzili dniem i nocą.

Prycza pod Józefem jest gorąca. Józef czuje krew, która zwiera ciało lepkimi palcami. Nie może się poruszyć. Patrzy w próżnię a w głowie mu dźwięczy słowo za słowem, które mu powiedział Kurt przed odjazdem: Wrócę, wrócę, ale dopiero po wojnie. Zostań takim, jakim jesteś w domu, ojcze. A gdybyś się dowiedział, że mnie nawet zabili, nie wierz. Oni tak robią.

PROF. DR. Z. MYSŁAKOWSKI
rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie

Szkoła współżycia

działywaniem. Dziś są to zjawiska często niezamierzone, a najczęściej wcale nieuświadamiane i nie zdajemy sobie sprawy, ile dobra lub krzywdy dla innych mieści w sobie jeden gest, jeden uśmiech, jedno skarcenie, jeden podstęp czy fałsz, skutki ich są niekiedy tak trwałe, że żyją w nas od dzieciństwa do starości. Kiedyś, ktoś podał ci rękę i nie zdawał sobie może wcale sprawy z jakiej głębiny cię wydobył i jak właśnie wtedy potrzebowałeś jego przyjaznego gestu. Dużo można by na ten temat mówić — i nie nauka to dotąd czyniła, lecz pisarze — artyści, znawcy dusz od strony tych spraw tak często nieuchwytnych, niewypowiadanych, dla których nieraz nawet słów brak w zapasie języka. Ileż z tych rzeczy wypowiedział Guy de Maupassant albo Teodor Dostojewski. Ile mądrości mieści się choćby w jego niewielkiej „powieści w listach" — „Biednyje ludi!".

Sztuka wyprzedziła tutaj o całe wieki naukę; ma ona jednak to do siebie, że daje obrazy konkretne, choć uogólnione (ale uogólnione na własny sposób); z jej sposobu przedstawiania nie można przejść bezpośrednio do stosowania w praktyce; może to sprawić kiedyś nauka, formułująca prawa w sposób pojęciowy i abstrakcyjny; od tak sformułowanych praw można przejść do postępowania, do techniki.

Kiedyś, obok tej nauki o współżyciu, powstanie inna jeszcze nauka, nauka o rządzeniu ludźmi; dotychczas odbywało się to na drodze ślepej praktyki, surowych, prymitywnych prób.

Widzę w odpowiednio rozwiniętej nauce o wyższych czynnościach nerwowych, podstawę do obydwu tych dyscyplin przyszłości. Już obecnie jednak w medycynie można mówić o zaczątkach tego, co można by nazwać

Jest przekonany, że mu to jutro powiedzą. Zawsze, kiedy nie mogę dalej, straszą tymi nowinami. Józef im nie wierzy już naprzód. Jest niemożliwe, aby Kurt nie żył. Kiedy mu to jutro powiedzą, wyśmieje ich.

Jest noc. Niedomkniętym oknem wpada chłód marcowej wilgoci. Wkrótce rozwiną się kwiaty. Jak chciałbym je zobaczyć. Drzewa obsypane kwiatami, wyrastającą delikatność trawy, liście pełne zapachu miodu. Cela już go nie ogranicza. Pobyt w niej wydaje mu się mało znaczącym epizodem, w którym zostaje jednak zwycięzcą ten, kto najbardziej wierzy. Nie ufają w niego ci, których życie zależy od jego słów. Nie powie. Co mu mogą zrobić? Komuniście?

Przy tej myśli się zaśmiał. Mimo że bardzo bolał go brzuch i nerki, zaśmiał się jeszcze raz. Prawie że połknął łzy, ale uśmiechał się do bezgranicznej, wilgotnej marcowej nocy.

Tłumaczyli: B. B. i W. S.

Władysław Sikora

Ziemia

Niech świat rozpęknie —
miłością,
Niech każdy dzień jest
mądry . . .
Kiedy życie boli,
Wierzymy,
Że człowiek jest piękny.
Wszystko jest przed
nazwaniem.
Uzbrojmy Ziemię
w mikroskopy
I przed Księżycem
Dobiegnijmy do Ziemi.

„pawłowizmem dnia codziennego".

Terenem doświadczalnym tego kierunku mogłyby być — moim zdaniem — domy wczasowe i miejsca zdrowotnego wypoczynku.

Mogłyby one — ze względu na szerokie stosowanie — stać się miejscem masowej redukcji w sztuce „życia codziennego". Potrzeba będzie do tego wielu skoordynowanych wysiłków: naukowców, pisarzy, artystów, lekarzy i pedagogów. Ale jak ten racjonalizatorski wysiłek się opłaci, jeżeli ludzi skłóconych z życiem i ze sobą — przywróci się życiu, społeczności i pracy!

I

Obcowanie z ludźmi wypełnia nam sporą część życia. Nie jest więc obojętne jak to współżycie się układa: czy w sposób pobudzający nas i twórczy, czy hamujący i destrukcyjny.

Obcujemy z kolegami, przełożonymi i podwładnymi, w biurze, w fabryce, w szkole, na zebraniach, w rodzinie. Może nawet uskarżamy się przed innymi i przed sobą, że ten i ów źle jest do nas ustosunkowany, że się czepia, że jest nieznośny, że lubi się uprzedzać. Ale czy mamy do tego zupełne prawo? Czy my sami jesteśmy zawsze w porządku? Czy tych samych wad nie dostrzegają w nas inni? Czy to, jak się odnoszą do nas nasi współtowarzysze życia, nie jest czasem uwarunkowane także i przez to, jak my się do nich odnosimy?

Często łatwiej jest dostrzec niewłaściwości u innych, jak u samych siebie.

Człowiek jest twórcą swego otoczenia; każdy urabia je w pewien sposób i jest przez nie urabiany. Jeżeli to i owo nas razi i sprawia nam przykrość i zawód, nie należy mówić: tylko tamten czy ten jest winien. Każdy odpowiada po trosze za wszystkich i zarówno dobro jak zło powstaje przez sumowanie się udziałów indywidualnych. Źle ci z innymi? Powiedz sobie: od dziś będę ja uważniejszy, od dzis ja będę się starał wnieść więcej pogody i radości, więcej tolerancji i sprawiedliwości, od dziś będę starał uczyć się lepiej i rozumieć innych. Nie czekaj, aż oni się naprawią.

II

Nie sądź ostro swoich bliźnich, dopóki nie zdasz sobie sprawy, czy jesteś od nich pod tym względem lepszy. A nawet, gdy tak jest, lub gdy ci się wydaje, nie sądź ich zbyt zgryźliwie, w każdym razie nie tak, by nie zostawić drzwi uchylonych ku lepszemu jutru. Odwołuj się zawsze krytykując, do tego, co w nich jest ziarnem lep-

Bruno

Josef Nesvadba

I wrócili go rodzicom już z pierwszej klasy z powodu nieuwagi, zapominalstwa, roztargnienia i ciągłych bójek; rzucił nawet kałamarzem do nauczyciela. Wyraźny wypadek oligofrenii, lekarze nie obiecali poprawy. A jednak żona inżyniera Habichta kochała właśnie to dziecko najbardziej. Odkryła jego talent do liczb i już przed wojną zapewniła mu guwernantkę, starszą damę, która troszczyła się o nie codziennie. Ten nieudolny chłopak nazywał się Bruno.

Opowiadał mi o nim mój krewny, który

---

szego. Otwieraj perspektywy przed ludźmi, nie wtrącaj ich w ulicę bez wyjścia. Nawet krytyka powinna być optymistyczna i tylko taka krytyka jest coś warta.

Pomyśl o sobie: jak podziałałaby na Ciebie krytyka miażdżąca, krytyka unicestwiająca Ciebie w Twoich własnych oczach? Czy po takiej krytyce chciałbyś lepszego, czy po takiej krytyce nie pozostanie Ci tylko odruch nienawiści do kogoś, kto Cię skrzywdził swoją krytyką niewiary w samego siebie. A nienawiść i brak wiary w siebie do niczego dobrego nie prowadzi.

Czy wiecie, skąd się bierze niekiedy u tamtego lub owego postawa zgryźliwej krytyki wobec wszystkiego dookoła? Są to często ludzie nieszczęśliwi, którzy sami stracili poczucie własnej wartości w swoich oczach — i dostrzegając w swoich bliźnich same wady, zgęszczając cienie dookoła, sądzą, że przez to samo staną się jaśniejsi. Tym ludziom nie jest dobrze ze sobą. Należy się im współczucie, które c od obinę zmniejsza ich odpowiedzialność za to, co czynią. Ale nie znosi ich odpowiedzialności zupełnie.

Są także inni, którzy zwalczając ostro i przesadnie wady bliźnich, zdradzają tylko swe własne wewnętrzne rozdarcie; walcząc z własną wadą i nie mogąc jej przezwyciężyć, sądzą, że umocnią się w tej swojej walce przez przesadnie ostre potępianie tego samego u bliźnich, z czym nie mogą dać sobie rady w sobie.

Są to ludzie moralnie chorzy, skłóceni z sobą. Na zewnątrz będą oni wywoływali wrażenie tych wyższych, tych prokuratorów i fanatyków moralności. Przechodź więc koło nich jak koło chorych, bez nienawiści. Pamiętaj, że leczy się tylko pozytywne dobro.

Jeżeli chcesz uprawiać krytykę, niech to będzie przede wszystkim samokrytyka.

Pamiętaj, że żyjąc, to znaczy działając, jesteś siewcą ziarn. Niechże to będą ziarna prawdy i słuszności.

Jeden z naszych poetów powiedział:

„Kędyś Ty posiał fałsz
i fałszem zdobył sławę,
Tam znajdziesz kłamstwa
cześć i imię w czci plugawe."

Uważaj więc na to, jakie ziarna siejesz.

III

Wielką sztuką życiową jest umieć się różnić.

Wszyscy różnimy się mniej lub więcej w naszych poglądach, osądach, ocenach. Nigdzie, ani w nauce, ani w sztuce, ani w technice, ani w kierownictwie ludźmi nie ma i nie może być jednomyślności. W pewnych sprawach jesteśmy w tym i owym zgod-

podczas wojny pracował w Ksenemuende i mieszkał u pewnego siedemdziesięcioletniego nauczyciela. Ten nauczyciel miał zluzować u Habichtów ostrą guwernantkę po owym zagadkowym nalocie z dnia 4 października. Ksenemuende dotąd nie odniosło żadnych szkód ze strony sprzymierzonych bombarderów. Nie wydawało się również, żeby tu gdzieś były ważne objekty. Jedynie ta fabryka pod ziemią, w której produkuje się coś tajemniczego, nikt nie wiedział co. W nocy na 4 października spadła jedna mała bomba lekkiego kalibru wprost na domek guwernantki Bruna i zabiła tylko ją, ponieważ stara dama mieszkała samotnie. Tymczasem dowództwo zapewniało, że szeroko daleko tej nocy nie pojawił się żaden samolot nieprzyjacielski. Mówiono o pocisku z dalekosiężnego działa. Ale dlaczego by artyleria angielska ostrzeliwała z Doveru domek guwernantki Bruna, nikt nie wiedział.

Stary nauczyciel chętnie przyjął propozycję pani Habichtowej. Jako emeryt dorabiał sobie korepetycjami, ponieważ brakowało mu stale pieniędzy, aby sobie zakupić chociaż ziemniaków na czarnym rynku. Nie powiedziano mu, że Bruno jest idiotą. Przekonał się o tym dopiero podczas pierwszej wizyty. Był to chłopak szesnastoletni z miną sześciolatka i z pewnymi rysami niemowląt. W ciągu godziny zdążył skoczyć po muchę i niby nic połknąć ją, wsadzić sobie do nosa wieczne pióro albo oblać spodnie nauczyciela namiastką kawy, którą mu zaparzyła pani Habichtowa. Ten powstał i chciał momentalnie odejść. Zrozpaczona matka musiała go długo przekonywać, podwyższyła mu honorarium i przyrzekła mu gotować kolację, jeżeli zajmie się Brunonem. A chłopak jakby naraz chciał się przypochlebić: stanął przed profesorem na baczność, głośno recytował wielką tabliczkę mnożenia, dzielenie i pierwiastkowanie.

— Ma fenomenalną pamięć do liczb, zapamięta sobie wszystko — powiedziała matka. — Umie na pamięć cały spis telefoniczny Ksenemuende.

A Bruno chyżo recytował pierwszych sześćdziesiąt numerów razem z adresami dołączo-

---

ni, w innych nie, I wszystko jest w porządku, dopóki umiemy się różnić.

Co to znaczy umieć się różnić?

To znaczy dyskutować rzeczowo nad daną sprawą. Walczyć z argumentem, ale nie z przeciwnikiem. To znaczy spokojnie i rzeczowo starać się wysunąć wobec przeciwnika pewne pominięte przez niego strony sprawy, korygować pewne nieścisłości, bez chęci poniżenia go ani wykazania własnej przewagi. Jeżeli ktoś obraża się z tego powodu, pomimo że w naszej postawie nie było ani złośliwości, ani niechęci, to znak, że mamy do czynienia z człowiekiem egoistycznym, nieuspołecznionym. Ten człowiek odnosi wszystko do siebie i nie umie się różnić. Takiego człowieka trzeba kolektywnie wychować. Reagując ze swej strony odruchem nienawiści niczego nie dokonasz.

Umieć się różnić bez uraz i odruchów nienawiści — to wielka i cenna sztuka! Ucz się jej, zaczynając od siebie. Może dostrzeżesz stopniowo, że coś polepsza się dokoła Ciebie. Może twój szef lub kolega w biurze zrozumie Ciebie a tym samym i siebie. Może Twoje dziecko stopniowo stanie się mniej krnąbrne i przyjdzie przez Ciebie cierpliwie oczekiwane przymierze?

IV

Jeżeli możesz okazać komuś swą życzliwość lub wdzięczność za coś, co doznałeś odeń dobrego, zrób to.

Zdarza się, że człowiek, któremu wyświadczyliśmy przysługę, nie tylko nie okazuje swej wdzięczności, lecz odwrotnie, odsuwa się od nas. To dlatego, że czuje się jakby upokorzony tym, że przyjął przysługę i wydaje mu się, że potwierdzając ją przez okazanie wdzięczności staje się jakby mniejszy wobec nas. Ale jest to uczucie, które trzeba zwalczać: fałszywy wstyd.

„Jeżeli mowę uczuć znasz,
Nie kryj jej w serca głębi."

Nie staniesz się przez to mniejszy i nie obudzisz w tamtym odruchu lekkiej urazy.

V

Nie podchodź do ludzi z przeświadczeniem pesymistycznym, z tym założeniem, że w każdym siedzi łajdak.

Nie mów jak Gogol w ostatnim, chorobliwym okresie życia: „Szubrawiec i szmata każdy człowiek" („Drań i trapka wsiak człowiek").

Jesteśmy wszyscy odpowiedzialni za wszystkich. Kto mówi źle o wszystkich, wynosi tym samym siebie ponad społeczność. Któż dał mu patent na „jedynego sprawiedliwego".

Dobro i zło jest w nas wszystkich w stanie niejako

nych stacji. Ale nie rozumiał języka ojczystego, kiepsko z historią, nie potrafił nawet przeczytać całego zdania. I to, proszę, w szesnastu latach. Profesor liczył zawsze minuty do kolacji, nigdy w życiu godzina nie wydawał mu się tak długa i nigdy nie chodził tak niechętnie na lekcje.

Jakoś za miesiąc przyłapał Bruna na ulicy podczas bójki z całą gromadą młodszych dzieci. Policzkował tych ośmioletnich chłopaczków, podstawiał im nogi i kopał ich, kiedy leżeli na ziemi.

— Bruno — profesor krzyczał już z daleka, ale nie mógł biec z powodu zadyszki i kretynka zgromiła dopiero rzeźniczka, która obserwowała całą scenę ze swego sklepiku naprzeciw. Chwyciła go za kołnierz — była korpulentną kobietą — i rzuciła go po prostu przez mur do ogródka Habichtów. Następnie dzieci zaprosiła do siebie i obmyła im zadarcia.

— To robi każdą chwilę — wyjaśniała zdziwionemu profesorowi. — Ten idiota należałby do zakładu. Gdyby nie miał wysoko sytuowanego tatusia, byłby tam dawno. Przecież każdy się wam dziwi, że do nich chodzicie.

Ale kolacja w tym dniu była u Habichtów specjalnie suta, a w melcie odczuło się kilka ziarnek prawdziwej kawy, nawet Bruno był spokojny i uporczywie patrzał w jedno miejsce w kącie, toteż nauczyciel nie zdobył się na wypowiedź.

Tej samej nocy miastem wstrząsnęła nowa katastrofa. Sklepik rzeźniczki został zniszczony w taki sam sposób, jak dom guwernantki: bombą małego kalibru albo granatem artyleryjskim. Pocisk prawdopodobnie przeleciał oknem, eksplodował dopiero w pokoju, który zdemolował. Rzeźnia spłonęła.

W następnym dniu Bruno uśmiechał się w ciągu całej lekcji. Nauczyciel się niepokoił.

— Kto właściwie uważa w ciągu dnia na waszego chłopca? — spytał ostrożnie po kolacji panią Habichtową.

— Nikt. Jest bardzo grzeczny. Bawi się

---

potecjalnym, a od innych ludzi, od sytuacji, od pamięci doznanych krzywd lub doznanego dobra, od stopnia przemyślenia, od stopnia uspołecznienia zależy, co w naszej osobowości przejawiać się będzie z reguły. Nie ma ludzi z natury złych albo dobrych.

Podchodząc do ludzi z powziętym z góry przeświadczeniem pesymistycznym, zamykasz ich w obrębie Twej sztucznej koncepcji. Twej niesprawiedliwej myśli: nieświadomie czynisz ich przez to gorszymi, niżby mogli być. Pamiętaj, że nikt nie jest ani dobry z natury, ani zły, ale ty możesz go uczynić takim albo takim.

Słyszałeś może, jak niejeden mówi, że koty są z natury fałszywe: jest to taki sam błąd, jak mówić o człowieku „jako takim", że jest łajdak. Po kotach można rozpoznać ich właścicieli, tylko koty raz krzywdzone, raz pieszczone, nabierają tej ostrożności, którą nazywamy fałszywością.

To samo można powiedzieć o dziecku ulicy.

Jak nie ma z natury kotów „fałszywych", jak nie ma z natury dzieci „trudnych", tak nie ma ludzi z natury łajdaków.

VI

Nienawiść jest potężną siłą. Przedstawiano ją najczęściej jako siłę destrukcyjną. Ale ocena jej zależy od celu, któremu służy. Niekiedy jest ona warunkiem wyzwolenia sił twórczych. Trudno byłoby np. przeprowadzać rewolucje społeczne przy pomocy samych uczuć miłości i życzliwości. Niemniej stwierdzić trzeba, że jest to oręż kosztowny. Oręż, który niszczy nie tylko to, lub tych, przeciw komu się zwraca, ale także tych, którzy go używają. Trzeba mieć ogromny zasób siły pozytywnej, ażeby znieść bez szkody także i nienawiść.

Kiedy nienawidzą ludzie poszarpani przez życie, sprawiają widok żałosny. Zużywają oni resztę substancji życia i stają się ostatnimi nędzarzami, w których poza odruchem negacji już nic nie ma pozytywnego, same zgliszcza, same strzępy.

Adolf Dostal

NIEKIEDY

Niekiedy tylko
powraca
jakiś motyw
światło
i pamięć rozbłyska
jaspisem
świat
staje się
bardziej dobry
każde słowo
cieplejsze.

w tyle na werandzie, mąż sporządził mu tam taką maleńką pracownię.

— Chętnie bym tam zajrzał.

— Nie! — wypalił zaczerwieniony chłopak wściekłym głosem.

— *On tam nikogo nie wpuści* — wyjaśniała matka. — Jest to jego własne królestwo — i zerkała na niego z aprobatą. — Czasem obserwuję go przez dziurkę od klucza — dodała, kiedy go odprowadzała do furtki. — Bawi się tam cały dzień z taką dziecięcą budowlą dla młodych techników. I z kilku gratami, które mu przyniósł mąż z fabryki. Jest to zabawa zupełnie nieszkodliwa.

— Myślicie? — powiedział nauczyciel i spojrzał jeszcze raz na zgliszcza sklepiku rzeźniczki. — Człowiek nigdy nie wie. Jest przecież chory. Powinien by pójść do zakładu...

Ale tym panią Habichtową mocno podniecił. Więc i profesor dołączył się do sąsiadów, którzy nienawidzą Bruna.

— Gdzież tam, mylicie się, kocham go nawet w jakiś sposób. Żal mi go. I myślę, że w zakładzie byłby szczęśliwszy.

— Nigdy! — tupnęła nogą zdecydowanie pani Habichtowa. — Nigdy, póki żyję!

Dlatego następnym razem postanowił nauczyciel sam skontrolować laboratorium Bruna. Wszedł bramą wprost na werandę. Chłopak się nawet nie zamknął. Męczył tam małego kotka przyrządem Faradaya. Zwierzak był już na pół martwy, kiedy go profesor uratował. Bruno nie chciał go wydać. W milczeniu zaczęli się mocować, chłopak wydawał nieartykułowane dźwięki i profesora znowu zaczęło kłuć koło serca. Pozostało tylko uderzyć. Grzmotnął Bruna po głowie. Chłopiec tylko skoczył do kąta i spojrzał na profesora.

— Krume! — krzyknął. — Krume! — to dawna guwernantka Bruna. Nazywała się Krume. Profesor nazywał się Bretschneider. Chłopiec o tym dobrze wiedział. Nauczyciela naszła dziwna groza. Wypuścił kotka na trawę i odszedł. Dzisiaj nie rozpoczął nawet lekcji. Uniknął spotkania z panią Habichtową. Poszedł do fabryki za jej mężem. Prowadzili go długimi podziemnymi korytarzami, dwaj strażnicy przed nim, dwaj za nim.

Inżynier Habicht przyjął go niecierpliwie.

— Wiem, że mój syn zawinił dużo. Jest to ulicznik, ale w jaki sposób miałby coś wspólnego z obu niedawnymi katastrofami, tego nie rozumiem.

— Zobaczymy — powiedział nauczyciel. — Ja dziś w nocy nie idę spać do swego mieszkania za nic w świecie. Możecie ze mną czuwać w ogrodzie.

Profesor mieszkał właściwie w małej willi obok dworca.

— Przepraszam. Mam inne kłopoty i ważniejsze... — *odparł inżynier Habicht.*

Ale rano przybiegł. W nocy zostało zniszczone mieszkanie profesora pociskiem, który eksplodował przy jego łóżku. Profesor widział wyraźnie z ogrodu krzywą balistyczną pocisku, który nie był większy od jego dłoni i pozostawił za sobą smugę kurzu.

— Idę zaraz do dowództwa miasta — oznajmił Habichtowi. — Nie pójdzie pan ze mną?

Dowódcą był wtedy major von Schwarz, który równocześnie zarządzał fabryką. Udało im się przedostać do niego.

— Dziwna historia, na prawdę niewiarygodna. Wy to pozwalacie? — zwrócił się von Schwarz do inżyniera Habichta. — Myślicie, że wasz syn naprawnę maczał palce w tych katastrofach?

Habicht jąkał się, czerwienił i bladł, nie wiedział, co powiedzieć, póki von Schwarz nie ryknął na niego.

Muszę się wam przyznać, majorze — powiedział inżynier — przyniosłem sobie do domu przed miesiącem plany naszej nowej broni tajnej Vergeltungswaffe zwei. Mieliśmy wtedy w konstrukcji tyle pracy, że nie można było nadążyć. Chłopiec może dorwał się jakoś do moich papierów, zapamiętał dużo rzeczy. Do czegoś się nadaje. Nikt nie może powiedzieć z pewnością, co się dzieje w jego mózgownicy...

To zeznanie zadecydowało o dalszym losie starego nauczyciela. Dowiedział się o tajemnicy, jaka broń produkuje się w tutejszej fabryce, nagle chłopak inżyniera przedstawiał większą cenę, niż jego nauczyciel. Nauczyciel zniknął w obozie koncentracyjnym. Był przez to właśnie uratowany, jak wkrótce zobaczymy.

— To by przecież musiał być geniusz — mówił von Schwarz, kiedy jechali z Habichtem i głównym kucharzem do Bruna.

— Jest idiotą — powiedział Habicht — mamy na to świadectwo lekarskie.

— Czyż nie uświadamiacie sobie, głowo zabita deskami, co wasze dziecko rozwiązało? Wy sam i dwudziestu wam poddanych nie

Zapora orawska →



potraficie uskutecznić, aby nasze rakiety latały na określony cel, nie potraficie je wycelować. A tu piętnastoletni chłopak trafia na odległość z dokładnością pół metra do okna. Rozumiecie, jak ważne by było, gdyby vau zwei mogła niszczyć w Londynie określone obiekty i gdybyśmy jej nie musieli wysyłać tylko tak na chybił trafił?

Habicht zamilkł.

— Ale planów celowania nigdy nie nosiłem do domu.

— Owszem. Takie plany nawet nie istnieją. To jest dzieło waszego chłopca.

A von Schwarz rozkazał kucharzowi, aby wyładował towary cukiernicze. Po raz pierwszy po czterech latach wojny gotował ten człowiek znowu śmietanę na tort paryski, napełniał rurki kremem, rozgniatał masło na wafle. Bruno wziął się do tych łakoci łapczywie. Wprost rył nosem w tych słodyczach i ozdobnych tortach, kucharz drętwiał, a Habichtowa narzekała, że sobie zniszczy żołądek. Tylko von Schwarz spokojnie czekał przy drzwiach. Wreszcie chłopak zaczął rzygać. Chciał wyjść.

— Zaczekaj — zatrzymał go major żelazną pięścią. — Będziesz miał te łakocie codziennie, jeśli nam powiesz, jak to właściwie robisz.

— Co? — pytała za niego matka. — Nic nie robi. To jest grzeczny chłopak.

Major ją mocno odepchnął do ściany.

— Jak celujesz te swe rakietki? — ryknął do ucha Bruna. — Przyznaj się, póki ci nie spiorę tyłka! — i wyciągnął z za cholewy swój stary reitpeitsch. Śmignął nim w powietrzu i pani Habichtova zemdlała. Nikt jej nie cucił. Chłopak patrzał przekornie w kąt, swym przydługim jęzorem oblizywał resztki łakoci na brodzie. Chyba nic nie rozumiał. Ani się nie bronił, kiedy go major bił. Miał ciągle tę samą minę. Von Schwarz w końcu złamał swój biczyk dżokejski, spocił się i zadyszał. Puścił chłopca, wyprostował się i krzyknął na Habichtów: — Do rana dowiecie się, jak to ten łajdak robi alba cała rodzina pójdzie przed sąd wojskowy. I z krewnymi — dodał od drzwi.

Przed domem już wyskakiwali esmani i oblegali okno. Von Schwarz klął jeszcze w aucie. Tego wieczora nie jechał już do swojej kancelarii w ratuszu, jechał się wyspać między żołnierzy. W ratuszu została jego urocza sekretarka, którą przywiózł sobie początkiem wojny z Włoch. W nocy zginęła zresztą, ponieważ ratusz został zburzony małym pociskiem, który tym razem przebił strzechę, i spalił go do gruntów. W koszarach ogłosili alarm, major opasał się swym ciężkim pistoletem marki Parabellum i odjechał do willi Habichta.

— Gdzie Bruno? — zapytał ostro inżyniera. Trzęsącym głosem mu rodzice odpowiedzieli, że chłopiec poszedł spać. Znaleźli go na werandzie, montującego dalszą rakietę do dziecięcej rampy.

Von Schwarz zastrzelił go z tyłu. Pani Habichtowa rzuciła się na niego. Chciała mu wyrwać pistolet, szalała z bólu, rwała sobie włosy, szarpała suknię.

— Co wam zrobił? Wrogu...

Major starał się jej to wytłumaczyć.

— W takim razie musicie zastrzelić siebie, mego męża, wszystkich generałów i samego Führera; bo po co przecież wysyłacie codziennie swoje rakiety nad Londyn. Nie macie do swych morderstw ani takiego marnego powodu jak Bruno. Jesteście większymi wariatami niż on. Wszyscy... Wszyscy!...

Von Schwarz chciał ją momentalnie aresztować, ale wtem odezwały się syreny.

— Nie trzeba... — krzyknął major do telefonu. — Nie trzeba ogłaszać alarmu. Zlikwidowałem niebezpieczeństwo.

W odpowiedzi zaczęły spadać zapalne bomby na zamieszkaną część miasta. Sprzymierzeńcy odkryli tajemnicę Ksenemuende. Jedna czwarta zamieszkałych przypłaciła ten pierwszy nalot życiem. Między nimi inżynier Habicht. Niektórzy twierdzą, że go szkoda. Był pono znakomitym fachowcem. Był jednym z pionierów broni rakietowej. Geniusz.

Przekład: BRONISŁAW BIELAN
WŁADYSŁAW SIKORA

ST. MAMOŃ

Osaczona

Ilustrował Adam Jasiński

— Nie udało się jedno, to uda się drugie.

Olga Łapkina spojrzała na zegarek. Pięć po czwartej. Józef Reschke to dziwny Niemiec. Jeszcze ani razu nie zjawił się punktualnie na spotkanie. Wyjątek w narodzie, który dokładność uważa za swą zaletę narodową. Poza tym ta jego przerażająca niemczyzna. Czyżby Volksdeutsch?

Od Ostrawicy dmuchał porwisty wiatr i zrywał żółte, brunatne i czerwone listki z zaniedbanych żywopłotów, krzaków i drzew. Przez ogołocone z liścia konary spoglądała wysmukła, szklista i zakopcona wieża Nowego Ratusza. Wskazówki wieżowego zegara znowu się zacięły na „za pięć dwunasta".

Reschke przyszedł. Ujął Olgę pod ramię i zaczął walkę ze swą niemczyzną.

— Długo znowu czekała moja Ukrainka. Bardzo przepraszam panią.

— Jestem w sytuacji, że nie mogę nie czekać.

— Znowu pani zaczyna o tych nieprzyjemnych sprawach.

— Nieprzyjemnych? Myślałam, że z pana większy patriota. Mamy obaj wspólne zadanie i wspólny interes. Trzeba umieć w tych sprawach, które pan nazywa nieprzyjemnymi, znaleźć coś interesującego... Próbował już pan kiedy?

Spojrzeli na siebie. Reschke nie wytrzymał tego spojrzenia.

— Wstrętna pogoda. Może dziś się pani zdecyduje? Wypijemy w cieple gorącą herbatę i omówimy cały plan działania...

— Mam iść do pana? Jeśli pan rozkaże, pójdę. Ale sądzę, że pragnie pan inaczej...

— Pani widzi we mnie wciąż szpicla i gestapowca, który ma za zadanie śledzić panią we dnie i w nocy...

— Nie inaczej. Z tą różnicą, że nie jest pan szpiclem, ale wpływowym dygnitarzem tajnej policji państwowej. Więcej o panu nie wiem. Kto mi tu w Ostrawie zagwarantuje, że doczekam jutra? Władze niemieckie uwierzyły mi tylko pozornie, że jestem członkiem ukraińskiego ruchu oporu...

— To nieprawda... Tatiano Jacyszyno...

— Prawda, prawda. Jesteście ludźmi nieufnymi, ale to już należy do waszego rzemiosła. Podałam tyle na-

Na świętego Floriana

Opowiadanie

Chłopcy już powrócili z wyprawy na Jagodną niosąc duże bukiety kwiatów, za które jutro otrzymają kilka koron od inżynierowych i majstrowych. Już z góry obliczają zarobek i przeznaczają poszczególne korony, chociaż ich jeszcze nie mają w kieszeni, na przeróżne najniezbędniejsze potrzeby.

Maj zapowiadał się śliczny.

Była właśnie sobota. W kolonii hutniczej było gwarno. Ktoś pod oknem wygrywał na ustnej harmonijce, matki wzywały dzieci do powrotu, by je wyszorować, bo zabrudziły się okropnie, a stary Turoń siedział w domu, potłuczony i posiniaczony po spotkaniu z żandarmami na 1 maja.

Był zły. Nie dlatego, że mu dokuczały rany i sińce, ale że wielu robotników daje posłuch wezwaniu panów organizujących Święto Floriana w najbliższą niedzielę po dniu 4 maja.

Święto Floriana było coroczną marionetkową demonstracją pańską przeciw robotniczemu świętu 1 Maja.

I to właśnie gniewało starego Turonia.

Cały dzień trwała już nagonka i obiecanki, a nie rzadko i groźby. W sobotę przywożono do gospód piwo i mięso, bo każdy, kto weźmie udział w pochodzie, ten otrzyma litr piwa i gulasz za fatygę.

W dyskusji między robotnikami krzyżowały się poglądy.

— Tak co, kamrat, pój-

dziemy jutro na pański gulasz?!

— Psińco — odpowiadali dotknięci.

— Każde darowane smakuje najlepiej...

— A czemu miałbym nie brać, kiej dają...

To samo działo się u walcerzy w kolonii na Folwarku, to samo w starej kolonii nad Olzą u odlewaczy, to samo na Borku, gdzie mieszkali pracownicy warsztatów mechanicznych, tak samo w każdym domu, gdzie mieszkali „bańkorze" jak powszechnie nazywano hutników trzynieckich.

A Turoń siedział w oknie i słuchając wzajemnych dogryzań frywolnych robotników rozmyślał, co by tu można zrobić.

— Coś tu trzeba zrobić, coś obmyślić — medytował stale Turoń. Wreszcie ubrał się i wyszedł, kiedy już zmierzchało...

W starej kolonii byli znajomi towarzysze, z którymi można było mówić po robociarsku.

— — — — — —

Już zegar kościelny ogłosił ciemnościom północ, światełka w chałupach pogasły, ludzie odpoczywali po utrudzonym tygodniu, tylko niektórzy przewracali się w łóżku nie mogąc zasnąć, bo stale nie mogli zdecydować się jak postąpić: Pójść, czy nie pójść!... Nie spał również towarzysz Turoń, który coś długo radził się z towarzyszami w kolonii.

— Tak jutro im pokażemy, że i my tu jesteśmy...

— Cześć!

— Dobranoc.

— — — — — —

Słońce już wychyliło swą pyzatą gębę spoza dalekiej we mgle Girowej, gdy w koloniach i w mieście wszczął się rumor... Muzyka grała, ludzie rozespani, z rozczochranymi głowami wyglądali z okien, otwarły się drzwi, ludzie wychodzili z kubłami po wodę do wodociągów na ulicę.

zwisk, wskazałam naszych ludzi skontaktowanych z gestapem a jednak nie uwierzyliście mi... Kazano śledzić Tatianę Jacyszynę... a kiedyś każą skręcić jej kark... I ja mam iść z panem, panie Reschke. Niech pan tego na razie nie żąda ode mnie... Kim pan jest w ogóle, panie Reschke? Niemcem?

Reschke zatrzymał się, i spojrzawszy na Olgę badawczo, powiedział:

— Ja nie jestem Niemcem, a pani Tatiano, nie jest Tatianą Jacyszyną. Skończmy tę grę!

— Teraz mi się pan podoba, tak sobie wyobrażałam prawdziwych wrogów bolszewizmu. — Olga nie dała się zbić z tropu.

— Powtarzam: skończmy tę grę, mam tego dosyć. Podobasz mi się Tatiano!

Olga uśmiechnęła się, lecz nie pozwoliła się uścisnąć.

— O tym innym razem, panie Józefie. Zrozum pan moją sytuację. Jestem w obcym świecie i w dodatku w świecie opanowanym przez zdradę, denuncjację i nieufność. Po przekroczeniu granicy protektoratu gestapo aresztuje mnie. Po trzech tygodniach znęcań nad dziewczyną, która wam zaufała, puszczacie ją, lecz jeden z was staje się jej patronem, jak gdyby jej groziło niebezpieczeństwo. Aby mnie wypróbować, dostaję za zadanie nakrycia ruchu oporu na Śląsku a pan mi ma asystować.

— Przecież chodzi o komunistów i w dodatku o ludzi, z którymi masz kontakt, którzy ci zaufali...

— To właśnie. Ten nieszczęśliwy kontakt. Przecież wciąż twierdzę, że do oddziału kapitana Jefremowa dostałam się przypadkowo w drodze z Ukrainy do Niemiec podczas ucieczki.

— A oni ci uwierzyli zaraz, że jesteś komunistką, prawda?

— No, nie uwierzyli zaraz, ale przekonałam ich.

— A potem skakali z radości, że wreszcie znaleźli człowieka, którego można wysłać jako szpiega do Niemiec. W to mógł uwierzyć tylko nasz głupi Willi, Tatiano, jeszcze raz powtarzam, skończmy tę grę! Mnie nie przekonasz.

Olga zamyśliła się. Jeszcze wciąż nie mogła zrozumieć tego człowieka. O co mu chodzi właściwie? Jedno jej





nieopatrzne słowo mogło ją kosztować życie. Spodobała jej się jednak jego nieoczekiwana szczerość. Czyżby ją naprawdę kochał? A gdyby?... Wtedy byłaby sprawa wygrana. Olga postanowiła trochę pofolgować. Było z czego.

— Robi się zimno. Gdzie mieszkasz?

— W Przywozie... Czyżbyś?

— No to chodźmy do tramwaju.

* * *

Mieszkanie Reschki pozowało na salon magnata. Jednakowoż wprawne oko Olgi zaraz dostrzegło stylowy rozgardiasz urządzenia i mebli. Obok ciężkiej orzechowej szafy, pokrytej bogatą ornamentyką, stała lekko i wyniosła biblioteka, na grubym perskim dywanie stół o wygiętych drewnianych nogach. Dookoła stołu stało pięć jasnych tyrolskich stołków a przy uroczystej kanapie stał figlarny sportowy taborecik. Na ścianach obok dużych dobrych płócien wisiały najpospolitsze kicze, przedstawiające bukiety wypłatuszkowanych bzów i zachód słońca ponad rozdartymi skałami z odwiecznym zamczyskiem i jeleniem na pierwszym planie. Olga uznała, że Reschke kompletował swe mieszkanie bez ładu i składu, brał co przyszło mu właśnie pod rękę.

Podeszła do biblioteczki, wzięła do ręki jedną z niewielu książek i obróciła jedną i drugą kartkę, potem sięgnęła po następną, spojrzała na tytuł a potem na Reschkę. Szykował kawę.

— Niemieckich książek nie masz?

— Mam tu parę. Reszta to czeskie. Dziwisz się, co?

Reschke był młodym i przystojnym mężczyzną. Wprawdzie stwardniałe mięśnie twarzy i głęboka zmarszczka koło ust świadczyły o pewnej nabytej brutalności. Na ogół jednak mógł się podobać każdej kobiecie. Teraz zaśmiał się. Był to uśmiech człowieka, który nękany bólem udaje, że to wszystko głupstwo i zmusza się do śmiechu.

— Zostaw te książki, Tatiano, i napij się herbaty! Wszystko ci opowiem.

— Więc ty jesteś Czechem? Jakie to dziwne wszystko.

Tymczasem „pańska" orkiestra przystawała pod oknami towarzyszy Metalowców. Wkrótce było już widoczne, że jest to akcja zorganizowana. Kiedy przyszli pod okna towarzysza Kluza, powoli otwarło się okno, potem wynurzył się garniec, który trzymały czyjeś ręce i w chwili, kiedy już w całej pełni buchnęła melodia, garniec się przechylił i woda chlusnęła na głowy muzykantów. Helikon ogromną trąbą oplatającą pucułowatą gębę, stale nabrzmiałą i siną od wysiłku, zacharczał dziwnie, kiedy w trąbie znalazła się woda i ostatni takt już postrzępiony stał się jakby żałobnym okrzykiem... Rozpierzchnęli się muzykanci i otrzepywali z siebie wodę, klnęli szpetnie i wycofywali się spiesznie z pola zasięgu strumienia wody pod oknem, a helikonista wylewał wodę ze swego instrumentu próbując zaraz tonu, ale stale coś wewnątrz charczało...

W sąsiednich „budelach" pozotwierały się okna i uciekającym muzykantom towarzyszył rozbawiony śmiech.

— Ale dostało im się na co zasłużyli...

— Mają lizusy, co chcieli...

Turonia przestały boleć sińce. Uśmiechał się zadowolony.

— Dobrześ to naraficzył, Pawle.

— — — — — —

O godzinie dziewiątej wyruszył pochód do kościoła. Na czele „knapschaft", weterani, potym majstrzy, za nimi ci wszyscy, co, podszyci strachem, nie potrafili się sprzeciwić, chociaż wstydzili się przed kamratami i stale patrzyli w ziemię, a koło nich dreptały w odświątnym przyodziewku ich żony, zadowolone z mężów, że ich spotyka ten honor.

Muzyka grała, ludzie gęsto lemowali chodniki przypatrując się, kto wszystko bierze udział w pochodzie...

Kiedy czoło pochodu mija-

ło skrzyżowanie dróg koło Szancera, na chodnikach nastało poruszenie.

— Nale parcie, i ci są...

Naciągali wszyscy szyje i dziwowali się.

— Nima możne...

— Socjaliści z panami! A to granda...

W tym samym niemal momencie nad głowami socjalistów rozwinął się czerwony sztandar i załopotał nad głowami.

Na chodnikach rozległy się okrzyki. Idący przed sztandarem nie wiedzieli co się dzieje, więc zdziwionym spojrzeniem wodzili po ludziach. Ale nie dostrzegli przyczyny.

— Komu klaskają?...

Idący z tyłu rozdzielili się na dwie grupy. Jedni przywarli do grupy kroczącej za czerwonym sztandarem, inni bojaźliwie strzygli oczyma na wszystkie strony. Aby tylko ktoś nie widział, że idą za socjalistami. Jeszcze powiedzą, że i oni są socjalistami. Więc raczej dla bezpieczeństwa wytracać się zaczęli... Sztandar zamykał pochód.

I żandarmi potracili głowy i nie zdobyli się na żadną akcję.

Takiej wesołości jeszcze nie było wśród robotników, a panowie zgrzytali na zębach, zaś lizusy kryły się po kątach.

Im piwo ani gulasz tym razem nie smakowały.

GUSTAW PRZECZEK

Wanda Berger

DZISIAJ

Błądzę we mgle
niedomówień
Chcę zawiesić czas
w przestrzeni
Pędzę z życiem
wśród tchnień pamiątek
Otworzę białą kopertę jutra
dzisiaj
nim czas pochłonie
nas swym cieniem.



— Wcale nie dziwne. Świnia ze mnie i już.

Reschke sięgnął nerwowo po papierosa, zapalił go i zaciągnął się głęboko. Olga spojrzała nań badawczo. Coś zaczynała rozumieć. Ten młody urzędnik policji mówi dziś szczerze. Gdyby grał komedię, to musiałby być świetnym aktorem. Jego zachowanie się nie było komedią. Mimo to nie przestała być ostrożną.

— Tatiano?!

— Co?

— Tatiano, muszę ci wszystko powiedzieć. Przedtem jednak powinnaś wiedzieć, że wiem o tobie trochę więcej niż Willi...

— Co wiesz o mnie?

Reschke wstał z fotela, pospacerował po pokoju, jakby się zastanawiał nad tym, od czego zacząć.

— Myślę, że wiem wszystko o tobie. To, co wiem, wystarczyłoby byś już dawno nie była między żywymi...

Olga wzruszyła obojętnie ramionami. Wyszło to sztucznie.

— Postanowiłem grać z tobą w otwarte karty. Podobasz mi się i dlatego nie dam cię skrzywdzić.

Reschke usiadł znowu w fotelu i zamyślił się.

— Jestem Czechem. Z dawnym szefem gestapa, Austriakiem, wychodziłem znośnie. Łączyła nas pewna tajemnica. Przed kilku laty gestapo aresztowało mnie wraz z kilku czeskimi studentami. Oskarżono nas za udział w ruchu oporu. Niestety, oskarżenie było prawdziwe. Groziła mi kara śmierci lub obóz koncentracyjny. I wtedy się to stało. Pewnego razu podczas przesłuchania przyszedł szef gestapa, ów Austriak. Myślałem, że przyprowadzono więźnia do konfrontacji. Przyjrzałem mu się lepiej i poznałem w nim człowieka, który przychodził na nasze tajne schadzki. Udałem, że go nie poznaję i czekałem co będzie dalej. Spojrzał na mnie niedbale i ku mojemu przerażeniu zapytał badającego mnie gestapowca, jak daleko posunęła się sprawa ze mną. A więc konfident, pomyślałem, lub...? Skamieniałem.

— Skończyć przesłuchanie, i do celi z nim — powiedział. Na drugi dzień kazał sobie mnie przyprowadzić. — Pan mnie poznał, panie Reschke — mówi do mnie —

jako niewygodnego, mógłbym pana zlikwidować jeszcze dzisiaj. Ja jednak tego nie uczynię, ale i pan będzie pysk trzymał. Umawiamy się — mówi — że pan stanie się naszym współpracownikiem. — Nie miałem innego wyjścia, zgodziłem się.

— Jako czeski patriota zdradził pan swój naród, panie Reschke. Uczynił to pan, by ratować skórę.

— Jeszcze nie wiesz wszystkiego, Tatiano, i już się trochę wygadałem. Przecież i ty niby zdradzasz Związek Radziecki a ja nie robię ci wyrzutów.

— To co innego.

— Właśnie dlatego, że to co innego, wysłuchaj mnie do końca.

Olga czuła, że krew bije jej do głowy. To wszystko zaczynało być bardzo niebezpieczne. Nie miała mu zwracać uwagi na jego słabość.

— Moje akty zlikwidowano a ja stałem się urzędnikiem Gestapa. Kiedy ciebie zaaresztowano, zawołał mnie szef do siebie i powiedział mi dosłownie: Sprawą Jacyszyny sam się zajmę. Ma dziewczyna karkołomne zadanie ale gra świetnie, gra przynajmniej tak dobrze, że wy wszyscy ośli myślicie, że jest przeciwniczką bolszewików — i dodał — spójrz Reschke na mapę Europy! To już długo trwać nie może. Otóż, jeśli chcesz żyć, kochany, to zajmij się tą dziewczyną i ochraniaj ją, by jej tamci nie skrzywdzili. Ją uwolnimy a tobie dam rozkaz, byś razem z nią zdemaskował grupę komunistów na Śląsku. Twoja rzecz, jak się do tego zadania ustosunkujesz. Pamiętaj jednak, że po nas przyjdą bolszewicy. Radzę ci, nie bądź tak gorliwy, jak dotychczas.

Po rozmowie z szefem mogłem zrobić wszystko. Mogłem zawołać Berlin i oznajmić, że szef gestapo w Ostrawie, to zdrajca. Mogłem również dobrze podać rękę i powiedzieć: Podzielam wasze zdanie, szefie. Nie uczyniłem jednak nic z tego. Za to teraz powiedziałem ci wszystko.

Olga wchłaniała z rozgorączkowanym umysłem każde jego słowo.

— Nie. Nie powiedział pan jeszcze wszystkiego. Niech pan mówi dalej! Gdzieś, kiedyś musiała popełnić fatalny błąd. Gdzie?

— Szef uciekł. Zaszył się w lasach, albo też dostał się za granicę. Przyszło nowe kierownictwo. I dlatego...

Reschke spojrzał na Olgę.

— I co? Masz mnie ponownie aresztować, czy tak?

— Nie. Ale muszą coś węszyć, bo otrzymałem dziś rozkaz, by do końca grudnia nakryć grupę komunistów śląskich. Uprosiłem jednak, by nam termin przedłużono do końca lutego.

— Więc damy się do dzieła. Czy tak?

— Nie. Najwyższy czas, byśmy obaj zniknęli.

— Jeśli pan uważa, że tak będzie najmądrzej, to znikajmy. Zna pan sytuację lepiej ode mnie.

Nareszcie zrozumiała tego człowieka. Znowu rozchodziło mu się tylko o własną skórę. Nie było jednak powodów, by mu nie wierzyć. Gdyby Gestapo wszczęło po-

K. ZADROŻNY

O starym pyndzyjiście *Krziwoczku*

To żył wóm downi w Karwinej stary pyndzyjista a nazywoł sie Krziwoczek. Przez długi roki był konduktorym przi banie a jak był starszy tak go wyciśli na pyndzyj. Ale cóż — kiedy chłop nimóg bez tej służby i bez tego szczykanio kartek żyć.

Każde rano chodził na sztacyjón, pląt sie kole wagónów a kaj jaką tą kartke naszeł, tak ją tak poszczykoł, że wyglądała jako sitko.

Był wtedy sztacyjónszefym dość dobry chłop, już ani nie wiym jak sie nazywoł a tymu tego Krziwoczka było lúto, kiej go widzioł między tymi wagónami sie plóńść i kartki szczykać i tóż se rzyk, że mu z tej mankulije pómoże. Stoł wóm tam na bocznym glajzie taki stary wagón osobowy, co mioł iść do starego żelaza. Tak tyn sztacyjónszef roz tego starego Krziwoczka zawołoł do kancynaryje i tyn wagón mu doł do opatrowanio. Toście mieli widzieć, Krziwoczka, jaki był rod. Jakby mu dwacet roków ubyło! Hnet sie tego wagóna chycił. Pieknie go wyzamiatoł, wyczyścił, na ławki se przyniós kupe kartek i zaczón urzędować. Każde rano wloz do tego wagóna, pieknie zasalutowoł, a że to było za Austryje „Fahrkarten bitte" powiedzioł i zaczón ty kartki szczykać. Jak cały wagón obeszeł, zaś zasalutowoł, z wagóna wyskoczył, jakisik tyn sztacyjón zawołoł baj — Karwina, Trzyniec abo Jabłonków, potym sie poglądoł, na wszycki stróny, ręke podniós i z drugi stróny skoczył do wagóna. A zaś salutowoł i ty kartki szczy-

koł. A dycki sie przy tym uśmiychoł. I tako ta kómedyja trwała dwie abo trzi godziny, aż miłego Krziwoczka porządnie nogi rozbolały, tak zebroł tą swoją ajzynbanerską taszke, lampe na ni powiesił i szeł wiesioło ku chałupie. Trwało to dość długo i już wszyscy na sztacyjónie na to zwykli, aż roz wóm wymarasił taką głupote. Było to na jesiyń a na polu loło jak z kónwie. Miły Krziwoczek obeszeł cały wagón, wyloz na platforme, wyjón z kapsy fajke i pieknie se zakurzył. Bardzo sie mu tam śni ani nie kurzyło, bo platforma była odkryto i deszcz mu do fajki padoł. Ale Krziwoczek nic, jyny pykoł i pykoł i pykoł. A prawie wtedy szeł sztacyjónszef kole niego, zóstoł stoć a prawi tymu Krziwoczkowi:

— Nale panie Krziwoczku, cóż tu tak mokniecie na polu, dyć se możecie zakurzyć we wagónie.

Stary Krziwoczek jyny oczami zamrugoł, fajke z gęby wyjón i prawi:

— Panie sztacyjónszef nie widzą, że je na wagónie napisane „Nicht raucher"!

Sztacyjónszef sie za uchym poszkroboł, nic nie powiedzioł, jyny do kancnaryje hónym uciekoł.

Zaś stary Krziwoczek był rod, że lepszy znoł przedpisy niż som sztacyjónszef.

nownie przeciwko niej śledztwo, to jej zadanie mogłoby się skończyć katastrofą. O sprawach byłego szefa gestapa wiedziała coś niecoś i potrafiła odszyfrować przyczyny jego „łatwowierności" podczas śledztwa. Znała także siły, które ją ochraniały. Jednakowoż niespodziewana ucieczka byłego szefa groziła zawaleniem całej tak misternie zbudowanej koncepcji wywiadu. Nowi ludzie w gestapo mieli dosyć powodów, by jej nie ufać. Reschke miał słuszność twierdząc, że trzeba zniknąć i to jak najszybciej.

— Kiedy pan chce odejść, panie Reschke?

— Choćby jutro.

— Nie. Wystarczy aż mi będzie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo. A o nim pan będzie wiedział.

— Tego nie wiem.

— Oni panu dadzą polecenie mego aresztowania.

— Skąd pani wie, Tatiano?

— Wiem. Nawet były szef tak panu nie ufał, jak oni.

— Jak to pani rozumie?

— Bo szef nie powiedział panu całej prawdy. Widocznie przerósł go pan. Kiedyś opowiem, co wszystko wiedział ten wasz szef. A teraz zawieramy umowę. Obaj postanawiamy o tych rzeczach więcej nie mówić, ale za to działać. Im większe będą pana zasługi, tym lepiej dla pana. Wie pan, co przez to rozumiem.

— Domyślam się.

— To dobrze. Olga spojrzała energicznie na Reschkę. Jutro pojadę do Karwiny. Nie spotkam się z nikim. Pan nie pojedzie ze mną, ale będzie pan śledził, czy ktoś z waszych ludzi nie włóczy się za mną, zgoda? W ten sposób poznamy jaką porcją zaufania możemy się obaj jeszcze cieszyć . . . a teraz dobranoc panu. Późno już!

— Tatiano!

— Jutro się znowu zobaczymy, panie Reschke! Dobranoc!

Kiedy wyszła z domu Reschki, nogi pod nią się ugięły. Wsparła się o mur i rozpłakała na głos. To całymi godzinami ukrywana trwoga pierzchła z jej dziewczęcego serca.

Tadeusz Kijonka

W porze liści padania

W porze liści padania i kruszenia złoceń
Gdy deszczem blask zachodził
wiatr noce wydłużał
W głąb tych dni pełnią światła oszołomić oczy
Zeszłaś powiewem sukni jak skłamana róża
Odtąd twymi śladami choć ciszy nie niosą
By tamtą dawną znaleźć której wszystkim
przeczysz
i oddalasz w widzeniu nawet drgnieniem
głosu
Bo mi jesteś pamięcią uniesionych rzeczy.

STRYCH

Józef Pasz

Ilustrował Adam Jasiński

To co przyśpieszyło krwiobieg i sprawiało, że serce biło jak młotem, nie było niczym uchwytnym. Nie posiadało też określonych kształtów. Istniało jednak. W panującym na strychu półmroku czaiło się wszędzie, zawsze gotowe do skoku. Cienie zamiast zastygnąć w bezruchu, zachowywały się — co przecież jest sprzeczne z naturą — swawolnie. Uganiając się bez przerwy po całej przestrzeni strychu, nie spoczęły nawet na chwilę. Nadsłuchując pod drzwiami, albo zaglądając przez dziurkę od klucza, zauważyliśmy ich harce. Gdyśmy jednakże otwarli drzwi, wszystko przed nami, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, albo na znak wysuniętej naprzód widety, przykucnęło do ziemi. Zanurzywszy się ostrożnie w ten półmrok, zciszaliśmy nasze głosy. Włosy na głowie jeżyły się a wzdłuż kręgosłupa sunęło zimno. Oczy uderzały w prawo i w lewo.

Tylko na okamgnienie zaintrygował nas wiszący w powietrzu promień złota. Słońce bowiem wdarłszy się przez szparę uszkodzonej dachówki, przerzuciło pomost przez całą szerokość strychu, łącząc dwie jego części. Na smudze z promieni tańczyły miriady iskierek. Nie wiedzieliśmy wówczas, że to błyszczy unoszący się w powietrzu pył, rozżarzony padającym nań blaskiem.

Śledząc teraz cienie przemykające po ścianach — wystawiały one swoje języki a następnie je wciągały do swych wnęk — stalismy gotowi wziąć nogi za pas, gdyby przypadkiem zza węgła wynurzający się cień przybierać zaczął kształty sturamiennego potwora. Wbiła się nam bowiem mocno w pamięć scena z Martą, która przed kilku dniami, urządzając samotną wyprawę po strychu, wypadła z niego nagle ze stłumionym okrzykiem na ustach, zapominając nawet zamknąć drzwi za sobą. Blada i drżąca opowiadała potem, jak się tam z kąta z poza szafy, oderwał ktoś, czy coś, może strach, może upiór i wyciągnął do niej swoją kościstą rękę. My mężczyźni śmialiśmy się naturalnie, ale było to na podwórzu, skąpanym promieniami słońca, gdzie łatwo było odstawiać zucha. A teraz na strychu wciągaliśmy głowy w barki, chcąc jak najbardziej zmniejszyć rozmiary naszych postaci.

Przystanęliśmy na chwilkę, aby oczy mogły przywyknąć do mroku. Marta trzymając rękę na klamce, zerkała w kąt, w którym niedawno temu pokazał się jej strach.

Przeszło nas mrowie, bo rzeczywiście ktoś czaił się za szafą. Ktoś wyciągał łapy. Nie zmyślała więc Marta. Szczerą prawdą było każde jej słowo. Staliśmy jak wryci. Zobaczywszy wyciągniętą w jej stronę rękę, krzyknęła. Marta dałaby nogę, gdyby jej nie był powstrzymał Męcnar.

— Zaraz zobaczymy co to jest — rzekł uspokajająco i nie czekając ruszył.

Przypadł do ściany i podchodząc ową postać według wszelkich reguł obowiązujących czerwonoskórych wojowników, nagle aż nam ze zgrozy krew zastygła w żyłach — wysunąwszy się szybko naprzód chwycił za ów napełniający nas takim strachem palec.

Chwycił i trzymał. Przymrużył oczy, sądząc, że coś się zawali, może nawet strop runie, albo podłoga otworzy się pod nami; byłem pewny, że przedmioty otaczające nas, ożyją i w obronie sponiewieranego i napadniętego władcy, rzucą się na intruzów. Płonną okazała się nasza obawa. Nic się nie za-

waliło i nic się nie rzuciło na nas. Cisza panowała jak przedtem. Tylko jakieś szmery powstałe od zmykających po podłodze nóg, docierały do naszych uszu.

Podziwialiśmy Męcnara. Był on rzeczywiście najodważniejszym z nas wszystkich. Nie wiedział on co to bojaźń. On się nawet kozy nie przeląkł, gdy ta go raz niespodziewanie zaatakowała. Złapał ją za rogi i trzymał tak długo, aż nadciągnęła odsiecz w postaci ojca. Nie dał się i wyszedł bez szwanku z opresji.

W obawie przed następstwami zmrużyłem oczy. W pierwszej chwili nie mogłem sobie zdać sprawy z tego co się dzieje. Słyszałem poruszenie powstałe na skutek pociągnięcia przedmiotu, następnie szamotanie się dwóch ludzi. To wszystko. Gdy otwarłem oczy, zauważyłem, że zza szafy wychyla się jakaś postać, najpierw głowa, potem tułów, wisi na chwilę w powietrzu, słania się, usiłuje przywrócić zachwianą równowagę, próba się nie udaje, gdyż zaraz potem wali się jak długa na podłogę. Łoskot uderzającej o pomost postaci przerwał ciszę. Wszyscy jak jeden mąż, z wyjątkiem naturalnie Męcnara, chwyciliśmy za klamkę.

Wydawało się, że poruszyły się przedmioty na strychu. Niektórzy przeczyli następnie, by jęknęły. Wszyscy jednak zeznali, że słyszeli westchnienie. Obawialiśmy się, że spoza nich wynurza się nagle mścicielka i odpłaca nam — zuchwałym intruzom — za pohańbienie ich władcy.

Męcnar powstrzymał nas od ucieczki.

— Głupiście, warknął. To tylko manekin. Krawiec urzędował tu ongiś i w spadku po nim została ta lalka. Nie poszedł w ślady ojca syn — innego wyuczył się rzemiosła — i wyprowadzając się stąd, nie zabrał jej ze sobą. Nikt jej też nie chciał kupić, gdy sprzęty ojca sprzedawał pod ręką. Stoi teraz w kącie i udaje człowieka.

Przekonał nas a właściwie samiśmy się przekonali, że to żaden upiór, lecz tylko tułów o wydatnym biuście, wetknięty swoją kończyną w trójnożną podstawę. Ponieważ brakowało jednej z trzech nóg — ktoś ją wyrwał lub też może sama na skutek podeszłego wieku wypadła — figura przyjęła w kącie postawę na bakier. Jakiś psotniś włożył kapelusz na wbity do szyi gwóźdź i głowa, napawająca ludzi strachem, była gotowa. Również biust okryto łachmanami, prawdopodobnie, aby nie gorszył nagością. Upadek figury zrzucił okrycie z szyi, zesunęły się z biustu łachmany, odsłaniające podstarzałe kształty.

Oglądnęliśmy ją dokładnie, zawstydzeni trochę, że taka marna wypchana trocinami, krawiecka makieta przyprawiła nas o gęsią skórę. Podnieśliśmy ją i usadowili na dawnym miejscu. W miejscu brakującej nogi, podłożono podkładkę z gazetowego papieru, leżącą opodal. Widocznym było, że już poprzednio służyła ona do tego samego celu.

Szafa za którą stał manekin była szczelnie zamknięta. Również obecnie nie dały wyniki wszelkie próby podjęte w celu jej otwarcia. Na niczym spełzła tak samo próba zbadania przez dziurkę od klucza jej zawartości. Staliśmy przed nią medytując.

— W starych szafach przechowują złoto i broń, zaznaczył Męcnar. W dawnych czasach każdy miał strzelbę, aby się móc bronić przed lwami.

— U nas nie ma lwów — pouczył go Skotnica.

— No, ale na Saharze.

— Głupiś, nie tak łatwo dostać się na Saharę.

— Wytrych by się przydał — zauważył ktoś, co chciał skierować rozmowę na inne tory.

Ale takiego narzędzia nikt z nas nie posiadał.

Rozglądnęliśmy się po strychu. W półmroku rysowały się kontury przedmiotów, w których poznawaliśmy deski, kosze, garnki, skrzynie.

Na gwoździach wbitych do krokwi i belek, wisiały narzędzia: ośniki, sierpy, piłki.

Belki poprzeczne, łączące przeciwległe krokwie, wiązały i podtrzymywały rusztowanie dachu. Musiałem się wspiąć na palce, aby je dotknąć.

Ostre, zakrzywione kosy i sierpy sąsiadowały z osełką. Łańcuchy przytłaczały swoim ciężarem skórzane worki, na których leżały. Żelazna sztaba, wsparta ostrzem o podłogę, dotykała rękojeścią ściany. Przy bliższym przyjrzeniu się, poznałem w niej kół, którym wybijano dziury w polu.

Najbardziej wabiły nas umieszczone pod oknem skrzynki. Ukrywają one jakieś tajemnicze przedmioty. Nie ulegało to wątpliwości dla mnie. Już podczas naszych poprzednich wypraw na strych, przykuły do siebie naszą uwagę. Bliższemu zaznajomieniu się z nimi — byliśmy wtedy w towarzystwie rodziców — zabroniło nieuniknione: daj spokój temu! A jeżeli zbyt natarczywie nastawałem na ich oglądanie, usłyszałem ostrym tonem wypo-



wiedziane: nie wtykaj nosa do cudzego trzosa.

Przez małe, od lat nieczyszczone okienko wciskało się słabiutkie światło. Skrzynki pokryte grubą warstwą pyłu, stały pod oknem, umieszczono je tam dawno temu, prawdopodobnie już w chwili wprowadzenia się ludzi do nowowybudowanego domu. — A wtedy nas jeszcze nie było na świecie.

Po usunięciu pyłu okazało się, że były pomalowane na żółto. W zamku tkwił zardzewiały klucz, który, choć z trudem, dał się przekręcić. Skrzypiał i zatrzymywał się, ale w końcu odemknięto zasuwę.

Gdy podniosłem wieko, wszystkie głowy zderzyły się nad skrzynką. Widok skarbów umieszczonych w małych, precyzyjnie wykonanych przegródkach wprawiał nas w stan gorączkowy. Nigdyśmy nie widzieli podobnych kosztowności.

Że były to kosztowności, stwierdziliśmy od razu. Chociaż proch, który osiadł na nich, odjął im połowę blasku, skrzyły się w półmroku.

Męcnar wydobył jedną z brył. Bojąc się, że mogłaby się rozpaść w rękach, obchodził się z nią jak z jajkiem.

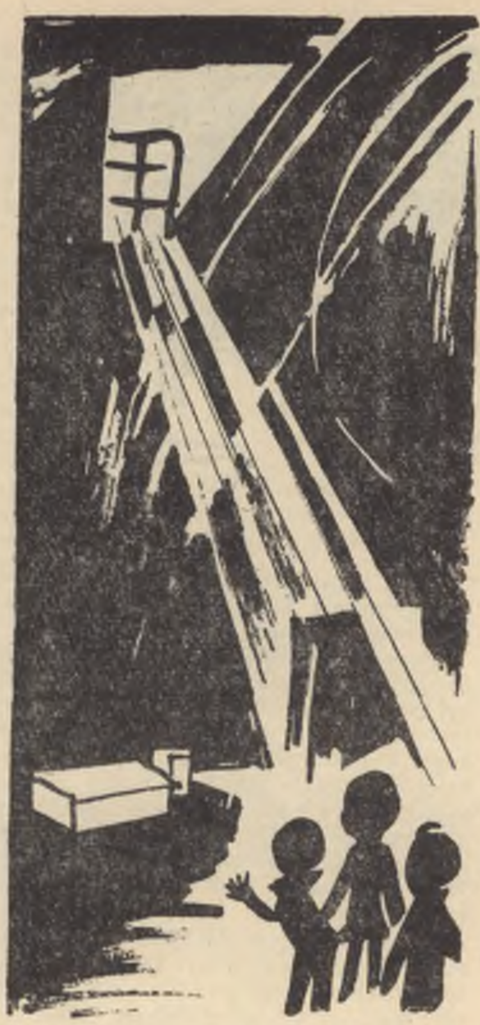
Wyglądała jak kamień. Tylko nie jak zwykły sobie piaskowiec. Była ciężka, „jak ołów" — to „jak ołów", dodał Męcnar — maści stalowo-niebieskiej a całość przedstawiała się nam jako zlepek tysiąca ziaren różnej wielkości. Ziarna te miały ścisłą formę. Były podłużne, czworokątne i odłupywały się snadno od całości.

— O, popatrzcie, złoto, krzyknęła Marta, wydobywając z innej przegródki jakiś świecący żółty przedmiot.

Porzuciliśmy kruszec, gdyż ten nowy, migotający niewyraźnie w przyćmionym świetle, był ponętniejszy: żółtawo-brunatny, nawarstwiony różnymi odcieniami, tworzył ostre kanty i gładkie płaszczyzny, jak gdyby wyszedł z warsztatu szlifierza. Formy przypominały figury z książki mojego brata, przeglądanej ukradkiem: romboity, trapezy, prostokąty, równoległoboki, czytałem pod rysunkami. Fascynowały swoją rozmaitością i ostrością kątów.

— Złoto? Więc to jest złoto? Ładną sobie obrało formę. Umilkliśmy. Patrzyliśmy nań i nie mogliśmy wyjść ze zdziwienia. Gdy minęło pierwsze wrażenie, wszyscy chcieli dotknąć kryształu. Szybko też przechodził z rąk do rąk. Nie popasał długo u nikogo. Wyrywał go jeden drugiemu. Obracany na wszystkie strony, budził podziw. Zastanawiali się wszyscy, potrząsali głowami, powątpiewali. Może to wcale nie jest złoto, mówili. Próbowano wydobyć ponad próg świadomości iskierki wiedzy nagromadzonej w zakamarkach mózgu. Napis na przegródce nie pomógł nam w naszych poszukiwaniach. Nikt go nie potrafił odcyfrować. Zatarły się litery. W końcu Skotnica, oglądnąwszy jeszcze raz bryłę, zaprzeczył stanowczo:

— To wcale nie jest złoto — oświadczył. Złoto nie tworzy kryształów, a to są kryształy. To jakiś siarczan. Tak, teraz nawet dokładnie poznaję — mówił.



Skotnica przewyższał nas wiedzą i musieliśmy chcąco-niechcąco uznać jego autorytet.

W gorączce sporu o złoto, odezwał się Męcnar:

— *Ja gardzę złotem, bo ono sprowadza klęskę na ludzi. Iluż to bohaterów straciło życie w pogoni za nim. Ileż występków zrodziło się z niego.*

Tak recytował, gdyż utkwiła mu w pamięci treść przeczytanej niedawno książki o dalekim i dzikim Zachodzie, pełnym przygód, ale też zbrodni. A najczęstszą ich przyczyną była właśnie niepohamowana żądza złota, biorącego w jasyr najbardziej prawych ludzi.

Przytaknęliśmy mu. Miał słuszność Męcnar. Myśmy też gardzili złotem, gdyż byliśmy amatorami tej lektury, w której złoto zmieszano z błotem.

Wtem krzyknęła Marta:

— Tu jeszcze ładniejszy kryształ.

Spojrzeliśmy do przegródek: z wyjątkiem jednej każda z nich kryła w sobie kamień, prosty lub złożony o najrozmaitszych kształtach i kolorach. Wybieraliśmy teraz jeden po drugim i oglądaliśmy je po kolei, wkładali z powrotem do skrzynki na dawne miejsce.

Wśród kryształów jeden wzbudził nasze szczególne zainteresowanie. Stało się to w chwili, kiedy Marta odczytała na nalepce jego nazwę. Nie było na nim nic wyjątkowego, ściany nie błyszczały jak u innych kryształów. Zauważyliśmy tylko, że są większe od reszty i jakby przesiąknięte mlekiem.

Starłszy proch z naklejonej nalepki, krzyknęła ona ze zdumienia.

— Nie, to niemożliwe.

Potem sylabizując literę za literą, oświadczyła:

— Sól kuchenna, Na Cl, i znów dodała: nie, to niemożliwe.

Napis zadawał kłam naszym wiadomościom o jednorodności rzeczy. Na podstawie zdobytego — w kuchni — doświadczenia, sądziliśmy, że te same rzeczy mogą przybierać tylko jedną postać, a tu tymczasem...

— To przecież nie jest sól, krzyknęliśmy wszyscy razem. Sól wygląda zupełnie inaczej. Niejeden raz „sparzyliśmy się" sypiąc gruboziarnisty kryształ na język, biorąc go za cukier.

— Nie, to nie jest sól, odezwał się Męcnar, niedowierzająco potrząsając głową. Sól jest miałka jak cukier, dodał po chwili.

— Również cukier występuje w postaci kostek, zauważył Skotnica szybciej aniżeli my wyciągający wnioski z faktów.

— A może zbieracz minerałów poplątał sprawę, ktoś zauważył.

Wtedy zawsze praktyczna Marta zrobiła to co dawno powinniśmy byli uczynić: liznęła kamień, otarłszy go wprzód z prochu. Potem przełknęła ślinę.

Nie spuszczaliśmy oczu z jej twarzy. Kiedy się nagle ściągnęła, wiedzieliśmy, że eksperyment dał pozytywny wynik.

— Sól, orzekła, przełknąwszy raz i drugi ślinę, taka sama, jak w kuchni.

Nie dokończyła, a już jej Skotnica wydzierał z rąk kryształ. Potem kosztowaliśmy po kolei i ostatecznie ustalił się nasz sąd o nim, identyczny z wyrażonym w napisie.



— A może znajduje się tu też cukier, zauważył nagle Skotnica. Podchwyciliśmy myśl a bezzwłocznie poddano wszystkie minerały próbie. Jeżeli sól występuje w formie niezwykłej; może tak samo być z cukrem. Tym razem wynik był jednak negatywny.

Obok w drugiej skrzynce, szczelnie zamkniętej, znajdowały się przybite szpilką owady o dziwacznych kształtach. Niektórym wyrastały rogi z czoła, innym czujki. Jedne miały krótki odwłok, drugie spłaszczony. Panowała największa różnorodność form. Niektóre były tak małe, że początkowo sądziliśmy, iż szpilka wetknięta do deski, jest goła.

Z żukami i stonkami sąsiadowały motyle. Obok najzwyklejszych kapustników rozpościerały swoje skrzydła okazy rzadko tylko zapędzające się w nasze strony. Ktoś ich ładnie poukładał według kolorów. Kim mógł być ten ktoś, nie mogliśmy się domyślić.

Zamknęliśmy skrzynkę.

Trzeci przedmiot nie był skrzynką, ale czymś w rodzaju teczki, w której umieszczono arkusze. Złożone były one starannie. Stać się to musiało lata temu, może nas wtedy jeszcze nie było na świecie, bo wypłowiały zupełnie. Otwarliśmy je szybko. Do kartek przymocowano wyprasowane rośliny, z wyblakłymi płatkami i pomarszczonymi korzonkami. Z liści zniknęła zieleń a pierwotnego koloru kwiatu trudno się było domyślić. W rogu kartek widniały napisy, podając — tak przypuszczaliśmy — nazwy roślin. Poznaliśmy niektóre: kluczyki, zawilce, bławatki, niezapominajki, głóg a nawet grzyb, którego zapach teraz jeszcze raził nasze nosy. Oprócz szarotki, zachowującej ciągle swój wdzięk, wszystkie straciły swoje pierwotne rumieńce.

Martę przestały zajmować poukładane do teczek „zioła", z których można by ukręcić niejeden papieros. Jedynie do tego się nadawały. Puściła się w inną stronę strychu, ale nie natrafiła widocznie na żaden przedmiot, godny uwagi, gdyż zauważyłem ją teraz pod przerzuconą od dachu do ściany smugą z promieni słonecznych. Przypatrywała się jej uważnie.

Potem podskoczyła nagle i próbowała na niej uwisnąć.

My zaś, chłopcy, zamknąwszy pudełko z zasuszonymi roślinami, ruszyliśmy w najbardziej oddalone zakamarki strychu, gdzie trzeba było schylać głowy, aby się móc posuwać. Leżały tu zwały dachówek i cegieł a na nich jakieś szmaty, zmięte, osiepane i poplamione spodnie z dużymi jak pięść dziurami. Znajdowały się tu nawet garnce gliniane, naczynia z blachy, jakieś rondle i czajniki. Wszystkie one już dawno wyzionęły ducha. Żarł je proch, sadze i rdza. Wśród nich na samym dole leżał nóż, długi, na kilkanaście cali. Nagle stwierdziliśmy, że jest on nam niezbędnie potrzebny. Był wprawdzie wyszczerbiony i pokryty rdzą, ale to nie przeszkadzało. Defekt ten można łatwo usunąć. Wyostrzy się nóż na osełce, która niedaleko stąd wisi na krokwi.

Jakiś zapach dolatywał do naszych nozdrzy. Chociaż zaglądaliśmy wszędzie, nie mogliśmy znaleźć przyczyny jego powstania. Przestaliśmy go w końcu szukać.

Zwrócone frontem do ściany, o którą się opierały, zauważyliśmy oprawione w ramy obrazy. Odwróciliśmy jeden z nich i skierowali nań snop światła. Przedstawiał dwie o-

soby, zapewne parę, wyszła już dawno z użycia. On w niebieskim mundurze, z bokobrodami, ona w stroju, który kapał od złota i klejnotów. Oboje patrzyli na nas, mrużąc oczy, bo ich raziło to trochę światła, którym im zaświeciliśmy w oczy. Rozgniewali się na nas. Widzieliśmy to. Przerwaliśmy im bowiem drzemkę, którą sobie za rozbitym szkłem na stojąco ucięli w galowych strojach. On opierał dłoń o rękojeść szabli, ona trzymała w rękach białą koronkową chusteczkę.

— No, no, ten gotów zdzielić któregoś z nas ostrzem szabli, zaśmiał się Męcnar.

Śmialiśmy się widząc, że nikt się jeszcze nie odkleił z obrazu. Nie sprzeciwialiśmy się zresztą temu. Puszczając wodze fantazji, widzieliśmy już, jak ów imperator miarowym krokiem wychodził z ram, jak siadł z obrażoną i nadąsaną małżonką na zwałach dachówek i ucinał sobie pogawędkę z nami.

— Kicuś, Kicuś, mój Kicuś! — usłyszeliśmy nagle głos Marty. Już dawno przestała chwytać belkę z promieni i na własną rękę zaczęła zwiedzać zakamarki strychu, pętając się znów w pobliżu nas.

Podbiegliśmy w jej stronę. Już z daleka uderzył mnie zapach dolatujący z miejsca, w którym znajdowała się Marta. Gdyśmy dotarli do niej, zatkało nas. Widok napawał nas zgrozą i cofnęliśmy się przerażeni: nie myliła się Marta. Leżał tam nasz kotek. Przed miesiącem przepadł bez wieści a teraz tu leżał z przechyloną w tył głową. Musiał poznać dawnych towarzyszy zabaw, gdyż wlepił w nas swoje duże oczodoły. Biły nam szybciej serca. Przypomnieliśmy sobie jego wspinanie po drzewach, oglądanie się na każdym kłębie za nami, mruczenie. Gdy się bawił z myszą a myśmy chcieli uwolnić brankę, syczał. Niezapomniane było też jego czajenie się, wierzganie nogą, a następnie skok za mostkiem, którym wywijaliśmy koło niego.

I teraz tu leżał, nieżywy. Wiedzieliśmy, że nieżywy, bo już nam zdołano wyjaśnić różnicę między życiem a śmiercią. Wiedzieliśmy że śmierć każdemu wcześniej, czy później zajrzy w oczy a gdy raz pchnie człowieka, już więcej się nie podniesie z upadku. I wówczas każdy się obróci w proch, w ten proch z którego rzekomo powstał. Ale ja nie wierzę w to, żebym był powstał z prochu.

Jak tyle razy przedtem chwyciła go Marta za ogon i pociągnęła. Sądziła, że można zbudzić trupa w ten sposób. I wtedy pękła szwa na brzuchu i zarysowało się gołe ciało.

U wyjścia wpadliśmy na Janka i jego towarzyszy wracających z przeciwległej strony strychu. Po wyjaśnieniu sprawy z upiorem za szafą, odłączył się był od nas i udał w upatrzony już poprzednio kąt.

Gdyśmy harcowali na dolnej części strychu, on wspiął się o jedno piętro wyżej, pod samą kalenicę domu, w miejscu, gdzie mansarda wysuwa się z dachu. Tam sobie para gołębi zbudowała gniazdo i widywaliśmy je często, jak przynosiły żer młodzikom. Gruchały gruchacze, gdy ze swojego wola przelewały miazgę do gardzieli bobusia.

Na tego bobusia wybrał się Janek. Przystawił drabinę do ściany i wylazł na piętro. Gdyby go był ojciec zobaczył, nie obeszłoby się bez lania. Do tego miejsca miał bowiem wstęp surowo zabroniony. Tylko kominiarz mógł tam wyjść. Lecz tam gdzie dotarł Janek, na pewno nie stanęła jeszcze stopa wycieracza kominów.

Z dachu wyjął Janek nadłamaną dachówkę. Ja wiem, że ją rozbił, on twierdzi jednak, że już była nadtłuczona, no ale ja z tym nie pójdę na rynek, najwyżej powiem matce, a ta z głupstwami nie poleci do ojca. Wysuwając rękę przez otwór, dobierał się do młodzika. Wisiał między stropem a przepaścią, trzymając się jedną ręką za belkę, prawa noga opierała się o ostatni szczebel drabiny, lewa zaś o wystającą ze ściany cegłę. Zburzył całe gniazdo. Tego to mu już nie podaruję, tego nie wolno robić, ale on się jeszcze nie uczył o tym. Młodzik umykał niezręcznie, bo był tłusty. Nadleciały stare i wywiązała się walka, Janek twierdził, że pokłuły mu rękę; ja wiem, że się tylko chełpił. Żadnych śladów nie widziałem. Długo się szamotał z ptakiem, aż wreszcie wciągnął młodzika za nogi przez dziurę na strych.

Schodząc stamtąd powoli po drabinie na dół, spotkaliśmy go głaszczącego trzepocącą i na przemian czającą się w jego ręku zdobycz.

Kiedy schodził ze strychu, trzymając w ręku wystraszonego ptaka, był czarny jak kominiarz, lecz i nam nic nie brakowało pod tym względem.

Na dole zameldowaliśmy bezzwłocznie matce o naszym odkryciu.

Bycza PRZYGODA

K. Ściebło

Nie jest nam obojętne, jak skonamy. Jedni wolą umierać w pierzynach, inni w butach. Hańbi śmierć na stryczku. W polu, twarzą w twarz z wrogiem ojczyzny — jest zaszczytem. Nie wybieramy sobie sami rodzaju śmierci. Tak naprawdę, to chcielibyśmy żyć i żyć i żyć — trąbić sądnemu dniu!

I ja jestem z takich. Opowiem, jak sobie raz wywalczyłem mego życia ciąg dalszy. Wymknąłem się śmierci, jak wymyka się jej kuropatwa, ufruwając spod kosy żniwiarza. Dwukrotnie kosa, wymierzona we mnie, ze świstem przecięła próżnię.

A było to w roku 1942, w Związku Radzieckim. Jest tam na północy — łatwo sprawdzić na mapie — autonomiczna republika o niezwykłej nazwie: Komi. Lesista nad wszelki wyraz. Cóż przeto dziwnego, że choć nie drwal z zawodu, pracowałem w lesie. Ścinaliśmy „suchostoje", których było moc, rznęli je na klocki, a te znów łupali na polana, którymi się paliło pod kotłami parostatków. Chwaliłem sobie tę robotę. Nie nadwyręża mózgu, a krzepi zdrowie balsamicznym powietrzem i zamaszystym ruchem.

Był koniec maja. Rzeki po niedawnych roztokach pełne do przelewu. Szedłem do pracy brzegiem jednej z tych rzek — Wym się nazywa. Szedłem i pilnie patrzyłem pod nogi szukając w trawie szczawu, cenionego dostarczyciela witaminy C, bardzo pożądanego po długiej tamtejszej zimie. Tak się zapatrzyłem, że gdy wreszcie spojrzałem przed siebie, znalazłem się o jakieś dwanaście do piętnaście kroków od stada krów, które mi drogę zawalało. Gorliwie zajęte śniadaniem nawet na mnie nie zerknęły. Byłbym więc poszedł dalej, bo mnie te łagodne zwierzęta, przywodzące na myśl białą kawcię z kożuszkiem, bynajmniej nie krępują. Ale tam był i byk...

Gdym go spostrzegł, stanąłem jak wryty: wzbudzał uszanowanie. Byłoby z niego, tak z grubsza taksując, gulaszu dla batalionu żołnierzy — i to przy wilczym apetycie po manewrach. Pasł się, chrzęściła trawa rwana pełnym pyskiem, ale lewym swoim okiem, zielonkawym i złym, celował we mnie. I fukał, co jest oznaką podniecenia, aż się trawa na krok od niego pokładała. Wzdrygnąłem się na myśl, jak taki kolos, zaskoczywszy ofiarę nagłym zrywem bierze ją na rogi, by następnie urobić ją racicami na bity kotlet, przy akompaniamencie pękających żeber.

Chociaż nie miałem na sobie nic czerwonego ani też policzki moje nie pałały rumieńcem, co by mogło buhaja rozjuszyć, postanowiłem całe mlekodajne towarzystwo obejść łukiem w las, oddalony w tym miejscu jakieś trzydziesci kroków, bo diabeł nie śpi. Ledwiem ruszył, byk wystartował na mnie niczym sprinter do stumetrówki. W pół sekundy przebłysły mój mózg takie refleksy: nie dam rady zwiać do lasu, bo mnie wróg dogoni, do rzeki parę kroków, tam jest ocalenie! Skręciłem momentalnie i ponaglany zbliżającym się tupotem racic dopadłem rzeki kilkoma skokami, co na moje ówczesne pięćdziesiąt lat było na pewno wyczynem. Dałem z rozbiegu susa w nurty, byle dalej, bo nuż ta bestia nie zdąży na brzegu zastopować, przywali mnie swą masą, ogłuszy i utopi na amen!

Hach! wstrząsnąłem się w zimnym jak lód żywiole. Wynurzywszy się popłynąłem co tchu przed siebie. Zapewne w tej zwariowanej chwili wydawało mi się możliwym przepłynięcie jakichś sześćdziesięciu metrów do tamtego brzegu. Cóż, panika odbiera rozum! I gdyby choć nago, a ja tu mam na sobie strój jeszcze zimowy, grubo watowany i ciężkie buciory. Toteż niebawem poczułem, jak mi namoknięte łachy pętają ręce i nogi, a buciska ciągną w głąb. Popatrzyłem, czy tamten brzeg blisko. Zląkłem się: ani mowy dopłynąć. Zawróciłem ciężko jak drabiniastym wozem i jeszcze raz się przeląkłem, choć wypadało być dumnym, że odpłynąłem taaaki kawał! Woda była wielka i były na niej tu i tam wiry, drobne na szczęście. Jeden z tych wirów mnie złapał, zakręcił mną i choć już i tak goniłem resztkami sił — wciągnął z głową. Niechże jeszcze na dobitkę w tej marnej chwili przypomniały mi się idiotyczne bajędy z dziecinnych lat o utopcach, co ciągną za nogi wybrane ofiary w głębię, w swe mokre, smutne królestwo! Byłem prawdziwie bliski tego, co się określa: zaginął bez wieści. Ale zwyciężyła wola życia. Nie będą mnie w tej zakichanej rzece raki jadły! — zawziąłem się i jakimś niebywałym zrywem wymotałem się z wiru i na powierzchnię. Krztu-

WŁADYSŁAW SIKORA

Gdzie Tatarzy szczerbili szable

(Z wędrówek po Jabłonkowskiem)



Ach, jak pachnie...

Stara droga na Szańce (Mosty ob. Jabłonkowa w Czechosłowacji) ulegnie zapomnieniu. Z wielkim na razie trudem powstaje bowiem nowa. Doprowadzi ona autobus do tej odnogi Mostów, najdalej na południe wysuniętej wioski czechosłowackiego Śląska zaolziańskiego.

Ta dawna, remontowana na przełomie XVIII i XIX wieku i wysławiona kiedyś przez Szersznika, założyciela księgozbioru cieszyńskiego, była kręta, uciążliwa i nieodpowiednia dla dzisiejszości, była tak bardzo podobna do swych czasów. Nowa wyzbywa się romantycznej fantazji, upraszcza się, upodabnia do jakiejś idei strzelistych lotów wzwyż. Tak, przecież to druga połowa XX wieku. Uświadamia to sobie historia. Idziemy bowiem na przełaj na spotkanie nowego, a historia uchodzi posłusznie tu i ówdzie wychylając się tylko spod nowości uświadomieniem własnej przeszłości. Kurczy

---

sząc się, kaszlając, popijając zdrowo wody ślimaczyłem się jak zziajana psina do brzegu. już tylko jak ona „stylem pieskim". Jakieś dwa metry od brzegu próbowałem dna dostać. Napróżno. Tyle tylko, że się znów napiłem i z ledwością wypłynąłem. Dopiero kiedy się uczepiłem kępki trawy na brzegu, stanąłem zanurzony po brodę na mulistym gruncie.

Paliło mnie w krtani, w oczach się robiło ciemno, ale o byku, wrogu moim, pamiętałem. Bałem się wyjść na brzeg, nie chcąc próbować, czy jest pamiętliwy. Ale gdy mi zaczęły zęby dzwonić i drgawki latać po całym ciele z zimna, wychyliłem ostrożnie głowę. Zdziwiłem się widząc stado w górze rzeki, a nie w dole, jak je zastałem przy spotkaniu. Zorientowałem się jednak, że mnie wóda zaniosła. Bysio mój pasł się grzeczniutko odwrócony do mnie tyłem. Wygramoliwszy się z rzeki poczłapałem chwiejnym krokiem w las, a rytmiczny kwik, jaki mi towarzyszył, sprawiała woda w butach. Rozebrawszy się w gęstwinie i rozzuwszy, wyżąłem z łachów z pół wiadra wody.

Nie dość, że mi owa kąpiel zdrowia nie nadszarpnęła, to jeszcze tegoż dnia przekroczyłem normę, nałupawszy dziewięć kubików polan, zamiast wyznaczonych ośmiu.

się historia bez szemrania, schodzi z klanu.

Po drodze na Szańce zgubiłem gdzieś pomiędzy licznymi potoczkami i budującymi się domami ciężar dnia. Ze wzrastaniem wysokości wzmagała się woń lasów, odzyskiwałem niezwykłą lekkość. Chciałem podejść zaraz do pracujących na polu kobiet i zapytać o historię, lecz uświadomiłem sobie, że przecież ludzie żyją tu, jak zresztą wszędzie, dniem dzisiejszym, a legendy, gadki zasłyszane od starców, to już tylko nastrój tego niezwykłego zakątka Śląska.

Rzeczywiście szańce zaskakują. Ta martwa cisza fos układających się w wielopromienną gwiazdę, bujna trawa w cieniu górkowatych wałów, to coś nierealnego dla człowieka, który przyszedł tutaj wyłącznie dla wiosny, Beskidów lub przechadzki. Ta porzucona przez historię przestrzeń kryje w sobie jakiś urok milczenia na kształt zagadki.

Potęguje się ten nastrój na starym „tatarskim" cmentarzu pod wyniosłymi lipami. Jest on już tylko łączką, lecz łączką szczególną, bo ukrywającą w sobie ciekawych dla teraźniejszości, nieznanych ci ludzi z ich losami, tragediami, namiętnościami. Tylko stara kapliczka mówi konkretnym głosem do poszukiwacza śladów tamtych czasów i ludzi.

Lecz oddajmy głos historii.

Tutaj, przez Przełęcz Jabłonkowską, prowadził prawdopodobnie szlak bursztynowy. Świadczą o tym chociażby znaleziska monet rzymskich wzdłuż drogi łączącej Słowację (dawniej Uhry — Węgry) z bramą morawską i ziemią krakowską. Droga ta, znany węgierski trakt handlowy, pozwalała przedostać się do Księstwa Cieszyńskiego licznym hordom tatarskim i wojskom tureckim.

Dlatego to w XVI wieku o 9 km na południe od wsi Mostów wzniesiono z gliny i drzewa czworoboczną twierdzę-szaniec. Dokładna data jest sporna. Historycy podają lata 1541 i 1578. Szaniec nie tylko bronił południowej granicy w jej miejscu najbardziej zagrożonym, bo kontrolował cały transport przez przełęcz i przerywał kontakty protestantów śląskich z węgierskimi i siedmiogrodzkimi.

Pierwotny szaniec z czasem (przede wszystkim w wieku XVIII) rozbudowano i wzmocniono wznosząc ciągle dalsze reduty. Na miejscu czworobocznych wałów „tatarskiego szańca" powstała prawdziwa forteca o gwieździstym kształcie z szerokimi, napełnionymi wodą, fosami. Przejścia na szaniec broniły dwa zwodzone mosty. W podziemiach wydrążono liczne przejścia, które później połączyły pono cały system wałów i mniejszych szańców stanowiących zabezpieczenie południowych granic (biegły przez Girową do Istebnej). Powstała w ten sposób poważna twierdza, o czym przekonały się tatarskie i tureckie zagony, które niejednokrotnie musiały zejść z pola nie mogąc sobie poradzić z szańcem.

Dużą rolę odegrał on podczas wojny trzydziestoletniej. W roku 1625 zdobyły go wojska Mansfelda uchodząc przed Wallensteinem do Węgier. Wroku 1645 dostał się do rąk Königsmarka. Zdobył go podczas pierwszej wojny śląskiej Fryderyk II.

Załogę szańca stanowiły wojska zaciężne i tzw. „wybrańcy" — chłopi ze wsi podbeskidzkich. „Wybrańcy" ci korzystali z różnych ulg. Nie odpracowywali pańszczyzny, mogli ścinać drzewo w lasach, nosić broń, łowić zwierzynę. Ich rodziny przenosząc się do Mostów utworzyły z czasem niedaleko szańca osadę, która do dziś dnia nosi nazwę Szańce. „Wybrańcy" tworzyli nieustraszoną



Mosteckie szańce

grupę ludzi i w roku 1604 zapędzili się nawet z księciem Wacławem aż do Żyliny przeciw niepokojącym księstwo Węgrom. Ponieważ jednak przyzwyczaili się do pewnych swobód, popadli w niełaskę i z rozkazu Ferdynanda III zostali rozwiązani. Kiedy cesarzowa Maria Teresa powołała ich ponownie do walki z Prusakami, nie potrafili już sprostać zadaniu i Prusacy twierdzę częściowo zburzyli.

Zarząd administracyjny i sędziowski sprawował dziedziczny wójt mostecki. Był on też równocześnie naczelnikiem wojskowym i książę cieszyński darzył go specjalnym poparciem i względami.

Ponieważ jednak pod koniec XVIII i na początku XIX wieku szaniec stracił swoje obronne znaczenie, jego załogę w roku 1848 odwołano. Lecz dzisiejszy stan fortecy sprawia przygnębiające wrażenie. Nieprzydatna do obrony, posłużyła do celów budownictwa miejscowego.

A Mosty i Szańce dziś? Obywatele tutejsi, w dużej mierze potomkowie ,,wybrańców", to ludzie o ostrym charakterze, bezkompromisowi i krewcy. Nie trudno z nimi popaść w konflikt z powodu błahostki.

Często dochodzi tu jeszcze do niesnasek nacjonalistycznych. Na zabawach, kiedy to zjawiają się Słowacy z Czadeckiego, ,,można oberwać". Lecz młodzi przychodzą, ponieważ jest tu pono zatrzęsienie ładnych dziewcząt.

Lecz jeśli łatwo popaść w konflikt, łatwiej jeszcze można pozyskać serca człowieka miejscowego. W ogóle ,,Mostorze" i ,,Szańczorze", to ludzie ofiarni, honorowi i co ciekawe, zakochani w piosence. Wystarczy przypomnieć chociażby mostecki zespół pieśni i tańca przy miejscowym kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego noszący nazwę ,,Przełęcz". Zebrał on laury w Pradze, występował wiele razy na estradach licznych miejscowości w Republice, gościł nawet w Polsce. Prócz ,,Przełęczy" istnieje jeszcze czeski zespół młodzieżowy z Szańców — ,,Młodość". Wiele narzeka się wszędzie np. na brak miłośników muzyki poważnej. Lecz Mosty przyjmą każdego artystę z otwartym sercem i trudno mu potem odchodzić. Przekonał się o tym polski zespół ,,Hutnik" i kwartet smyczkowy Pawła Kalety z Trzyńca, zespół kolejarzy z Ostrowa Wielkopolskiego, czy wreszcie spiker Polskiego Radia w Ka-



Nie wiele pozostało z „tatarskich wałów"

towicach, Jerzy Szczawiński, który zawitał do Mostów z wieczorem poezji.

Ludzie tutejsi to rolnicy, hutnicy i kolejarze. Ostatnio powstała w Mostach jednolita spółdzielnia rolnicza. Lecz najbardziej charakterystycznym rysem dla Mostów i Szańców, to budownictwo. Jadąc „drogą cesarską", co krok zobaczymy nowy domek. Najokazalszym gmachem będzie bezsprzecznie nowa dziewięciolatka. Dotychczasowa Polska Ośmioletnia Szkoła Średnia tłoczy się w starym budynku nie odpowiadającym dzisiejszym wymaganiom. Nowy gmach szkolny połączy obie szkoły, polską i czeską. Mosty zapisały się też do historii drugiej wojny światowej. Tutaj bowiem na parę dni przed 1 września 1939 Niemcy starali się zdobyć dworzec i tunel.

Powróćmy jednak na Szańce. Bo pomimo nowych dni działa jeszcze historia w swój specyficzny sposób. Wspomniany cmentarz wojskowy zwany tatarskim, to miejsce, gdzie „straszy". Ludzie przechodzą tu wieczorem z duszą na ramieniu, a koło północy nikt chyba nie pójdzie wzdłuż cmentarza. Bo mu jakaś tatarska dusza zaskowycze? Kiedy zanosi się na burzę, dzwonią na dzwonku w starej kaplicy. Jego głos bowiem ma cudowny zwyczaj odpędzania gradu od „szańczorskich" pól. Dawniej nie zdarzyło się, pono, żeby burza nie usłyszała jego głosu. Dziś czyni to rzadziej i wyraźnie drwi z wiary w jego cudowną moc.

Żegnamy Szańce jeszcze jednym spojrzeniem z wałów. Nowa droga (cesarska) przesunęła się na wschód, poza tory kolei koszycko-bogumińskiej i nie niepokoi historycznego nastroju. Dokoła pokładły się góry otwierając bramy trzech dolin, które zbiegają się właśnie tutaj. Wody żegnają się na mosteckiej przełęczy i jedne spływają do słowackiej Kysucy, inne małą Oszetnicą do Olzy. Widok Szańców uspokaja swą specyfiką i ozonowym powietrzem. Dlatego też w ciągu lata ściągają tu gromady hutników i górników od Trzyńca i Karwiny. A domki campingowe przystrajają podleśne stoki w pstre, stale gęstniejące barwne plamy.

trzy godziny w BIELSKU

W. CZAJA

Ile to już właściwie lat upłynęło od tamtych doniosłych chwil, kiedy spotkaliśmy się na Moście Przyjaźni po raz pierwszy? Ileż to tysięcy ludzi przeszło od tego czasu po wybrukowanym moście na tzw. drugą stronę? Nie trzeba liczyć. Cyfry, chociaż mają czarowną moc przekonywania, tym razem można odstawić do lamusa. Nie one są ważne. Tutaj odgrywa rolę co innego: atmosfera, ta nowa atmosfera, która zrodziła się przed laty, a która obecnie ożywczym powiewem ogarnia coraz większe połacie. coraz więcej ludzi po tej i tamtej stronie miedzy.

Ludzie chcą wiedzieć jak się nam obecnie powodzi. Chcą naocznie przekonać się o tym, co potrafiliśmy wspólnym wysiłkiem zbudować za tych kilkanaście powojennych lat. Łakną konfrontacji, porównania. Są ludźmi. Ciekawią ich te sprawy.

Droga za Cieszynem jest mocno pofałdowana. Doskonały asfalt pozwala rozwijać dużą szybkość. Za dwadzieścia minut dobrej jazdy mija się staroświecki Skoczów, a za drugie tyle osiąga się już Bielsko. Na drodze z Cieszyna do Bielska, w piękne letnie dni, widać dużo zagranicznych samochodów i autobusów. Przeważnie są to goście z Czechosłowacji. Tabaczkowego koloru „karosy" w drodze do piastowskiego Krakowa zahaczają o Bielsko. Tu goście z Czechosłowacji zjadają pierwszy posiłek. Autobus zatrzymuje się na jakiś czas przed reprezentacyjnym lokalem Bielska — hotelem „Prezydent". Tutaj właśnie przed „Prezydentem" zaczyna się moja opowieść, oparta na faktycznym zdarzeniu.

* * *

Szedłem główną ulicą Bielska, bardzo ruchliwą, hałaśliwą, dziś jednak nieco wyludnioną. Bielszczanie wyszli w góry lub kąpią się na jednym z miejscowych basenów — pomyślałem. Zapomniałem, że to przecież dzień powszedni i że raczej skądinąd bardzo rozmiłowanych w swych górach bielszczan należałoby szukać raczej w licznych kawiarenkach i restauracjach, rozrzuconych po całym mieście.

Przed „Prezydentem" zo-

stałem znienacka zagadnięty przez bardzo miłą dziewczynę, no powiedzmy panienkę, w wieku może lat siedemnastu, a może dwudziestu (któż to może dokładnie odgadnąć wiek ślicznego dziewczęcia?). Moje zdumienie było ogromne, gdyż panna odezwała się do mnie dźwięczną czeszczyzną:

— Prominte laskavě, kde je tady „Orbis"?

— A stoi pani obok „Orbisu" — odezwałem się ze zdziwieniem.

— A o co pani chodzi? — zapytałem jeszcze; przyznaję, trochę niegrzecznie.

Dziewczyna zarumieniła się. Nie starałem się odgadnąć powodu jej zakłopotania. Cóż, pyta o „Orbis", trzeba ją podprowadzić — pomyślałem.

Za małą chwilę znaleźliśmy się u kierownika „Orbisu". Teraz dopiero dowiedziałem się co zaszło. Po prostu panienka spóźniła się na swój autobus, który jakimś cudem bez niej odjechał do Krakowa. Została sama w bądź co bądź obcym mieście... Kierownik „Orbisu" szybko załatwił sprawę. Wydał bilet na bezpłatny przejazd autobusem do Krakowa, dał dokładny adres, gdzie należy się w Krakowie zgłosić. Obiecał zadzwonić i powiadomić kierownika wycieczki, że „zguba" odnalazła się i przybędzie następnym autobusem do Krakowa.

Do odjazdu krakowskiego autobusu pozostały jednak jeszcze trzy godziny. Zaproponowałem pani Miladzie, bo tak brzmiało imię tej rozkosznej dziewczyny, przechadzkę po mieście i okolicy. Zgodziła się. Miałem wprawdzie jeszcze trochę zajęć służbowych, ale kto by tam myślał o pracy wtedy, gdy stoi obok tak sympatycznego stworzonka.

Nie znałem jeszcze zainteresowań dziewczyny, ani jej zawodu, ani żadnych innych rzeczy, które mnie interesowały. Po prostu wysunąłem propozycję zwiedzenia wystawy w pawilonie wystawowym plastyków bielskich. Uśmiechnęła się na znak zgody. Bielscy artyści plastycy, których w mieście jest spora gromadka, wystawiają tu swoje prace. Większość artystów znalazła jednak zatrudnienie w bielskim przemyśle wełniarskim a ostatnio nawet w budownictwie.

Weszliśmy więc do pawilonu, w którym znajdowała się ekspozycja plakatu polskiego. Pani Milada okazała się świetnym koneserem. Bardzo się jej podobały nie tylko wystawiane plakaty ale również prześliczny, na wskroś nowoczesny, pawilon z plastikowymi mebelkami. Trochę z żalem powiedziała mi, że jej rodzinne Brno, na pewno pozazdrościłoby nam go.

Wyszliśmy na zalane słońcem wąskie uliczki Bielska. Mijaliśmy z dużym gustem odnowione kamienice. Milada napatrzeć się nie mogła na kolorowe, śliczne tynki starych kamieniczek i na supernowoczesną architekturę nowych bloków mieszkalnych z olbrzymimi wenecki-



Wieczór literacki w Bielsku z udziałem gości z Ostrawy.

mi oknami, wspaniałymi balkonami, płaskimi dachami. Wstąpiliśmy do kilku sklepów. Moja milutka Czeszka była oczarowana mnóstwem przepięknych wełenek, gamą ich kolorów, wysoką jakością. Wiedziała, że mamy w Bielsku przemysł włókienniczy, ale była bardzo zdziwiona, kiedy jej powiedziałem, że roczna produkcja wełen bielskich przeznaczonych tylko na eksport sięga blisko 2 milionów metrów i że te eksportujemy do wszystkich państw obozu socjalistycznego oraz do kilkudziesięciu państw kapitalistycznych. Z dużym uznaniem wyrażała się również o wnętrzach sklepów, które urządzone są na wskroś nowocześnie.

— Jak tu u was czysto — powiedziała gdy wyszliśmy znowu na ulicę.

Powiedziałem jej, że to również zasługa Czechosłowaków.

— Nie rozumiem — odpowiedziała.

— A widzi pani, bo pani zbyt rzadko do nas zagląda. Czy pani zauważyła, że wiele kominów fabrycznych nie dymi? Wie pani dlaczego? Niedawno uruchomiliśmy dużą elektrociepłownię, która wyeliminowała kilka zakładowych siłowni. Wkrótce ze stukilkunastu kominów, które niedawno jeszcze wypluwały na nasze miasto 20 ton sadzy dziennie, pozostanie tylko jeden jedyny komin elektrociepłowni. Wszystkie bowiem zakłady otrzymają parę i moc elektryczną z elektrociepłowni. Kominy fabryczne zostaną więc zburzone i pozostanie tylko ten olbrzym.

Wskazałem ręką na olbrzymi pnący się wysoko w niebo szary komin elektrociepłowni, z którego wydobywał się błękitny dymek podobny do pary.

— W kominie elektrociepłowni są założone potężne filtry, które nie przepuszczą na miasto sadzy. Z sadzy robimy prefabrykaty, których fabryka powstała obok elektrociepłowni. Dzięki elektrociepłowni Bielsko jest miastem czystym. A to jest po części i Wasza zasługa, bo Czechosłowacy dostarczyli nam kilku turbin i innych urządzeń.

Pani Milada słuchała mnie z dużym zainteresowaniem. Skwar dopiekał nam coraz bardziej. Było jeszcze trochę czasu, postanowiliśmy więc napić się oranżady. Wstąpiliśmy dla odmiany do „Patrii". Moja interlokutorka znowu była przyjemnie zaskoczona przytulnym lokalem, pyszną oranżadą i jeszcze lepszymi lodami.

— Naprawdę można wam pozazdrościć waszych lokali — powiedziała do mnie.

— A to pani nie zna innych. Mamy ich w Bielsku kilka. Warto zobaczyć jeszcze nasze sale widowiskowe, warto by zwiedzić zamek, pojechać kolejką linową na Szyndzielnię, ale niestety nie mamy na to czasu. Musi się pani zadowolić samym Bielskiem.

Znowu pochłonął nas gwar ulicy. Przeszliśmy przez drogę, zatrzymaliśmy jakąś taksówkę. Mamy ich w Bielsku już blisko stopięćdziesiąt. Taksówkarze jeżdżą szybko i niemal bezszelestnie. W mieście obowiązuje zakaz używania sygnałów dźwiękowych.

Podjechaliśmy ze śródmieścia do oddalonego o półtora kilometra basenu kąpielowego. Zapłaciłem pięć złotych i wysiedliśmy z taksówki. Poszliśmy obejrzeć kąpielisko.

— Nadherne! — krzyknęła, stanąwszy na tarasie kawiarenki, mieszczącej się na piętrze budynku kąpieliska.

Przyznaję, zrobiła mi dużą przyjemność, bo bardzo lubię to miejsce. Supernowoczesny basen pływacki z wszelkimi urządzeniami był w tym dniu przepełniony. Z wysokich trampolin raz po raz skakały nagusy do szmaragdowej wody, która ponoć miała 22 stopnie C. Wszystkie przylegające trawniki i boiska były dosłownie oblężone. Milada ze zdumieniem patrzyła na prześliczną panoramę gór, okalającą kąpielisko.

Wypiliśmy kawę ze śmietaną. Dopiero teraz dowiedziałem się, że pani Milada jest studentką drugiego roku medycyny. W Polsce jest po raz drugi. Za pierwszym razem odwiedziła Warszawę, ale leciała wtedy samolotem z Pragi na festiwal, tak iż poza ówczesną Warszawą znała Polskę tylko z samolotu. Uśmialiśmy się trochę z tego. Zapłaciłem i zadzwoniłem po taksówkę. Po chwili zjawił się samochód i odjechaliśmy do miasta. Na ulicach zapalały się już liczne jarzeniówki a nad sklepami żarzyły się kolorowe neony. Minęliśmy trzy nowe osiedla mieszkaniowe. Powiedziałem pani Miladzie, że po wojnie zbudowaliśmy w Bielsku już cztery nowe osiedla, oddając do użytku blisko siedem tysięcy izb. W budowie jest piąte osiedle a w 1962 rozpocznie się budowę szóstego.

Stanęliśmy na rzęsiście oświetlonym dworcu autobusowym. Podróżnych do Krakowa było dużo, ale jakoś udało mi się złapać dobre miejsce dla mojej sympatycznej Milady. Kierowca był trochę zdenerwowany, konduktor wypraszał mnie już z autobusu. I mnie ów niepokój, jakiś dziwny i tajemniczy, udzielał się mimo woli. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Niebieski autobus z tabliczką „Kraków" ruszył.

Ona zdążyła jeszcze przez otwarte okno zawołać:

— Na schledanou Bielsko!

— Do widzenia Brno — odpowiedziałem.

WŁADYSŁAW CZAJA

Rozmyślania SA-mana

(Wiersz satyryczny napisany dla prasy konspiracyjnej, po wojnie drukowany po raz pierwszy)

Chociaż tam ludzie szepczą to i owo,
wierzę wciąż w Führera, jego święte słowo.
Finał zwycięstwa jest już pono bliski —
lecz po co to nasi — pakują walizki?

Więc jednak! Jednak prawda to być musi,
że z straszną siłą zbliżają się Rusi...
Ach, gdyby jeszcze byli to Anglicy,
lecz strach pomyśleć — przyjdą bolszewicy...!
Trudno tu wierzyć, to wprost niemożliwe,
w zrządzenie losu tak niesprawiedliwe.

Więc czemu to broń, Wunderwaffe nowa,
ciągle się wyrabia, nie jest wczas gotowa?
Koledzy partyjni robią cierpkie miny,
jeden na drugiego składa jakieś winy.
Co prawda ja mogę być chyba spokojny,
cóż zrobiłem komu za tych pięć lat wojny?
Prawda, też czasem mam jakieś wyrzuty,
błahe, niepozorne — lecz gniotą jak buty.
Ach, buty, te wysokie, te mam po Polaku,
zginął na płuca, dawno... w koncentraku.
Lecz cóż ja winien, że go tam zabrali,
i że się matka jego ciągle żali.
I mówią ludzie, że go tam zabili,
nie prawda, wszak inni pono powrócili,
Przechodząc prawie tuż koło gospody,
wstąpię, lecz nie ma piwa, nawet sody.
Przypomina mi się, że tu przed putyką
stało kilku trampów z wielką harmoniką.
Śpiewali „polnisch", więc ja prosto w zęby,
jednemu krew się niecoś lała z gęby,
lecz ja nie wiedziałem, że „deutsch" nie umieli...
Lecz chyba ludzie dawno zapomnieli.
Pocóż to jednak myśli wciąż się plączą
wokół Rosjan, trampów, to chyba niechcąco...
Czemuż to znowu myśl natrętna pali,
że tam na łące... Polaków wieszali...
Byliśmy w mundurach... służba... karabiny...
nie stałbym tam ja, to stałby tam inny. — —
Cóż to za baba, co mię znów spotkała?
jakie ponure spojrzenia rzucała...
Ach, to ta Polka, co ją wysiedlili,
syna... w Cieszynie... dawno powiesili — —
Lecz czemu te myśli są takie ponure?
— — I znów walizek wiozą pełną furę.
Ach, szczęście, że jestem już w domu
i w oczy patrzeć nie muszę nikomu,
bo wszyscy robią takie straszne miny,
jakbym popełnił nie wiem jakie winy.
Lecz znowu, znowu dręczy mnie niepokój,
jakto, że tak pusty, obcy jest mój pokój?
Czemu to krzesło tak mi się dziś brzydzi?
(Dawniej tak samo siedzieli tu Żydzi.)
Za oknem wciąż sanki i wciąż ton jednaki,
i ludzie się snują, wciąż walizki, paki...
— — Zajdę po opał chyba do piwnicy...
— Cóż to?!! — ziemia drga... biją bolszewicy!
Więc jednak, jednak prawda to być musi,
że z straszną siłą zbliżają się Rusi
Nikt niepokoju w mych myślach nie zgłuszy,
dość niepewności, udręki, katuszy.
I po co się męczyć... i na co tu czekać?!
Spakować walizkę ... uciekać, uciekać!

Styczeń, 1944 roku

HENRYK JASICZEK

ŻYCIE

Ja — całkiem mały — w wielkim słonecznym dniu. Dziesiąta rano. Białe motyle kwiatów czereśni spadają przez otwarte okno i siadają w złocistych plamach słońca, na oknie, na biurku, na podłodze...

Siedzę przy radiu, taka sobie mała czarna skrzyneczka pełna złotych myśli. Z głośnika płynie poezja Jimeneza: „Srebrzysty i ja."

Srebrzysty dzwoni małymi kopytami w eterze — wśród światła, wśród róż... Dzień przeniknęło południowe słońce uczuć...

Cisza. Śnieżne płatki, czarna skrzynka i moje wzruszenie...

Nagle brutalny zgrzyt w głośniku. Zabolały myśli.

A tam w dali — za murem dysonansu — Bieda, otulona w miękki płaszcz poezji jedzie na osiołku Srebrzystym wśród kwiatów i ich cieni, wśród na pół nagich opalonych dzieci cygańskich. Lecą płatki brazylijskich róż...

Niestety nie słychać... zgrzyty zlały się w ciemną chmurę huku zasłaniając (oślepiając) piękno.

To mój sąsiad, dentysta pracuje nad dziurawym zębem.

Wiesław Berger



LADISLAV MŇAČKO

NOCTURN

Na drzwiach wisiała przybrudzona blaszana tabliczka. Na tabliczce informowano, że cela mierzy dwadzieścia osiem razy sześć metrów, oraz sto czterdzieści pięć metrów kwadratowych wolnej przestrzeni, która może pomieścić trzydziestu ludzi. Śmiałem się z tej niemieckiej dokładności. Obliczyłem, że przestrzeń odpowiadała dokładnie niemieckiej normie więziennej, to jest osiemnaście metrów kwadratowych na osobę. W celi było nas siedemdziesięciu.

Politycznych i kryminalistów. Byli Niemcy, Żydzi, interbrygadziści, Duńczycy, więźniowie z oznaczeniem „P", z wyhaftowanym „Ost", Francuzi, Holendrzy, i licho wie, skąd się tam wziął jakiś Indus. Czas spędzaliśmy też różnie. Niektórzy niemieccy kryminaliści grali w karty, takie specjalne, zmajstrowane w więzieniu. Przyglądałem się chwilę grze, której nie znałem. Damy na kartach były nagie, ale to był jeszcze najniewinniejszy szczegół na tym samorodnym dziele sztuki.

Nie pytałem nawet, jak temu było w pierwszych dniach, skąd wzięli te karty i w jaki sposób przemycili je do celi. Byli to sami starzy, dobrzy znajomi, utrzymujący z dozorcami więzienia stosunki rozbrajająco subtelne i poufałe. Ci wszyscy „Gewohnheitverbrecherzy", recydywiści, złodzieje, oszuści matrymonialni, kieszonkowcy, hochsztaplerzy nie byli najgorszymi ludźmi. Najgorsi ze wszystkich byli szubrawcy znajdujący się w kolizji z prawem raczej z przypadku, a którzy nawet tutaj, w tak specyficznych okolicznościach deklarowali swoje sympatie dla führera. Przed nimi mieliliśmy się na baczności.

W kącie modlił się stary Żyd. Szeptał pacierze cichutko, kołysał się monotonnie, tylko czasem wyrwał mu się z piersi krótki jęk. W drugim kącie niemiecki interbrygadzista opowiadał o swoich przeżyciach w Moor, opodal dwóch gości prowadziło rozmowę na tematy kulinarne. Jakiś sztywniak w dwurzędowym garniturze przechadzał się nerwowo po celi, zatrzymując się zawsze u drzwi, zastanawiając się, czy zapukać, czy też nie. Każdemu z osobna tłumaczył, że jest niewinny, i wśród tej hołoty znalazł się na skutek dziwnego nieporozumienia. Mówił to zawsze do swojego rozmówcy tonem, jakby właśnie jego wykluczał z tamtej zbieraniny. Wiedzieliśmy kim jest. Szabrował z tekstyliami.

Trzej Polacy ustawicznie coś do siebie szeptali. W rogu u samych drzwi leżała grupka Rosjan. Jakiś Duńczyk żalił się na swoją żonę, zdradza go.

Czekaliśmy na transport do jakiejś nieznanej nam niemieckiej mieściny, co nie byłoby najgorszym wyjściem z tej sytuacji. Znajdowali się wśród nas więźniowie, którzy skosztowali już gorszych rzeczy. Oprócz interbrygadzisty nikt nie mówił o swojej przeszłości. A może on nie był wcale interbrygadzistą? Miałem takie wrażenie, że starzy więźniowie unikają go. Może dlatego, że gadał?

Sterczeliśmy w celi już trzeci tydzień i co dzień nas było więcej. Zaduch w celi był okropny. Rano i wieczorem zaprowadzili nas do ubikacji, o myciu nie było mowy. Cela była zapaskudzona pluskwami, które, chociaż nie pozwalały mi spać, tolerowałem, ciesząc się na chwilę, kiedy zaatakują ospałego szabrownika, nieustępliwie perswadującego, że jest starym szturmowcem i Führer nie zostawi go w tym smrodzie. Wpakowali go do naszej celi dzisiaj rano, tak że prawdopodobnie z towarzystwem pluskiew spotyka się po raz pierwszy w życiu dzisiaj w nocy. Ach, pluskwy! Cośmy już z nimi przeżyli!

Pamiętam, jakie było moje przerażenie, kiedy po godzinnym swędzeniu i drapaniu, stwierdziłem po raz pierwszy, że łażą po mnie pluskwy. To było dawniej, w Münster, w podobnej celi jak ta. Obudziłem mojego sąsiada Niemca, ogłaszając mu hiobową wieść:

— Człowieku, tu są pluskwy! — Niemiec uśmiechnął się i odburknął:

— No i...

W drzwiach zachrobotał klucz. Ucichnęliśmy wszyscy, tylko karciarze nie zaprzestali gry. Może zabiorą nas już na transport?

Nie... To przyszedł tylko nowy. Stał w drzwiach z kołdrą pod pachą, rozglądając się ciekawie po celi... Był to młody chłopak, ubrany w czarny, elegancki garnitur, w białej, czystej koszuli, z muszką. — Znajdź sobie jakieś przyzwoite miejsce, Heini... powiedział na powitanie dobrodusznie stary dozorca. Przy słowie — Heini, karciarze przerwali grę. Porwali się z miejsc i witali serdecznie przybyłego. Witali go głośno i co może wydawać się dziwne, serdecznie.

— Heini, no coś takiego, Heini...!

— Heini, ty stary draniu!

— Ja to wiedziałem, że tą kasę mogłeś zrobić tylko ty? Heini!

— No to znów jesteśmy razem, Heini... to będzie wesoło...

Reszta więźniów przypatrywała się tej scenie w milczeniu. Jeden z karciarzy zbeształ mnie:

— Odwal się... tam będzie spał Heini...

Nie wróżyło to dla mnie nic dobrego. Jeśli nie uratuję swego materaca, będę spał na podłodze. Sytuację wyjaśnił sam Heini.

— Zostaw go. Damy dwa materace ku sobie i wyśpimy się wszyscy trzej. Zlustrował mnie ciekawym spojrzeniem.

— Polityczny?

Przytaknąłem.

— Wariaci jesteście... wszyscy. Co z tego macie?

Siadł na skraj mego materaca. Gdyby to nie było w takich okolicznościach, powiedział-



Scena Polska obchodziła w ubiegłym roku 10-lecie swego istnienia. „Sprytna wdówka", Goldoniego z Wandą Spinką w roli głównej cieszyła się bodajże największą popularnością w tym sezonie.

bym, że jest szczęśliwy znalazłszy się tutaj.

— Opowiadaj, opowiadaj, Heini — nagabywali karciarze.

— Cóż wam mam opowiadać, chłopcy? Było to wspaniałe.

— Przyłożą ci zaciemnienie?

— Pewnie, ale ubaw był nie z tej ziemi.

Oglądnąłem go dokładniej. Był chyba w moim wieku. Musiał to być włamywacz pierwszej klasy, kiedy z takim szacunkiem odnosili się do niego starzy kryminaliści. Był to przystojny, raczej sympatyczny chłopak, czarny, o bladej cerze. Miał piękne, widać że pielęgnowane ręce.

— Masz tytoń, Heini?

Złodziej przytaknął, rozpruwając płótno w podszewce. Na rozłożoną gazetę posypał się tytoń. Więźniowie zbili się w gromadkę, patrząc łakomie na pokaźną ilość tytoniu.

— Rozdzielić! Wszystkim równo!

— Nie bądź frajer, Heini... — zarzucał mu jeden z karciarzy.

— Nie bój się, mam jeszcze — powiedział klepiąc się po drugiej stronie podszewki.

Dziwiłem się, skąd ci recydywiści biorą tyle tytoniu. Zawsze mieli co palić. Prawda, są spryciarzami, znają wszelkie chody w kryminale, potrafią zorganizować tytoń w każdej sytuacji.

— Nawet politycznym? — pytał z nieukrywaną niechęcią karciarz.

— Nawet. Wszystkim. Dzisiaj mam urodziny.

Nie paliłem już od kilku dni. Szybko, łakomie sięgnąłem po swój przydział.

— Nawet ruskim, Heini?

— Powiedziałem, że wszystkim.

Karciarz szemrał, ale dzielił tytoń sprawiedliwie. Dostało się wszystkim. Większość więźniów włożyła tytoń do ust, papieru nie było a żuć można dłużej niż palić. Heini podał mi skrawek gazety.

— Zakręć mi, Heini... — ośmieliłem się.

— Ja nie potrafię...

— To nic, nauczysz się...

Cela po chwili była pełna dymu. Zaciągnąłem się z rozkoszą. Zapanowało łagodne, świąteczne cicho. Papieros, mój Boże, w pierwszych dniach więzienia ssałem palce lewej ręki. Poprosiłem dozorcę o niedopałek, który zamierzał wyrzucić. Zakręciło mi się w głowie z rozkoszy, zapomniałem o paskudnym świecie. Czasami udało mi się zdobyć niedopałek, ale były dni, kiedy nie można go było zdobyć nawet za kromkę chleba. Żeby dali choć raz tylko pociągnąć. Heini patrzał na mnie z jaką satysfakcją palę.

— Jeszcze będzie — zachęcał mnie — mam cały kilogram tytoniu...

— No to opowiadaj, Heini — zachęcał go jeden z karciarzy.

— Cóż tu można opowiadać, chłopcy. Zrobiłem tę kasę w Köln, było w niej przeszło dwieście tysięcy. No i przyszyli mi zaciemnienie. To wszystko.

— Miałeś drapnąć, Heini... — dodał jeden z karciarzy.

— Dokąd drapnąć? Miałem się ukrywać z dwustu tysiącami marek? Ci i tak wszystko zwęszą. Wiedzieli, że kasę zrobiłem ja, że to moja robota, poznali mój styl. Nie potrzebowali się zbytnio wysilać. Była to moja ostatnia kasa, ale warta była zachodu.

Opowiadał to takim tonem, jak by chodziło o łapanie much. Podziwiałem go, jak gra, jak umie grać naprawdę po mistrzowsku. Zaciemnienie to jest pewna śmierć, tam Niemcy nie robią wyjątków, a on pomimo swojego młodego wieku jest już recydywistą. Gewohnheitsverbrecher, takich likwidują nawet bez zaciemnienia. Jego kompanów to absolutnie nie wzruszało. Ma zaciemnienie, to niech ma.

— Czy warto było, Heini — wmieszałem się w rozmowę, ryzykując, że mnie zakrzykną. Kryminaliści nie znoszą mieszania się do ich spraw.

— Co?

— No... przecież... ile masz lat?

— A co, mam zdechnąć na froncie, albo w tej smrodlawej norze? Gdzieś w Rosji? Mam, bracie, oprócz zaciemnienia jeszcze siedemnaście paragrafów, z tego przynajmniej cztery gardłowe. Kodeks Dolfusia jest surowy i dokładny.

— Można go łamać w inny sposób, a nie wybraniem kasy.

— Wy jesteście śmieszni, ludkowie. Za poważni jesteście... I tak wszystko szlag trafi. Ja pierwszy, ty później. Ja przynajmniej, bratku, żyłem. Kiedy już nie chciałem ubrać munduru, to przynajmniej zczeznę z szumem.

— Nie trać czasu z takim gówniarzem a opowiadaj... — zagadnął jedno z moich dalszych pytań ktoś z Niemców.

— Co wam, opowiadać, chłopcy? Pożyłem sobie dwa tygodnie. Z córką generała. Lizzi się nazywała, no, taka rasa... Nabałamuciłem jej, że jestem w tajnej misji, że jestem na śladzie rozgałęzionej organizacji wywia-

dowczej. Z ręki jadła, Hitlermädlein. Przehulałem z nią w ciągu dwóch tygodni wszystko, to mieliście widzieć jej oczy, kiedy mnie w czasie kolacji wzięli! Sind Sie Heini Hermannski? Ach, ta była . . .

— A ciało miała potulne, Heini, ta cizia?

Więzień rozgadał się. Taka była i znała się na rzeczy, włóczyli się z miasta do miasta, sypiali w najbardziej luksusowych hotelach, jadali w jadalniach bez kart żywnościowych. Wreszcie zabrali również ją. Odgrażała się, że jest córką generała, że ojciec im dopiero pokaże, wszyscy pójdą na front . . . a tamci, głuptasi, śmiali się tylko, że niby takie gadanie znają . . .

— A była, Heini?

— Co?

— No, córką generała?

— Co ty myślisz, że mnie ktoś może nabrać. Tylko dla tego zabawiłem się z nią.

— No, to sobie myślę, że ci z Schuppo będą mieli po chlebie!

— A papa będzie boki obrywał z uciechy.

Zgasło światło. Heini opowiadał dalej. Nie było ładne to o czym opowiadał, ale czy w Niemczech jest coś ładnego? W takich Niemczech? Z kąta, w którym przez cały dzień szeptali Polacy, rozległa się cicha melodia. Wiedziałem, kto ją gwiżdże. Polak, którego przyprowadzili dziś rano. Złapali go z Niemką, z żoną żołnierza frontowego, a za to jest szubienica. Ktoś z jego kolegów, mówił, że jest pianistą. Być może, że był wirtuozem na fortepianie, w gwizdaniu był bezapelacyjnym mistrzem. Z wyczuciem, delikatnie, boleśnie rozlegały się tony Chopinowych nokturnów w smrodlawej, brudnej celi. Znikła różnica między fortepianem i gwizdaniem, pozostał tylko Chopin, czysty, absolutny. Więźniowie podnosili głowy, leżąc na materacach, słuchając dziwnego koncertu, rozlegającego się w więziennej nocy.

— Kto to gwiżdże? — zaszeptał obok mnie Heini.

— Polak, którego złapali z Niemką.

Heini coś grzebał w swojej marynarce!

— Masz . . . daj mu rano . . .

Dał mi pełną garść tytoniu.



Bronisław Firla: Szkic z Bratysławy, akwarela

— Daj mu sam.

— Nie. Od Niemca, to by nie było właściwe . . .

Nokturn za nokturnem dogasał w doskonałej interpretacji. Dawno już nie było w celi takiej ciszy.

— Co to gwiżdże?

— Chopina.

— To był Francuz?

— Nie. Polak.

Polak zamilkł. Po chwili zagwizdał jeszcze jednego walczyka a potem była cisza. Więźniowie zasypiali. Obok mnie leżał Heini. Czułem, jak drży. Płakał.

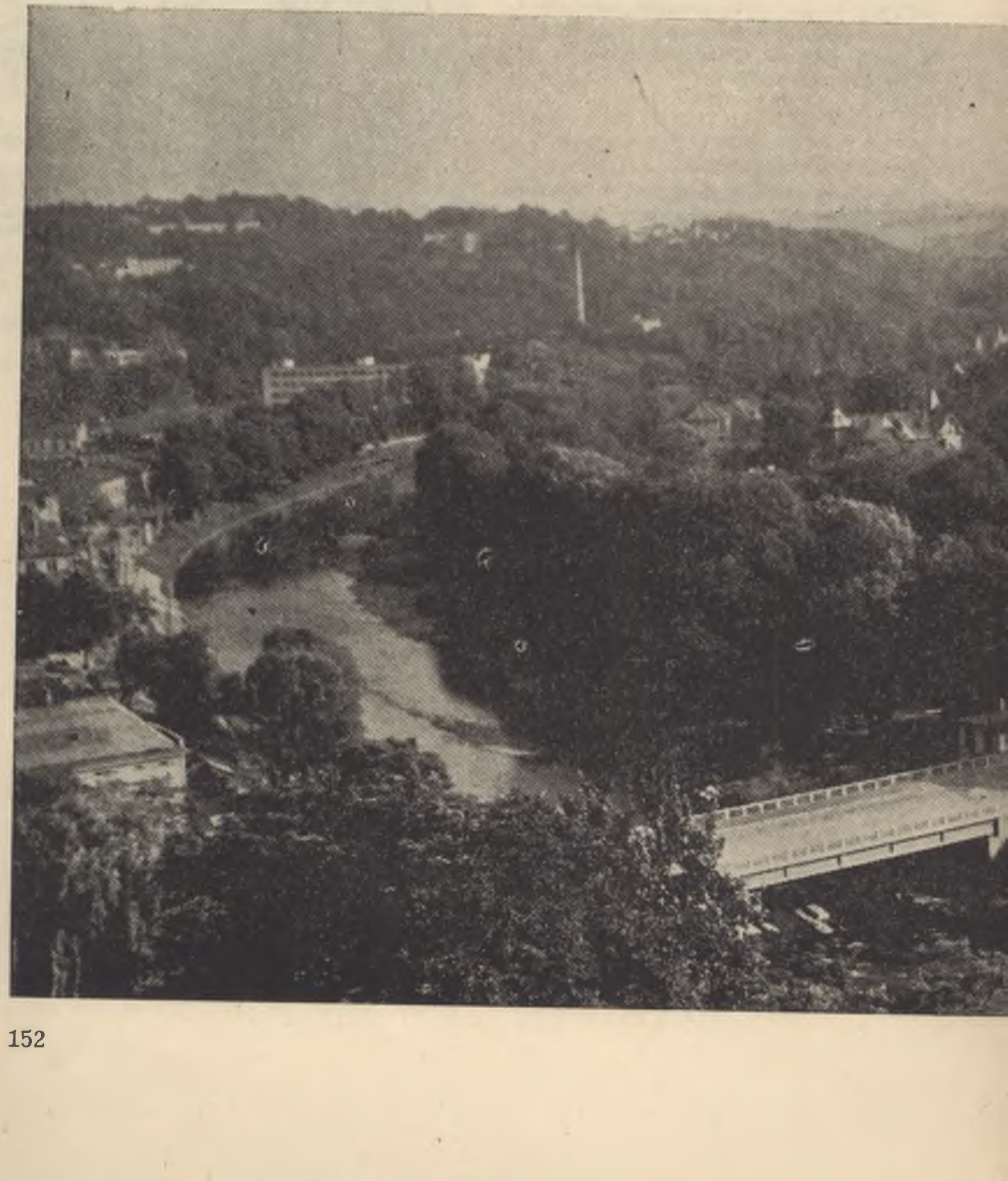
Nie mogłem w tej chwili uwierzyć, że jest Niemcem.

Przekład: HENRYK JASICZEK

Dochodzi trzecia, lecz ja spać nie mogę
Zamieć mętnieje, noc do świtu leci,
Ziemia obiega planetarną drogę...
Przeminie pięć i dziesięć tysiącleci,
I wiek daleki — myśmy go poznali
Z marzeń — zaszumi jak dziś zawieruchą.

W tej nawet myślom niedostępnej dali
Z wiatrem unosić się w przyszłości krajach
Ja chciałbym być choćby śnieżynką kruchą,
I choćby raz na tamto spojrzeć życie,
Puszynką śniegu nad topolą wzbić się
I na policzku dziecięcia roztajać.

STIEPAN SZCZIPACZOW
przekład M. Buczkówna



Zadziwoł sie Stożek

Zadrożny K

Zadziwoł sie Stożek,
na ciotke Girowe,
Że jest tako staro,
I mo łysą głowe.

Ręce mo czyrwóne,
A suknie zielóne,
Na szłapach mo Piosek,
A na grzbiecie losek.

W Olzie nogi moczy,
Na Szygłe sie dziwo,
Ciotce Kozubowej,
Z daleka już kiwo.

Skalitymu grozi,
A na Czorne gniwo,
Na Bukowiec pluje,
Że tak szpatnie śpiwo.

Łowce mo w koszorze,
Na paszunkach krowy,
W lasach pełno grzibów,
A w źródełkach wody.

Kiedy zima przidzie,
Hacką sie łodzieje,
Głowe zababulo,
Nogi w Łyskach grzeje.

Kiedy młodo była,
Wydać sie też chciała,
W jaskini pod szczytym,
Łondraszka bośkała.

Jak go Jurosz zabił,
Cały rok płakała,
I z wielkiego żalu,
Wdowóm se zóstała.

Dzisio już je staro,
Głupot sie ji nie chce,
I strasznie sie gniwo,
Jak ją wiater łechce.



Zdjęcie: Jaroslav Ryška

Most Przyjaźni z Wieży Piastowskiej w Cieszynie

Doroczny kalendarzowy kobiecy galimatias

Jak to szybko minął ten rok! Już znowu spotykamy się na szpaltach naszego kalendarza. Nawet wierzyć się nie chce, że to człowiek (a specjalnie my kobiety) znów o rok starszy. A ileż rzeczy zmieniło się u nas w rodzinach, u nas w pracy, u nas w kraju i w świecie. Wiele kobiet może z zadowoleniem podsumować ten rok: „Ten rok był dla mnie i moich najbliższych bardzo dobry, oby tak było zawsze!" Niektóre zaś miały więcej kłopotów z dzieckiem czy mężem, szefem lub mieszkaniem.

Z pewnością tych ostatnich będzie mało. Zreasumujcie tylko cały rok. Na pewno były różne chwile, ale te przyjemniejsze będą przeważały na szali życiowej. Czasem nawet rozwód z mężem-tyranem jest lepszy niż wygrana w loterii, bo kobieta powie: „Nareszcie mam prawdziwy spokój i stałam się człowiekiem normalnym." No cóż? tak już jest w życiu, nie składa się ono, niestety, z dróżki usłanej różami. Wszystkie naturalnie kobiety życzą sobie spokojnego zycia i zadowolenia. Wszystkie życzą sobie i swym dzieciom w dalszym życiu pokoju światowego. Wydarzenia polityczne na całym świecie interesowały wszystkie kobiety i nic też dziwnego, że śledziły wszystko co działo się na arenie międzynarodowej. W roku 1962 życzenia mogą być tylko jedne — wszystkich kobiet na całym świecie — POKÓJ, JUTRO bez broni jądrowej, PRZYSZŁOŚĆ bez wiecznego strachu wojen. Dlatego wszystkie będą i w tym roku —



1962 — robić co tylko w ich siłach, aby tak właśnie było. Będą pracowały na swych placówkach roboczych sumiennie, będą wychowywały swoje dzieci na dobrych i mądrych obywateli socjalistycznego państwa, będą aktywnie pracowały w organizacjach masowych i będą się solidaryzowały ze wszystkimi kobietami świata, które dążą do tego samego celu.

Niemniej jednak każda kobieta powinna myśleć o sobie — o swym wyglądzie zewnętrznym, o swym dokształcaniu, o tym, jak sobie ułatwić pracę domową i uprzyjemnić życie. I to jest słuszne, i tak powino być. Bo obok pracy kobieta musi mieć swoje rozrywki, książki, kino, teatr, telewizję, czasem kawiarnię, nie mówiąc już o urlopie, wycieczce czy jakimś hobby (np. kierowanie własnym samochodem). W dzisiejszych warunkach kobieta musi się i może się już dobrze ubierać, zawsze mieć ładną fryzurkę i czyste paznokcie. To wszystko należy do kultury. A cóż dopiero własne miłe i czyste mieszkanko z wszystkimi wygodami, ładnymi meblami i wartościowymi obrazami na ścianie.

W naszym kalendarzowym spotkaniu można by jeszcze pisać tysiące rzeczy. Opowiadać sobie o tym i owym, zwierzać się, planować, dzielić doświadczeniami czy też radzić, a jeszcze na pewno nie wszystko byśmy sobie powiedziały. Bo to wiadomo — my kobiety lubimy sobie czasem (niekiedy za długo nawet) pogawędzić. Jest taka anegdota na ten temat. Leżały sobie w szpitalu dwie kobiety. Zaprzyjaźniły się. Po miesiącu znały nawzajem doskonale swoje rodziny a kiedy wyszły równocześnie ze szpitala za sześć tygodni to jeszcze usiadły na ławeczce i dopowiadały niektóre historie. Wreszcie zdecydowały się pójść do domu, ale postanowiły się odwiedzać, aby jeszcze resztę opowiedzieć.

No cóż? takie już jesteśmy, nie wyłączając piszącej, która obawia się, że pisząc te słowa redakcja kalendarza przynajmniej połowę skreśli z tych kilku stronic maszynopisu. A może pozwoli się wygadać?

Aha, jeszcze jedno. Nie gniewajcie się drogie czytelniczki na mnie, jeśli w tym naszym kalendarzowym kąciku nie znajdziecie wszystkiego tego, czego szukacie. Ale wierzajcie — bardzo trudno wszystkim wygodzić. Mam jednak nadzieję, że każda jednak coś w tej mieszance znajdzie dla siebie. Niestety na temat mody tym razem nic nie piszę a to dlatego, że rękopis oddaje się już latem a do zimy daleko, kiedy właśnie kalendarz wychodzi. O zimowej modzie nie ma sensu pisać, bo w grudniu i styczniu już będziemy pod znakiem nowej linii dyktatorów mody na rok 1962. O modzie napiszę — jak zawsze zresztą — na łamach Głosu Ludu w naszym kąciku kobiecym.

RADY SPOD ZNAKU CYTRYNY

KILKA kropel cytryny czyści srebrne ostrza noży (spłukać i natychmiast wytrzeć), usuwa plamy rdzy na białej bieliźnie, potrafi wywabić plamy z herbaty na białym obrusie, nadaje połysk ciemnej skórzanej torebce, czyści bardzo brudną miedź, wybiela marmur przyżółcony przez ogień, usuwa plamy z atramentu.

NIEMOWLĘTOM podajemy sok z cytryny w pewnym rozcieńczeniu. Cytrynę należy starannie wymyć, sok przecedzić przez wyparzony muślin lub sitko. KREM cytrynowy robimy w następujący sposób: ucieramy 4 żółtka z 4 łyżkami cukru, dodajemy sok z 2 cytryn, skórkę cytrynową i ubitą pianę z białek. Wszystko lekko mieszamy i oziębiamy. Znakomity napój orzeźwiający powstaje ze szklanki zimnego, przegotowanego mleka zmieszanego z sokiem z jednej cytryny i cukrem pudrem.

SOK cytrynowy jest nie tylko aromatycznym dodatkiem do ciast i legumin, ale również dodajemy go zamiast octu do wszelkich potraw: zup, sosów, surówek, napojów zimnych i gorących.

SKÓRKA cytrynowa ma własności leczniczo-kosmetyczne. Każdą wyciśniętą cytrynę wkładamy do słoika i zalewamy ją letnią wodą. W efekcie otrzymamy płyn o miłym zapachu. Obmywamy nim spierzchnięte i popękane ręce, stosujemy przy tłustej cerze (ściąga pory), rozjaśniamy piegi i plamy. Jeśli po umyciu rąk natrzemy je wyciśniętą cytryną, znikną z nich wszelkie ślady po nikotynie, po obieraniu ziemniaków i jarzyn, plamy pozostawione przez soki i owoce.

Sok z jednej cytryny z jedną łyżeczką gliceryny to świetny płyn do rąk. Po kilkunastu dniach systematycznego używania — najbardziej zniszczone ręce będą miękkie i delikatne. Sok cytrynowy w połączeniu z wywarem rumianku stanowi świetny płyn do płukania włosów (zwłaszcza jasnych), które po tym zabiegu będą puszyste, lśniące i miękkie.

Jako środek leczniczy cytryna jest niezastąpiona przy przeziębieniach, gorączce, anginie, chrypce; dodana do herbaty, gorącej wody czy naparu z ziół wywołuje poty, łagodzi stany zapalne. Czarna kawa bez cukru z plasterkiem cytryny jest niezawodnym środkiem na ból głowy. Krwawienie dziąseł ustępuje pod wpływem nacierania ich kawałkiem cytryny.

Z tego wszystkiego wywnioskujemy, że cytryna należy do nielicznych owoców mających szerokie zastosowanie. Jest nie tylko bogatym źródłem witaminy C, do-

skonałym kosmetykiem, ale ma również własności lecznicze.

KOSMETYKA Z ZIÓŁ I OWOCÓW

Czegóż to kobieta nie zrobi dla swego piękna? Kupuje kremy i różne pachnące wody, chodzi do kosmetyki i fryzjera a tymczasem można też inaczej... prościutko i tanio.

Takie sobie ziółka, np. *rumianek*... Nie tylko dla niemowląt kupują go kobiety, ale i dla siebie. Napar z rumianku używany jest zamiast herbaty. Pomaga w trawieniu, wpływa dodatnio na cerę a okłady z rumianku usuwają czerwoność skóry i udelikatniają ją.

Bławatek polny — płatki lniane maczane w naparze tego kwiatu i stosowane jako okłady usuwają zmęczenie i czerwoność powiek.

Skrzyp — okłady z naparu skrzypu skutecznie leczą wągrowatość i ropienie skóry.

Bratki polne — (kwiaty) naparzane jak herbata i pite na czczo wpływają oczyszczająco na cerę.

Korzeń tataraka, pokrzywa, krwawnik — to znane zioła lecznicze, wzmacniające cebulki włosów i usuwające łupież.

Maseczki stosuje się u kosmetyczki. Można też samemu i to tanio. Z owoców. (Kto woli zjeść niech zje, kto woli piękność niechaj spróbuje!)

Kwaśne wiśnie — ich miazga, nałożona na twarz, uelastycznia zwiotczałą skórę.

Truskawki — rozgniecione na miazgę i nałożone na twarz w postaci maseczki — są doskonałym środkiem wydelikacenia cery normalnej.

Morele — usuwają podrażnienie skóry, wywołane nadmiarem słonecznych kąpieli.

Banany — miazga z tych owoców zapobiega łuszczeniu się skóry suchej, a skórze zaczerwienionej przywraca naturalny kolor.

Szpinak — sok wyciśnięty ze szpinaku nazywają Francuski „mlekiem wiosny". Działa leczniczo na skórę tłustą i wągrowatą.

Groszek zielony — sok zielonego groszku odżywia skórę anemiczną. Nawet *łupiny* z ziemniaków też są coś warte. Mogą służyć jako doskonały płyn na odświeżenie cery, jeżeli po umyciu wyciśniecie je przez ściereczkę a następnie umytą dobrze twarz skropicie tym sokiem z łupin i poczekacie aż twarz wyschnie. Po ponownym umyciu przekonacie się, że twarz wasza nabierze nadzwyczajnej świeżości i gładkości.



Drzeworyt Jaroslava Ruska

O KOLORACH
(niezmiernie ważne!)

Kolor jest bardzo ważny. Ważniejszy nawet od modelu sukienki. Ale nie tylko kolor sukienki i płaszcza jest tak ważny, bo trzeba też umieć zastosować kolor kredki do ust, pudru. Nawet jedno i drugie powinno harmonizować. A więc:

BRUNETKI o jasnej skórze, oczach niebieskich lub czarnych: puder jasny w kolorze pastelowym, nigdy ciemny lub w żółtym odcieniu. Pomadka w odcieniu różowym przy sukni popielatej, granatowej lub czerwonej, a czysto czerwona przy kolorach zgniłozielonych i zielono-niebieskich. Róż powinien mieć kolor szminki w jaśniejszym odcieniu

BRUNETKI ogniste o skórze ciemnooliwkowej, oczach brązowych: puder o odcieniu beżowozłotym. Pomadka — czysta czerwień lub odcień czerwonego maku. Róż nigdy tak ciemny jak pomadka. Najkorzystniejsze kolory ubrań: czerwone, ostrożółte, czystozielone, ciepłobrązowe, beżowe i musztardowo-zielone.

BLONDYNKI o srebrno-popielatych włosach, jasnej cerze i jasnych oczach używają niezbyt różowego pudru, starannie dobranego, aby cera zachowała jasną barwę, lub piaskowy, nadający odcień złocisty. Pomadka czysto różowa, ewentualnie czerwona. Róż w bladych odcieniach, dozowany bardzo ostrożnie. Korzystne kolory: granat, czerń, wszystkie odcienie niebieskiego oraz ciemno- i jasno-zielone.

BLONDYNKI o skórze i włosach barwy miodowej: puder cielisty, a przy opaleniźnie ciemny. Pomadka koralowo-czerwona do ubrania szarego, granatowego i czarnego, o odcieniu pomidorowym do brązu i zieleni. Róż różowo-złoty, użyty oszczędnie.

RUDOWŁOSE o odcieniu

Na plaży też trzeba się podobać



kasztanowym, oczach zielonych lub orzechowych, najlepiej jeśli używają pudru zbliżonego do beżowego, nigdy pomarańczowy. Pomadka najlepiej w odcieniu czystej czerwieni. Kolory ubrania kontrastowe: nikłą zieleń, bladoniebieski, stalowy. Przy różowej tkaninie pomadka w odcieniu brzoskwiniowym. Róż w kolorze szminki o ton jaśniejszy.

RUDOWŁOSE o odcieniu marchwi, mlecznej cerze, oczach niebieskich lub szarych: puder brzoskwiniowy lub kremowobeżowy. Pomadka pomarańczowo-czerwona. Róż bardzo jasny, jeśli twarz jest blada, jeśli zaś skóra ma żywą barwę lepiej zrezygnować z niego. Kolory pastelowo-zielone, oliwkowe, brązowe i dymnoszare.

SZATYNKI o bladej cerze: kolor pudru brzoskwiniowy w zimie, złotawy w lecie. Pomadka żywo czerwona, w lecie koralowa. Przy ubraniu pastelowym — w kolorze wiśni, do ciemnych zimowych okryć — rubinowoczerwona. Róż może być użyty śmielej i o mocniejszej barwie.

SZATYNKI o śniadej cerze: puder o odcieniu złocistym na beżowym podkładzie. Pomadka ciemnopąsowa przy ubiorze niebiesko-zielonym, czerwonym i ciemnoniebieskim, a koralowa przy strojach ceglastych, szarych, żółtych, oliwkowych i jaskrawobrązowych. Różu mało i w jasnym kolorze.

I jeszcze jedna rada: *Najlepiej to wszystko wypróbować* w wolnej chwili i pamiętać, że powyższe rady przewidziane są na okres karnawału, choć należy się i w życiu codziennym trzymać zasad o harmonii kolorów.

* * *

RADY PRAKTYCZNE

Przedmioty srebrne, np. papierośnice, bransolety, puderniczki, koperty starych zegarków, czyścimy papką z kredy i denaturatu lub papką z wody i popiołu z papierosa.

* * *

Korale można umyć w letnim roztworze płatków mydlanych. Po dokładnym osuszeniu zyskują na wyglądzie gdy przetrzemy je starą, skórkową rękawiczką.

* * *

Torby plastykowe myje się letnią wodą z mydłem. Trzeba jednak pamiętać, że klej jest wrażliwy na wodę i dlatego po umyciu należy torbę natychmiast wytrzeć do sucha.

* * *

Gdy przypadkiem wyleje się trochę tłuszczu na podłogę, należy to miejsce natychmiast zalać zimną wodą. Tłuszcz zastygnie i łatwo da się zeskrobać.

* * *

Żarówek nie należy zmywać wodą. Czyścimy je watą lub płóciennym gałgankiem zamoczonym w denaturacie i suszymy wycierając czystą ścierką.

* * *

Przygotowując owoce na kompot, obrane ze skórki czernieją, psując wrażenie świeżości potrawy. Jedynym sposobem, aby temu zapobiec jest skropienie obranych owoców sokiem cytrynowym.

* * *

Przygotowując ciasto do pieczenia męczymy się, ubijając pianę i ucierając żółtka. Tymczasem wystarczy włożyć naczynie, w którym ubijamy żółtka, do miski, z ciepłą wodą, a osiągniemy pożądany efekt w czasie o połowę krótszym.

* * *

W lecie, ludzie nie posiadający lodówek, mają sporo kłopotów z przechowywaniem artykułów żywnościowych. Wielu zastanawia się nad tym, w jaki sposób zabezpieczyć masło przed jełczeniem? Gospodynie włoskie utrzymują, iż wystarczy obraną marchew wsadzić w osełkę masła, a znacznie dłużej zachowa ono świeżość i przyjemny zapach.

* * *

NASZ KOBIECY GALIMATIAS

uzupełniamy jeszcze takimi oto drobnostkami:

Sprawa swetrów wełnianych i bluzeczek wełnianych jest ważna, zwłaszcza w naszym klimacie, gdzie to nawet latem nie warto wełny chować. Wełniane rzeczy pierzemy często i dlatego też nasz przemysł oferuje nam wiele środków do prania, o których nie trzeba wspominać, gdyż są znane i coraz to nowe pojawiają się na rynku, ale za to pamiętajmy, że swetry i bluzeczki wełniane pierzemy lekko je wygniatając w wodzie o temperaturze 32—36° C. Jeśli piana jest brudna należy przygotować następny roztwór. Płuczemy w kilku wodach o tej samej temperaturze. Do ostatniego płukania możemy dodać octu. Po upraniu zawijamy sweter w ręcznik i wygniatamy wodę a następnie rozkładamy na świeżym ręczniku nadając odpowiedni kształt.

Swetry z czystej wełny po zupełnym wyschnięciu prasujemy ciepłym żelazkiem przez wilgotną zaparzaczkę, swetry bawełniane i ze sztucznego włókna prasujemy lekko wilgotne po lewej stronie ciepłym żelazkiem. Swetrów puchatych nie prasujemy w ogóle, ale jeszcze lekko wilgotne przeczesujemy rzadkim grzebieniem. Gdy wyschną zupełnie, szczotkujemy pod włos miękką szczotką.

Rady zebrała i spisała

— JOLANTA —

Jest dumą i nadzieją naszego kraju →



Jan Bórec-Rosiński

ŚLEPIEC

Od chwili, w której straciłem oczy, nie wiem, co się dzieje ze światem. Mógłbym kupić aparat do patrzenia, ale obawiam się, że obrazy, jakich mi dostarczy będą wytworem nie mego mózgu, lecz myślącej maszyny skonstruowanej ręką innego człowieka. Zresztą, nawet nie wiem, czy takie aparaty już wynaleziono? Ale wiem, że będą wynalezione, widzę je wyobraźnią. Chodzę więc pogrążony w ciemności i tylko w marzeniach usiłuję wywołać wizję tych barw, które niegdyś oglądały moje oczy.

Nie wiem, po co karmię swe myśli nadzieją? Każdy ślepiec wiedzieć powinien, że jest wiecznie poddany ciemności. Nadzieja jest rozpaczą. Zuchwałą próbą oszukiwania siebie, że coś może się zmienić i niewidzące oczy pewnego dnia z mrocznej otchłani wyłonią na nowo światło, i barwy, i całą przedziwność życia. A może po prostu nadzieja jest światłem ślepców?

Jedno zawsze widzę: cudze łzy. Swoje czuję. Są duże, ciepłe, błyszczące. Wiem, że błyszczą bo zawsze nimi wycieka kawałek ludzkiej duszy. Kiedy biegną po policzkach, są mi szczególnie bliskie: czuję ich stąpanie, drobne milimetrowe kroczki, płacz. Łzy też płaczą. Jak człowiek. Boję się wtedy je rozetrzeć; zdaje mi się, że popełniam morderstwo na tych maleńkich kuleczkach wyciekających z miejsc, gdzie kiedyś mieszkały moje oczy. To wielkie szczęście, że człowiek może płakać. Śmiech, krzyk, śpiew — są pustką, dalszym niewidzeniem. Płacz jest prawie zawsze protestem, buntem, niezgodą na niedoskonałość świata. Może dlatego łzy są przyjacielem ślepców? Ślepiec swoje łzy nie tylko czuje, ale i widzi. Tam kiedyś były jego oczy, a w oczach jego świat. Świat odszedł lecz zostało serce. To serce roni łzy; dlatego są tak ciepłe i tyle w nich przyjaźni i żalu do świata, który pogrążył się w ciemności.

* * *

Niczego tak nie pragnę w życiu, jak ujrzeć znów. Pamiętam świat kiedy miałem jeszcze oczy. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że własny ogląd świata jest najważniejszą sprawą w życiu człowieka. Nie wiedziałem, że liść zielony jest zielonym dlatego, iż ja go widzę takim; że słońce jest białe lub czerwone dlatego, iż moje oczy nadają mu taką barwę; że oczy innego człowieka są nieprzyjazne lub złe dlatego, iż mój wzrok zaszczepił w nich to uczucie. Dzisiaj muszę świat oglądać za pomocą dotyku, słuchu, odczuwania, wyobraźni. Czasami zdaje mi się, że dotykając — poznaję twarz człowieka, kolor wody, połysk noża, krągłość jabłka. Widzę szelest gałęzi, rozpoznaję wielkość butów sąsiadki schodzącej codziennie drewnianymi schodami do miasta. Schody są czarne i czołgają się na ulicę; może też chcą spojrzeć na świat, wyrwać się z zamkniętego domu? Przed chwilą przejechał tamtędy tramwaj: jest czerwony, napchany ludźmi. Widzę nawet gęstość szyn i zdenerwowanie piasku, którym bawią się dzieci moich sąsiadów. Powietrze ma barwę słońca, a słońce jest podobne do oczu mojej matki.

Ktoś pomyślałby, że kłamie, albo fantazjuję. Nie przyszłoby im nawet na myśl, że ślepiec też może widzieć płacz dziecka, trzask łamanej gałęzi, łoskot huraganu, albo przesuwanie się horyzontu. Cóż jednak człowiek, który ma oczy, może wiedzieć o ślepcu!

Trzeba wielu lat, aby do świata ciemności naznosić barw, pokolorować go, uczynić go tak bogatym, iż oglądać go można całym sobą, każdą komórką i każdym drgnieniem. Tylko łzy znają wartość ludzkiego wzroku. Dlatego nawet wtedy, kiedy człowiekowi zabiera się oczy — zostają.

To dziwne, ale nieraz łatwiej mi porozumieć się z drzewem, niż z człowiekiem. Drzewo patrzy całym sobą. Jak ja. Człowiek posiada widzące oczy i najczęściej nimi rozmawia ze światem, zapominając o sercu. Reszta nie uczestniczy w oglądzie. Drzewo i ślepiec oczu nie mają i dlatego patrzą sobą. Dotykam — i ręką widzę drzewo, stopą kamień, palcami ciszę. Wstępując w rzekę, wspinam się na wzgórze, kładę się na ziemi i przenikam je do końca. Nawet powietrze posiada dla mnie barwę, muzyka kolory, a milczenie kwiecistość ogrodów. Podobnie jak krzywda ma głos, serce oczy, a sumienie sprawiedliwość. Zresztą, świat mój nie umarł. Noszę go w sobie. Będzie miał taką doskonałość, jaką obdzielę go w ciągu mojego życia. Nie litujcie się więc nade mną, i w mroku można pozostać człowiekiem.

Od tej pory, w której pojąłem to, przestałem być ślepcem. Widzę.

JAN BÓREC-ROSIŃSKI

LESZEK MECH

Wiosna w Beskidach

posłuchaj
żono
cietrzewie smreków
tokują
zielone gody wiosny
a może
świętują maj urodzin naszej córki
o świcie wilgotnym
jak nos wilczura
dotykający
sennej twarzy wędrowca
z rozczochranych Beskidów
spływają
potoki szumu

posłuchaj
żono
jelenie
biorą na rogi
skrzypce powietrza
i potrącają gałązkami
struny
pod pałeczkami kopyt
bębni
ziemia

a echo
jak mroczna sień
prowadzi melodię
białowłosy gazda
z twarzą
przypominającą
wnętrza jaskiń
opowiadał mi
o wiośnie
że przypłynie
na białych tratwach owiec
widziałem
jak drzewa
przestępują
z nogi na nogę
jak źdźbło
niczym mysz
szeleści srebrną ścieżynką
ku nam
i zbiera okruszki słów
jak lis kitajec
podsłuchuje
podsłuchuje
do pnia przyłożywszy
liść łopianu
zwinięty w rurkę

KVĚTA ŠKUTCHANOVÁ

SZKIC

Jaki sens tej sprawy?

Miłość. I życie. I sens życia.

Nazywał ją — powiedzmy Pen — od imienia dajmy na to — Pawełka.

Kiedy tych dwoje się rozeszło — jak należało — nie pozostali sobie jednak obcy. Nie nazywali tego ani „na zawsze", ani rozłąką. Po prostu nie byli sobie obcy.

Rozumiesz to.

Takie sprawy są niewymowne; na papierze je także nie znajdziesz. Los chciał, że się mieli jeszcze zobaczyć. Umówili się na rendez-vous. W obcym, nieznanym Pen mieście. Nikt z nich nie mówił „po raz ostatni", chociaż oboje zdawali sobie sprawę z tego, że to wszystko nie ma sensu i że rzeki ich życia nigdy nie popłyną w jednym korycie.

I teraz owa podróż. Pen śniła na jawie. Sen zawierał owych kilka godzin, które spędzą razem. I nic więcej. Pen wiedziała dokładnie jak będzie wyglądała każda chwila. Spotkanie na dworcu, tajny spacer przez miasto, cisza postronnych ulic, kącik z czarną kawą, zwyczajna kolacja, potem orkiestra i dansing. I muzyka dla niej, dla Pen. A co najważniejsze, ani słowem o przeszłości. O przyszłości także nic. Po prostu teraźniejszość. I tych kilka wspólnych chwil. Potem droga przez śpiące miasto, za plecy podmiejskich ogrodów, około rzeki, sami. — A następnie pożegnanie, szybkie, jak gdyby na godzinę, a w rzeczywistości na całe życie.

To wszystko zaprząta wyobraźnię Pen, gdy jedzie pociągiem.

I jeszcze tylko to, że kiedy Pen wysiadła z pociągu w owym obcym mieście, sen prysł. I przez kilka chwil tak, jak gdyby nie miało dojść do spotkania. Pen przechodzi przez perony dręczona pytaniem, dokąd się obecnie uda. Przed dworcem stoi troleybus. Połączenie z miastem. Pen zastanawia się, czy pojedzie. Chwila rozterki na schodach hallu dworcowego. I znowu kontrast dla Pen — olbrzymie wejście do budynku dworcowego i widok na nieznane miasto. W tej chwili roztargnienia — za falą ludzi zdążających do troleybusu — znajoma twarz Jana. Do tego spotkania już raz doszło — w wyobraźni Pen podczas podróży. I następuje wznowienie filmu, tylko scenariusz jest inny, konkretny: czarna kawa w restauracji dworcowej — będzie chodziło o wysondowanie humoru — skrzypcowe melodie wokół tych dwóch i obojętne środowisko. Nawet grupa jakichś fotoreporterów się tu znalazła; chodzi o restaurację, która niedawno została otwarta. Uwaga fotoreporterów skupi się wokół stoliku, przy którym siedzi Pen z Janem. Struny drgają. Jan musi odejść. Jest jeszcze służbowo zajęty. Pen obejrzy sobie miasto i wieczorem się spotkają.

Ten kawałek drogi od dworca jest identyczny z tym, który śnił się Pen w pociągu. Potem jednak drogi rozwidlają się, tak samo zresztą jak rozwidla się wyobraźnia z rzeczywistością.

Pen błądzi po mieście. Zaczyna padać deszcz. Przemoknięta odnajduje wreszcie kawiarnię, gdzie spotkać się ma z Janem.

Ale jest jeszcze za wcześnie.

Udaje się więc znowu do miasta. Przemoknięta, zmęczona natrafia na uliczną rozmównicę telefoniczną. Dzwoni, aby przyśpieszyć spotkanie, aby skrócić drogę do Jana.



Franciszek Świder: las

W ten sposób spotykają się ponownie.

I znowu ów kontrast między snem a rzeczywistością.

Zmęczonym uśmiechem wita Jana, tak samo przemokniętego.

Potem kolacja. I teraz znowu mknie sen; — sytuacja jak w rzeczywistości, zmiany mają naturalnie tylko cechy zewnętrzne (Pen ma wyprostowane od deszczu włosy, Jan nie ma wieczorowego ubrania, jest tylko w wiatrówce i bez krawatu).

Po kolacji zmienia się środowisko — nadchodzi wieczór z kwiatami i dansingiem.

Drobny szczegół. Pen nie ma noclegu. Ale nikt nie podnosi się, by dzwonić do hotelu. Pen przypomina o tym.

— Musimy zadzwonić.

— Tak — musimy.

Lecz nikt nie dzwoni.

Pen zaproponuje, że odjedzie jeszcze nocnym pociągiem. Kończy się jednak tylko na krótkiej wizycie u Jana. Droga do niego, mała czarna kawa i droga z powrotem.

Wychodzą z winiarni. Pen odnosi sobie kwiaty i muzykę.

Idą śpiącym miastem; Jan mieszka w prowizorium, za miastem, na boisku sportowym, w lokalu sportowym. Zbliżają się do toru, szlaban jest opuszczony, czekają aż pociąg przejedzie, później zbaczają z drogi i idą postronną dróżką. Długo idą. Myślą o tym, że Pen odjedzie za godzinę. Nie wolno im się długo zatrzymywać.

Pokój jest mały, przytulny. Pen czuje się w nim dobrze.

Siedzą przy czarnej kawie. Jan opowiada o tym, jak trzeba uporządkować boisko, by mogło być wykorzystane, o tym, że korty są zaniedbane. Pociąg Pen odjeżdża za trzy kwadranse. Kawa jeszcze nie wypita. Jan opowiada o swej gospodarce. Pociąg Pen odjeżdża za pół godziny.

Pen nie pojechała.

Kiedy rano wychodzili, wszystko dokoła gwałtownie upominało się o życie. Kwiaty i zieleń.

Pen odczuwała radość i smutek. Nie nazywali tego ani „po raz ostatni" ani „na pożegnanie". A właściwie wszystko było przeszłością.

I potem jeszcze pożegnanie. Tego właściwie nie było. Wysiedli na jednym przystanku z troleybusu. Jan do pracy, Pen do pociągu. Pen nie miała od razu połączenia. Wróciła jeszcze do miasta.

Może się jeszcze spotkamy.

Spotkali się. Spieszył się z jakimś zamówieniem do urzędu.

Tą drogą będę wracał za kwadrans. Jeśli tu jeszcze będziesz, zobaczymy się.

I tak był to czczy przypadek, że w ogóle się jeszcze widzieli. Jan powinien wyjechać zaraz z rana w teren. Samochód nie „był na chodzie", tak więc skorzystał z wolnego czasu, by załatwić ową sprawę w urzędzie. Za kwadrans rzeczywiście jeszcze raz się spotkali. Lecz w tym momencie zatrzymał się przy krawężniku samochód. Wzywano Jana, że już czas wyjechać w teren, że czekają na niego. Nie miało sensu wymieniać zwrotu „niech ci się dobrze powodzi", bo zrobili tak już co najmniej trzy razy.

Rozeszli się — każde w swoją stronę. Jan śpieszył do zakładu, Pen powoli przechodziła ulicę; na przystanek trolejbusowy.

Dworzec — pociąg. Zamierzała spojrzeniem pożegnać się z parkiem, w którym znajdowało się boisko sportowe Jana. Niestety — widok z okna zasłonił jakiś żołnierz, układający swój bagaż na półce.

Przełożył z czeskiego:
Władysław Czaja

CZYJA WINA?

ADAM WAWROSZ

— Każ tyn snopel siedzi telki czasy? Dziecka już downo szły ze szkoły, a tego jak nima tak nima — westchnęła młodo Turóńka do chłopa, kiery przed chwilóm prziszeł z roboty.

— Każ by był, isto po szkole hóncfut — ciepnył opryskliwie Turoń.

— Ej, ty też dycki widzisz wszystko czorne na tym synkowi. Boroczek gdyby nie jo, nie wiym jakobyś go wychowoł — i tak z powodu Karliczka zaczyli sie obo ujodać. On ji przedciepowoł, że synka pieści i wszystko mu pozwaluje, ona zaś, że jeździ po chłapcu jak po psie i fórt brąbluje po nim. Cało burza wojynno skończyła się jednak kiedy odewrziły sie dwiyrze i Karliczek stanął w nich ubożuchny i pozdrowił tak jako ich w szkole uczóm: Cześć pracy!

Ojciec podziwoł sie na synka spod czoła i zaczón spowiydź.

— Kaj żeś siedzioł telki czasy, hę?

— Jo był, jo był — nieśmiało stękał Karliczek — jo był, my byli z towarzyszkóm nauczycielkóm w spółdzielni stonki zimiaczanne zbiyrać — jednym tchym wysuł ze siebie.

— Widzisz, widzisz — zaczyna Turóńka dodziubować chłopa. — Chciołeś z chłapca bisage zrobić, że po szkole siedzi, a on chudzioczek musioł chroboki zbiyrać.

— Turoń nie prawił nic jyny pore zmarszczek przibyło mu na czole. Wszystko by sie po cichu skończyło, gdyby nie Biedrawka, kiero na śćmiywku wpadła do nich Kołdrowej książki kucharskij pojczać. Biedrawka miała kupe dziecek a jedno z nich chodziło akurat do trzecij klasy z Karolkym.

— A prziznoł sie wóm Karliczek, co wymarasił dzisio w klasie, że musioł być po szkole — zaczyna Biedrawka swój sąd nad chłopcym.

— Po szkole? — Zdziwióny Turóń strzelił oczami po chłapcu, kiery sie skyrczył w kącie. — Na cóż wymamlasił?

— Hi, hi, hi, — zaczła sie baba chlachónieć. — Na tóż nic strasznego, jako chłapczysko. Ofuknył rechtorke grochym ze szlajdry prosto po karku, kiedy pisała iloraz na tablicy.

— Toć gizd safraporcki. Jo to zaroz poznoł, jak nieskoro prziszeł, że nimo czystego sumiynio, ale mama ta se nie dała nic powiedzieć. No my se ale jeszcze społym pomówiymy.

— Cóż tam bejecie sie jargać, sąsiedzie. Dziecka jako dziecka — zaczyna udobruchać chłopa, potym wziyna książke i jak para wytraciła sie z izby.

U Turóniów zaczón sądny dziyń. — Cóż ty giździe bejesz tate kminił, żeś chroboki zbiyroł, kiedyś siedzioł po szkole — wyjechoł na niego ojciec i odpinoł przi galatach posek.

Turóńka stanyła przed chłopym jak jastrząb, kiery chce bronić swoi gniozdo.

— Rączy nie warcz po tym synkowi i niechej se posek przi galatach. Gdo wiy, jaki to tam było.

— Mie nie idzie o to, jaki to tam było, ale o to, czymu cygani. A to jo synkowi nie darujym. Jo chcym wychować z niego porządnego człowieka a nie chachara. Tak póć, synku, hew i pokoż tóm szlaidre. — Zaczón chłop już spokojni.

— Jo żodnej szlajdry nimóm — zabruczoł pod nosym Karolek.

— Co to mówisz?! — ryknął tata.

— Tak abyś wiedzioł. Jo nigdy żodnej szlajdry nimioł. Przecyż mie znosz i wiysz, że nie cyganiym — upierał się synalek.

— Widzisz, nie prawiłach ci, że synek je niewinny. Ale ty dycki musisz po nim gajdować.

Turoń wyciągnął chłapcu z kapsy szlajdre i styrczył ją babie pod nos.

— A to co je?

— Kaj mi sie tam wziyna — z bekym wystękoł chłapiec. — To chłapcy mi jóm tam musieli dać — cyganił dali.

— Jo ci dóm chłapców, jak cie odziejym tym binkoszym, gałganie stomilijóński, — porwoł sie Turóń rozpajedzóny na synka.

— Ty go chcesz bić, zbuju! Po moim trupie! — zapiszczała Turóńka.

— Stroć sie babo, bo obo dostaniecie. Ty wiysz, że jak mie ta szewiecko porwie, to svmnóm nima żodnych szpasów.

— Ale stary, hamuj sie, przeca — zaczyna matka upytować. — Synka jo se sama wychowiym dobrym słowym i to bez poska.

— Jo widzym jak wyglądo to twoji wychowani. — Stoji tu taki niewinny jak kurze a cygani, aż sie za nim kurzi.

Z życia owadów

Bajka

Pchła zatęskniła za mieszkaniem w ślimaczej skorupie. Gdyby żyła wtedy, gdy nieboszczyk Ezop pisał swoje bajki, na pewno zwróciłaby się ze swoją prośbą do wszechmocnego Jowisza, ponieważ żyła w czasach dziesiejszych, zwróciła się z zaufaniem do chrabąszcza, który był przewodniczącym komisji mieszkaniowej.

— Witaj, przyjaciółko! — przywitał ją chrabąszcz grzecznie. — Cóż nam przynosisz pięknego i dobrego?

— Ach, drobnostka! — uśmiechnęła się pchła. — Dla takiego wybitnego urzędnika to będzie prawdziwa zabawka. Przydziel mi, proszę cię bardzo, mieszkanie ślimaka!

— Mieszkanie ślimaka? — zadziwił się chrabąszcz. — Przecież tego nie można uczynić! Ślimak ma na nie prawny przydział.

— Nie można? — obraziła się pchła. — Ładnym jesteś przyjacielem, jeśli nie chcesz zrobić mi nawet takiej drobnostki! A czy ty wiesz w ogóle, za kim się ujmujesz? Przecież ślimak roztrąbił o tobie wszędzie, że jesteś pijak i bierzesz łapówki.

— Co? — zerwał się chrabąszcz. — Co? Ten łajdak? Ja mu pokażę, kto jest przewodniczącym komisji mieszkaniowej! Głupiec! Rozwala się w obszernym mieszkaniu, którego przydział załatwiłem mu za mizernych dziesięć listków akacjowych i to jest podziękowanie!

— Więc co, przydzielisz mi? — podjudzała go pchła.

— Przydzielę, oczywiście, że przydzielę! — krzyczał gniewnie chrabąszcz i już nawet przygotował druki na nakaz kwa-

---

Powiydz mi, stworo, co z niego beje? Łata spolóno, wiysz! A gdo go nauczył cyganić, jo czy ty?

— Powiydz, że jo — z płaczym zajowejczała baba.

— Tak gdo cie snoplu uczy cyganić? — obrócił sie do synka.

— Synek chlipnył pore razy na nosie, a kiedy widzioł, że ojciec dzierży posek, zaczón nieśmiało: — Mama.

— Co, ty gałganie, ty też przeciw swoji matce chcesz mówić? Kiedych cyganiła, kiedy?

— Wczora! — mówi już śmieli synek, utrził se bańke pod nosym i zaczón:

— Wczora, kiedy taty nie było przriszeł tu do nas pan Kuźniorz, to mi mama dała koróne cobych szeł do kina a jak by sie mie tata co pytoł, cobych powiedzioł, że tu nie był żodyn. Jak wieczór przriszeł tata i czuł tabake, to sie pytoł mamy, gdo tu był, a tyś prawiła, że starzik Łotręba. Czy nie cyganiła? Ona może a jo ni — rozbeczoł sie synek żałośnie.

Turóńka zbladła jak ściana i porwała warzeche, kieróm ji chłop wytargoł z ręki. Za prowde mi synka walić nie bejesz. Takoś je? Tako? Teraz wylazło szydło z miecha, gdo synka psuje? Wypierym cie z chałupy! — szarpoł sie aż mu piana z gęby fyrszczała.

— A tyś je inakszy? Powiydz, żeś je święty! Musiała bych nie znać twoich kąsków. — Tóż co, Karliczku, tata nigdy nie cygani, prowda? Dycki mówi prowde, co?

— Tata też cygani — poważnie powiedzioł Karliczek.

— Tak to słyszysz!

— Co? Jo cie uczym cyganić?! Ty chcesz naprowde ode mnie oberwać! Kiedych cyganił, kiedy?

— Chłapiec poszkroboł sie za uchym, przricis sie ku mamie i zaczón:

— Tata wczora mówił, że idzie na zgrómadzyni i że przridzie nieskoro w nocy, a jo widzioł z trześnie, jak na niego pod parkym czakała jakosi paniczka i za rynce sie dzierżeli.

Turóńka szasła sebóm na kanape i zymdlała.

— Widzisz, synku, coś narobił? — wyszeptoł zdesperowanym głosem Turóń i posłoł synka do izbeczki, sóm zaś chycił sie ratowanio swoji baby.

terunkowy. — Tylko... Hm, a dokąd przydzielić ślimaka?

— Przydziel mu na przykład mieszkanie pająka — doradziła szybko pchła.

— To można by zrobić! — ucieszył się chrabąszcz i już umoczył pióro w kałamarzu. — Ale... Zapomniałem na śmierć! A dokąd dam pająka?

— Pająka? Drobnostka! — machnęła macką pchła. — Przenieś go do dziury świerszcza.

— Do świerszcza? — zamyślił się chrabąszcz. — Wspaniale! Ale, gdzie podziać świerszcza?

— Świerszcza? — krzyknęła niecierpliwie pchła. — Ten może przecież mieszkać w moim dotychczasowym mieszkaniu!

— W porządku! — zgodził się chrabąszcz i podpisał nakaz kwaterunkowy. — A więc jakim jestem przyjacielem?!

— Znakomity! Wspaniały! — poklepała go pchła po ramieniu. — Odwdzięczę ci się za to, postaraj się tylko, żeby ślimak jak najprędzej opróżnił mieszkanie.

— To natychmiast zarządzę — przyrzekł chrabąszcz i napisał do ślimaka urzędowe pismo, że dobro publiczne wymaga, aby ślimak w przeciągu tygodnia opróżnił swoje obszerne mieszkanie i przeniósł się do pająka. Gdy tego nie uczyni, zostanie wyeksmitowany na własny koszt i odpowiedzialność. Potem chrabąszcz napisał pisma podobnej treści do pająka i do świerszcza.

Pierwszy zareagował ślimak. Był to starszy nerwowy obywatel, dlatego nie trzeba się dziwić, że już od progu krzyczał:

— Skandal! Ale ja tego płazem nie puszczę! Złożę zażalenie dalej! Aż do najwyższej instancji!!! Rozumiecie?

— Dlaczego tak się denerwujecie? — uśmiechnął się chrabąszcz. — Przecież nikt nie wyrzuca was na ulicę! Przydzieliliśmy wam odpowiednie mieszkanie zastępcze.

Bolesław Lubosz

ZJAZD DO KOPALNI

Zamykają się źródła.
Wysychają słońca.
Potoki gderliwie
rozpadają się
we dwoje.
Las w popłochu
za siódmą górę.
Słychać otwieranie ziemi.
Skrzypi ciemność,
która w bezlitosnym pędzie.
Ta ciemność
tak samo żywa
jak ogłuszony śpiew
w kamiennej paproci
przybyła po górniczy
uśmiech.

*

— Odpowiednie? To ma być odpowiednie mieszkanie? — zawył ślimak, a rożki mu się zjeżyły. — Mieszkanie? Sieć jak dla cyrkowca! Kto widział, żeby porządny ślimak mieszkał w pajęczynie? Czym będę się żywił? Czy sądzicie, że będę chwytał jarzyny w pajęczynę tak jak pająk muchy? Poza tym ja cierpię na zawroty głowy i nie mogę mieszkać tak wysoko! A zresztą ja swojego domku nie mogę opuścić, bo jestem do niego przyrośnięty!

— My was oddzielimy od niego! — buchnął pięścią w biurko chrabąszcz.

— Jesteście elementem antypaństwowym, my wam pokażemy co znaczy stawiać opór i przeszkody komisji mieszkaniowej! Albo przeniesiecie się dobrowolnie, albo wyrzucimy was, choćbyście mieli na grzbiecie przyrośnięty nie domek, ale nawet cały hotel!

— A wy czego tu chcecie? — zwrócił się do pająka, który akurat otworzył drzwi.

— Mam przenieść się do mieszkania świerszcza — zaczął pająk ostrożnie.

— No i? Nie podoba się wam? — zmiażdżył go chrabąszcz.

— Weźcie pod uwagę, od wielu generacji mieszkamy na gałęziach w pajęczynie, a wy mnie od razu tak lekkomyślnie wypędzacie! — bronił się pająk. — Przecież to jest wbrew prawu! Żądam wysłania komisji zdrowia, budowlanej i pożarowej!

— Co? Bezprawie? — przedrzeźnił go chrabąszcz. — Komisję zdrowia? A jeszcze czegobyście chcieli? Jeśli postanowiliśmy w komisji mieszkaniowej po dokładnym rozpatrzeniu, że będziecie mieszkać w mieszkaniu świerszcza, to będziecie i basta!

— Ale . . . — starał się bronić pająk.

— Ani słowa! — zabębnił pięścią w biurko chrabąszcz — bo każę was zamknąć, typie zakazany! Myślicie, że nie wiemy kim jesteście? Piękna rodzinka! Widzicie go, znalazł sobie bezprawie! Bezczelny owad!

Świerszcz, który słyszał rozmowę z pająkiem, był już ostrożniejszy. Zaczął dyplomatycznie:

— Szanowna komisjo, wiem, że czuwacie nad zdrowiem i hygienicznym zamieszkaniem wszystkich owadów. Ale . . .

— Jakie „ale?“ — zaperzył się chrabąszcz. — Co wam się nie podoba?

— Szanowna komisja mieszkaniowa raczyła mi przydzielić mieszkanie na lewym udzie foxteriera, zwanego Bonzo — zaczął płaczliwie świerszcz.

— I co z tego? — zdziwił się chrabąszcz. — Przeniesiecie się tam i wszystko w porządku!

— Przepraszam, szanowna komisjo, to jest niemożliwe! — zaszlochał świerszcz. — Jak ja mam utrzymać się na udzie foxteriera i ćwierkać? A jak w ogóle będę mógł dopędzać swoje własne mieszkanie, które jest ruchome? W każdej chwili ucieknie mi żona z innym świerszczem, a w dodatku będę musiał doganiać ciągle mieszkanie na lewym udzie foxteriera, zwanego Bonzo. Kiedy będę mógł rozwijać działalność artystyczną? A oprócz tego biegać nie mogę, bo mam płaskie nogi i . . .

— Jeśli komisja mieszkaniowa zdecydowała, że najdogodniejsze mieszkanie dla was jest na lewym udzie foxteriera Bonza — podniósł uroczyście głos chrabąszcz — to w ciągu tygodnia przenieście się bezwarunkowo na wspomniane lewe udo!

Dopiero po tygodniu się zaczęło. Gdy ślimak mimo wielu prób nie mógł oddzielić się od swojego domku, chrabąszcz wysłał na eksmisję oddział mrówek. Mrówki załatwiły sprawę szybko i dobrze, a przy tym niemal nic nie uszkodziły, złamały tylko ślimakowi jeden rożek i obdarły mu skórę z grzbietu i trochę pod grzbietem. Potem wyniosły go na pajęczynę, z której akurat inny oddział przenosił pająka do świerszcza. Gdy świerszcz zobaczył, co go czeka, wybiegł z mieszkania dobrowolnie i skoczył na lewe udo foxteriera, gdzie miał przydzielone mieszkanie. Pies zawarczał i odgryzł mu skrzydło, tak że świerszcza zaraz odniesiono do szpitala. Z tego powodu miał na dłuższy czas zapewnione wygodne mieszkanie.

Tak spełnił się sen pchły. Uroczyście przeniosła się do ślimaczej skorupki, ale nie mieszkała w niej długo. Było tam pełno śluzu, który pozostał po ślimaku, ale najważniejsze, nie miała w niej co jeść.

Pchła wybrała się do chrabąszcza, żeby przydzielił jej z powrotem stare mieszkanie na udzie foxteriera.

— Co? — zawołał chrabąszcz przestraszony. — Ty chcesz wrócić do swego starego mieszkania? Po co więc zrobiliśmy tyle przeniesień?

— Tego nie wiem! — wzruszyła obojętnie ramionami pchła. — Przecież jesteś przewodniczącym komisji mieszkaniowej, musisz więc wiedzieć, co robisz?

Przełożył ze słowackiego Fr. Swarzyca

Choinka Mitricza

I

Była wigilia świąt Bożego Narodzenia.

Stróż baraku przesiedleńczego, emerytowany żołnierz z szarą jak mysia sierść brodą, imieniem Siemion Dmitrijewicz albo po prostu Mitricz podszedł do żony i zagadnął wesoło pykając z fajeczki: — Wiesz, kobieto, co obmyśliłem!

Agrafiena nie miała czasu; z zawiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem krzątała się po kuchni, przygotowując się do świąt. — Słyszysz, kobieto — powtórzył Mitricz — mówię ci, jaki kawał wymyśliłem!

— Zamiast wymyślać byle co, wziąłbyś miotełkę i zdjął tam oto pajęczynę! — odpowiedziała żona, wskazując na kątek. — Widzisz, pająki się rozmnożyły. Poszedłbyś i obmiótł ją!

Mitricz nie przestawając się uśmiechać, popatrzył na sufit, gdzie pokazywała Agrafiena i wesoło powiedział:

— Pajęczyna nie ucieknie, zmiotę ją . . . A ty posłuchaj, kobieto, co ja wymyśliłem!

— No?

— Ja ci dam no! Posłuchaj!

Mitricz puścił z fajki kłąb dymu i gładząc brodę przysiadł na ławce.

— Mówię ci, kobieto, oto co . . . — zaczął dziarsko, ale natychmiast zająkał się. — Mówię, święta się zbliżają. Święta dla wszystkich, wszyscy się z nich radują . . . Prawda, kobieto?

— No?

— No, mówię więc: wszyscy przecież się cieszą, każdy ma swoje przyjemności: ktoś kupuje nowe ubranie, inni urządzają godne przyjęcia . . . Ty, na przykład, sprzątasz pokój żeby był czysty, ja także będę miał swoje przyjemności: kupię sobie winka i kiełbaski. Każdy będzie miał swoje przyjemności — prawda?

— Więc co z tego? — obojętnie powiedziała starucha.

— A to — westchnął znowu Mitricz — że dla wszystkich będą święta jak święta, a tymczasem dzieciom tak wygląda, że nie będą miały prawdziwych świąt . . . Zrozumiałaś? . . . Niby to będą święta, ale żadnych przyjemności nie będzie. Patrzę na nie i myślę — ech, myślę, słusznie! Wiadomo, sieroty . . . ani matki, ani ojca, ani rodziny . . . Myślę sobie, kobieto: nie dobrze jest! Dlaczego to tak się dzieje, że każdy człowiek ma radość i przyjemność, a sierota — nic?

— Ciebie, widać, nie przesłucham! — machnęła ręką Agrafiena i zaczęła myć ławki.

Ale Mitricz nie zamilkł:

— Oto co, kobieto, umyśliłem — mówił Mitricz uśmiechając się: — trzeba dzieciaki pocieszyć! Dlatego, że widziałem wiele ludzi, różnych ludzi widziałem . . . I widziałem, jak oni zabawiają dzieci na święta. Przyniosą im choinkę, ubiorą ją świeczkami i podarkami, a dzieci aż skaczą z radości! . . . Myślę sobie, kobieto: las jest blisko . . . wytnę choinkę i urządzę taką radość dzieciakom, że przez całe życie będą wspominać Mitricza! Oto co wymyśliłem, kobieto! — Mitricz wesoło mrugnął i cmoknął ustami: — Co ty na to?

Agrafiena milczała. Chciała jak najszybciej przybrać i posprzątać pokój. Śpieszyła się, a Mitricz swoją rozmową tylko jej przeszkadzał.

— No, co ty powiesz na mój pomysł, kobieto?

— A niech cię licho porwie z twoim pomysłem! — krzyknęła na męża. — Wstań z ławki, a to rozsiadłeś się . . .

Odejdź, bo nie mam czasu wysłuchiwać twoich bajek!

Mitricz wstał, bo Agrafiena, umoczywszy ścierkę w wiaderku, przeniosła ją na ławkę, wprost w to miejsce, gdzie siedział mąż i zaczęła trzeć. Na podłogę polały się strugi brudnej wody. Mitricz zrozumiał, że przyszedł w nieodpowiednią porę.

— Dobrze, niech tak będzie! — przemówił zagadkowo. — Urządzę jednak taką radość, że sama mi jeszcze podziękujesz! Jeśli mówię, że urządzę, to urządzę! Dzieciaki będą wspominać Mitricza całe życie!

— Widocznie nie masz nic do roboty.

— Nie, kobieto, mam co robić, ale jeśli powiedziałem, że zrobię, to zrobię! Chociaż to sieroty, ale Mitricza nie zapomną przez całe życie.

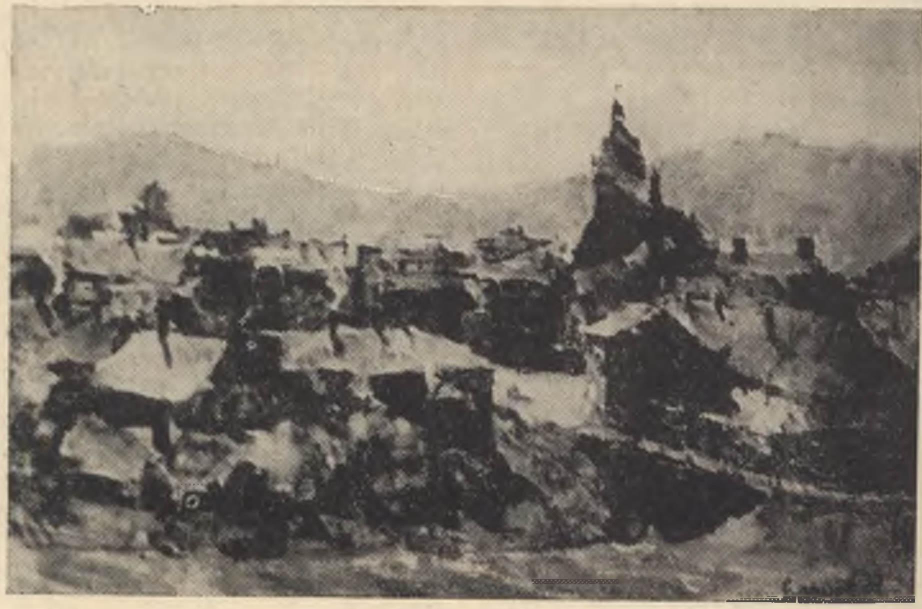
Kładąc do kieszeni zagasłą fajkę Mitricz wyszedł na dwór.

II

Po podwórzu tam i ówdzie były porozrzucane drewniane domki, zawiane śniegiem, zabite deskami; za domkami rozciągało się szerokie śnieżne pole, a w oddali widniały dachy rogatek miejskich.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni przechodzili przez miasto przesiedleńcy. Było ich tak wiele i byli tak biedni, że dobrzy ludzie wybudowali im te domki, których pilnował Mitricz. Domki były wciąż przepełnione, a przesiedleńcy wciąż przybywali i przybywali. Wszyscy nie mogli pomieścić się w domkach, zaczęli więc budować szałasy, w których chronili się z rodzinami podczas chłodów i niepogody. Inni mieszkali tutaj tydzień, dwa tygodnie, a inni więcej niż miesiąc, oczekując kolejki na statki. W połowie lata zbierało się tutaj takie mnóstwo ludzi, że całe pole było pokryte szałasami. Z nadejściem jesieni pole powoli pustoszało, domki wyludniły się i także pustoszały, a do zimy nie pozostawał już nikt, oprócz Mitricza, Agrafieny i kilkorga dzieci, nie wiadomo czyich. Tej zimy przy Mitriczu pozostało osiem takich sierot.

— Co nieporządki to nieporządki! —



Gustaw Nowak — Jabłonków

rozważał Mitricz, wzruszając ramionami. — Co teraz zrobić z tymi dziećmi? Co one za jedne? Skąd się tu zjawiły?

Wzdychając, podszedł do dziecka stojącego samotnie koło wrót. — Czyj ty jesteś?

Dziecko, chude i blade, patrzyło na niego nieśmiałymi oczami i milczało.

— Jak się nazywasz?

— Fomka.

— Skąd jesteś? Jak nazywa się twoja wieś?

Dziecko nie wiedziało.

— A ojciec jak się nazywa?

— Tatunio.

— Wiem, że tatunio... A czy nazwisko ma? No, Na przykład: Pietrow albo Sidorow, albo może Gołubiew, Kasatkin... Jak go nazywają?

— Tatunio.

Przyzwyczajony do takich odpowiedzi, Mitricz wzdychał i machnąwszy ręką więcej już nie dopytywał się o nic.

— Rodziców, widocznie, zgubił, głuptasek? — mówił gładząc dziecko po głowie. — A ty co za jeden? — zwracał się do drugiego dziecka.

— Gdzie twój ojciec?

— Umarł.

— Umarł? No, wieczny mu odpoczynek! A gdzie matka się podziała?

— Umarła.

— Także umarła?

Mitricz rozkładał ręce i zbierając takie sieroty, odprowadzał do urzędnika przesiedleńczego. Ten również pytał je o rodziców i także wzruszał ramionami.

Jednym rodzice pomarli, innym wyjechali w niewiadomym kierunku. Mitricz nazbierał takich dzieci ośmioro, jedno mniejsze od drugiego. Gdzie je podziać? Co z nimi zrobić? Co za jedne? Skąd przyszły? Nikt tego nie wiedział.

— Boże dzieci — mówił o nich Mitricz.

Przeznaczono dla nich jeden domek, najmniejszy. Mitricz postanowił tam urządzić im z okazji świąt choinkę, jaką widywał u bogatych ludzi.

— Powiedziano, zrobiono — i zrobię! — myślał Mitricz, idąc przez podwórze. — Niechaj się sierotki ucieszą. Taką im radość sprawię, że przez całe życie nie zapomną o Mitriczu.

III

Najpierw Mitricz poszedł do starosty cerkiewnego.

— Tak i tak, Nikito Nazaryczu, ja do was ze specjalną prośbą. — Nie odmawiajcie dobrej sprawie.

— Co takiego?

— Rozkażcie wydać mi garść ogarków, najmniejszych... Dlatego że sieroty — ani ojca, ani matki nie mają... To też ja, stróż przesiedleńczy... Osiem sierotek pozostało przy mnie... A więc, Nikito Nazaryczu, dajcie mi garsteczkę.

— Na co ci ogarki?

— Chcę sprawić sierotkom przyjemność: zapalić choinkę, tak jak to robią porządni ludzie.

Starosta popatrzał na Mitricza i z wyrzutem pokręcił głową. — Zwariowałeś, stary, czy co? — rzekł i dalej kręcił głową. — Ach, ty stary! Przecież te świece płonęły przed obrazami, a ja mam ci je dać na jakieś głupstwa?

— Przecież to tylko ogareczki, Nikito Nazaryczu...

— Idź — machnął ręką starosta. — Dziwię się, że ci takie głupstwo przyszło do głowy!

Mitricz jak przyszedł z uśmieszkiem, tak z uśmieszkiem odszedł, ale było mu bardzo przykro. Krępowało go jeszcze i to, że odmowę tę słyszał stróż cerkiewny, który był świadkiem jego niepowodzenia, taki sam jak i on, stary żołnierz, który teraz patrzał na niego z uśmieszkiem i, wydawało się że myślał: — No, cóż? Naciąłeś się, stary filucie!... Chcąc pokazać, że on nie „o napiwek" prosił i troszczył się nie dla siebie, Mitricz podszedł do staruszka i powiedział: — Jakiż to tam grzech będzie, gdy ja ogarek weźmę? Dla sierotek proszę, a nie dla siebie. Niechby się ucieszyły... Nie mają ani

ojca, ani matki . . . Po prostu: Boże dzieci!

W krótkich słowach Mitricz wyjaśnił staruszkowi, po co są mu potrzebne ogarki, i znowu zapytał:

— Jakiż w tym grzech?

— A słyszałeś co Nikita Nazarycz powiedział? — odparł stary żołnierz i wesoło mrugnął okiem: — Na tym właśnie sprawa polega.

Mitricz opuścił głowę i zamyślił się. Ale nic nie można było zrobić. Podniósł czapkę, skinął głową żołnierzowi i przemówił obraźliwie do niego:

— No, więc bądźcie zdrowi. Do widzenia!

— A jakich to ogarków ci potrzeba?

— Wszystko jedno jakie, mogą być nawet najmniejsze. Pożyczcie mi garsteczkę! Spełnicie dobry uczynek. Te dzieci nie mają ani ojca, ani matki . . .

Po dziesięciu minutach Mitricz już szedł przez miasto z pełną kieszenią ogarków, wesoło uśmiechając się i triumfując. Trzeba mu było jeszcze wstąpić do Pawła Siergiejewicza, urzędnika przesiedleńczego, złożyć mu życzenia świąteczne; tam zamierzał trochę odpocząć a jeśli poczęstują, to i wypić kieliszek wódki. Ale urzędnik był zajęty; nie widząc nawet Mitricza, rozkazał powiedzieć mu „dziękuję" i wysłał ćwierć rubla.

— No, teraz to już wszystko w porządku! — myślał wesoło Mitricz. — Teraza niechaj żona mówi, co chce, a zabawę dzieciom urządzę i basta.

Po powrocie do domu nie powiedział żonie ani słowa, a tylko uśmiechając się w milczeniu rozmyślał, kiedy i jak to wszystko urządzić.

— Ośmioro dzieci! — rozmyślał Mitricz, zaginając na rękach chropowate palce — a zatem, trzeba osiem cukierków . . .

Wyjmując otrzymanego ćwierć rubla Mitricz popatrzył na niego i zaczął coś kombinować.

— Dobrze — pomyślał głośno. — Jeszcze zobaczysz, co ja potrafię! — i śmiejąc się głośno poszedł odwiedzić dzieci.

Wchodząc do baraku Mitricz wesoło przemówił:

— No, publika, jak się macie. Życzę wam wesołych świąt!

W odpowiedzi rozległy się zgodne dziecięce głosy i Mitricz sam nie wiedząc dlaczego, rozczulił się.

— Ach wy, publika, publika! . . . — szeptał, obcierając oczy i uśmiechając się. — Ach wy, publika taka!

Na duszy było mu smutnie i radośnie. I dzieci również patrzyły na niego ni to z radością, ni to ze smutkiem.

IV

Było jasne, mroźne południe.

Z siekierą za pasem, w kożuchu i czapce, naciśniętej aż na brwi, Mitricz powracał z lasu z choinką na ramieniu. Choinka, rękawice i walonki były zakurzone śniegiem, broda Mitricza pokryła się szronem, wąsy olodziały, ale on sam szedł równym, żołnierskim krokiem, machając po żołniersku wolną ręką. Było mu wesoło, chociaż już ustawał. Rano chodził do miasta po cukierki dla dzieci, a dla siebie po wódkę i kiełbasę, której był ogromnym amatorem, ale kupował ją rzadko i tylko na święta.

Nie pokazując się żonie, Mitricz przyniósł choinkę do szopy i siekierą zaostrzył jej koniec; potem dopasował ją, żeby stała, i gdy wszystko już było gotowe, poniósł ją do dzieci.

— No, publika, teraz baczność! — mówił, ustawiając choinkę. — Gdy trochę odmarznie, pomożecie mi.

Dzieci patrzyły i nie rozumiały, co Mitricz robi, a on wszystko przygotował i przemawiał do nich:

— Co? Ciasno się zrobiło? . . . Oczywiście, myślisz publiko, że Mitricz zwariował, co? Dlaczego to niby, ciasnotę robi? No-no, publika, nie gniewaj się! Ciasno tu nie będzie!

Droga za miasto →



Gdy choinka zagrzała się, w pokoju zapachniało świeżością i smołą. Dziecięce twarze, smutne i zamyślone, niespodziewanie poweselały. Jeszcze nikt z nich nie wiedział, co staruszek robi, ale już wszystkie przeczuwały przyjemność, a Mitricz spoglądał wesoło na utkwione w niego ze wszystkim stron oczy.

Potem przyniósł ogarki i zaczął je przywiązywać nitkami do choinki.

— No, kawalerze! — zwrócił się do chłopca, stojąc na taborecie. — Podawaj mi tu świeczki . . . Tak! Ty mi podawaj, a ja będę przywiązywał.

— I ja! I ja! — rozległy się głosy.

— I ty — zgodził się Mitricz. — Jeden niech trzyma świeczki, drugi nici, trzeci niech podaje jedno, czwarty co innego . . . A ty, Marfusza, patrz na nas, i wy wszyscy patrzcie . . . Wszyscy będziemy przy pracy. Dobrze?

Oprócz świeczek Mitricz powiesił na choinkę osiem cukierków, zaczepionych na niższych gałązkach. Patrząc na nie Mitricz pokręcił głową i głośno pomyślał:

— A jednak . . . rzadko, publika? — W milczeniu stanął przed choinką, westchnął i znowu powiedział: — Rzadko na choince, koledzy!

Ale mimo największego zapału Mitricz nie mógł nic oprócz ośmiu cukierków powiesić na choince.

— Hm! — rozmyślał, chodząc po podwórzu. — Co by tu jeszcze wymyślić . . .?

Nagle przyszła mu wspaniała myśl do głowy.

— A co? — powiedział do siebie. — Dobrze to będzie czy nie dobrze?

Zapalając fajkę Mitricz znowu zadał sobie pytanie: dobrze to będzie czy nie?

— Dzieci są jeszcze małe, nic nie wymyślą — rozważał staruszek. — No, trudna rada, będziemy je zabawiać . . . A sami co? No, oczywiście i sami zechcemy się zabawić. Żonę też trzeba jakoś ugościć!

Nie wiele myśląc Mitricz zdecydował. Chociaż bardzo lubił kiełbasę i cenił każdy kąsek, ale pragnienie ugoszczenia dzieci przełamało wszystkie jego upodobania.



Bronisław Firla: Wazonik, akwarela

— Dobrze! Ukroję po krążku i powieszę na niteczce. Ukroję też po kawałeczku chleba — i także na choinkę. A dla siebie powieszę buteleczkę! Naleję sobie i poczęstuję żonę, a sierotki będą mieć smakołyki. Niech żyje Mitricz! — wykrzyknął wesoło staruszek, uderzając się rękami po biodrach. — Niech żyje figlarz!

V

Gdy tylko ściemniało, na choince zapalono świeczki. Zapachniało topionym woskiem, żywicą i zielenią. Zawsze posępne i zadumane dzieci radośnie zaczęły krzyczeć, patrząc na ognie na choince. Oczy ich ożywiły się, policzki nabrały rumieńców i gdy Mitricz pozwolił im tańczyć dokoła choinki, dzieci chwytając się za ręce zaczęły skakać i radośnie wykrzykiwać. Śmiech, krzyki i rozmowa ożywiła

po raz pierwszy tę mroczną izbę, w której rok rocznie słyszało się tylko skargi i łzy. Nawet Agrafiena z zadziwienia klaskała w dłonie a Mitricz, ciesząc się z całego serca, wykrzykiwał:

— Dobrze, publika! . . . Dobrze!

Potem wziął harmonię i, grając na wszystkich tonach, podśpiewywał:

Żywe były chłopczyki,
Rosły grzyby rydzyki.
Dobrze, dobrze,
Dobrze-to, dobrze!

— No, kobieto, teraz poczęstujmy się! — rzekł Mitricz, kładąc harmonię. — Publika, baczność! . . .

Ciesząc się choinką, Mitricz uśmiechał się i biorąc się pod boki, patrzał to na kawałki chleba wiszące na nitkach, to na dzieci, to na krążki kiełbasy i w końcu rozkazał:

— Publika! Podchodź po kolei!

Zdejmując z choinki po kawałku chleba i kiełbasy, Mitricz obdzielił wszystkie dzieci, potem zdjął butelkę i razem z Agrafieną wypili po kieliszku.

Potem wskazał na dzieci:

— Patrz, jak sierotki jedzą! Jedzą! Patrz żono! Ciesz się!

Znowu wziął harmonię i zapominając o swojej starości, razem z dziećmi puścił się w tany, przygrywając i przyśpiewując:

Dobrze, dobrze,
Dobrze-to, dobrze!

Dzieci skakały, piszczały i krążyły w koło, a Mitricz nie zostawał w tyle. Serce jego przepełniło się taką radością, że



Bronisław Firla: Portret robotnika

nie pamiętał, czy kiedykolwiek były w jego życiu takie święta.

— Publika! — wykrzyknął w końcu. — Świeczki już się dopalają. Bierzcie sobie po cukierku i czas już spać!

Dzieci radośnie krzyknęły i rzuciły się do choinki, a Mitricz, rozrzewniwszy się niemal do łez, szepnął do Agrafieny:

— Dobrze, żono! Można wprost powiedzieć że bardzo dobrze! . . .

To były jedyne jasne święta w życiu przesiedleńczych „niczyich dzieci".

Choinki Mitricza żadne z nich nie zapomni!

Przełożył z rosyjskiego Józef Bojar



Gustaw Fierla: Brunatny dzbanek i gruszki.

WIERNOŚĆ

Milan Kundera

Z latami zmarszczek przybywa na czole,
srebro we włosach babie lato wieści.
A ona pyta z płochym niepokojem:
Kochasz mnie . . . Powiedz, czy kochasz mnie jeszcze?

On patrzy w tę twarz, w te rysy tak znane,
w ten niepokój po latach tak nagle dziewczęcy,
i szepce: droga, nie bój się jesieni,
Młodość, uroda? Miłość to coś więcej.

Tak jako ptak lata wysoko zamknięty
pod błękitu gotyckim obłokiem
Tak ja zamknięty jestem w twoim życiu,
tak ja zamknięty jestem bezpowrotnie.

przekład Henryk Jasiczek

O RYBIORZU CO BYŁ za utopca

KAJETAN ŚCIEBŁO

Ni miyjcie też za złe, ludeczkowie złoci, że wóm zaś cosi nabojóm ze starodownych czasów, jak jeszcze żył niebogi cysorz, co mioł na obrozkach lica pieknie czyrwióne jak jako szesnostka, choć ś niego już też był stary, przestarzucny grzyb, niedziw jak adynałer w niymcach.

Tóż jak nie bydziecie mieli za złe, to wóm opowiym cosi, co trefi na nutym — *rybiorzóm.*

Rybiarka a grzybiarka to sóm rzymiosła, co ś nich nie wyżyje, to prowda, ale wiela je z tego radości nieobadanej! A chwalby, jako ku przykłodu: rozech chycił takigo podrybka, szrócioka niedziw, tochmy go wszyscy wiela nas było dóma z kocurym i ze psym dogrómady jedli trzy dni, a jeszcze zustało, choć sie kocur zerzygoł z przejedziska! Gdoście taki i podobnej chwolby nie słyszeli, coście sóm z tych cichych błoznów, co moczóm gliste na kiju z niciót i hoczkym?

Nie każdy rod moczo gliste, sie mu to zdo otrętne tak tyrczeć nad wodóm i czakać, aż sie jako mizerno strzebla abo ruzik smiłuje i gliste na wędce powónio i niecho. Aji mu też je żol piniędzy na fiszkarte. Woli do rąk chytać, a jak go przy tym zaścignóm, jeszcze sie osodzo rzecy: joch nie wiedzioł, że sie tu kąpać nie śmiy, postowcie tabulke z napisym!

Hańdowni takich miglanców bywało więcej, bo dzisio już sóm ludzie moreśniejsi, radzi ożołóm kierómsi tóm koróne na skłodke do związku rybiorzy. A potym już śmiało siadajóm na motor abo aji do auta i wio na Słowioki chytać we Wagu pstrągi a głowacice, a jak sie im dobrze podarzy, to potym z tej radości tak wągli dróm na dole, żeby sie aji sóm Stachanow zahruził.

Alech sie zafuloł z tym przydługim wstępnym, przeboczcie, to już tak bywo na starość.

Tóż wóm za tego starego cysorza był jedyn gospodzki, już se nie wiym spómnieć kaj to było, czy w Darkowie czy w Zowadzie abo możne na Sowińcu, dość na tym, że tyn isty rod jodoł wysmażóne lajce, podustwy, parmy, szczuki, piskorze i kaj kigo grzycha, a jeszcze radszy ich chytoł. Ale do rąk, bo sie tak za chłapca a potym za pachołka nauczył i o nijakich wędkach nic nie chcioł słyszeć.

Gdo pamiętocie, to wiycie, że niż zaczyny werki tyn jakisi zajer abo fynol do rzyk puszczać, to było w Olzie ryb a ryb! Jo sómech był przy tym w Łękach, jak mynarczyk Kulik roz w niedziele po połedniu chytoł ryby do rąk we młynce. Co siągnie pod brzyg do wymolo, to wyciągnie rybe abo aji dwie i ciśnie do miecha, a my mu go za nim ponoszómy we wodzie zamoczóny, coby ryby nie pomrzyły. I pół miecha tego do wieczora nachytoł. Dobrze wiym, bo mi też doł szumnego lajca za noszyni, to żechmy go potym zjedli ozolanego w mące i usmażónego i każdymu sie dostało po godnym kąszczku.

Tóż se wóm roz tyn miły gospodzki poszeł ze synkym — gospode odporęczył swoji — do rzyki, a było już na śćmiywku. Synkowi kozoł wachować, czy nie idóm szandarzy, a jak pójdóm, coby ciepnył kamiyń do plosa, kaj tata prawie bydzie chytoł. Tóż dobrze. Darzyło sie mu milijóńsko i tak sie zażroł do tej rybiarki, że już miesiączek downo świycił, a on nic jyny wybiyro a wybiyro ryby z wymolo, spod korczy, spod basztowanio i ciśnie do miyszka, co go już mioł niedziw pełny.

Aż tu naroz plusk! kamiyń do plosa. Gospodzki porwoł miyszek z rybami, zawiązoł warciutko i zanorzył sie ś nim po głowe do plosa i czako, co bydzie dali. Zaszuściało chrości i pokozali sie dwo szandarzy, z gwerami, z kokocimi piórami na kłobukach. Isto usłyszeli pluskani i dzijawóm sie, co je?

I co nie widzóm: wystowo z wody w świetle miesiączka głowsko kudłate, kinol jak rużok, blyszcze wybałuszóne jak we wrzodzie. Kigóż grzycha? Bodej że by utopiec, isto rybiorz bez fiszkarty.

Bieróm gwery na fertik i dziwajóm sie jak hróm do buka, jyny że sie im ręce stelma trzęsóm, bo gdo wiy, dioboł nie spi. Utopiec też w nich wrył oczy i tak sie przemógajóm godnóm chwile.

Woda je zimno jak wszyscy biydni i gospodzki zacino zęby co swej siły, coby mu nie zwóniły, bo jakiż by to

było, jak by utopiec zębami zwónił.

— Wylazuj, pierónie, i pokoż coś nachytoł! — odezwoł sie ostro starszy szandar.

Tyn w tej wodzie sie ani nie gión, jyny wyszczyrzył zębiska i zazgrzutoł na nich szkarednie. A po chwili zaczyny spod niego bulkać bańki.

— O, pieróna — prawi se młodszy szandar — gdo wiy, wiela ich tam jeszcze je pod wodóm, młodych utopców, telowe bańki puszczajóm!

Starszy pociągnył nosym jak góniarski pies i rzyk:

— Jesi puszczajóm, to gdo wiy, kierym kóńcym, bo to jakosi czuć haźlym!

A za chwile zhórta:

— Wyleziesz abo ni, hrómszczoku, bo strzylóm! — I rychtyk wycylowoł do utopca.

Ale se tego utopiec ani nie wszymnył. Zima mu zabyło ogrómnie, że aż nim całym zapytlowało i koła szły od niego coroz to większe po wodzie.

— Oho! — prawi se młodszy szandar — już sie ci młodzi utopieczkowie zaczynajóm ruszać!

Borok rybiorz fórt rozmyśloł, jak by sie z tej okopacyje wydostać bez strat. Wiedzioł już, że sie szandarzy nie trufajóm. Bo w tym nieistym świątle miesiączka, co sie co chwila krył za mroki i zaś wyblyskoł, wól co sie człowiekowi na oczy stawio, gor tymu, co go kiej był dzieckym starzy mamlasi straszyli straszydłami, bubokami, nocznicami, utopcami i czert wiy czym. I tu mu pizła do czepanie genialno myślónka. Wynorzył sie nogle cały i zaryczoł jak siedym rozpajedzónych byków i żbluch nazodź pod wode i stracił sie, bulkło pore baniek, koła sie po płosie rozeszły i nic. A to nic taki straszne, że sie aż włosy dźwigajóm na głowach, o mało że kłobuki z kokocimi piórami nie pospadujóm.

Mielibyście widzieć, co było potym. Szandarzy buch!



Jaroslav Kopec — Hawierzów

do ucieczki, aż zadrzęździało na kamiyńcu i zaszuściało w chrostach.

Utopiec sie wynorzył, porwoł miyszek z rybami i lónty schowane w chroście i pruł na przejmo, choć go gałęzie po gębie prały. Bo gdo wiy, czy sie w szandarach nie odezwie dyscyplina i sie nie wrócóm. A już też Francik wachtorz, co tam przesiedzioł w gojach cały ściyrpły i we strachu, czy taty nie weznóm za ryby na fazole, tyrckoł za nim.

— Jageś to, giździe, wachowoł? — zagiyrzył sie na niego tata.

— Joch, tato, ogrómnie dowoł pozór, jyny mie brało na spani.

— Nó, nó, jakosi my sie z tej szlamastyki wymotali, na, niyś ryby! — I pogłoskoł Francika po głowie. Tyn porwoł ryby i aż podskoczył z tej radości.

Gdo to potym wyfuloł, nie wiym, jyny na drugi dziyń sie cało dziedzina kulała ze śmiychu. A gospoda sie odtyl nazywała „u wasermóna".

Gustaw Pyszko

SZUKAM ...

Szukam
szczęścia
w duszy trzciny
nad wodą
życia
powrotu i smutku
Szukam
twego szczęścia
nad jesienną
wodą
by zapukać
w okno serca
które zwie się
CZŁOWIEK

ADAM WAWROSZ

Było to w maju

(Ballada o małżeństwie)

Było to w miesiącu maju,
Kiedy Janek Mańce w gaju
Przisiągł wierność i małżeństwo,
Wieczną miłość i swe męstwo.
Serce włożył ji do rączek,
Bo Maniusia była pączek.

— Och, Janiczku, jeżech w niebie,
Nimogym żyć już bez ciebie —
Prawi dziołcha i pobladła,
Łza sie ji do oka wkradła.
Na to Janek rozmarzóny
Szepnył ji rozprómiyniόny:
— Ach, mój skarbie, mój aniele,
Tyś boginka w ludzkim ciele,
Ej, wykradym cie matuli,
Chociażby w jednej koszuli.
Nie tropmy sie przeca deli
i zróbmy już to wiesieli.

Jak gołąbki tam gruchali,
Tak sie strasznie namowiali,
Że za miesiąc sie pobrali ...
Minył czas a za rok w maju
Gruchła wieść po całym kraju.
Janek z Mańkóm sie rozwodzą,
Bo sie dziynnie za łeb wodzą.
Sędzia zrobił srogóm mine
Bo Janek mioł łoko sine.
Mańka zaś na głowie bułe.
Że chłop miywoł serce czułe
Prawił miękko: Ludzie młodzi!
Przeca bić wóm sie nie godzi.
Kaj je wasze ślubowani,
Wierność, zgoda i kochani?
Mańce kapka spadła z oka
Skargą gichła jak z potoka:
Kanych jo też rozum miała,
Żech se tego wilka brała.
Złote grónie mi ślubowoł
I że beje mie piastowoł,
Teraz w karczmie wysiaduje,
Szychty bulo i pyskuje.
Nic mi robić nie pumoże
Co za żywot, Boże, Boże!

Na to sędzia, mądro głowa,
Jankowi udzielił słowa.
— Piję, — prawił zrozpaczóny, —
Bo jo nimóm żodnej żóny.
Dyć mi ani nie nawarzi,
Nie wypiere, ni pogwarzi,
Ni pościele, ni pomyje,
Po całych dniach w łóżku gnije
Jesi nas nie rozwiedziecie
To jo nie chcę żyć na świecie ...

Pod powałym piskła mucha
Z kierej pająk cyckoł ducha...
Sędzia, chłop ze siwym włosym
Przerwoł cisze ostrym głosym:
— Czcijcie sie, szczerze miłujcie,
Społym żyć jeszcze spróbujcie...
— Nigdy! — wrzaskła baba z ławy
Aż sędziowi szkiełka spadły.
— Jak kożecie żyć z tym chłopym,
To jo z miejsca sie utopiym.

Janek zblod i obrażóny
Wyskoczył jak oparzóny:
— Nigdy! — wrzasknył. — Z takim łachym
Nie chcę żyć pod jednym dachym.
Jak bych mioł żyć przi tej stworze,
To sie wieszóm na porwozie.
Sędzia podeprził se głowe
i takóm im rąbnął mowe:
— Było to w miesiącu maju,
Pamiętocie na ślub w gaju?

Teraz to wy zbereźnicy,
Chcecie gorzi żyć niż dzicy?
Nie róbcieżysz sumeryje.
I kludźcie sie z kancnaryje.

Wyszli bladzi na ulice —
On mioł w oczach szubiynice,
Onej zaś mówiły oczy,
Że kansi do plosa skoczy...
A było to prowie w maju. —
Ptoszek pieknie śpiywoł w gaju.
Janek wioł do pogranicza,
Tam robił za pogónicza
Mańka zaś, miast skokać z ławy,
Wyjechała do Ostrawy.

* * *

... a było to prowie w maju,
kiedy miłość rwie do raju...

Janusz Gaudyn

FRASZKI

Motto:

O fraszkopisarzu
Fraszki sypie jak z rękawa,
lecz cóż, każda z nich kulawa.

*

O lunatyku
Czekał aż księżyc wyjdzie na niebo
a sąsiad na balkon.

*

Idealista
Pod oknem stał
i grał.

*

O kelnerze
i patrzy jak gościom z ust leją się śliny.
Około stołu krąży od godziny

*

O dyrygencie
Całe życie
przekiwał przy pulpicie.

*

O znawcy
On na przeróżnych rozumiał się rzeczach,
najlepiej zaś na tym co chodziło w kiecach.

*

O mężczyznach
Niektóry sam się wtłacza
W skórę rogacza.

*

Śpi odwrócony na boku
Od niejednego już roku.

*

O wybrance serca
Łatwiej wybrankę serca miłować
niż finansować.

*

Spotkała go boska Kara.
Kara — to Imię mojej pięknej znajomej.

*

Przedwojenna
Za liczne osoby i rzeczy nazwane po imieniu,
Było trzeba niekiedy posiedzieć w więzieniu.

*

O piszących Myśli
Ci, co późno po rozum do głowy przyszli,
spisują obecnie na gwałt swoje myśli.

*

I ponure czaszki
wymyślają fraszki.

*

O samym sobie
Gdyby za każdą złą fraszkę
wypadło mi sto włosów,
zaoszczędziłbym wydatek na fryzjera.

Janusz Gaudyn.
7. 9. 1961

ADAM WAWROSZ

Tajemnica matyldy powrzóslo

Matylda

Matylda siedziała pod krowóm i cyrpkała z pełnego wymiynia wieczornóm porcyje mlyka, kiere bielało sie w szarym grotku jak tyn piyrszy śniyg, kiery akurat chlapnył na te jejich grónie.

Matylda poprawiła se szatke na głowie, chrząkła jakosi nieśmiało i spuściła swojim zametowym głosym „Listeczku dymbowy". W tym poruszały sie deliny w kącie chlywa i wedla kupki gnoja pokozała się z dziury fusato głowa Józka.

— Czysty luft? — spytoł sie nieśmiało i strzelił oczami na wszystki stróny.

— Jyny wylyś. Słyszysz, że śpiywóm, to mosz przeca znak, że szwobów nima. Józef wygramuloł sie z dziury, w kierej na łokłocku słómy przeleżoł już pieknych pore dni. Poprawił se swoji galaciska, w kierych jeszcze niedowno maszerowoł przi pieśniczce. Hoite ist unser Dojczland und morgyn gance welt.

— Jak jeszcze miesiąc bedym musioł siedzieć w tej dziurze, to spleśniym na dobrze — westchnął cicho.

— Musisz wydzierżeć, zaniedłógo już beje kóniec wojny — pocieszała go Matylda i wyłożyła mu, jak rano prziszło dwóch Esmanów i całóm chałupe przewróciło hore nogami.

— Teraz już isto bedym mieć pokój — tuplowała z pewnością. Podała mu pajde czornego brutfanioka. Józef jod łapczywie i zapijoł prowie nadojónym ciepłym mlykym. Kiedy to wszystko wciepoł do siebie, podała mu cygaretle po kierej skoczył jak głodny wilk. Wóniący dymek rozloł sie po całym chlywie. Prowie Matylda chciała odewrzić gębe i powiedzieć mu, jak to dobrze, kiedy w chałupie czuć chłopym, kiedy na polu zaharwosił pies. „Ferflucht hund" — gdosi zacharczoł po nimiecku. Józef ciepnył cygaretlóm i jak blysk skoczył za jaśle i przikrył sie leśniokym, kiery przi dojyniu Krasula pogryzała.

Matylda zbladła jak płachta kiedy do chlywa wpadło dwóch esmanów. Zaroz poczuli dym z tabaki i jak jastrząb na kure, obo wpadli na biydnóm Matylde.

— Mómy go! — wrzasknył tyn z rudymi włosiskami i z czyrwiónym nosiskym, na kierym odbijało sie piętno stalingradzkigo mrozu.

— Wo ist der verfluchter dezerter? — wrzasknył piskliwym głosym wojok i porwoł Matylde za włosy.

Ta nie straciła zimnej krwi.

— A po jakim to dycentezze pytajóm sie, panoczku? — pytała sie cicho.

— Ty tu ukryć naszego soldata. Hę! Wo ist — wrzasknył na nie znienacka drugi drab.

— Ale katać też tam, jo je porządno baba i żodnego soldaka nie kryjym. Możecie zozdrzić wszędzi — powiedziała stanowczo.



Esman puścił jóm i chytry uśmiych chlasnył jego rasowóm gębe.

— A tyn dymek z tabaki? — zaryczoł, — to co? Ten krowa wypierdziała?

Matylda jak dziecko nacapióne przi szkłódzyniu zrobiła niewiną mine i z kapsy fortucha wyciągła jeszcze tlące czyko z cygaretle.

— Staro Raszkula poradziła mi, że od bolynio zymbów je niejlepszo tabaka. Tóż aby w izbie niesmrodzić zakurzym se dycki w chlywie i naprowde przestanie mi w nim chrobok wiertać i zarozykej mi ulży. Jak nie wierzóm, to sie podziwajóm — powiedziała słodziutko i odewrziła gębe na całe wrota, pokazując palcym zetlany ząb trzónowy.

— Maul halten — ryknył nasmolóny jak brygada esman i pociągnął kamrata za rękow.

— Pój bo tu je drek a nie dezenter. W dwiyrzach sie jedyn obrócił bo zdało sie mu, że za jaślami cosi sie zaczerniało. Kiedy ale Krasula ciepła głowóm ze szpiczastymi rogami w jego stróne i szpetnie zaświdrzała na niego, machnył rękóm i wyszeł. Przed chlywym rozjargoł sie na nich pies i rwoł sie na łańcuchu jak tysiąc diobłów. Jednym strzałym uciszyli go. Potym zozdrzili do próżnego chlywka.

Młodszy wyszkroboł sie na chlywek i zaczón bagnetym żgać do siana. Ze strasznym wrzaskym wyleciała kura i siedła se mu na głowe i wysnożyła sie ze strachu na jego nową czopke. Wojok rozpajedził się, ukręcił ji głowe i wsadził kure do torby.

— Frau Weis zrobi nóm fajnóm polywke, — zamlaskoł rudy. Na gnioździe naszeł siedym wajec. Podzielili sie uczciwie, zaś jednym, kiere nadbyło, szasnył do dzwiyrzy chlywa, potym pomału wytracili sie we ćmie.

Józek chwile leżoł za jaślami jako bez siebie. Kiedy ale poczuł ciepły język Krasuli na swoim licu i kiedy ściebło leśnioka wlazło mu do nosa, kichnył tak strasznie, aż sie krowa wylękała i Matylda prziszła do siebie. Pocichu wyzdrziła na pole, kiedy wróciła, była wyszczyrzóno.

— Dzisio już nie przidóm. Pój do chałupy muszymy tyn strach zaloć.

Wyszli. Po dwiyrzach ściykała wajecznica, zaś przi budzie leżoł już zimny pies.

— Gdyby nie Matylka, taki sóm kóniec czakoł by mie — rozmyśloł Józek i z wdzięczności przitulił sie ku Matyldzie.

Noc swojóm czornóm guńkóm przykryła grónie i dziedziny. Pumału gasły lampy w dómach, jyny hore na odludziu u Matyldy Powrzysło, w chałupie nad przigónym, żółty płómyczek w lampie dłógo do nocy cyckoł z knuta petryłol, akurat tak jak óni obo samogóne z flaszki.

Po niedłógim czasie radośnie rozwóniły sie wszystki zwóny i głosiły zmordowanymu światu kóniec wojny. Siedzieli prowie w komorze i posłóchali radyja, kiedy ta nieopisano radość zaloła im serca. Józef popod Matylde i wycałowoł aż sie jiskrziło, pytom rozbeczeli sie obo jak małe dzieci.

Matyldzie zakręciło sie w głowie. Od piyrszej chwili, kiedy prziszeł do ni wylękany i nieśmiało żebroł o kąsek chleba, kiedy prziznoł sie ji gdo je, powziyna go ratować. Spodoboł sie ji, bo był inakszy jak jeji chłop, kiery w lesie buki ścinoł a teraz gdo wiy co sie z nim stało? Musioł wyjechać na roboty do Niymiec, jak kupe inszych. Z początku pisoł ji, ale już downo przestoł. Gdosi w dziedzinie puścił takóm rzecz, że zginył przi nalocie. Chowała jego listy z koślawymi literami. Nic dziwnego, Jadam mioł ręce jak łopaty ni na pisani, ni na pohalani stworzóne. Józek był delikatny i inteligentny. Oczy zaświyciły ji jak janiczki, a rozpolóne wargi chciały by róntym całować.

— Józefku, tyś mój, boch ci żywot uratowała. Je kóniec wojny słyszysz? Kóniec wojny, a początek naszego nowego życio. Bedymy na dycki już swoji. Nie potrzebujesz sie kryć, możesz między ludzi. — Objęła go miękko, obsuła pocałunkami. Czorny kocur,

jedyny świadek słodkigo mlaskanio, cicho siedzioł na nolepie i przimróżoł oczy jakby sie za obóch gańbił.

Początek nowego żywota — zwóniły w uszach Józka te słowa. Przitulił ją z wdzięczności ku sobie. Przed oczami stanył mu dóm, w kierym zostawił mame i Zośke, z kieróm po wojnie mieli sie pobrać. Ona marzyła o szkole. Chciała być rechtorkóm, ón zaś wysztudyrowoł na inżyniera i w bogumiński dróciarni widzioł dycki swojóm przyszłość. Cosi mu mówiło, że tam je jego początek życio... Pogłoskała go po bróździe na czole i prziniósła po Jadamowi nejlepsze łąty aby sie oblyk i w to wielki święto poczuł sie wolnym człowiekym. Wieczór posłała dlo niego czyste pierzyny, we swojim łóżku. Wzgardził nimi i poszeł spać na góre do siana. Przepłakała całóm noc. Kiedy rano poszła go budzić, naszła po nim jyny kartke, w kierej ji dziękuje za wszystko i obiecuje zapłacić za starość o niego. Na kóniec spómnioł dziesiąte Mojżyszowe przykazani i o Zośce kiero na niego czako.

Rozpłakała sie żałośnie. Prziszeł jak złodziyj i poszeł jak złodziyj ze skradziónym sercym.

Muuuu, smutnie zaryczała Krasula, jakby czuła też sercym bydlęcym żol swoji gaździnki.

Oblykła sie czorne szaty i chodziła ze spuchniónymi oczami. Ludzie w dziedzinie kiwali głowami i ze współczuciym mówili, że



Władysław Kopp

ODLEGŁOŚCI

jesteś tak daleko
gdzieś za twym
ziemskim horyzontem
trzebaby przedbiec horyzont
i koniuszkami palców
dotknąć
twego ciepłego ciała
jesteś tak blisko
tuż przed mym horyzontem
myślenia
które abstrakcyjnymi
palcami dotyka
twych myśli i uczuć
to jest dopiero
sierp księżyca
z pełni
naszej miłości

*

to po Jadamowi nosi pokore, zaś o jeji wielkij tajymnicy i bolu żodnymu sie ani nie śniło.

Roz w deszczowóm noc, kiedy niebo było smutne jak serce Matyldy, gdosi zapukoł na jeji okna. — Józek — z radości aż kwikła w nij dusza. Tyrtkym poleciała ku oknu.

— Gdo tam je?

— Jo! Jadam, twój chłop!

Pod Matyldóm zaczyny sie kolana dyrbać. Myślała, że to duch. Kiedy ale wystyrczył przez okno głowe, poznała go. Nie czakoł aż odewrze mu dwiyrze. Skoczył przez okno i chcioł jóm porwać w objęcia, kiedy z napchanym rukzakym zostoł tyrczeć w oknie, ani tu, ani tam ruszyć sie nimóg z miejsca. Jyny ręce jako topiącego człowieka wyciągały sie ku ni. Matylda roześmioła sie i skoczyła do nich. Pozwoliła sie mu twardymi i jak łopaty szyrokimi rękami pogłoskać.

A po Józkowi pozostoł w chlywie pod delinami okłocek słómy i z wojskowych galacisków, kiere już myszy zeszrotowały, pore plechowych knefli i szpin od poska z napisym „Gott mit uns".

Uśmiechnij się!



— Ile razy Marysi mówiłem, żeby się nie kłaść do mojego łóżka, gdy mnie nie ma.

Pożytek

Nauczyciel do Jasia:
— Jaki mamy pożytek ze świni?
— Mięso.
— Dobrze, a co jeszcze?
— Używa się jej jako przezwiska.

Dawniej

Zapaleni wędkarze chwalą się swymi sukcesami.
— Phi, taka ryba? Ja kiedyś wieloryby łowiłem.
— Wielkie rzeczy! Dawniej to ja wieloryby zakładałem na haczyk, jako przynętę.

Sława

Dwaj mali chłopcy bawią się w parku. Wspaniały wielki motyl przelatuje nad ich głowami.
— Jak myślisz, — woła jeden z nich — czy to motyl myśliwski, czy bombowiec?

•

— Czy wyjdziesz za mąż za Tola?
— Na razie tak.

Kwesta

W prowincjonalnym miasteczku oddział ochotniczej straży pożarnej zorganizował zbiórkę pieniędzy na zakup sprzętu, uprzednio rozlepiwszy plakaty:
Jeśli zbiórka nie przyniesie potrzebnej sumy, będziemy zmuszeni urządzić koncert naszej orkiestry.

Dobry sen

Drządzgała bardzo chrapie. Żona kilkakrotnie w nocy woła do niego:
— Przewróć się na drugi bok, tak chrapiesz, że nie mogę spać.
Rano mówi do męża:
— Dobrą noc przez ciebie miałam.
— A co ja mam powiedzieć? Całą noc gadałaś przez sen.

Wyobraźnia

Nauczycielka poleca uczennicom czwartej klasy, aby swoje plany wyobraziły w postaci rysunku. Wszystkie dziewczęta oddały wreszcie swoje wypracowanie, z wyjątkiem Zosi z czwartej ławki, która siedzi nad pustą kartką.
— Jeszcze nie zaczęłaś, pyta zdziwiona nauczycielka.
— Kiedy, proszę panią, ja chciałabym wyjść za mąż i nie wiem jak to trzeba narysować.



— Myślę, że on się dziś czuje lepiej.

Papuga

Na pewnej licytacji w Londynie jakiś klient kupił papugę po bardzo ożywionej licytacji. Po ostatnim stuknięciu młotka kupujący zapytał:

— Mam nadzieję, że ta papuga mówi?

— Mówi? — oburzył się prowadzący licytację. — Ona przez ostatnie pół godziny sama podbijała cenę!

Młody lekarz

Do jednego z najbardziej wziętych lekarzy przyszedł młody człowiek.

— Chciałbym panu doktorowi podziękować za doskonałe wyniki leczenia.

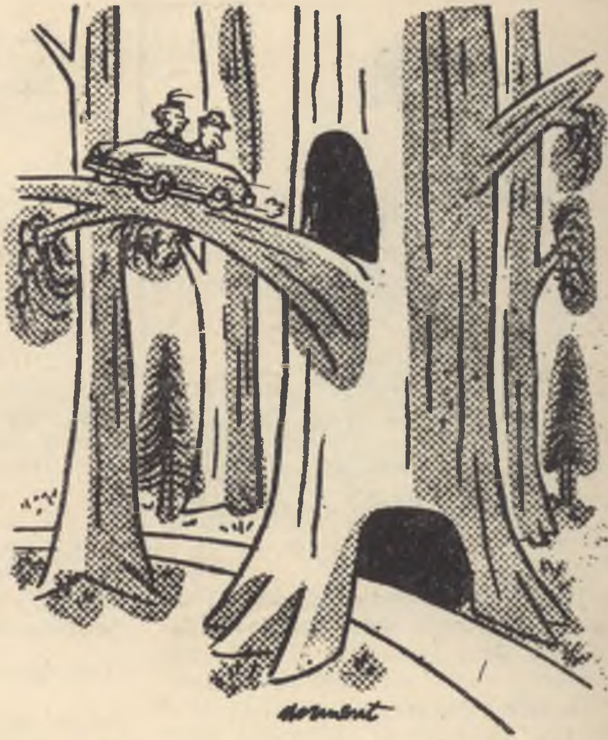
— Ależ pan nie jest moim pacjentem! — zdziwił się lekarz.

— Tak jest. Ale mój wujek był, a ja jestem jego spadkobiercą.

Wódka

— Nie potrafię wydać w tej chwili diagnozy o pańskiej chorobie — rzekł lekarz. — Wydaje mi się, że to jest wódka.

— Trudno — westchnął chory. — Przyjdę, jak pan doktór będzie trzeźwy.



— Czy my naprawdę dobrze jedziemy, Wincenty?

Okaz

— Mówiłaś, że twój mąż ma lwią czuprynę, a widzę, że jest łysy.

— Właśnie, mój mąż przedstawia rzadki okaz łysego lwa.

Jedyna szansa

Sędzia: — Kto ośmieli się zakłócić spokój podczas rozprawy, zostanie wyrzucony z sali.

Oskarżony: — Hurra! Hop, hop! Hop! Hop!

Definicja

— Kiedy kończy się wiek dojrzały?

— Kiedy dzieci odchodzą od nas pojedyńczo a wracają parami.

Uratowany

— Panie dyrektorze, czy mógł bym się zwolnić na godzinkę? Żona telefonowała, żebym poszedł z nią na zakupy.

— Wykluczone.

— Z całego serca dziękuję!

Kawior

Pewien skromny jegomość wchodzi do restauracji i przywołuje kelnera.

— Czy jest kawior? Nigdy tego nie jadłem i chciałbym choć raz spróbować, ale proszę mi powiedzieć, co to właściwie jest.

— Są to jaja jesiotra.

— A więc proszę o dwa: na miękko.

Narzeczeni

Narzeczony: Wiesz, kochanie, jak się już pobierzemy, to śmiesznie będzie nie mieć komu kupować kwiatów i prezentów.

Podróż na księżyc

Jedno z zachodnich towarzystw astronautycznych ogłosiło, że przyjmuje zapisy na podróże na księżyc. Zgłosiło się małżeństwo z czteroma kilkunastoletnimi synami.

— Proszę sześć biletów, dla dorosłych, cztery dla dzieci. Dla dzieci tylko w jedną stronę.



— Nie bądź idiotą! Jestem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Do czasu

— Jak myślisz, czy powinnam mieć z Karolem wspólną sypialnię, czy osobno.
— No oczywiście wspólną, przynajmniej do czasu, kiedy się pobierzecie.

Przy okazji

Właściciel samochodu do przejechanego przechodnia:
— Panie, jak pan już jest pod wozem, to może pan przy tej sposobności zobaczy, czy tam nie ma jakiegoś defektu.

Niepunktualny

— Mężczyźni są tak niepunktualni. Czekam już od szóstej, a on nie przychodzi.
— A na którą umówiliście się?
— Na piątą.

Niespokojny sen

Mąż, wracając z kuchni do żony, w łóżku:
— Nie mogłem zasnąć, próbowałem liczyć barany, i przypomniało mi się, że jest kotlet w lodówce.

Żebrak i mąż

— Proszę stąd natychmiast odejść, albo zawołam męża — rzekła pani domu do żebraka.
— Pani męża nie ma w domu.
— Skąd pan wie?
— Bo człowiek, który się ożenił z taką kobietą, przychodzi do domu jedynie na posiłki.

To zależy

Aktor do reżysera:
— W którym akcie umieram?
— Jeśli nie będzie mi pan przeszkadzać, to za godzinę. W przeciwnym wypadku za chwilę.

U wróżki

— Wkrótce będzie pan miał wrzód na nodze.
— Czy to będzie długo trwało?
— O nie, zaraz potem straci pan nogę w wypadku samochodowym.



— Wcześnie zaczyna, prawda?

Reakcja

Nauczyciel do Kazia:

— No i co powiedział twój ojciec, gdy przyniosłeś takie złe świadectwo.

— Był wściekły, panie profesorze. Jak go pan zobaczy, niech mu pan lepiej zejdzie z drogi.

Awans

Aktor do dyrektora:

— Panie dyrektorze, dzieje mi się krzywda. Od początku sezonu nic innego nie robię, tylko wnoszę listy na scenę.

— Niech się pan uspokoi, w następnej sztuce jest dla pana rola listonosza pieniężnego, który wypłaca bohaterowi sto koron.



— Przejściowe trudności z wodą.

Pierwszy dzień w szkole

Mały Jaś idzie pierwszy raz w życiu do szkoły. Kiedy wraca do domu, matka pyta go:

— Powiedz mi, czego pożytecznego nauczyłeś się dzisiaj w szkole.

— Jak podpowiadać, nie ruszając ustami.

Kosa na kamień

Student do chłopa prowadzącego prosię:

— Chłopku, czy to wasz synek?

Chłop: — Ej, nie panocku, to sierota. A byłem z nim w mieście, w tej wielkiej szkole, bo tam ma krewnych.

Myśliwy

— Wyobraź sobie ostatnio idąc na polowanie zapomniałem zabrać fuzję.

— A to przykre, kiedy sobie o tym przypomniałeś?

— Niestety, dopiero wtedy, kiedy dawałem żonie zająca.

Myśli

— O czym tak myślisz?

— O sobie.

— Że też masz czas myśleć ciągle o głupstwach.

Ocena

— Wiesz, gdy wczoraj śpiewałam, ktoś wybił szybę kamieniem, żeby mnie lepiej słyszeć.

Niespodzianka

— Całe życie pielęgnowałem swoją brodę. Piękną, czarną brodę, wiele kobiet się nią zachwycało, a także moja żona, zwłaszcza zanim została moją żoną. Potem zdawało mi się, że jej entuzjazm dla mojej pięknej brody osłabł. A ponieważ nie osłabł mój entuzjazm dla żony, postanowiłem złożyć brodę na ołtarzu naszej miłości. Pewnego dnia z bólem serca kazałem fryzjerowi zgolić moją piękną brodę i ciekaw wrażenia, jakie zrobi niespodzianka, poszedłem do domu. Zadzwoniłem. Drzwi otwiera żona. Wydała okrzyk radości i rzuciła mi się na szyję. O, wierzcie mi, to była chwila, gdy czułem, że ofiara moja nie poszła na marne.

— A więc podobam ci się bez brody, kochanie, zapytałem czule.

— Ach, więc to ty! — zawołała.

W wojsku

Sierżant ustawia swoich żołnierzy w szeregu.

— Wszyscy — rozkazuje — lewą nogę podnieść do góry.

Żołnierze wykonują ten rozkaz, jedynie ostatni w szeregu przez omyłkę unosi nie lewą, lecz prawą nogę.

Widząc to sierżant woła wściekły:

— Znowuż jakiś dureń podniósł tam obydwie nogi.

Nie kazał

Nauczyciel wywołuje ucznia:
— Pietrzak!
Cisza.
— Pietrzak!
Z głębi klasy odzywa się głos:
— Panie profesorze, Pietrzak śpi i nie kazał się budzić.

Przed sądem

Sędzia: — Czy świadek była zamężna?
Kobieta: — Tak, dwukrotnie.
Sędzia: — Ile świadek ma lat?
Kobieta: — Dwadzieścia pięć.
Sędzia: — Również dwukrotnie?

Porządek

Pewna pani ma opinię bardzo kiepskiej i nieporządnej gospodyni. Jedna z ciekawskich sąsiadek wysłała do niej swego małego syna z prośbą o pożyczenie elektroluksu.
Po powrocie małego, pyta go:
— No, i jak tam u nich jest, wielki bałagan?
— E, nie, tylko jak telefon dzwonił, to nie mogli go znaleźć.

Dobry uczynek

— Tadziu, jaki dzisiaj zrobiłeś dobry uczynek?
— Kiedy odprowadzałem tatusia na dworzec, spostrzegłem na peronie jednego pana, który gonił pociąg. Poszczułem na niego mojego Reksa i ten pan zdążył.



— Zanim odejdziesz na zawsze, powiedz mi jak długo trzeba gotować jajka na miękko?



— Mówiłam, żebyś nie wciągał brzucha na widok każdej młodej dziewczyny.

Nad morzem

Mały Krzyś, bardzo dumny ze swego marynarskiego ubranka, pierwszy raz w życiu widzi marynarza.
— Tatusiu — woła — zobacz, ten pan przebrał się za małego chłopca.

U fryzjera

— Czy nie ma pan innej brzytwy?
— Po co?
— Bo chciałbym się mieć czym bronić!

Prezent

— Widzisz, Jasiu, te biedne dzieci nie mają tatusia, ani mamusi, ani babci, ani dziadusia, ani wujka, ani cioci. Czy nie chciałbyś im czegoś podarować?
— Tak mamusiu, dajmy im ciocię Teresę.

Zwycięstwo

— Tatusiu, dlaczego zwycięstwo przedstawia się zawsze w postaci kobiety?
— Tego się dowiesz dopiero jak się ożenisz.

Tort

Kochający mąż zamawia tort urodzinowy dla żony. Ekspedientka pyta ile wstawić świec.
— Dwadzieścia pięć, proszę pani, jak co roku . . . — odpowiada mąż.

Fachowe wyrażenie

Elektromonter wraca do domu i widzi, że jego synek ma zabandażowany palec.

— Co ci się stało? Czy się skaleczyłeś?

— Nie, tylko złapałem pszczółkę, a ona nie była z jednego końca izolowana.

Bez bólu

Pogotowie przywiozło do szpitala niesamowicie brudnego staruszka. Przed operacją pielęgniarka go kąpie. Po wyjściu z wanny pacjent wzdycha z ulgą.

— Nie przypuszczałem, że operacja nic nie będzie bolała.

W więzieniu

Dwaj więźniowie zostają umieszczeni w jednej celi.

— Mam odsiedzieć 25 lat — mówi jeden.

— A ty?

— Ja mam wyrok na 20 lat.

— No to wobec tego, że wyjdziesz pierwszy, weź sobie tę pryczę koło drzwi.

Wesele

Goście na przyjęciu weselnym.

— Czy pan jest panem młodym?

— Nie, zostałem wyeliminowany w półfinałach.

Ideał

Pewien sentymentalny pan opowiada znajomym:

— Kiedy byłem małym chłopcem, Wilhelm Tell był moim ideałem. Pamiętam, wychodziłem z przyjacielem na podwórko, kładłem mu jabłko na głowie i strzelam. Dziś chłopak miałby trzydzieści pięć lat.

Kalkulacja

W małej, prywatnej restauracji znanej z tanich posiłków, gość pyta kelnera:

— W jaki sposób za tak niską cenę, jesteście w stanie dać obiad?

— Bo na jedzeniu, to my tracimy, ale zarabiamy na odpadkach.

Wśród melomanek

Dwie damy rozmawiają w kawiarni.

— Czy lubi pani Bacha?

— Którego? Offen czy Jana Sebastiana?

W hotelu

Gość w hotelu zwraca się do pokojówki.

— Buty, które mi pani postawiła rano przed drzwiami są nie do pary.

— Dziwne, już drugi pan mi to dzisiaj mówi.





— Wiem, że nie jestem taka piękna. Chciał mi pan pochlebić! . . .

Powód

— Patrz, jak ci nasi młodzi sąsiedzi się kochają. On codziennie przed wyjściem z domu całuje ją. Dlaczego ty tego nie robisz?
— Przecież ja jej nie znam.

Bajka

Mamusia czyta Hani bajkę, która kończy się zdaniem: „I książę żył z księżniczką bardzo szczęśliwie przez długie lata."
— Wiesz mamusiu, to szkoda. Bo ja myślałam, że oni się pobiorą.

Kłopot

— Kłopoty większości mężczyzn polegają na tym, że wiedzą oni bardzo dużo o kobietach, ale nic o żonach.

Przypadek

— Tatusiu, gdzie się urodziłeś?
— W Karwinie.
— A mamusia?
— W Jabłonkowie.
— A ja?
— W Trzyńcu.
— Ale to szczęśliwy przypadek, żeśmy się tak wszyscy spotkali.

Kłótnia

— Wczoraj pokłóciliśmy się z żoną po raz pierwszy. Kupiliśmy ładny kawałek wołowiny i żona chciała zrobić pieczeń, a ja wolałem befsztyki.
— No i jak, mój drogi, smakowała ci pieczeń?

Prezent

Młody chłopak nie wiedząc co kupić sympatii na urodziny, radzi się matki.
— Mamo, gdybyś ty miała jutro skończyć 17 lat, co chciałabyś dostać.
— Nic więcej.

Napis

Napis na oddziale położniczym w szpitalu w New Jersey: „Dzieciom wstęp wzbroniony."

Ocena

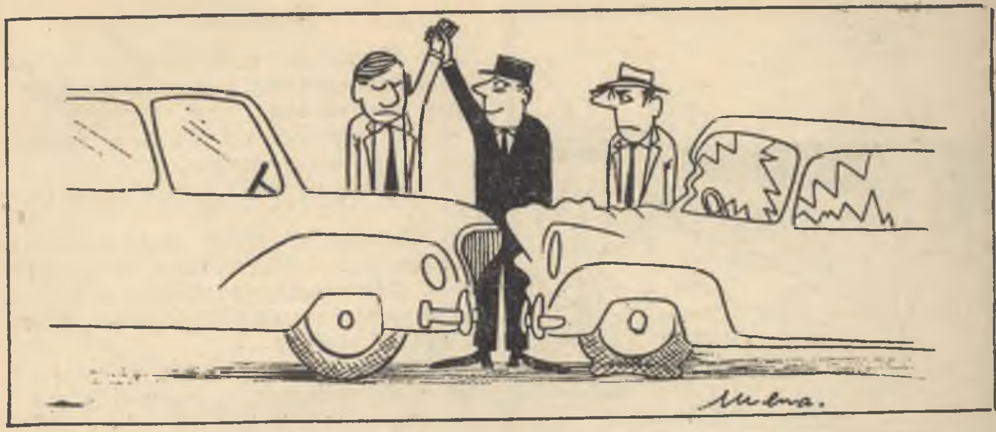
Jakiś poeta dał Chamfortowi do oceny swój dwuwiersz.
— Świetny — rzekł Chamfort — tylko za długi . . .

Przez sen

Żona do męża rano: „Zbyt mocno przejmujesz się pracą. Całą noc wołałeś przez sen swoją sekretarkę!"







Decyzja

Jeżeli wyjdziesz za tego człowieka, noga moja nie powstanie w waszym domu.

— Och, mamusiu, powiedz mu to zaraz. Może wreszcie się zdecyduje!

Wiek

Pytać kobietę o wiek, to tak jak kupować używany samochód. Wiadomo, że licznik kilometrów jest cofnięty, tylko nie wiadomo, ile.

Dekolt

Słynny aktor niemiecki, Girardi, spotyka na jakimś przyjęciu swoją zachrypniętą koleżankę, która ma suknię z nieprawdopodobnie wielkim dekoltem. Zbliża się do niej i mówi:

— Moja droga, idź do domu, ubierz się i połóż się do łóżka.

Sen

Mamusiu, śniło mi się, że wpadłem do wody, to może nie potrzebuję się dziś myć.

Spokojny sen

Gustaw ożenił się z dobrze zaopatrzoną wdową, która nie pomija żadnej sposobności, aby mu wytknąć, że jej własnością jest mieszkanie, meble, piano, bielizna pościelowa itd.

Pewnej nocy małżonka budzi się, słysząc podejrzany szmer i potrząsa smacznie śpiącym Gustawem.

— Wstawaj, to na pewno złodzieje.

— Co to mnie obchodzi, abo to moje?

Całus

— Panie kierowco, mój pociąg odchodzi o ósmej, jeśli pan zdąży na czas, otrzyma pan całusa.

— W takim razie niech pani weźmie inną taksówkę, u mnie groźbą nic pani nie wskóra.

Pan młody

Więzień do nowego towarzysza niedoli:

— Za co dostaliście się do ula?

— Za udział w wielu weselach.

— Przecież to nie przestępstwo?

— Tak, ale ja zawsze uczestniczyłem w nich jako pan młody.

Słuszny wniosek

Na dworcu kolejowym jakiegoś małego miasteczka pewien zdenerwowany podróżny zapytuje zawiadowcę stacji:

— Niech mi pan powie na co przydaje się rozkład jazdy, skoro pociąg, na który czekam spóźniony już jest o godzinę?

— Jak to? — odpowiada zawiadowca spokojnie. Przecież bez rozkładu jazdy nie mógłby pan wiedzieć, że pański pociąg ma godzinę opóźnienia.

Przezorny

W straży ogniowej odzywa się telefon.

— Chciałem zawiadomić, że moja żona wyszła z domu i nie wróciła.

— Ależ tu jest straż ogniowa, niech pan zadzwoni na policję.

— Właśnie, właśnie, ostatnim razem, kiedy się to zdarzyło, zadzwoniłem na policję i ci durnie mi ją przyprowadzili.



— To byś zrobił oczy, gdybym ja włożyła ten kostium.

Nieszczęście

Pan Nowak jest zaledwie kilka dni po ślubie. Pewnego dnia, gdy wraca do domu, zastaje żonę we łzach.

— Kochanie — łka małżonka — to straszne, to po prostu okropne...

— Uspokój się, kotku, powiedz o co chodzi?

— Chciałam ci zrobić niespodziankę i upiekłam ciasto. Śliczne, duże, nadziewane ciasto. Gdy wyszłam na chwilę z kuchni pies skorzystał z mojej nieobecności... i rzucił się... i zjadł je...

— No, nie płacz, kochanie — uspokaja żonę młody małżonek. — Kupię ci jutro innego psa.

Drażliwy

— Panie doktorze — mówi do psychiatry dystyngowany pacjent — wstydzę się wyznać, co mnie do pana sprowadza.

— Śmiało, śmiało, mój panie. Jestem przyzwyczajony do różnych wyznań.

— Otóż zakochałem się w swoim koniu.

— Aha. I jakiż to koń, gniady, kasztan?

— Kasztan. I co za oczy, jaka grzywa, po prostu straciłem głowę, odkąd go mam.

— Dobrze, dobrze, to ogier?

— Pan daruje, doktorze, za kogo pan mnie bierze, to klacz.

Uczciwość

Do fabryki zegarków zgłasza się kandydat na posadę dozorcy nocnego.

— Czy ma pan referencje? Trzeba nam człowieka o wypróbowanej uczciwości.

— Może pan być spokojny, przez trzy lata byłem dozorcą w zakładzie kąpielowym i nie wziąłem ani jednej kąpieli.

Obietnice

— Marysiu — poucza pani domu swoją młodą pomocnicę. — Uprzedzałam, że nie życzę sobie żadnych miejskich wizyt. Tymczasem wczoraj w nocy znowu ktoś był u Marysi.

— Ależ, proszę pani, w tym nie ma nic złego. My się mamy pobrać.

— Czy Marysia jest tego pewna?

— O tak, oni mi to przyprzyrzekli.

Prezent

— Dostałam od męża prezent na gwiazdkę, ale na paczce jest napisane: nie otwieraj aż po Nowym Roku.

— Dlaczego?

— Widocznie nie chciał mi psuć świąt.



— Widzę, że pański kieliszek jest pusty, panie Strączko...

Wspomnienia

Pan czyta gazetę, pani robi na drutach. Pani wzdycha.

— Dawno, dawno, gdy byliśmy tuż po ślubie, lubiłeś głaskać mój podbródek, pamiętasz?

— Pamiętam, ale wtedy ty go w ogóle nie miałaś.

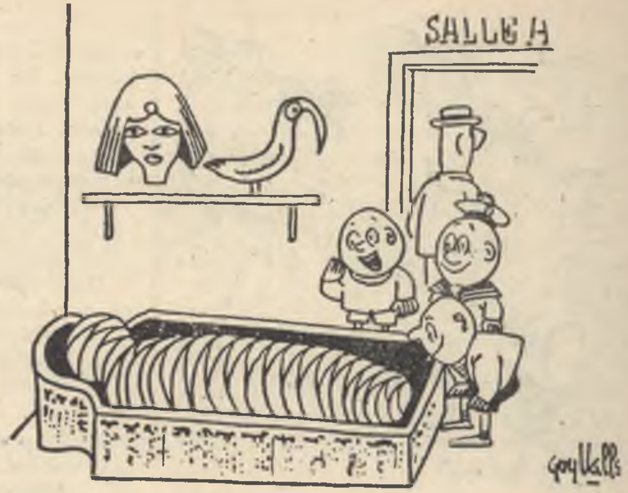
Leśne nastroje

— Park, gwiaździsty wieczór, pod drzewami stoi młoda para.

— Basieńko, jakże ja cię kocham.

— Nie nazywaj mnie Basieńką. Mam na imię Kasia, drogi Pawełku.

— Kasia? Bardzo ładnie, ale ja nie nazywam się Pawełek, tylko Janek.



— Taka duża gąsienica!

Ubezpieczenie

Moczygęba chce się ubezpieczyć na życie. Przedstawiciel zakładu ubezpieczeń pyta go:

— Czy prowadzicie samochód?

— Nie.

— A motocykl.

— Nie.

— Więc jeździcie na rowerze.

— Nie.

— W takim razie proszę mi darować. Pieszych nie ubezpieczamy. Za duże ryzyko.

Sprawa honorowa

Ośmioletni Jurek posyła podczas lekcji kartkę Krzysiowi.

— Po szkole spiorę cię na kwaśne jabłko, ale musisz na mnie zaczekać.

Zguba

W jednym z miast szkockich amerykańskiemu turyście zginął ulubiony pies. Zwrócił się więc do gazety wieczornej z prośbą o natychmiastowe zamieszczenie ogłoszenia, że przeznacza nagrodę 200 dolarów za odprowadzenie psa. Kiedy do późnego wieczora nigdzie nie mógł dostać pisma ze swym ogłoszeniem, pojechał do redakcji. Tam zastał tylko starego woźnego.

— Cóż to? Nie ma nikogo? Czy wasza gazeta nie wyjdzie dziś?

— Chyba nie, sier, wszyscy polecieli szukać psa.

Dobry obywatel

Prowincjonalna gazeta angielska ogłosiła konkurs na najsolidniejszego obywatela miasteczka. Między innymi zgłoszeniami nadeszło takie:

— Od pięciu lat nie piję, nie palę, przestrzegam hygieny, nie zdradzam żony, jestem spokojny, zdyscyplinowany, dobrze pracuję, kładę się wcześnie spać, wstaję o świcie, nie wydaję na nic pieniędzy. Sądzę, że w grudniu już mnie wypuszczą.

Na plaży

Mała Kasia do matki:

— Mamo, jakieś dziecko uderzyło mnie w głowę.

— Tak, a któż to był, chłopiec czy dziewczynka?

— Nie wiem, bo było bez ubrania.

Wdzięczność

— Czy to pan uratował mego tonącego syna?

— Tak jest, proszę pana.

— To pan . . . i to pan skoczył do rzeki i wyciągnął z niej na wpół żywego?

— No tak.

— I pan właśnie zaniósł go na brzeg i ocucił przy pomocy sztucznego oddychania?

— Ależ tak, proszę pani.

— To niech mi pan powie, co się stało z jego beretem?



— Henryku, sądziłam, że przybyłeś tu, aby wypocząć.

Złośliwy kawał

Obok wieży Eifla przechodzą dwaj wariaci.

— Wiesz, powiada jeden, założę się z tobą, że potrafię skoczyć ze szczytu wieży prosto w pudełko od sardynek.

— Trzymam zakład — zgadza się drugi. Jego kolega ustawia na ziemi pudełko od sardynek, wchodzi na najwyższe piętro i... skacze.

Temu, który pozostał na dole wpada pewna myśl do głowy.

— Zrobię mu kawał — powiada półgłosem, i stojące na ziemi pudełko odpycha daleko nogą.

Wyjaśnienie

Krysia przychodzi do kliniki lalek, by odebrać swoją lalkę z naprawy, widząc, że kierownik sklepu nie może jej znaleźć, wyjaśnia:

— Ona nazywa się Małgosia.

Zły klient

Do sklepu z papugami wchodzi elegancka klientka. Uprzejmy sprzedawca zapytuje z uśmiechem:

— Czym mogę pani służyć?

— Poprosiłabym o pppappugęęę.

— W tym momencie sprzedawca przerażony chwyta klientkę za ramię i wypycha ją ze sklepu.

— Niech pani w tej chwili wyjdzie, zepsuje mi pani cały towar.

Zguba

Na zielonej łące pasie się spokojnie łaciata krówka. Po tej samej łączce spaceruje sobie kary konik i od niechcenia skubie sobie trawkę. Pewnej chwili widzi na łączce białą rękawiczkę, bierze ją do pyska, podchodzi do krówki i mówi:

— To chyba pani zgubiła biustonosz.

Różnica

Mały chłopiec zapytany, jaka jest różnica między królem a prezydentem, odpowiedział:

— Król musi być synem swego ojca, a prezydent nie musi.

Rzecz do pogodzenia

Profesor wyjaśnia swojej pacjentce, że musi ona poddać się operacji.

— Nigdy, panie profesorze. Wolałabym raczej umrzeć!

— Droga pani, jedno nie przeszkadza drugiemu.

Poświęcenie

Chora żona zwraca się do męża:

— Obiecaj mi jeszcze tylko, że pogodzisz się z moją mamą. Obiecaj mi to, skoro za parę dni mogę już nie żyć.

— Dobrze, kochanie, chociaż wiedz, że to zepsuje mi cały pogrzeb.

Rozmowa małżeńska

— Czy ty masz sumienie tak późno wracać do domu. Od 6 godzin nie śpię i czekam na ciebie.

— A ja od 6 godzin czekam na kanapie, żebyś ty usnęła.



— O, to pewnie tatuś.



— To jeszcze nic, poczekajmy, aż on się rozgrzeje!

Lekarz nie pozwala

— Dlaczego pani już nie śpiewa?
— Lekarz mi zabronił.
— To on też jest pani sąsiadem?

* * *

— Kamrat, toś słyszoł, że w Karwinie wykopali żywego chłopa?
— Na nieprow! ... Jisto na kierchowie? Ale katać też tam! ... Z gospody!

* * *

Pyto sie synek swojigo taty:
— Tato, powiydzcie mi, jaki jest rozdziół między gwerym a maszyngwerym?
Tata sie namyślo, namyślo, poszkrobie sie za uchym i prawi:
— To mosz Karlik tak: — jak jo mówię, to tak jakby kto z gwera strzelił. A jak mama zacznie mówić, to tak jakbyś z maszyngwera strzyloł!!!

Uprzejmy Jaś

Nauczyciel nie może odzwyczaić małego Jasia od mówienia do niego per „ty". Wreszcie pewnego razu daje mu polecenie, by 50 razy przepisał zdanie: Nie wolno mówić „ty" do swego nauczyciela.
Nazajutrz przeglądając zeszyt Jasia nauczyciel pyta zdziwiony:
— Czemu zdanie to przepisałeś nie 50, lecz sto razy?
— Aby ci sprawić przyjemność — odpowiada grzecznie **Jaś.**

Dobro gospodarka

To zebrało sie wóm roz po szychcie dwóch kamratów i tak se powiadali: — Ty, kamrat, jo nie wiym co na tym je, że z tymi pinióndzami nimogę jakosik wynść!
— Na niemów — prawi tyn drugi — dyć przeca dobrze zarobiosz, dziecek nimosz a ta twoja też zarobio!
— No jo wiym, że zarobio! ... Ale porachuj se to! ... Jo zarobię 1500 korón, moja zarobi 1000 korón — tak to mosz 2500 korón. Każdy miesiąc zaniesie do samoobsługi 50 prózných flaszek z rumu — tak je zaś dalszych 50 korón. Do kupy tego mosz wszyckigo 2550 korón, a wierz mi abo ni, że nimogę kóniec z kóńcym powiązać.

Tajemnica

— Mamusiu, chciałbym mieć małego braciszka, ale żeby tatuś o tym nie wiedział.

Nie zauważyła

Pani do gosposi:
— Czy przez ten miesiąc gdy byłam w Karlowych Warach, pan był bardzo zmartwiony?
— Najpierw tego nie zauważyłam. Ostatnie trzy dni chodził jednak jak struty.



— Ile jestem panu winien?

Jak dwa głupi grali w karty

Roz w tym głupim dómie zebrało sie wóm dwóch karciorzy. A tuż z długi chwile chcieli se zagrać w karty i usądzili, że niejlepszy bydzie zagrać w „añundcwancyg“, bo to je piekno gra. Karty se porobili sami z papiyru, ale gorszy było o pinióndze abo o orzechy, bo żodyn nic przi sobie nimioł. I tuż sie domówili, że bydóm grali o facki. Kto przegro tyn dostanie od tego drugigo facke.

Tak dobrze!

Tyn jedyn wzión karty i zaczón miyszać. Ale ledwa zaczón miyszać, a tyn drugi go już buchnął po gębie. Tyn sie zdziwił, przestoł miyszać i prawi:

— Ty trąbo, cóż mie bijesz — dyć żech jeszcze ani nie pomiyszoł.

A tyn drugi rznie pięścią o stół i krziknie:

— A to nie wiysz, że zanim zaczniesz grać, mosz dać cosik do banku.

Gosposia

— Moja kobieto, te jajka są bardzo maleńkie. Powinniście kazać kurom dłużej na nich siedzieć!

Zły argument

Dyrektor prosi do siebie swego podwładnego:

— Pan, panie Fusekla, przyszedł zdaje się dzisiaj do pracy z półtora godzinnym opóźnieniem?

— Proszę mi wybaczyć, ale wydarzyła mi się dziwna historia: wypadłem z okna!

— A na którym piętrze pan mieszka?

— Na szóstym.

— No więc? I to wam zajęło tyle czasu?!

Kołysanka

— Babciu, dlaczego mama tak długo śpiewa?

— Żeby twoja siostrzyczka zasnęła.

— Gdybym ja był siostrzyczką, to bym już dawno udawał, że śpię.

Powód

Gosposia oznajmia chlebodawczyni:

— Od pierwszego odchodzę.

— Ale dlaczego, co się gosposi nie podoba w moim domu?

— Podoba mi się wszystko, z wyjątkiem pani.



— Żebyśmy tylko za to nie wylecieli z instytutu?!

Uzdrowiony

Rzecz się dzieje w domu wariatów.

— Wyobraź sobie — mówi jeden z pensjonariuszy do swego kolegi — od pewnego czasu wydaje mi się, że jestem psem . . .

— Tak, rzeczywiście, jestem psem, . . . hau, hau.

— Słuchaj — odpowiada kolega — z tym powinieneś iść koniecznie do doktora.

— Tak sądzisz? Może masz rację. Rzeczywiście zgłoszę się do lekarza.

Kilka dni później przyjaciele spotykają się ponownie.

— No i co, lepiej się czujesz po wizycie u lekarza?

— Oczywiście. Znacznie lepiej. Dotknij tylko mego nosa, zobaczysz, jaki jest zimny.

Na urlopie

— Straciłem 20 kg na urlopie.
— W jaki sposób?
— Skradziono mi walizkę.

W sądzie

— Już po raz dziewiąty oskarżony staje w tym roku przed sądem o kradzież.

— Cóż robić wysoki sądzie, ten rok był dla mnie wyjątkowo pomyślny.

Nowy personel

— Co ten elegancki pan robił tak długo w budzie waszego psa?

— To jest dyrektor cyrku pcheł, angażuje nowy personel.

Usprawiedliwienie

Tego wieczoru Drzązgała znowu wrócił do domu bardzo późno. Jak zwykle, tak i tym razem powitało go w drzwiach srogie oblicze żony.

— Otóż kochanie, zaraz ci wszystko wytłumaczę... Wracałem właśnie z pracy do domu... i spotkałem tego starego Moczygębę, wiesz, co to z nim razem chodziłem do szkoły... Wyobraź sobie, że mu właśnie umarła ciotka i prosił mnie, abym z nim poszedł na pogrzeb... I tak jakoś się zagadaliśmy...

— Czy ty sądzisz, że ja uwierzę w tę historię?

— Co? Nie... oczywiście. Jeśli nie wierzysz, to opowiem ci zupełnie inną.

Ptasi mózg

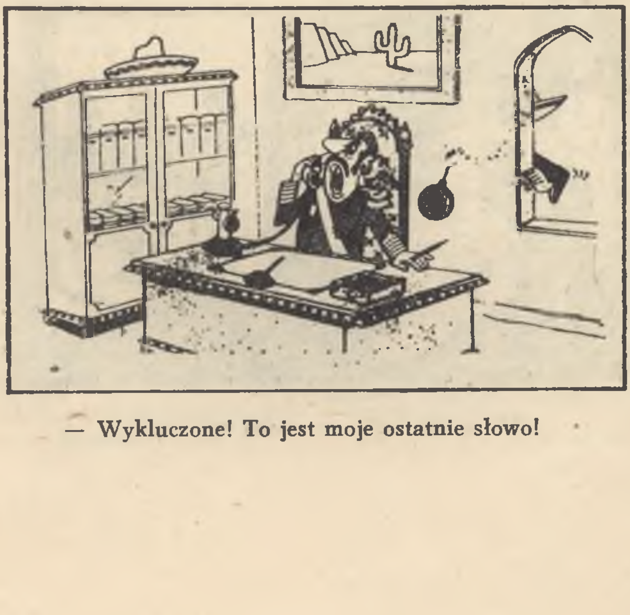
Dnia pewnego leśne ptaki
Przeczytały napis taki:
„Tu dla mody i ozdoby
Wymieniamy ptasie dzioby.
Szlifujemy, poprawiamy
I zapłaty nie żądamy."
Widzą ptaki — dziupla w drzewie,
Kto w tej dziupli jest — nikt nie wie.
Powiedziały mądre sowy:
„Nowy dziób to kłopot nowy,
Poczekamy z tym do zimy,
A na wiosnę — zobaczymy."
Słowik nie chciał zmienić dzioba:
„Mnie się właśnie mój podoba."
Szpak powiedział: „Po co zmiany?
Dziób mam pięknie szlifowany."
Rzekła pliszka: „Może są tu
Jakieś dzioby do remontu,
Do poprawek, do przeróbek
Lecz nie mój wytworny dzióbek!"
Gwizdnął kos: „Znam chwyt najprostszy,
Dobrze wiem, jak dziób się ostrzy."
Gil-żółtodziób ćwierknął: „Oby
Wszyscy mieli takie dzioby."
Z dziupli wylazł lisek rudy,
Zaklął: „Na nic wszystkie trudy,
Ptakom już nie udowodnię,
Że się trzeba nosić modnie,
Ptak ma ptasi mózg. Z tej racji
Znów zostałem bez kolacji."

JAN BRZECHWA

O pewnym polityku...

...tak się wyraził de Flers — komediopisarz (1872—1927):

— Jego pochodzenie? Wyszedł z ludu, aby więcej do niego nie wrócić.



— Wykluczone! To jest moje ostatnie słowo!

Niepokojący znak

Nad ranem u lekarza dzwoni telefon:

— Panie doktorze! Z moją żoną jest niedobrze.

— Co się stało?

— Mieliśmy u siebie parę osób, spędziliśmy uroczy wieczór, a teraz moja żona zdradza naprawdę niepokojące objawy.

— Czy przypadkiem żona pańska nie widzi słoni?

— Przeciwnie, panie doktorze, pokój jest pełen słoni, a ona mówi, że nie ma tu ani jednego.



Kość za kość.

Sprostowanie

Szewc Kapuś wyskoczył sobie do narożnej knajny, zostawiając w witrynie kartkę ze słowami: „Wracam za godzinę. Kapuś".

Napis został jednak przekreślony gniewną ręką, która dopisała pod spodem. „On tu wróci za pięć minut. Jego żona".

Pusta

Koło ulicznej wagi stoją dwaj mali chłopcy. W pewnym momencie podchodzi bardzo tęga pani i staje na wadze, chcąc się zważyć. Strzałka chwieje się pare sekund, potem zacina się i staje na 42 kg.

Wówczas jeden z malców woła ze zdziwieniem.

— 42 kg! Ona musi być chyba pusta w środku.

Kto prowadzi

Świeżo upieczony właściciel samochodu prowadzi wóz. Jadąca w nim żona i jej mama udzielają sobie rad.

— Skręć teraz.

— Wyprzedź go!

— Zwolnij!

— Postaraj się go wyminąć!

W końcu zirytowany kierowca odwraca się do żony.

— Kochanie, kto tu prowadzi samochód, ty czy twoja matka?

Statystyka

— Tatusiu, w roczniku statystycznym wyczytałem, że rodzina składa się przeciętnie z 4,1 osób. Kto to jest 0,1?

— To jest ojciec rodziny.

Różnie bywa

Pewien pastor z Bielefeldu jechał statkiem do Ameryki. Podczas podróży zerwała się na morzu gwałtowna burza.

— Kapitanie — pyta pastor drżącym głosem — czy bardzo źle z nami?

— Gdyby było źle — odpowiada kapitan — toby się majtkowie modlili, a oni przecież klną.

Pastor schronił się do kajuty. Dręczy go jednak strach. Widząc zatem przębiegającego oficera, pyta go.

— Panie poruczniku, co robią majtkowie?

— Klną!

— Bogu dzięki, woła ucieszony pastor.

Nie na tym etapie

Nauczycielka w szkole:

— Zosiu, jak się rozmnażają rośliny?

— Rośliny, tego jeszcze nie wiem . . .

Ostatnie słowo oskarżonego

— Czy oskarżony chciałby coś powiedzieć w ostatnim słowie?

— Tak. Chciałem mianowicie prosić, by czas, który mój obrońca zużył podczas swego przemówienia, został mi zaliczony na poczet kary.



W oczekiwaniu na wynik operacji.



Jeśli będziesz się krzywił próbując zupę, on nie zdecyduje się jej zjeść.

W restauracji kategorii S

— Panie starszy, czy nie byłby pan łaskaw przypomnieć mi jak nazywa się to danie, które konsumuję, w razie gdyby mnie o to pytali w szpitalu?

Bohater

Miałem wczoraj wieczorem niemiłą przygodę. Napadło mnie czterech drabów. Biłem się z nimi tak dzielnie, że aż jednego musiało opatrzyć pogotowie.

— Kogo?

— Mnie.

Przeszkoda

— Moglibyśmy się pobrać, ale gdzie będziemy mieszkać.

— U twoich rodziców.

— Niestety, to niemożliwe, bo oni sami mieszkają jeszcze u swoich teściów.

Zgaduj-zgadula

W domu wczasowym przystojny młody człowiek proponuje następującą zabawę towarzyską:

— Podaję pierwszą literę swego imienia. Jeśli go pani nie zgadnie trzy razy — zwraca się do ładniutkiej dziewczyny — będę miał prawo pocałować panią. Moje imię zaczyna się na literę S.

Dziewczyna z błyszczącymi oczami zgaduje:

— Serwacy . . . Symforion . . . Sędzimir . . .

Odpowiedni moment

Mały Tomek poszedł z ojcem do kliniki położniczej odwiedzić mamę. Ojciec czekając na rozmowę z lekarzem, spaceruje z nim po korytarzu, pokazując mu przez szklaną ścianę salę, w której w małych łóżeczkach leży kilkadziesiąt noworodków.

— Widzisz, synku, my też kupimy sobie takiego braciszka lub siostrzyczkę.

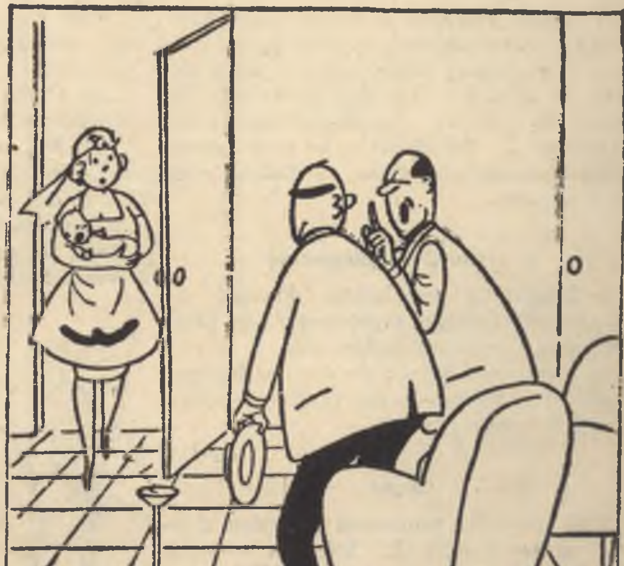
— To dobry moment na kupowanie, tato, wygląda, że ich mają dużo na składzie.

Sposób

— Łaskawa pani, proszę o wsparcie. Jestem autorem pracy: „Pięć sposobów zostania milionerem".

— To dlaczego pan żebrze?

— Bo to jest właśnie jeden ze sposobów . . .



— Ja tu byłem przed panem.



— To wyznanie miłosne, ale jakoś nie mogę odczytać, co napisałem.

Rada

Pan Koziołkiewicz zajeżdża Oplem — model 1928 przed garaże naprawcze i wskazując na swój gruchot, mówi do montera:

— Mam kłopoty z silnikiem. Chciałbym zmienić oliwę.

— Na pana miejscu — odpowiada monter — zostawiłbym oliwę, a zmieniłbym samochód.

Na dancingu

Piękna dziewczyna nosi na łańcuszku miniaturowy samolocik. Partner przygląda się uważnie.

— Podoba się panu mój samolocik?

— Owszem, ale ja raczej podziwiam lotnisko.

Przytomność umysłu

W czasie przyjęcia u młodej amerykańskiej gwiazdki filmowej wybuchł pożar.

— Natychmiast telefonujcie — woła aktorka — do prasy, do radia, do kroniki filmowej, do telewizji, do mojego agenta reklamowego... Zaraz, zaraz, co to ja jeszcze chciałam powiedzieć? Acha, zawiadomcie też straż ogniową.

Z dyskusji socjologicznej

— Statystyka samobójstw dowodzi, że najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciw samobójstwu jest małżeństwo.

— Rzecz ma się odwrotnie: najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciw małżeństwu jest samobójstwo.

(t. p.)

Ocena

Ktoś przyniósł Wolterowi do oceny zbiorek wierszy księcia X., który w wolnych chwilach zajmował się pisaniem. Wolter zaopiniował:

— Mam o nim takie zdanie, jakie on miałby o mnie, gdybym w wolnych chwilach stawał się księciem.

Wątpliwość

Pan Frączak, w wesołym nastroju lekko się zataczając, wchodzi do urzędu stanu cywilnego.

— Dzień dobry panom. Chciałbym zgłosić przyjście na świat zdrowych bliźniaków.

— Jak to „dzień dobry panom", przecież ja tu jestem sam — dziwi się urzędnik.

— Jest pan sam? — odpowiada pan Frączak wstrząśnięty. — Bardzo pana przepraszam, w takim razie ja jeszcze raz pójdę do domu. Może to nie są bliźniaki...



Czkawka

Dowód

Lord Pellingbroke wrócił z przyjęcia w słynnej siedzibie nudystów i zasypywany jest pytaniami przez żonę:

— Czy wszyscy byli naprawdę nago?

— Wszyscy bez wyjątku. Drzwi otworzył mi lokaj w stroju Adama.

— Ale w takim razie, skąd wiesz, że to był lokaj?

— Moja droga, umiem jeszcze odróżnić lokaja od pokojówki!

Porada

— Chciałbym, panie doktorze, dożyć stu lat.

— Nic bardziej prostego: niech pan nie pije alkoholu, niech pan nie pali papierosów, niech pan stroni od kobiet...

— I w ten sposób dożyję stu lat?

— Tego nie wiem. Ale to pewne, że czas będzie się panu strasznie dłużył...

O szczęściu

Oto interesująca obserwacja Ireny Joliot-Curie:

— Nie byłoby w tym nic złego, gdybyśmy chcieli być tylko szczęśliwi. Niestety my, ludzie, pragniemy być szczęśliwsi od innych. A to jest już dlatego niemożliwe, że ci inni są o wiele mniej szczęśliwi niż my przypuszczamy.

Wyjątek

Z rozmyślań Sachy Guitry — pisarza i aktora (1885—1957):

— Wszyscy ludzie są komediantami. Z wyjątkiem kilku znanych mi aktorów...

W sprawie wieku kobiet

Na ten temat wypowiedziała się kiedyś specjalistka w tej materii — Colette:

— Kobieta wtedy dopiero powinna zdać sobie sprawę ze swego poważnego wieku, kiedy nikt więcej złego słowa na nią nie powie.

Wybawca

Mówca w londyńskim Hyde Parku usiłuje zaagitować swoich nielicznych słuchaczy:

— Chcę was uwolnić od radykalizmu, od socjalizmu, od komunizmu i od anarchizmu!

Głos z tłumu:

— A nie ma pan czegoś na reumatyzm?

ZNAWCA SZTUKI: **„Na świecie są trzy rodzaje ludzi — ci, którzy nie znoszą Picassa, ci, którzy nie znoszą Rafaela i ci, którzy nie słyszeli o żadnym z nich".**

*

NIECO FILOZOFII: **„Ludzie wiedzą coś o wszystkim, lub wszystko o czymś".**



— Niech pan poczeka, za chwilę będę miał coś dla pana.



— Bardzo ci do twarzy w tym swetrze!

Przed sądem

— Gdzie pani była w nocy z 14-go na 15-y sierpnia?
— W łóżku, proszę Sądu.
— Czy ma pani na to świadków?

Dobra posada

Dzwonek do drzwi. Pani domu otwiera. Za drzwiami młoda dziewczyna:
— Podobno szuka pani służącej.
— Ależ ja wszystko robię sama.
— To mi się podoba! Właśnie takiego miejsca szukałam.

Savoir-vivre

Starszy pan w kapeluszu wchodzi do fryzjera nie przerywając lektury swojej gazety, siada na fotelu i mruczy:

— Strzyżenie.

— Pan wybaczy — mówi fryzjer z uśmiechem — ale czy byłby pan łaskaw zdjąć kapelusz?

Poszkodowany

Stary prawnik leży na łożu śmierci. Rodzina sprowadziła księdza, który zaczął od słów:

— Czy chcesz się pojednać ze Stwórcą?

— Chętnie — odparł adwokat. — Proszę stawiać propozycje. Ja jestem stroną poszkodowaną!

Wolno

Milicjant do amatora kąpieli w Wiśle:

— W tym miejscu nie wolno się kąpać!

— Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej? Przecież widział pan jak się rozbierałem!

— Bo rozbierać się wolno!

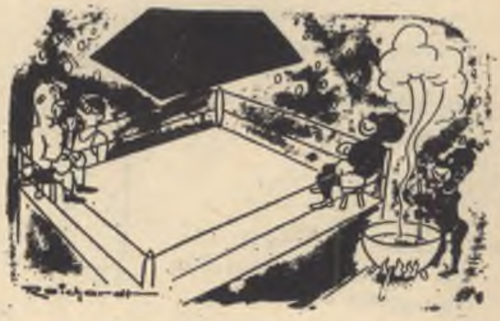
Ofiara historii

Pielęgniarz z zakładu dla obłąkanych wzdycha wśród kolegów:

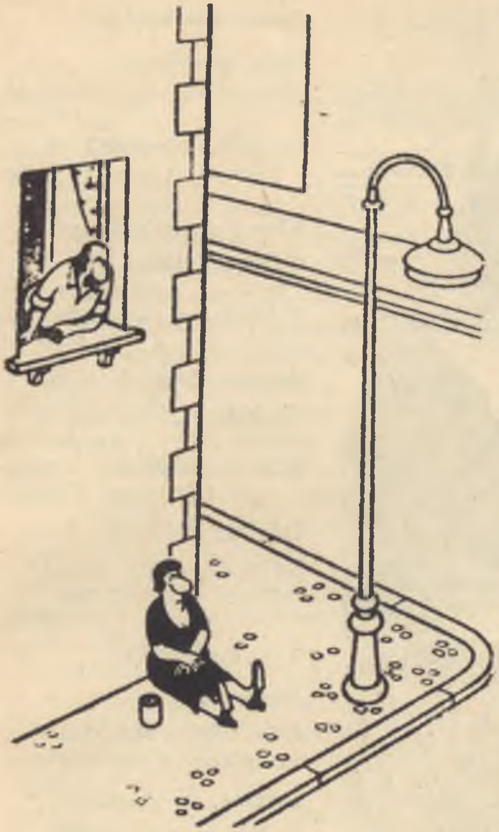
— Ach, chciałbym się urodzić przed Wielką Rewolucją!

— Dlaczego?

— Nie musiałbym się męczyć z tymi wszystkimi Napoleonami!



— Nie bój się, to tylko bluff!



Jak długo jeszcze chcesz strajkować?

MĘŻCZYZNA DO PRZYJACIELA: „Nigdy nie zapomnę dnia, w którym spotkałem moją żonę, choć, Bóg mi świadkiem, próbowałem".

•

MATKA WIELKIEJ RODZINY: „Co mnie zawsze dziwi, to to, że narody o pokojowych intencjach pragną żyć jak w jednej wielkiej rodzinie!"

•

CHŁOPIEC DO KOLEGI: „Mój ojciec chce, żebym miał wszystko, czego on nigdy nie miał. Na przykład same jedynki.

Edmund Wojnarowski

Mimochodem

Uważaj, aby kamień, który spada ci z serca, kogoś nie przywalił.

Cóż z tego, że życie jest jak otwarta księga, gdy na świecie jest tylu analfabetów.

Plamy na honorze nie wywabisz żadnym środkiem chemicznym.

Ze schodzenia na manowce nogi nie bolą.

Chłop ma krowę a poeta muzę.

Gdy kopnięty pies się ogląda, nie znaczy wcale, że interesuje go numer buta.

Jeżeli cię głupcy uważają za głupiego — jesteś mądry.

Gdyby ludzie chodzili nago, co robiliby złodzieje kieszonkowi?

Aby po nią sięgnięto musiała nisko upaść.

Szewc też może być pantoflarzem.

Okrycie chwałą nie chroni przed zimnem.

Młodość przyprawia nam skrzydła, a starość rogi.

I miłość bez granic może się skończyć.

Szkoda, że na zakrętach historii nie ma znaków ostrzegawczych.

Był tak niski, że nie mógł dostrzec swej wielkości.

Ci, którzy noszą czapki, niekoniecznie zdają sobie sprawę, do czego służy głowa.

Pies zatrzymuje się przy słupkach przydrożnych nie po to, aby odczytać ilość przebytych kilometrów.

Czy bezzębny może trzymać język za zębami?

Nad pustą misą pies skomli, nad pełną warczy.

Nie wymagaj, aby ci konik polny zarżał.

Pan domu też może być dziadem.

Mrówki się nie pocą.

Nie rozbijaj muru głową, jeśli możesz skorzystać z drabiny.



— Otworzyłem w mieszkaniu wszystkie kurki od wody. Zobaczysz, jaka będziesz szczęśliwa.

Stefan Chmielnicki

Mała pomyłka

„Panna jak złoto, — o lubej
rzekł luby,
Pu ślubie stwierdził, że
nie pierwszej próby.

Kłopot z przykazaniem

Miłować bliźnich nie
potrafię z dala.
Z bliska — nie mogę. Żona
nie pozwala.

Zapominalska

Kochała bliźnich, teraz
nie pamięta,
któremu z bliźnich zawdzięcza bliźnięta.

Dewotki

Za spokoj duszy dewotki
zmówcie pobożnie trzy
plotki.

Zygmunt Sztaba

Proporcja

Gdy kobieta raz odmówi
tysiąc razy o tym mówi.

Smutne, ale prawdziwe

O kobiecie ten pamięta,
kto jej płaci alimenta.

Cztery litery

Ileż treści
w nich się mieści.

Mędrzec

Wiem, że nic nie wiem —
powiedział,
i dalej nic nie wiedział.

SPIS TREŚCI

KALENDARZ ŚLĄSKI
na rok 1962.
Rocznik I.

Krajské nakladatelství v Ostravě.
Redaktor odpowiedzialny Henryk Jasiczek.
Zredagowali:
Henryk Jasiczek — Dr Tadeusz Siwek.
Okładka: Miroslav Karpala.
Winiety: Oskar Pawlas.
Ilustracje tekstowe:
Adam Jasiński, Maria Tarska, Franciszek Świder i inni.
Zdjęcia: Archiwum Zwrotu, ČTK, CAF, V. Bryndač.

Drukiem TISK, knižní výroba, n. p., Brno, závod 3, Č. Těšín.
Format papieru 70 × 100 — AA 19,539 — tekstu 13,670 —
VA 20,757 — Grupa tematyczna 15/3 — T-03*11991
Nakład 9000 egzemplarzy.

Cena 12,— Kčs.

KALENDARZ ŚLĄSKI · 1962

Cena 12 Kčs - 15/3